KATOWICE – STOLICA Z PRZYPADKU CZY Z WYBORU?

CENA 5 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ŚLĄSK

Śląskie. Pozytywna energia

Nr 9 (203) • ROK XVIII • WRZESIEŃ 2012

Z wicepremierem WALDEMAREM PAWLAKIEM rozmowa o węglu

Ks. HENRYK OLSZAR – Śląski Kościół z nastaniem okupacji

Polskość na Śląsku, śląskość w Polsce – rozmowa z prof. JACKIEM WODZEM

JOANNA KERN – Być z Kostuchny to obciach?

BARBARA NOWICKA – Zabójcze matki

LEON WANTUŁA – górnik piszący po szychcie

TADEUSZ SIERNY – Ponętna dama zwana kulturą



ISSN 1425-3917 09

9 771425 391202



Fot. BP/Urząd Marszałkowski Katowice

Tegoroczna INDUSTRIADA miała międzynarodowy charakter Święta Szlaku Zabytków Techniki. 30 czerwca uczestnicy Nocy Kultury Przemysłowej „ExtraSchicht" w dawnej kopalni i koksowni Zollverein w Essen mieli okazję dowiedzieć się, dlaczego warto odwiedzić Szlak Zabytków Techniki w województwie śląskim.

(Więcej na ten temat na str. 83)



Reprezentacyjny Zespół Pieśni i Tańca „Zawiercie" – jako jedyny przedstawiciel Polski uczestniczył w lipcu br. w Międzynarodowym Bałkańskim Festiwalu Folklorystycznym w Zagrzebiu, gdzie otrzymał główne nagrody w obu obowiązujących konkurencjach – za prezentację programu i za jego poziom techniczny. W składzie zespołu, który od 1998 roku działa przy Miejskim Domu Kultury „Centrum" w Zawierciu, tańczy i śpiewa młodzież z terenu całego województwa śląskiego.



Fot. Julia Agnieszka Szymala

XXV Międzynarodowy Studencki Festiwal Folklorystyczny zawładnął naszym regionem. Od 25 sierpnia do 2 września w Katowicach, Bytomiu, Siemianowicach Śląskich, Istebnej, Koszęcinie, Cieszynie, Chorzowie, Zabrzu i Żorach wystąpiły zespoły z Turcji, Togo, Włoch, Rosji, Wenezueli, Argentyny, Chorwacji, Słowacji, Francji i Polski. Organizatorem imprezy (zainaugurowanej w 1979 r.) jest Studencki Zespół Pieśni i Tańca „Katowice" Uniwersytetu Śląskiego. Już po raz trzeci Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk" gościł u siebie studentów (26 sierpnia) z różnych zakątków świata. Koncert galowy XXV MSFF a także wielokulturowy korowód ulicami Koszęcina, towarzyszyły Gminnym Dożynkom. Na zdjęciu: Studencki zespół folklorystyczny z Turcji.

Jak zwykle w lipcu i w sierpniu w podcieniach Centrum Kultury Katowice im. Krystyny Bochenek zagościł Letni Ogród Teatralny. Ponad 20 wydarzeń – spektakli, koncertów, występ kabaretowy i benefis – złożyły się na tegoroczny 14. LOT, organizowany przez Teatr Korez. Przez dziewięć kolejnych weekendów widzowie obejrzeli m.in. artystów Teatru Ludowego z Krakowa, Teatru Rampa, występ Kabaretu Hrabi, recital Artura Andrusa z udziałem Marii Czubaszek. Tradycyjnie już, w ramach Letniej Grządki Teatralnej organizatorzy zadbali także o repertuar dla najmłodszych, których w tym roku bawiły zespoły z Wałbrzycha, Bielska-Białej, Katowic. Tegoroczny LOT zakończył się 26 sierpnia benefisem (na zdjęciu) świętującego 25-lecie pracy artystycznej Bogdana Kalusa – współzałożyciela Teatru Korez.



Fot. Agnieszka Astaszow



Fot. z materiałów organizatorów

Od 26 sierpnia do 1 września w Cieszynie odbywał się XXI Międzynarodowy Festiwal Muzyki Wokalnej. W programie tygodniowego przeglądu różnych form wokalnych i muzyki wokalno-instrumentalnej znalazły się koncerty oratoryjne, spektakle operowe (na żywo i na dużym ekranie), operetkowe, musicalowe, koncerty kameralne i recitale, a także koncerty muzyki popularnej, koncerty z udziałem debiutantów i gwiazd, wśród niespodzianek znalazł się… góralski folk doprawiony jazzem. Od 13 lat festiwal gości także na dziedzińcu kończyckiego zamku. W tym roku odbył się tam koncert muzyki z różnych stron Europy. W galowym koncercie „Panie proszą panów" w Teatrze w Cieszynie wystąpili m.in.: Jan Jakub Monowid, Rafał Bartmiński i Mateusz Zajdel, Ireneusz Miczka oraz Aleksander Teliga. Wokalistom towarzyszyła Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Zabrzańskiej pod batutą Joanny Nowickiej.
Na zdjęciu: Aleksander Teliga podczas koncertu galowego w Cieszynie.

ŚLĄSK

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

Nr 9 (203). Rok XVIII. WRZESIEŃ 2012 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE W KATOWICACH
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
Tel. 32 253-62-21
e-mail: redakcjaslask@onet.pl, slask@neostrada.pl
www.gtl.org.pl

WSPÓŁWYDAWCA: BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
plac Rady Europy 1
40-021 Katowice
Tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bsl@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:
TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelny
FELIKS NETZ
zastępca redaktora naczelnego
WIESŁAWA KONOPELSKA
sekretarz redakcji
MARIA SZTUKA
dział kulturalny
BOGDAN WIDERA
dział społeczno-historyczny
WOJCIECH ŁUKA
dział graficzny
MIROSŁAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl
IRENA FALKIN-SIBIGA
ANNA STRUMIŁOWSKA
korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,
tel./fax 32 206-82-71

DTP: STP „KorGraf", 40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12, tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48

Druk: PW „Tolek"
DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI
43-190 MIKOŁÓW, ul. Żwirki i Wigury 1.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU" – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłat należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk", PKO PB SA I O/Katowice 92 1020231300003302 00202176. Prenumerata roczna – 60 zł, półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza – 5 zł (w tym 5% VAT).

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Pismo wspierane finansowo przez ZARZĄD WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

Projekt objęty mecenatem MIASTA KATOWICE
KATOWICE

Zrealizowano w ramach PROGRAMU OPERACYJNEGO PROMOCJA CZYTELNICTWA ogłoszonego przez MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

W kolorze:
• „Okolice układów" – wystawa w BWA Katowice (str. A) • „Artystki na Śląsku 1880-2000" (str. B) • Znaki i Twarze Miasta Katowice. Wielka przebudowa Rynku (str. C) • Opolskie (str D) • Zbigniew Sawicz. 40 lat z fotografią (str. III okładki).

Na okładce:
Katowicki modernizm

Fotografia:
Zbigniew Sawicz

Czasopismo „Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny" jest dostępne w wersji elektronicznej w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ pod adresem:
http://www.sbc.org.pl/dlibra/publication?id=19462

W NUMERZE:

ŚLĄSKI MIESIĄC ... 2
Bogdan Widera **GOETHE PATRZY NA MASZYNĘ** ... 3
Rozmowa z wicepremierem Waldemarem Pawlakiem **W EUROPIE POTRZEBNA JEST TANIA ENERGIA** ... 4
Rozmowa z prof. dr. hab. Jackiem Wodzem **POLSKOŚĆ NA ŚLĄSKU – ŚLĄSK W POLSCE** ... 6
Tadeusz Sierny **PONĘTNA DAMA ZWANA KULTURĄ** ... 8
NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA
Marek S. Szczepański **GÓRNY ŚLĄSK; OGLĄD WSTECZNY I PODRÓŻ DO PRZYSZŁOŚCI (II)** ... 11
Barbara Kalinowska-Wójcik **STOLICA Z PRZYPADKU CZY Z WYBORU?** ... 12
Anna Tokarz **GODAŁACH CI, GRYFNY TEN ŚLUNSK JEST** ... 17
Joanna Kern **BYĆ Z KOSTUCHNY TO OBCIACH?** ... 18
Krystian Gałuszka **KINO PATRIA** ... 20
Natalia Zalesińska **WIERSZE** ... 23
Rozmowa z prof. dr. hab. Ryszardem Kaczmarkiem **BĘDZIE JESZCZE WIELE NIESPODZIANEK** ... 24
Anna Tokarz **SPRZEDANI** ... 30
Ks. Henryk Olszar **ŚLĄSKI KOŚCIÓŁ Z NASTANIEM OKUPACJI** ... 32
Jan F. Lewandowski **NIKISZOWIEC NA EKRANIE** ... 38
Lech Krzyżanowski **UDERZENIE OKUPANTA W INTELIGENCJĘ ŚLĄSKA** ... 40
POZA KADREM
Feliks Netz **BEZ WSTYDU** ... 45
Barbara Nowicka **ZABÓJCZE MATKI** ... 46
Joanna Storczewska-Segieta **ROZPROSZENI** ... 48
Aleksandra Zasępa **„NIE MIJA CUD PRZEMIJANIA"** ... 50
Henryk Cierniak **WIERSZE** ... 52
Bartosz Suwiński **POSZUM LASU** ... 54
Rozmowa z ks. prof. Jerzym Szymikiem **MÓW NA WYSOKOŚCI TEJ GÓRKI** ... 56
Grzegorz Sztoler **STUTTHOF. PIEKŁO WEDŁUG KASSOLIKA** ... 58
BIBLIOTEKA NOCĄ
Krystian Gałuszka **MAGICZNY STÓŁ** ... 60
ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA
Jan Miodek **WELSZKRAUT JAKO... POMOC DYDAKTYCZNA** ... 61
EKOLOGIA
Rozmowa z prof. nadzw. dr hab. Katarzyną Lisowską **TRANSGENICZNA RULETKA** ... 62
Wiesława Konopelska **OKOLICE UKŁADÓW** ... 64
Bogdan Widera **BYĆ KOBIETĄ, BYĆ ARTYSTKĄ** ... 65
Rozmowa ze Zbigniewem Leraczykiem, dyrektorem Teatru Zagłębia w Sosnowcu i zastępcą ds. artystycznych Dorotą Ignatiew **WYSOKA POPRZECZKA** ... 66
TEATR
Joanna Warońska **GRA BEZ KOŃCA** ... 68
MUZYKA
Magdalena Figzał **OFFOWE ROZMAITOŚCI** ... 69
Feliks Netz **SONETY BRYNOWSKIE TADEUSZA KIJONKI** ... 70
(ms) **STOLICA ŚWIATOWEGO FOLKLORU** ... 70
Magdalena Dziadek **MIĘDZY NUTAMI** ... 71
KSIĄŻKI
Michał Wroński **STAN DUCHA I CIAŁA** ... 72
Bogdan Nowicki **KERYGMAT** ... 73
Przemysław Pieniążek **PRZYPADEK KIEŚLOWSKIEGO** ... 74
Sabina Kwak **KRYMINAŁ PSYCHOANALITYCZNY W STYLU RETRO** ... 75
Edyta Antoniak-Kiedos **POETYCKI ODRDZEWIACZ** ... 76
Edyta Antoniak Kiedos **SIÓDMY POWRÓT** ... 76
Edyta Antoniak-Kiedos **ISADORA KONTRA MEBELKI** ... 77
Bogdan Widera **KRÓTKO O KSIĄŻKACH** ... 78
PODKOPKI ... 79
Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Lidia Pietrowska **DZIŚ I JUTRO GBP W GIERAŁTOWICACH** ... 80
NOTATNIKI KULTURALNE
Janusz Wójcik **OPOLE** ... 81
Wiesława Konopelska **KATOWICE** ... 82
Jan Picheta **BIELSKO** ... 84
Joanna Kotkowska **CZĘSTOCHOWA** ... 85
Jacek Sikora **ZAOLZIE** ... 86
Michalina Wawrzyczek-Klasik **RZEŹBIARZ ILUZJONISTA** ... 87
Wiesława Konopelska **NAZNACZONY ŚLĄSKIEM** ... 88

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą „RUCH" S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31.
www.ruch.com.pl



■ BYŁY poseł i prezes NFZ Andrzej Sośnierz będzie kierował Górnośląskim Parkiem Etnograficznym w Chorzowie. Dr Sośnierz znany jest również m. in. z odbudowy zamku w Chudowie. Sprawił, że to miejsce w weekendy tętni życiem.

■ KONIEC pierwszego półrocza to m. in. czas rozliczeń i podsumowań w licznych stowarzyszeniach, zgromadzeniach itp. Podczas walnego zebrania sprawozdawczo-wyborczego Śląskiego Towarzystwa Miłośników Książki i Grafiki oceniono dotychczasową działalność i wybrano nowe władze. Prezesem został ponownie Krystian Szczęsny.

■ KONKURS na przebudowę katowickiego rynku zakończył się porażką. Jury nie przyznało nikomu pierwszej nagrody. Jest tylko drugie miejsce i trzy równorzędne wyróżnienia. – Za mało w tym wszystkim myśli; architekci mieli związane ręce, zmarnowany czas i pieniądze – specjaliści nie kryją rozczarowania konkursem na katowicki rynek.

■ PO raz pierwszy w historii Śląska policja wstrzymała przyjęcia dokumentów od kandydatów do służby w mundurze. Powód? Ogromne zainteresowanie – o jedno wolne miejsce ubiega się aż 15 osób. – Ludzie boją się kryzysu i chcą załapać się na wcześniejszą emeryturę – twierdzą specjaliści.

■ TURYŚCI nigdzie nie polecieli i nie wiadomo kiedy wrócą. Wśród 4,7 tys. klientów biura podróży SKY CLUB, którzy zostali za granicą bardzo dużą część stanowią turyści ze Śląska. Ci, którzy zapłacili za wczasy i nigdzie nie pojechali bezskutecznie szturmowali 4 VII drzwi siedziby katowickiego bankruta. Trudno przewidzieć czy i kiedy odzyskają swoje pieniądze.

■ EUROPEJSKIE Forum Młodzieży z siedzibą w Brukseli ogłosiło krótką listę kandydatów do tytułu Europejskiej Stolicy Młodzieży w 2015 roku. Nie ma na niej Katowic.

■ PRZYSZKOLNE ogrody coraz piękniejsze. W ciągu 20 lat trwania akcji „Posadź swoje drzewko" w woj. śląskim udało się stworzyć ponad 4,5 tys. przyszkolnych ogrodów.

■ TYDZIEŃ Ewangelizacyjny pod hasłem „Tu chodzi o miłość" po raz 63. rozpoczął się w Dzięgielowie. To największe w Europie Wschodniej spotkanie Kościoła luterańskiego. Na co dzień bardzo spokojna miejscowość przeżywała najazd wyznawców.

■ BUDOWA osiedla mieszkaniowego na skraju katowickiej Doliny Trzech Stawów rozpoczęła się 10 lipca. Kamień węgielny wmurowali m. in. architekt osiedla Tomasz Konior i prezydent Katowic Piotr Uszok.

■ TŁUMY dziennikarzy i kibiców towarzyszyły 10 lipca treningowi piłkarzy Ruchu Chorzów. Poprowadził go jeszcze Waldemar Fornalik. który kilka godzin wcześniej dostał nominację na selekcjonera reprezentacji Polski.

■ ŚMIERTELNY wypadek w kopalni „Bielszowice". 28-letni pracownik Chorzowskiego Przedsiębiorstwa Robót Górniczych przewrócił się i uderzył głową o szyny podziemnej kolejki. Prawdopodobnie wcześniej został porażony prądem zasilającej ją trakcji. Reanimacja okazała się nieskuteczna. Zmarły pracownik miał żonę i osierocił dwoje dzieci.

■ HONOROWY prezes Polskiego Związku Chórów i Orkiestr, publicysta, pisarz, krytyk muzyczny Rajmund Hanke zmarł w wieku 73 lat.

■ JUŻ nie język biznesu, socjologia, czy realizacja obrazu filmowego, jak w latach minionych, lecz anglistyka z chińskim i japońskim są kierunkami najbardziej pożądanymi przez kandydatów na studia. Czy popularność azjatyckich języków to tylko moda, czy zapowiedź wzrostu popularności tych trudnych dla Europejczyków języków?

■ PIERWSZYCH w Polsce przeszczepów płuc u dwojga nastolatków dokonali z sukcesem lekarze ze Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrzu ujawniło 11 VII kierownictwo szpitala. Zabieg przeprowadzono u 15-latki ze skrajnym nadciśnieniem płucnym oraz u 17-latka chorującego na mukowiscydozę. – Obie choroby można nazwać zabójcami młodych ludzi gdyż dotykają głównie osób w młodym wieku i często przebiegają tak agresywnie, że szybko dochodzi do zgonu – wyjaśnia prof. Marian Zembala szef Śl. CChS. W Zabrzu przeprowadzono już 65 transplantacji płuc, jednak pierwszy raz u tak młodych ludzi. – To pokonanie kolejnej bariery w polskiej medycynie – informują lekarze.

■ URZĘDY skarbowe w woj. śląskim zakończyły podliczanie zeznań podatkowych za miniony rok. Wynika z nich, iż najwięcej milionerów mieszka w Katowicach – aż 185 osób. Na drugim miejscu jest Częstochowa ze 163 milionerami, trzecie miejsce zajmuje Bielsko-Biała ze 145 podatnikami o majątku powyżej 1 mln zł.

■ DO końca sierpnia Szpital Miejski w Sosnowcu ma być zlikwidowany, a później zastąpi go spółka. Władze nie ogłosiły komercjalizacji, obawiając się reakcji personelu i pacjentów.

■ SĄD wydał nakaz aresztowania Katarzyny W., matki 6-miesięcznej Madzi z Sosnowca. 12 VII kobieta usłyszała zarzut zabójstwa córki. Śmierć dziecka nastąpiła w sposób gwałtowny – ujawniła prokuratura. Do takich ustaleń śledczy doszli po badaniach histopatologicznych.

■ WŁAŚCICIELE mieszkań nie mają już oporów przed wynajmowaniem ich studentom, ale zapotrzebowanie jest tak duże, że najatrakcyjniejsze ogłoszenia znikają zaraz po tym, jak się pojawią. Młodzi ludzie wiedząc, że im bliżej października tym ceny będą wyższe, wolą znaleźć lokum w lipcu i płacić czynsz w wakacje niż potem żałować.

■ CZWARTY etap trwającego Tour de Pologne wystartował 13 VII rano z Będzina i zakończył się po południu na ulicach Katowic. Wiele dróg było zamkniętych dla ruchu, a urzędnicy postanowili skrócić dzień pracy. Czesław Lang dyrektor wyścigu jeszcze przed katowickim etapem mówił, że emocji nie zabraknie. To etap typowy dla sprinterów. Katowicka trasa liczyła 6 rund po 8,1 km każda. Wyścig okazał się wyjątkowo szczęśliwy dla Michała Kwiatkowskiego. Został liderem Touru.

■ SENIORZY wspólnie z młodymi ludźmi napisali przewodnik po Parku Śląskim. Praca zabrała im kilka miesięcy, łatwo nie było. – Czasem jedno pokolenie nie rozumiało drugiego, jednak nauczyliśmy się pracować – mówią. Na pomysł książki wpadli seniorzy z Parkowej Akademii Wolontariatu. – Wymyśliliśmy, że przydałaby się nam jakaś mapa, która pomogłaby w poruszaniu się po parku, a nawet nie mapa tylko książka, która pokazywałaby całe piękno tego miejsca, a także nawiązywałaby do rzeczy, których dziś już nie ma – wspomina Krystyna Goc, mieszkanka Zabrza, od dwóch lat na emeryturze. Do pomysłu zapaliło się 20 emerytów.

■ JEŚLI wszystko pójdzie dobrze, to w czerwcu przyszłego roku będziemy już mogli wsiąść do gondoli nizinnej kolejki linowej. Władze Parku Śląskiego przystępują właśnie do negocjacji z austriacką firmą Doppelmayr. Budową Elki zainteresowane były trzy firmy. Jednak z przyczyn formalnych, dwie oferty zostały odrzucone. Na placu boju został tylko austriacki potentat firma Doppelmayr, którego przedstawiciele rozpoczęli negocjacje z władzami parku.

■ PRZYSTAŃ Ocalenie to przytulisko dla zwierząt działające w jednej z podpszczyńskich wsi. Powstało z myślą o dręczonych przez właścicieli i uratowanych z rzeźni koni. Prowadzący przystań Komitet Pomocy dla Zwierząt ma pod opieką już ponad 100 zwierząt. – Ostatni koń przyjechał spod Częstochowy zabrany właścicielowi za znęcanie się nad nim.

■ BIODRO tylko dla bogatych. Co może zrobić pacjent czekający od lat w kolejce na leczenie, kiedy jego szpital nagle traci kontrakt? Zapisać się do nowej i liczyć na ludzką życzliwość – odpowiada NFZ.

■ ŚWIAT na komputerowych obrazkach jest piękniejszy – tak internauci komentują różnice pomiędzy wizualizacjami katowickiego dworca PKP a tym co powstaje w rzeczywistości. Zamiast szklanych ścian między halą dworca a galerią handlową powstała... konstrukcja z pustaków. Przedstawiciele inwestora zapewniają co prawda, że ściana będzie miała otulinę z ciemnego szkła ale to już nie to samo.

■ ŚLĄSK będzie liderem zmian w Narodowym Funduszu Zdrowia – zapowiedział 19 VII w Zabrzu minister zdrowia Bartosz Arłukowicz. W czasie wizyty na Śląsku Arłukowicz odwiedził Instytut Onkologii w Gliwicach, Śląskie Centrum Chorób Serca w Zabrzu oraz Oddział Okulistyki w Okręgowym Szpitalu Kolejowym w Katowicach, któremu mimo ogromnej renomy – NFZ obciął kontrakt z 6 do 1,2 mln zł. – Minister zna naszą sytuację. Zapytał czy przetrwamy do końca roku Robimy wszystko by tak się stało choć to trudne bo kontrakt już dawno wyczerpaliśmy – mówi szef oddziału prof. Edward Wylęgała.

■ II LICEUM Ogólnokształcące im. Emilii Plater w Sosnowcu uruchamia od nowego roku szkolnego klasę o profilu prawno-socjologicznym pod patronatem Uniwersytetu Śląskiego. Są w niej jeszcze miejsca.

■ NA lotnisku w Pyrzowicach otwarto 19 VII bazę techniczną do obsługi samolotów. Budowa hangaru o powierzchni 7,9 tys. mkw. kosztowała ponad 25 mln zł. W środku będzie można serwisować jednocześnie dwa samoloty typu Airbus A320 i Boening 737. Nowa baza jest najnowocześniejszym takim obiektem na polskich lotniskach.

■ ZŁA wiadomość dla kierowców: jeden z głównych wykonawców drogi ekspresowej S69 do Żywca domaga się od Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad przesunięcia terminu oddania trasy! Decyzja jeszcze nie zapadła ale na Żywiecczyźnie już mało kto wierzy, że droga będzie gotowa jeszcze w tym roku. Budowa drogi ekspresowej S69 to jedna z najważniejszych inwestycji w ostatnich dziesięcioleciach na południu woj. śląskiego. Czteropasmowa trasa ma umożliwić wreszcie normalne połączenie między Bielskiem a Żywcem.

■ PRZEJŚCIA podziemne pod dwupasmowymi ulicami były za czasów Gierka wizytówką Sosnowca. Dziś strach tu wejść. Przechodnie wolą przebiegać górą między autami bowiem tunel sypie się na głowę.

■ WYPADEK w „Krupińskim". W należącej do Jastrzębskiej Spółki Węglowej kopalni w Suszcu 20 lipca zginął 45-letni górnik. To drugi w tym roku śmiertelny wypadek w „Krupińskim". Od początku roku w polskich kopalniach węgla kamiennego zginęło 11 osób.

■ SZCZYT młodzieży Trójkąta Weimarskiego podczas którego uczniowie i studenci poszukiwali odpowiedzi dotyczących przyszłości Unii Europejskiej zakończył się w Bielsku-Białej. W czasie debaty młodzież wyrażała swoje niepokoje związane ze strefą euro ale zgodnie twierdziła, że mimo obrazów serwowanych przez media nie odczuwa kryzysu w swoim najbliższym otoczeniu.

■ TYSIĄCLECIE wciąż zachwyca. Kilkadziesiąt osób zwiedziło 21 lipca katowickie osiedle Tysiąclecia. Poszukiwały śladów wpływu legendy architektury Le Corbusiera. Spacer po osiedlu był częścią projektu „Le Corbusier" organizowanego przez warszawską Fundację Centrum Architektury a realizowanego z okazji 125. rocznicy urodzin „papieża modernizmu".

■ SZEŚĆ prywatnych skarbów skrywanych pieczołowicie niekiedy przez ponad sto lat w rodzinnych szufladach powierzyli chorzowianie Muzeum Śląskiemu 21 lipca podczas aukcji „Dopiszmy się do historii".

■ PRZYPADKOWO w archiwum katowickiego Urzędu Miasta natrafiono na projekt cechowni Huty Uthemanna. Przez dziesiątki lat nikt do niego nie zaglądał. Dziś mamy pewność, że gmach zaprojektowali Emil i Georg Zillimannowie – mówią pracownicy archiwum.

■ ZESZŁY rok był dla grzybiarzy fatalny, a ten okazuje się jeszcze gorszy. Dlaczego w lasach nie ma grzybów! Całkiem możliwe, że sami jesteśmy sobie winni: w lasach jest więcej puszek, śmieci niż borowików.

■ ZA powrót do pracy dr Sylwia Waśkiewicz z Politechniki Śląskiej dostała 349 tys. zł od Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej. Dzięki temu będzie mogła godzić karierę naukową z rodzicielstwem. Waśkiewicz i 11 innych matek, a także jeden ojciec – młodzi naukowcy z uczelni w całej Polsce – z fundacji dostali w sumie 4,4 mln zł.

■ GŁÓWNY Urząd Statystyczny opublikował raport z zeszłorocznego spisu powszechnego. Okazało się, że narodowość śląską zadeklarowało w sumie 817 tys. osób. Gdy kilka miesięcy temu GUS zaprezentował pierwsze wstępne wyniki spisu liczba osób, które zadeklarowały narodowość śląską wyniosła 809 tys. Teraz wzrosła do 817 tys. osób, przy czym wyłącznie narodowość śląską wskazało 362 tys. osób, a łącznie z narodowością polską 423 tys. osób. Do używania mowy śląskiej przyznało się 509 tys. osób.

■ ROZPOCZĘŁY się igrzyska olimpijskie w Londynie. Nasz region reprezentować będzie 15 zawodniczek i zawodników.

■ ŚLĄSKA policja jako pierwsza w kraju chce zamontować w radiowozach system monitoringu GPS. Ma to zwiększyć bezpieczeństwo, skrócić czas interwencji oraz przynieść oszczędności na paliwo. – Żeby tylko nie chodziło o śledzenie funkcjonariuszy – martwią się policyjni związkowcy. Rocznie na paliwo i naprawy pojazdów śląska komenda wydaje 24 mln zł.

■ NA Zaolziu ginie wszystko co metalowe, a część skradzionych rzeczy trafia do skupów złomu w Polsce. Czescy złomiarze myślą, że w ten sposób zatrą za sobą wszystkie ślady.

KRONIKARZ

Goethe patrzy na maszynę

Muzeum Śląskie mijam niemal codziennie i serce mi się raduje, kiedy patrzę jak rośnie. Tak było przynajmniej do niedawna. Ale 27 lipca w „Dzienniku Zachodnim" ukazał się alarmistyczny tekst Teresy Semik *Kto przechwytuje górnośląskie dziedzictwo*, mówiący o tym, że są ideologiczne wytyczne do konkursu na scenariusz wystawy stałej w nowej siedzibie naszego muzeum. Za wszystkim stoi Ruch Autonomii Śląska, zwłaszcza zaś jego lider – Jerzy Gorzelik. Dlatego właśnie ekspozycja poświęcona historii Śląska rozpoczynać się będzie od pojawienia się maszyny parowej w Tarnowskich Górach, maszyny, którą przyjechał zobaczyć sobie sam J. W. Goethe. Teresa słusznie się oburza pytając, czy przed końcem XVIII wieku nie było tu nic. (Swoją drogą – uznając, że autor Fausta „wielkim poetą był" – trudno mi zrozumieć, dlaczego od jego wizyty zaczyna się śląska historia. Poza tym Goethe był dość mobilny, sam widziałem w Karlovych Varach na uzdrowiskowym obiekcie tablicę, że tu oto kąpał się słynny niemiecki romantyk. Nie wiem, co w tej sytuacji ważniejsze – kąpiel, czy oglądanie maszyny?)

W dalszej części swojego tekstu Tereska wykonuje krok bardzo ryzykowny (oj, zagryzą ją za to polemiści, o których za chwilę). Informuje, że za muzealną wizją śląskości RAŚ stoją związani z tym ugrupowaniem mniej lub bardziej naukowcy: prof. Ewa Chojecka (promotorka pracy J. Gorzelika), dr hab. Irma Kozina (jego koleżanka z pracy) oraz prof. Ryszard Kaczmarek (nie podano jaki związek łączy tego świetnego historyka z uznanym historykiem sztuki). W tym miejscu mogę jedynie zaświadczyć, że – jak się na własne oczy przekonałem – Kozina jest cyklistką a nie RAŚ-istką,

Żarty – żartami. Niepokojące są jednak dalsze ustalenia Teresy. W dziale poświęconym „wybitnym Ślązakom" są w większości Niemcy – wszyscy nobliści, wielu innych, z Polaków – Korfanty jakoś się załapał.

Nic dziwnego, że po takim „kiju w mrowisko" zawrzało. Zareagował Jerzy Gorzelik. Niestety, rozczarował mnie, bo lubię, kiedy prowokuje, denerwuję, kąsa. Stwiedzenie, że Goethe „wielkim poetą był" nie usprawiedliwia scenariusza (bo to już nie wytyczne do konkursu, ale – jak mówią rozmówcy – scenariusz). Król Jan III Sobieski modlił się w Piekarach, poza tym zaś w drodze pod Wiedeń sadził lipy od Gliwic po Pruchną – czyż nie zasłużył na miejsce w muzeum? Lider RAŚ próbuje prostować poszczególne kwestie dziennikarki „Dziennnika Zachodniego". I tu popełnia błąd, nikt już bowiem nie pamięta, o czym napisano w gazecie wcześniej.

Michała Smolorza ze sceny Teatru Korez kiedyś nazwałem „Bestią" – Tysonem regionalnej publicytyki (ucieszyło go to!). Z lekkim niedowierzaniem przeczytałem więc jego głos w powyższym sporze. Przez pół swojego felietonu chwali Tereskę za rzetelność, pracowitość oraz obiektywizm. Dopiero potem jej dokłada., ujmując się np. za Piotrem Greinerem, którego też Semik zaliczyła do RAŚ.

To nie koniec. W wywiadzie z Teresą marszałek województwa Adam Matusiewicz przyznaje, że po raz pierwszy się zdenerwował w swojej kadencji, kiedy zapoznał się z koncepcją (wytycznymi konkursowymi? scenariuszem? – co tekst inne określenie). Według Michała Smolorza „przeczołgał pod dywanem" dyrektora Muzeum Śląskiego Leszka Jodlińskiego. Z drugiej strony – Marszałek mówi, że dyrektorowi wierzy, choć to być może naiwność. Dyrektor w każdym razie przyznał, że śląscy Piastowie też będą w jednej z dwunastu „kapsuł czasu" stanowiących integralną część kontrowersyjnej wystawy.

Drogi Czytelniku! Przepraszam, że tyle już masz informacji i dalej nie wiesz, o co chodzi. I tak próbuję ten wywód jakoś uporządkować. Dlatego nie referuję tu głosu Kazimierza Kutza. Swoją drogą – myślę, że to właśnie Mistrz powinien się domagać wystawy zaczynającej się od Kazimierza Wielkiego, który „ten biedny Śląsk"– używając języka wybitnego reżysera – przep... O serialu na temat tego króla opowiadał mi kiedyś twórca *Soli ziemi czarnej* po zebraniu Śląskiego Towarzystwa Filmowego. Szkoda, że państwo tego nie sfinansowało, bo mielibyśmy dzieło na miarę Klaudiusza.

Byłoby nieprawiedliwością nie wspomnieć, że cała ta batalia zaczęła się od wypowiedzi wicewojewody Piotra Spyry, którego wyprowadziły z równowagi wytyczne (albo sceriusz lub konkurs na ekspozycję). Dlatego też później Tereslkę ktoś tam nazwał „tubą" wicewojewody. Potem (albo przedtem) okazało się, że jest też (albo przede wszysrkim) „tubą" Piotra Semki z „Rzepy", który tworzy dla Ślązaków nową „volkslistę".

Robi się – jak wołała *Alicja w krainie czarów* – „dziwniej i dziwniej". Teresa pisze, że z Muzeum Śląskiego (za publiczne pieniądze) powinni być dumni także mieszkańcy Częstochowy i Bielska. Kutz uważa, że toczy się kolejna wojna śląsko-zagłębiowska. Władze przychylają się do opinii, że przymiotnik „śląskie" w nazwie muzeum tłumaczy fakt, że nie będzie na historycznej wystawie Częstochowy. Tymczasem dyrektor Leszek Jodliński ujawnia, że scenariusz jest dziełem nie Chojeckiej, Koziny i Kaczmarka, ale jego zespołu. Podaje przy tym nazwiska innych naukowców, których także pytano o zdanie w sprawie projektu. To prof. Barbara Bazielich, prof. Jan Wrabiec, prof. Zygmunt Woźniczka, prof. Jerzy Myszor, dr Maria Popczyk. Nie ma informacji, którzy byli za Piastami albo Goethem w „kapsule". Nie pytano, co ciekawe, tych, którzy zabiegali o to, żeby Muzeum Śląskie powstało.

Z tego wszystkiego rozumiem jedynie trudność jaka wynika z administracyjnego podziału Polski. Po wojnie stworzono województwo śląsko-dąbrowskie, dziś, po wielu zmianach, województwo śląskie nie ma nic wspólnego z tzw. Opolszczyzną, za to jest w nim Częstochowa, Żywiec oraz Zawiercie. Być może właśnie od podzawierciańskiej wioski należałoby rozpocząć „śląską" wystawę, tam bowiem znaleziono zęby neandertalczyka. Dylemat.

Drogi Czytelniku, o ile dotrwałeś do tego miejsca (podziwiam!), będziesz zaskoczony. Okazuje się bowiem, że w całym tym zamieszaniu w ogóle nie chodzi o RAŚ, zawłaszczanie muzeum, proniemiecką wizję historiii i Goethego. Michał Smolorz odkrył mianowicie, że dyrektorowi Muzeum Śląskiegio Jodlińskiemu kończy się kadencja i chodzi o to, żeby go „rozrobić" zanim „w cuglach" wygra konkurs na szefa tej placówk. A więc to jest grane!

Nie do końca. Leszek Jodliński „kapsuły" tłumaczy tym, że na całą stałą wystawę o historii Śląska ma jakieś 1300 metrów kwadratowych. To nie jest rewelacja. Sensacyjne natomiast jest jego stwierdzenie, że w muzealnej przestrzeni w ogóle nie było miejsca na historię. Te kwadratowe metry miała zająć kolekcja malarstwa zachodnioeuropejskiego. Tylko że muzeum jej nie posiada. (Napoleon wybaczył jakiemuś burmistrzowi podbitego miasta brak salutu powitalnego, bo tubylcy nie mieli armat.)

Mijam znów budowę. Pora jakoś ten chaos podsumować. Moim zdaniem Muzeum Śląskie powinno być jak Biblioteka Śląska placówką narodową. Jak muzea narodowe w Warszawie czy Krakowie. Jego zadaniem nie jest dokumentowanie historii, ale pokazywanie sztuki. Jeśli stała wystawa (której nie ma) budzi tak wielkie kontrowersje, może warto kontynuować to, co za Jodlińskiego całkiem dobrze funkcjonuje – ekspozycje czasowe. Na temat Piastów, Goethego, nawet Straussa, który grał przed hotelem Welta w Katowicach.

BOGDAN WIDERA

Organizatorzy:

MDK „Batory" Centrum Afirmacji Życia
przy Stowarzyszeniu Opieki Hospicyjnej i Paliatywnej „Hospicjum" w Chorzowie

oraz partnerzy:

Instytut Historii UŚ w Katowicach, Instytut Pedagogiki UŚ w Katowicach, Katedra Literatury Porównawczej US w Katowicach, Stowarzyszenie Humanistyczne *Europa, Śląsk, Świat Najmniejszy* oraz Stowarzyszenie Przyjaciół Uniwersytetu Śląskiego

zapraszają

na IX spotkanie naukowe z cyklu „Medium Mundi"

Wobec braku, utraty i ubywania

środa, 26 września 2012 r.

PROGRAM

Część I

09.00–09.30 – *Otwarcie sesji* – Jacek Kurek (słowo), Krzysztof Maliszewski (słowo), Bogdan Mizerski (kontrabas).

Eseje:

09.30–09.50 – dr hab. Katarzyna Kwapisz-Osadnik (Instytut Języków Romańskich i Translatoryki UŚ) – **Czy wszystko można wyrazić, czyli o braku słów.**
09.50–10.10 – dr Krzysztof Maliszewski (Instytut Pedagogiki UŚ) – **Wszystkie komety świata. Szkic z topografii utraty i pedagogii żałoby.**
10.10–10.30 – mgr Monika Nowak (Stowarzyszenie na rzecz Dzieci z Chorobami Krwi przy Klinice Hematologii, Onkologii i Transplantologii Dziecięcej w Lublinie) – **„Straty rodzące owoce". Afirmacja życia osób doświadczonych cierpieniem i umieraniem.**
10.30–11.00 – *Przerwa.*
11.00–11.20 – dr Jacek Kurek (Instytut Historii UŚ, CAŻ) – **Piękno z żalu i tęsknoty**
11.20–11.40 – prof. dr hab. Krystyna Wojtynek-Musik (Instytut Języków Romańskich i Translatoryki UŚ) – **Strata, która staje się zyskiem w wierszu Stéphane'a Mallarmégo: *Kantyczka św. Jana.***
11.40–12.00 – prof. UŚ dr hab. Aleksandra Kunce (Instytut Nauk o Kulturze UŚ) – **To, co puste**
12.00–12.10 – *Przerwa.*
12.10–12.30 – dr n. med. Jadwiga Pyszkowska (konsultant wojewódzki w dziedzinie medycyny paliatywnej) – **Ochrona zdrowia w procesie przeżywania żałoby.**
12.30–12.50 – lek. psychiatra Bożena Szymik-Iwanecka (Zakład Opiekuńczo-Leczniczy przy szpitalu w Rybniku) – **Choroba psychiczna – utrata siebie?**
12.50–13.00 – *Przerwa.*
13.00–13.20 – ks. Piotr Gaworski – **Utrata Boga – przekleństwo, konieczność, przywilej, szansa.**
13.20–13.40 – dr Jan Kiełbasa (Instytut Filozofii UJ) – **W stronę umierania, w stronę życia: paradoksy afirmacji i kenozy.**
13.40–14.30 – **Czas na rozmowę z Autorem...**
14.30–14.50 – *Przerwa.*

Część II

14.50–15.30 – Dyskusja panelowa z udziałem **ks. Piotra Gaworskiego, Jana Kiełbasy, Barbary Kopczyńskiej, Bożeny Szymik-Iwaneckiej, Jadwigi Pyszkowskiej.** Prowadzenie: **Łukasz Tura.**
15.30 – **Esej na głos i kontrabas:** Tadeusz Sławek i Bogdan Mizerski.

Prowadzenie sesji – dr Jacek Kurek

Sesja odbędzie się w sali widowiskowej Miejskiego Domu Kultury „Batory" w Chorzowie, ul. Stefana Batorego 6, **wstęp wolny.**

Wydarzenia towarzyszące:

- 25 września (wtorek), godz. 18.00 – wernisaż rzeźby i projektów rzeźbiarskich **Tomasza Wenklara** (wstęp wolny).
- 26 września (środa), godz. 19.00 – koncert Orkiestry Klezmerskiej Teatru Sejneńskiego (projekt „Ejbike Mame"). **Bilety w cenie 30 zł (przedsprzedaż), 40 zł (w dniu koncertu).**

Częściowy dochód z koncertu przeznaczony jest na działalność chorzowskiego hospicjum

– Panie premierze zacznijmy od Węglokoksu. Dojdzie w tym roku do prywatyzacji, czy też zostanie ona przesunięta? Coraz częściej bowiem słyszy się, że szanse na to są marne?

– Węglokoks przygotowuje się, prowadzi wszystkie działania, które zmierzają do tego, żeby mieć poukładane papiery i dobrą pozycję do prywatyzacji. Jeżeli będzie dobra koniunktura, to można spróbować. Trzeba brać pod uwagę, że na rynkach giełdowych są różne klimaty i warto czasami chwilę poczekać, żeby trafić w lepszy moment. Trzeba zwrócić uwagę na to, że spółki węglowe czy handlujące węglem, mają bardziej charakter dywidendowy niż spekulacyjny. Tu nie cena akcji a dywidenda ma swoje znaczenie i jeżeli spojrzymy na Jastrzębską Spółkę Węglową to dywidenda przypadająca na jedną akcję na pół roku inwestycji dała znacznie lepszy przychód niż inwestycje na rynku papierów dłużnych.

– Jeśli już Węglokoks trafi na giełdę, czy pana zdaniem znajdą się chętni na akcje? W ostatnim czasie było kilka prywatyzacji, nie obawia się pan, że po prostu mogłaby nie wzbudzić zainteresowania inwestorów?

– Myślę, że Węglokoks ma dobrą pozycję, ponieważ ustawił się jako taki koncern technologiczny i handlowy, który dostarcza sprzęt, wyposażenie dla górnictwa. Dostarcza też usługi finansujące te zakupy sprzętu, więc w tym zakresie jest to firma z dużymi perspektywami. Jeżeli spojrzymy na inne towarzyszące inicjatywy, to myślę, że można tutaj zbudować bardzo dobrą ofertę dla inwestorów a więc inwestycję, która będzie się cieszyła dużym zainteresowaniem.

– W Jastrzębskiej Spółce Węglowej wciąż brak porozumienia pomiędzy stroną społeczną a zarządem spółki. Najpierw referendum, później strajk ostrzegawczy, teraz trwają kolejne tury negocjacji i nie wiadomo, co wydarzy się w najbliższym czasie. Myśli pan, że to może zaszkodzić giełdowej spółce?

– Mam nadzieję i myślę, że dojdzie do porozumienia. Życzę tego i załodze i zarządowi. Bardzo ważne jest, żeby ten dialog społeczny w zakładzie pracy rozwiązywał wszystkie problemy i napięcia. Potrzebna jest tu otwartość z jednej i drugiej strony i poszukiwanie dobrego rozwiązania. Udawało nam się to wcześniej zrobić, mam nadzieję, że teraz też nie dojdzie do ostrego konfliktu a do porozumienia.

– Wie pan jednak, że związkowcy łatwo nie odpuszczą i może dojść do zatrzymania pracy kopalń lub innych form protestu.

– Niech mi pani nie odbiera wiary, że ludzie mogą się porozumieć. Mam nadzieję, że jest to możliwe i że nie mamy tak napiętej sytuacji, żeby nie można było się dogadać. Zresztą pamiętam też dyskusję z drugiej strony, że zbyt dużo przeznaczono z zysku na premie dla pracowników, jednak w moim przekonaniu to jest bardzo ważne, żeby w sytuacji, kiedy firma ma dobry zysk, pracownicy w nim partycypowali. Trzeba jednak zmieniać te mechanizmy w takim kierunku, aby ta par-

tycypacja była wtedy, kiedy jest zysk, natomiast kiedy nie ma, aby utrzymane były wynagrodzenia i stąd premie powinny mieć charakter zależny od wyników i koniunktury, a płace podstawowe powinny gwarantować utrzymanie ich relacji w odniesieniu choćby do inflacji, jednak nie bardziej.

– Panie premierze, zastanawiał się pan nad zmianą na stanowisku prezesa Jastrzębskiej Spółki Węglowej? Nie od dziś wiadomo, że związkowcy po prostu nie tolerują prezesa Jarosława Zagórowskiego i często te konflikty są tak silne właśnie z tego powodu.

– W spółkach giełdowych jest normalna pragmatyka zgodna z kodeksem handlowym. Walne zgromadzenie już się odbyło, zarząd uzyskał absolutorium, a więc nie ma powodu do kwestionowania zarządu czy prezesa z punktu widzenia zarządzania spółką od strony właścicielskiej i kapitałowej. Trzeba brać pod uwagę, że jest to spółka giełdowa, a więc decyzje muszą być tutaj absolutnie zgodne z ładem korporacyjnym. Jeszcze raz powtarzam, że bardzo wierzę w to, że zarówno związki zawodowe jak i zarząd potrafią się porozumieć z korzyścią dla obu stron.

– Na Śląsku już od dłuższego czasu mówi się o tym, że wojewoda Zygmunt Łukaszczyk byłby bardzo dobrym kandydatem na prezesa Jastrzębskiej Spółki Węglowej i to też mogłoby załagodzić tamte konflikty.

– Nie ma powodu do prowadzenia jakichkolwiek rozważań w tej sprawie. Zarząd i prezes Zagórowski otrzymali absolutorium, jest ład korporacyjny i nie ma powodu do jakichkolwiek wątpliwości co do tego, jaki jest porządek w szyku.

– Panie premierze, podtrzymał pan veto w sprawie pakietu klimatycznego, a dokładniej zwiększania redukcji emisji CO_2. Co w związku z tym będzie się działo dalej?

– Warto podkreślić, że na radzie do spraw energii przyjęta została dyrektywa o efektywności energetycznej – to jest wielki sukces prezydencji duńskiej, ale także prezydencji polskiej, ponieważ myśmy w czasie naszej prezydencji dokładnie przygotowali tę dyrektywę. To oznacza, że skupiamy się na efektywności energetycznej, natomiast w konkluzjach rady prezydencja duńska próbowała wprowadzić elementy nawiązań do polityki klimatycznej i ponowiliśmy nasze stanowisko. Powiedziałem wyraźnie, że wszelkie nowe cele dotyczące polityki klimatycznej możemy przyjąć tylko wtedy, kiedy będzie globalne porozumienie. Ponieważ nie było zgody ze strony części państw członkowskich, szczególnie Wielkiej Brytanii, nie wyraziliśmy zgody na przyjęcie konkluzji i zostały tylko stanowiska prezydencji duńskiej i 26 krajów, natomiast formalnych konkluzji rada do spraw energii nie przyjęła po polskim vecie. Europie i Polsce potrzebna jest tania energia a nie droga, potrzebne jest wsparcie dla konkurencyjności i tworzenie miejsc pracy w Europie a nie wyrzucanie firm energochłonnych poza Europę poprzez sztuczne zawyżanie ceny wynikające z polityki klimatycznej.

Z wicepremierem
WALDEMAREM PAWLAKIEM
rozmawia
MONIKA KRASIŃSKA



Fot. bip.mg.gov.pl

Europie i Polsce potrzebna jest tania energia

– Nie jest jednak tak, że Polska mówi „nie" i nic nie zamierza zrobić. Mamy własny pomysł na energetyczną mapę drogową 2050.

– Mówimy bardzo wyraźnie o tym, że dzisiaj Europa powinna się skupić na efektywności energetycznej, bo to daje zyski, daje to zmniejszenie zużycia energii, a tym samym mniejszą zależność od dostawców zewnętrznych i większe profity dla gospodarstw domowych oraz przedsiębiorców. Tak więc z polskiej strony bardzo aktywnie i bardzo ofensywnie działamy na polu efektywności energetycznej, natomiast jeżeli rozmawiamy o polityce klimatycznej, to uważamy, że można tutaj mówić o nowych celach, ale pod warunkiem uzyskania globalnego porozumienia. Zwróćmy też uwagę na ceny energii. W ostatnich kilku latach poszły one bardzo w górę i dzisiaj jest potrzebna tania energia. Jeżeli spojrzymy na ceny energii wytwarzanej z węgla – ona też zdrożała, ale jest cały czas tańsza niż energia z gazu, czy ze źródeł odnawialnych. Dla Europy bardzo ważne są też te stabilne źródła energii, ponieważ na samej energii odnawialnej daleko się nie zajedzie. Potrzebne są też elementy podtrzymujące naszą węglową bazę produkcji energii i dlatego ważne jest, żebyśmy w naszej strategii zwiększali wydajność tradycyjnych bloków energetycznych, bo wystarczy zmodernizować nasze instalacje. Jeżeli przejdziemy ze sprawności 30 procent wytwarzania energii elektrycznej do 50 procent, jakie uzyskuje się obecnie na poziomie najnowocześniejszych technologii węglowych, to oznacza, że emisje CO_2 zmniejszają się tak jak trzy do dwóch, czyli o 30 procent w stosunku do emisji pierwotnej. Tu więc widać ogromne rezerwy. Dlatego właśnie mówimy bardziej o dążeniu do gospodarki nisko emisyjnej, a nie nisko węglowej, tak żeby nie zabijać węgla a zwiększać jego wykorzystanie.

– Zgazowanie węgla, odmetanowanie kopalń przed wejściem w pokłady – to technologie nad którymi cały czas pracują różne firmy, w tym Katowicki Holding Węglowy. Czy ministerstwo zastanawiało się nad tym, by jakoś te prace wesprzeć?

– Planujemy, żeby metan odzyskiwany ze złóż tą drogą wcześniejszego wydobycia miał możliwość uzyskania odpowiednich certyfikatów, to by poprawiało opłacalność wydobycia metanu. Jeśli chodzi o zgazowanie węgla, przyznam szczerze, że po kilku latach obserwacji tych heroicznych wysiłków dotyczących zgazowania, raczej nie widzę tutaj wielkich i obiecujących sukcesów. To by wymagało jakiejś bardziej przełomowej technologii i w tym kontekście wydaje mi się, że na przykład ogniwa paliwowe na węgiel mogą być dużo bardziej obiecującym kierunkiem niż zgazowanie. Przy zgazowaniu trzeba dołożyć pewną część energii na to, żeby zamienić węgiel w gaz, co oczywiście jest dodatkowym kosztem. Natomiast w przypadku ogniw paliwowych mamy znacznie większą sprawność przetwarzania energii chemicznej na elektryczną. Spowodowane jest to faktem, że nie idzie to przez procesy cieplne tylko przez procesy chemiczne i przy takim rozwiązaniu może być bardzo interesujące, szczególnie w takiej postaci energetyki rozproszonej, gdzie wykorzystuje się nie tylko energię elektryczną, ale i efekt uboczny, czyli ciepło, które służy na przykład do ogrzewania wody czy mieszkań.

– Wiemy już, że Węglokoks zadebiutuje jako pierwszy a kiedy na giełdę wejdzie Kompania Węglowa i Katowicki Holding Węglowy?

– Dokładnie w takiej kolejności w jakiej pani wymieniła, czyli Węglokoks, Kompania Węglowa i na końcu Katowicki Holding Węglowy. W przypadku Kompanii Węglowej potrzeba kilku lat. Myślę, że w przyszłym roku już można mówić o takiej pierwszej przymiarce na poukładanie wszystkich spraw. Bardzo się cieszę, że pani prezes Joanna Strzelec-Łobodzińska sprawnie i skutecznie zreorganizowała struktury Kompanii Węglowej, ponieważ przez kilka lat nie mogliśmy sobie poradzić z rozplątaniem tego „węzła gordyjskiego" z centrami wydobywczymi a ostatnio to się udało. Katowicki Holding Węglowy wymaga natomiast głębszej restrukturyzacji. Ważne jest, że teraz poszły do realizacji projekty dotyczące obligacji i myślę, że to poprawi płynność w KHW i sprawi, że ta firma wyjdzie na prostą. ■

Rozmowa z prof. zw. dr. hab. JACKIEM WODZEM, kierownikiem Zakładu Socjologii Polityki w Uniwersytecie Śląskim i dyrektorem Międzynarodowej Szkoły Nauk Politycznych, na temat obchodów 90-lecia przyłączenia części Górnego Śląska do Polski



Fot. Agnieszka Sikora

Polskość na Śląsku – śląskość w Polsce

– Jeszcze przed rozpoczęciem oficjalnych uroczystości, pojawił się problem związany z określeniem, czy część Górnego Śląska w 1922 roku została przyłączona do odradzającego się państwa polskiego, czy może powróciła do Macierzy? Ostatecznie w uchwale Sejmiku Województwa Śląskiego użyto słowa „zjednoczenie". To takie ważne, jakiego w tym wypadku użyjemy terminu?

– Trzeba sobie uświadomić, że poszczególne grupy społeczne bądź ugrupowania polityczne przywiązują szczególne znaczenie – symboliczne – do pewnych sformułowań. Po wojnie, na terenach dzisiejszych ziem śląskich, toczył się pewien dyskurs, w którym mówiło się o powrocie do Macierzy i niektóre osoby, które go kontynuują, chciałyby użycia takiego sformułowania. Ale znaczna część ludzi jednak uważa, że to było po prostu przyłączenie i nic więcej. Gdyby chodziło tylko i wyłącznie o słowa, to problem nie byłby aż tak istotny. Trzeba jednak pamiętać, że użycie któregoś z tych sformułowań w deklaracji władzy, a władza samorządowa podejmuje taką deklarację, jest opowiedzeniem się za konkretną opcją. W związku z tym myślę, że to co Sejmik wybrał, jest wyjściem rozsądnym, neutralnym, które pozwala na to, żeby nie opowiadać się wyłącznie za jedną opcją. Ale tak naprawdę, to nie jest, wbrew pozorom, problem historyków. To jest problem aktualnego życia politycznego i aktualnie nadawanych sensów określonym sformułowaniom.

– Czyli to nie dlatego, że – jak się czasami mawia – Polacy lubią spierać się o słowa?

– Nie. Sądzę, że Polacy przede wszystkim nie mieli nigdy tradycji debaty politycznej, która by pozwoliła na utrwalanie się pewnych racjonalnych poglądów na temat naszej przeszłości. Nam narzucano pewne wizje. Mnie uczono historii tuż po wojnie i uczyłem się od wielkich autorytetów, np. od profesora Labudy, że Ziemie Zachodnie były zawsze polskie i one po prostu wróciły do Macierzy. Nigdy jednak w Polsce poważnie na ten temat nie dyskutowaliśmy, a jeśli już dochodziło do jakiejś wymiany poglądów, to ci, którzy mówili inaczej, byli uważani za rewizjonistów i nie należało z nimi rozmawiać. Dziś należałoby, zamiast się obrażać, stworzyć płaszczyznę do dyskusji. Myślę jednak, że czeka nas jeszcze co najmniej dwadzieścia lat takich przepychanek, kiedy zaczniemy pomaleńku dyskutować o polskiej tożsamości. Polska tożsamość współczesna jest ciągle mozaikowa. Górnośląska również. Dziś obserwujemy proces wytwarzania się pewnego obrazu społecznego, w którym poszczególne grupy próbują wygrywać swoje racje, co jest zupełnie naturalne. To jest dowód zdrowia społecznego.

– A możemy w ogóle mówić o tożsamości górnośląskiej?

– Możemy. Bo tożsamości wytwarzają się nie zawsze dlatego, że istnieją realne przesłanki, ale dlatego, że istnieje potrzeba konsolidacji ludzi wokół pewnych haseł mobilizacyjnych. Pan doktor Jerzy Gorzelik, z którym wielokrotnie na ten temat rozmawiałem, nigdy oczywiście ze mną się nie zgodzi i nie może się zgodzić, ja go rozumiem, ale dla mnie hasło autonomii Śląska jest hasłem mobilizacyjnym. To nie jest punkt dojścia – ten punkt będzie wciąż uciekał jak horyzont.

– Wielu Polaków nie orientuje się, na czym polega różnica między autonomią a niepodległością. Często poza Śląskiem słyszy się, że Ślązacy chcą się oderwać od Polski, a przecież 90 lat temu Górny Śląsk został włączony do państwa polskiego na zasadach autonomii. Dlaczego Warszawa tak bardzo broni się przed autonomią Śląska?

– Tożsamość narodowa polska jest tożsamością, która w nowoczesny sposób została zdefiniowana dopiero w momencie, kiedy powstały realne możliwości powstania państwa polskiego, czyli w dyskursie końca XIX i początkach XX wieku, a potem tuż po roku 1918. Została stworzona według pewnych, dominujących wówczas idei. Te dominujące idee płynęły z dawnego zaboru rosyjskiego, bo trzeba pamiętać, że II Rzeczpospolita w sześćdziesięciu kilku procentach składała się z ziem dawnego zaboru rosyjskiego. One dominowały nad sposobem myślenia elit tamtego czasu. Ani elity galicyjskie, ani wielkopolskie, ani śląskie nie miały szans uzyskania pozycji dominującej. W związku z tym, tę tożsamość stworzono wokół pewnego obrazu polskości, jaki przyniosła ze sobą elita dawnego zaboru rosyjskiego. Oni nie znali Śląska, w małym stopniu znali Wielkopolskę, trochę znali Galicję, o której mieli fatalne zdanie i mało ją rozumieli. Pojawiła się więc myśl, według której polskość miała być skupiona wokół tego jądra, które jest zdefiniowane na tamtych ziemiach – z romantycznej i postromantycznej tradycji. Okazało się, że w realnych granicach Rzeczypospolitej, które po pierwszej wojnie światowej ciągle się jeszcze zmieniały, nie było wielkiego problemu z Galicją, Wielkopolski nie bardzo rozumiano, ale ona była na tyle dobrze urządzona, że sobie sama dawała radę, natomiast na Śląsku teren był sporny, bo przecież granica została ustanowiona później. Obszar ten był bardzo ważny – przemysłowy, istotnie ważył na gospodarce całego kraju. I wreszcie, był to teren, w którym rozwiązania ustrojowe były rozwiązaniami wynikającymi, między innymi, z myśli niemieckiej (bo tego też nie można absolutnie odrzucić),

które podnosiły odmienność tego regionu. I stąd autonomia podkreślała tę odmienność, była wynikiem myślenia politycznego, które miało rozwiązać problem inności tego regionu. Zastosowano założenia autonomiczne w stosunku do bardzo małego województwa (bo przecież obszarowo to nie było takie województwo śląskie jak dzisiaj). Było to województwo graniczne, o wielu elementach spornych politycznie i kulturowo, wielonarodowe. Próba przeniesienia na dzisiejszą rzeczywistość tamtego pomysłu jest tylko i wyłącznie próbą mobilizacji środowisk górnośląskich – słuszną i udaną, dlatego że wokół tego udało się stworzyć ruch. Ja uważam, że to jest sukces dr. Gorzelika, że umiał tę myśl sformułować. Natomiast dzisiaj zastosowanie w obecnych polskich warunkach koncepcji autonomii terytorialnej jest niemożliwe. Z prostej przyczyny – autonomia terytorialna, to rozwiązanie zakładające, że ludność, która na tym terenie pozostaje w większości, posiada cechy odmienne. Otóż tutaj nie ma żadnej większości i nie ma co się spierać, czy to jest 400 tys. czy 800 tys. ludzi – to zawsze jest mniejszość, w dodatku mniejszość rozproszona, która w każdej procedurze demokratycznej zostanie zdominowana przez większość nieśląską.

– A jak pan profesor skomentuje słowa prezydenta Bronisława Komorowskiego, który powiedział, że obecnie autonomia śląska to anachronizm?

– To nie jest anachronizm. To jest jeden z elementów projektu politycznego, prowadzących nas do myślenia, które powinno odbywać się po dwóch stronach. Po pierwsze, po stronie elit warszawskich, które mają wielki kłopot w rozumieniu odmienności Śląska. Więc gdybym miał wskazać, kto się powinien zająć w tej chwili pracą polityczną, to przede wszystkim elity warszawskie, żeby zadały sobie trud zrozumienia tego regionu. I po drugie – po stronie śląskiej musi nastąpić refleksja, która spowoduje wybranie takich rozwiązań, które będą do zaakceptowania przez większość. Bo jeśli powiem, że ja – Jacek Wódz – uważam się za Eskimosa i gdyby był spis powszechny podałbym, że jestem Eskimosem, to z tego wcale nie wynika, że ja faktycznie jestem Eskimosem. To tylko deklaracja samopoczucia…

– Ale też ważna…

– Ważna, ale zmienna. Rzecz polega na tym, że ludzie – zbiorowości – zmieniają tożsamości. To jest proces. Jest kilka rozwiązań, nad którymi warto pracować. Jest rozwiązanie, które mogłoby doprowadzić do tego, aby ludność, która sama deklaruje się jako ludność śląska, znalazła się w większości – polegałoby to na stworzeniu bardzo małego województwa. Ale to jest praktycznie niewykonalne. Jest rozwiązanie, które przyjęli Belgowie, czyli autonomia osób. Odnosi się ona do sfery wewnętrznego życia człowieka, jego kultury i języka. Dlatego w Belgii istnieje możliwość wyraźnego zadeklarowania się, nie ze względu na terytorium, ale ze względu na własną kulturę i język. Przykładem jest zbiorowość kulturowa niemiecka, którą my nazywamy mniejszością – oni nie używają takiego terminu. Występuje częściowo po stronie flamandzkiej, częściowo walońskiej i to nie burzy podziału – nie ma regionu niemieckiego. To jest wyjście, które byłoby tutaj rozwiązaniem, ale do tego potrzebne jest uznanie odmienności kulturowej. O ile nikt nie ma wątpliwości, że Niemcy są uznaną grupą kulturową o wyraźnej odmienności, o tyle obecnie na Śląsku nie jest tak prosto i dlatego widzę sens walki o język śląski. Bo gdyby język śląski został uznany za regionalny, to wokół tego można by tworzyć pewne projekty autonomii…

– …ale podczas czerwcowych obchodów 90-lecia przyłączenia części Górnego Śląska do Polski, prezydent Komorowski skrytykował dążenia części regionalnych środowisk do ustawowego nadania śląskiej mowie statusu języka regionalnego.

– To jest kwestia dzisiejszego poglądu pana prezydenta. Być może nie wytłumaczono mu, o co chodzi. Ja uważam, że prezydent nie powinien wypowiadać się na temat tego, co obecnie jest przedmiotem debaty, co nie jest do końca zdefiniowane. Pozwólmy ludziom pracować. Jest też trzecie rozwiązanie, brytyjskie, to jest rozwiązanie decentralizacji o zmiennej geometrii, czyli przydzielaniu pewnym częściom składowym – regionom/województwom – dodatkowych uprawnień ze względu na ich odmienność. Walijczycy mają prawo do języka i to nie kruszy konstrukcji Wielkiej Brytanii. Być może zastosowanie tego na naszym gruncie byłoby możliwe. Polska ma tradycje państwa bardzo scentralizowanego. Dlatego warto popatrzeć na rozwiązania francuskie, związane ze statusem Korsyki. Ponieważ język korsykański jest odmienny, trybunał konstytucyjny nie zgodził się na uznanie narodu korsykańskiego, stwierdzając, że narodowość we Francji jest narodowością polityczną i każdy obywatel Francji jest narodowości francuskiej. Ale uznano język korsykański. To jest rozwiązanie, które jest też częściowo przyjęte w Szwajcarii w stosunku do języka retoromańskiego. Jest wreszcie idea, która też jest możliwa – czyli uzyskanie pewnych uprawnień kulturowych poprzez stworzenie funduszu wspierania kultury regionalnej. Ale wszystkie te pomysły wymagają, po pierwsze, rozsądnej pracy intelektualnej, po drugie – chęci i zaangażowania po stronie elit warszawskich. Uważam, że problem Śląska leży w Warszawie, a nie na Śląsku. W Warszawie nie są w stanie rozumieć odmienności i wydaje im się, że każda odmienność prowadzi do oderwania. W dodatku, istnieje tam pewnego rodzaju fobia antyniemiecka, co w sumie można zrozumieć, gdyż wynika w dużym stopniu z przeżyć wojennych. Trudno z jednej strony gloryfikować Powstanie Warszawskie, a z drugiej kochać Niemców.

– W czerwcu 1922 roku, gdy Wojsko Polskie wkraczało do Katowic było witane przez tłumy mieszkańców, stawiano bramy powitalne, rzucano kwiaty… Dziś, po 90 latach, podczas uroczystości jubileuszowych, nie widać już wśród katowiczan takiego entuzjazmu.

– W całym tym regionie wymiana ludności na skutek zawieruchy wojennej i powojennej była tak duża, że dzisiejsi mieszkańcy Katowic, to nie są ci sami ludzie, co w 1922 roku. Oczywiście, przeżywają tę rocznicę, ale na swój sposób, w związku ze swoim własnym sposobem myślenia, a nie ze względu na to, że tkwią w jakiejś tradycji tamtych czasów. Proszę pamiętać, że upływ czasu powoduje, że niektóre fakty się zapomina, a inne nabierają znaczenia symbolicznego. Inna rzecz, że obecna wiedza historyczna jest marna…

– No właśnie, są pewne nazwiska arcyważne dla polskiego Górnego Śląska. O ile o Wojciechu Korfantym przeciętny mieszkaniec regionu potrafi coś powiedzieć, to takie nazwiska jak Józef Rymer czy Konstanty Wolny są nieznane.

– To są nazwiska bardzo wybitnych polityków regionalnych, górnośląskich, ale o których nie uczy historia. Nie dość tego, należą do tej części opowieści o latach międzywojennych, które nie zawsze są dobrze widziane w dzisiejszej historii. Dlatego, że obecnie historia skupia się na centralnych problemach. I tu znowu powracamy do problemu elit warszawskich, które muszą zrozumieć, że to jest wiedza także ważna dla całej Polski. Edukacja regionalna powinna być traktowana poważniej. Z drugiej strony – uczenie o strukturach administracyjnych, o polityce nie jest proste, bo dzieci nie rozumieją pewnych pojęć, wolą akty heroiczne, a poza tym tego się łatwiej uczy. Mieliśmy na Śląsku uroczystość regionalną, nie przez wszystkich docenioną i nie miała ona charakteru rangi ogólnopolskiej. To zostało stracone. Uważam, że taka rocznica powinna być obchodzona jako święto całej Polski, aby była okazją do zastanowienia się nad Śląskiem. Ja bym częściowo obciążył winą również władze samorządowe województwa. Bo można było zadbać o to, aby ta rocznica odbiła się większym echem. Mamy przecież grupę parlamentarną, ze Śląska pochodzi znaczna liczba posłów i senatorów. Dlaczego oni nie wymusili na Sejmie jakiejś debaty na ten temat?

– Za 10 lat będzie kolejna rocznica – okrągła – setna…

– Dla mnie problem tkwi w tym, w jaki sposób ludzie sztuki i, niestety, media lokalne zostały stłamszone. Wpływ mediów lokalnych, śląskich na to, co się nadaje z Warszawy jest znikomy. To bardzo niedobrze, dlatego że jednak centralizacja kształtowania świadomości przebiega obecnie poprzez media, które nadają z Warszawy. A zatem obraz Śląska wytwarza się w Warszawie i następnie tu wraca. Nie jest wywoływany poprzez dialog czy poprzez wymianę myśli. Poza tym my w ogóle jesteśmy w dyskursie publicznym bardzo mało przyzwyczajeni do rozwiązań pragmatycznych. W polskiej myśli politycznej pragmatyzm był uważany za rzecz niegodną. Byliśmy romantyczni, chcieliśmy umrzeć za ojczyznę, a nie zrobić coś dla ojczyzny. W związku z tym hasło, żebyśmy może spróbowali popatrzyć, że myślimy inaczej, usiedli i próbowali dyskutować, było niepopularne. Ja jednak jestem optymistą. Może z czasem zaczniemy się rozumieć, co nie znaczy, że musimy zgodzić się ze sobą, możemy zostać przy swoich odmiennych poglądach. Ale będziemy wiedzieć, dlaczego ktoś tak myśli i co nim kieruje. Wydaje mi się, że pomaleńku wyrasta grunt do tego, aby na nim ludzie mądrzy zaczęli apelować o rozumienie.

– Czy w takim razie 90. rocznica jest ważna dla Polski?

– Uważam, że jest dużo ważniejsza niż to, co można by wnioskować po sposobie tych obchodów. I rozwiązanie problemu miejsca Śląska w świadomości narodowej Polaków jest jednym z kluczowych zadań polskiej polityki, bo za tym pójdzie również uznanie dla innych grup regionalnych. Wówczas staniemy się nowoczesnym społeczeństwem, które zacznie doceniać tę energię, którą można wyzwolić w regionach.

Rozmawiała
AGNIESZKA SIKORA

Mówimy o niej wyłącznie z szacunkiem, jej atrybuty im są starsze – tym bardziej czynią ją godną szacunku; obywatele, samorządy, państwo gotowi są wydawać coraz większe kwoty dla realizacji jej potrzeb, brak jej znajomości w wielu kręgach uchodzi za poważną wadę, zamknięty dostęp do środowiska jej adoratorów może być przyczyną frustracji i wielu życiowych niepowodzeń.

Ponętna dama zwana kulturą

TADEUSZ SIERNY

Ta ponętna dama zwana kulturą ma jednak dwa różne oblicza. Dla jednych jest niemal codziennym źródłem wzruszeń, uniesień i ekspresji artystycznych, dla drugich niedostępną i odpychającą krainą nieznanych dóbr i wartości.

Rozwój i znaki zapytania

Główny Urząd Statystyczny pod koniec 2011 roku opublikował swój coroczny raport zatytułowany ***„Kultura w 2010”***. Z opublikowanych danych statystycznych wynika, że większość dziedzin kultury instytucjonalnej, tej erygowanej i tworzonej w ramach instytucji kultury ilościowo się rozwija, a tendencja ta nie jest jakąś wyjątkową incydentalną sytuacją. Co prawda, tę pozytywną wizję mąci nieco informacja, iż udział wydatków na kulturę i ochronę dziedzictwa narodowego 2010 w ogólnej kwocie wydatków naszego państwa stanowi zaledwie 0,49%, ale możemy się przecież pocieszać tym, że od 2005 roku wydatki te zwiększyły się o blisko 60 % (dokładnie o 58,8%), a działo się tak dzięki wysiłkowi finansowemu gmin i miast-na prawach powiatów. To one wydają ponad połowę kwot przeznaczonych na ten cel w Polsce (66,5%), w przeliczeniu na jednego mieszkańca jest to suma 183,47 PLN. Warto w tym miejscu dodać, że województwo śląskie przeznacza z budżetów jednostek samorządu terytorialnego na kulturę i ochronę dziedzictwa narodowego ponad 10% ich wartości (lepiej jest tylko w województwie mazowieckim 17,2%).

W 2010 roku statystyczne gospodarstwa domowe, średnio wydały na kulturę 406,56 PLN, ci najbardziej zasobni, a więc gospodarstwa osób zatrudnionych na stanowiskach nierobotniczych wydały przeciętnie 626,16 PLN na osobę w ciągu roku (kupując głównie książki i inne wydawnictwa, ponosząc opłaty za wstęp do teatrów, instytucji muzycznych, kin, oraz płacąc za nośniki dźwięku i obrazu), najmniej były w stanie wydać gospodarstwa rolników, które przeciętnie wyasygnowały na ten cel 182,16 PLN na osobę w ciągu roku (a więc, niewiele mniej niż nasze samorządy; ponosząc głównie koszty opłat za telewizję kablową, zakup telewizorów, sprzętu do rejestracji i odtwarzania dźwięku oraz obrazu). Ta trzy i półkrotna różnica w poziomie wydatków pomiędzy najbardziej zasobnymi rodzinami i tymi znacznie mniej zamożnymi dokumentuje wyraziście dystans, jaki tworzą różnice ekonomiczne w dostępie do kultury.

Największy w ostatnich latach przeciętny wzrost wydatków w gospodarstwach domowych nastąpił właśnie w segmencie opłat za telewizję kablową, zakup telewizorów, opłat za wstęp do teatrów, instytucji muzycznych i kin. Wyraźnie zmniejszył się udział wydatków na gazety i czasopisma oraz z tytułu opłat za abonament telewizyjny i radiowy. Nie zwiększył się zasadniczo udział kwot przeznaczonych na zakup książek i broszur.

Statystyka jako gra sprzecznych liczb

W 2010 roku wzrosła liczba wydawanych tytułów książek i broszur, spadły nakłady gazet i czasopism. W okresie od 2005 do 2010 r. systematycznie wzrastała liczba tytułów gazet i czasopism z jednoczesnym głębokim wahnięciem globalnego nakładu periodyków, który w 2010 był niższy o 22,3% od tego odnotowanego w roku 2005. W województwie śląskim w 2010 roku realizowano edycję 639 tytułów prasowych (8,3% produkcji krajowej) w łącznym nakładzie 110 054,1 tys. egzemplarzy.

Województwo śląskie jest chlubnym wyjątkiem w groźnym dla kultury procesie likwidacji bibliotek. Jest ich w naszym województwie ponad 800 (blisko10% ogólnej liczby bibliotek w Polsce). Szczycimy się też najwyższym po Małopolsce (203) wskaźnikiem ilości czytelników na 1000 mieszkańców: 190 (średnia krajowa: 170) i znacznie wyższą niż średnia krajowa ilością książek w bibliotekach mierzoną ilością woluminów przypadającą na 1000 mieszkańców, który to współczynnik wynosi w naszym województwie 3610 książek, (w porównaniu z średnią krajową: 3488 na 1000 mieszkańców).

W okresie ostatnich 5 lat liczba bibliotek zmniejszyła się w całej Polsce o 5,5% i jest ich obecnie 8 342 z ponad 6,5 milionową rzeszą czytelników (w 2005 r.: 8 591).

Niestety spada czytelnictwo książek, tendencję tę wywołuje przede wszystkich odejście najmłodszych czytelników od bibliotek, udział uczniów w ogólnej liczbie zarejestrowanych czytelników spadł o ponad 24%. Te dane są tym bardziej niepokojące, że w ogólnej ilości czytelników naszych bibliotek, najliczniejszą grupę w dalszym ciągu stanowią.... uczniowie (41,3% czytelników), lecz najrzadziej wstępują do bibliotek – rolnicy (1% czytelników).

Systematycznie wzrasta także ilość obiektów wpisanych do rejestru zabytków, wzrasta liczba muzeów i muzealiów, te instytucje odwiedziło w 2010 roku ponad 22,2 mln osób, czyli o 7,7% więcej niż w roku poprzednim, warto jednak zaznaczyć, ze blisko 38% odwiedzających muzea gościło w nich bezpłatnie. W naszym województwie znajduje się 55 takich placówek.

O blisko 12% mniej osób zdecydowało się pójść do tzw. instytucji paramuzealnych, czyli: ogrodów zoologicznych lub botanicznych, parków kulturowych, rezerwatów przyrody, itp. O blisko 7% przybyło nam w Polsce w 2010 roku – galerii i salonów sztuki (jest ich obecnie w sumie 370).

W województwie śląskim w 2010 roku funkcjonowało 20 spośród 183 teatrów i instytucji muzycznych całej Polsce. Po województwie mazowieckim jesteśmy drugim – przed województwem małopolskim (17) – ośrodkiem teatralnym. Odnotowaliśmy przyrost ilości miejsc na widowni, ale niestety zmniejszyła się ilość widzów na przedstawieniach i koncertach (pomimo że relatywnie wydajemy więcej środków na zakup biletów do teatrów i na koncerty).

Zmniejszyła się też w stosunku do 2009 roku liczba kin oraz liczba widzów (tych ostatnich o 3,5%). Województwo śląskie z jego 56 kinami może skutecznie konkurować z województwem mazowieckim (56 kin) i małopolskim (46) oraz dolnośląskim (43).

Wzrastała ilość domów i ośrodków kultury, klubów, świetlic głównie działających na wsi (jest ich tam 59,0%). Największe wzrosty uczestników imprez odnotowały te spośród w/w instytucji, które organizowały kursy tańca (+ 37,8%) oraz tworzą zespoły taneczne (+11,5%), zmalała natomiast liczba zespołów instrumentalno muzycznych, chociaż wzrasta liczba ich członków, rośnie także ilość zespołów wokalnych i chórów, ale liczebność tej grupy osób zmniejszyła się o ponad 5%.

Warto także zwrócić uwagę na fakt, że w roku akademickim 2010/2011: 4% ogółu studiujących w Polsce studentów – to byli studenci studiów kulturalnych i artystycznych (ogółem 72,9 tys.), wśród których najbardziej liczną grupę stanowili ci, którzy studiowali architekturę wnętrz i grafikę.

Instytucje kultury w Polsce z reguły są publiczne, 100% bibliotek jest ulokowanych w sektorze publicznym, 85% muzeów, 67,9% kin, a nawet 55,1% galerii salonów sztuki – są publicznymi: państwowymi lub samorządowymi instytucjami kultury.

Stąd tak wielka odpowiedzialność aparatu administracji państwowej i samorządowej za efektywne wypełnianie funkcji społecznych i kulturalnych przez te instytucje; one bowiem w istotny sposób wpływać mogą i efektywnie tworzą warunki dla pomnażania wartości ulokowanych w tak zwanym kapitale kulturowym, niezbędnym we współczesnym świecie dla zorganizowania sprawnie funkcjonującego państwa i wszelkich struktur społeczeństwa obywatelskiego.

Nie sposób zrelacjonować dokładnie wszystkich danych zawartych w liczącym blisko 320 stron opracowaniu GUS, wybrane i zaprezentowane wyżej liczby są oczywiście subiektywną i selektywną prezentacją zaledwie niewielkiej cząstki zawartych w nim informacji.

My a inni: procesy i tendencje

Jednak ten optymistyczny obraz funkcjonowania całego systemu instytucji kultury w Polsce czyni dyskusyjnym kolejna, najnowsza – z czerwca 2012 roku – publikacja Głównego Urzędu Statystycznego zatytułowana ***„Uczestnictwo ludności w kulturze w 2009 roku”***.

Raport opracowany został na podstawie przeprowadzonych w IV kwartale 2009 r. badań na liczącej 4551 gospodarstw domowych reprezentatywnej próbce statystycznej. Owa trzyletnia już dziś odległość czasowa nie ma jednak większego znaczenia dla wywiedzionych z tych badań konkluzji i opisanych tendencji dotyczących uczestnictwa w kulturze. Zaprezentowane tam dane dotyczą czytelnictwa książek i prasy, słuchania radia i muzyki, oglądania telewizji i filmów, korzystania z Internetu, uczęszczania do instytucji widowiskowych i rozrywkowych i in.

Charakterystyczną cechą odnotowaną w badaniach jest m.in. fakt, iż blisko połowa ankietowanych w Polsce kojarzyła słowo kultura z następującymi kategoriami: *„styl życia i maniery”*: 44% (podobnie jak na Cyprze); *„sztuka„* (muzyka, teatr, kino itp.): 35% (podobnie jak w zdecydowanej większości krajów UE); *„wychowanie i rodzina”* oraz *„literatura”* po 18% (podobnie jak w Hiszpanii i Włoszech), a zaledwie 4% badanych kojarzyło tę kategorię z pojęciami *„wartości i wierzenia”* oraz *„cywilizacja”* (ale, w Grecji aż 38% badanych tak kojarzy treść pojęcia kultura).

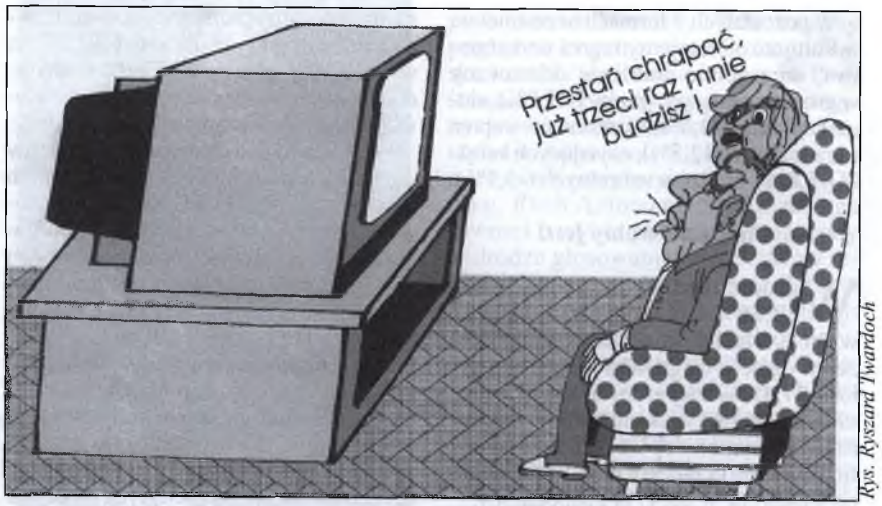

Rys. Ryszard Twardoch

Już to zestawienie pokazuje jak rozległy jest obszar skojarzeń z słowem kultura, nie od rzeczy więc będzie wyraźnie podkreślić, że relacjonowane niżej badania dotyczyły uczestnictwa w kulturze instytucjonalnej, tej tworzonej przez instytucje kultury funkcjonujące w naszym systemie organizacji i upowszechniania kultury.

Autorzy raportu zamieścili także zestawienie danych o uczestnictwie w kulturze w wybranych krajach europejskich w **2007 roku**, przeprowadzonych w 27 krajach Unii Europejskiej, z którego to zestawienia przywołamy tutaj dane z najlepiej prezentującego się kraju europejskiego, czyli Szwecji, oraz Polski i kraju europejskiego o najmniejszym w danym rodzaju poziomie uczestnictwa *(patrz tabela)*.

Tabela pokazuje dystanse, jakie dzieliły nas przed pięcioma laty od najlepiej prezentującej się Szwecji i od innych o „najgorszych” wskaźnikach uczestnictwa obywateli tych krajów (Francji, Węgier, Hiszpanii) w kulturze. Należy tutaj podkreślić, że badanie to było przeprowadzone na innej próbce i według innych zasad, niż te stosowane przez GUS przy opracowywaniu omawianego raportu, stąd widoczne różnice prezentowanych danych.

Autorzy publikacji ukazują także tendencje, jakie rysują się w procesach uczestnictwa naszych rodaków w kulturze w okresie od roku 1990 przez rok 2004 do 2009. Niestety, jedynie w dwóch spośród 9 prezentowanych kategorii w okresie minionych 19 lat odnotowany został wzrost uczestnictwa, a mianowicie w grupie „chodzących do kina” z 31,4% w 1990 do 39,6% w 2009; oraz w grupie „oglądających telewizję codziennie ponad 2 godziny” – z 40,1% w 1990 do 52,6% w 2009 roku.

Forma uczestnictwa	Kraj		
	Polska	Szwecja	Inne wybrane kraje
	Uprawiający w **2007** roku ten rodzaj aktywności kulturalnej w %		
Oglądanie telewizji lub słuchanie w radiu programów kulturalnych	81	88	64 (Francja)
Korzystanie z Internetu (nie zawowodowo)	44	82	41 (Węgry)
w tym codziennie	22	52	16 (Węgry)
Czytanie książek	64	87	59 (Hiszpania)
Chodzenie do kina	41	71	36 (Węgry)
Chodzenie do teatru	18	47	23 (Francja)
Chodzenie na koncerty	29	53	31 (Węgry)
Chodzenie na przedstawienia baletowe lub do opery	12	26	12 (Hiszpania)
Chodzenie do biblioteki publicznej	37	70	29 (Hiszpania)
Zwiedzanie zabytków	48	75	45 (Węgry)
Zwiedzanie muzeów lub galerii	32	62	38 (Hiszpania)

W pozostałych 7 formach uczestnictwa w kulturze odnotujemy regres uczestnictwa, szczególnie dotkliwie odczuwany w grupie czytających gazety (-12,2%), słuchaczy radia (-11,5%), uczestników imprez estradowych (-12,5%), czytających książki (-5,8%), widzów teatralnych (-5,5%).

Choć czas wolny jest!

W grupie badanych gospodarstw 12,66% nie posiadało książek w ogóle, a takich, które nie zakupiły książek w ogóle w ciągu minionego roku było aż 47,45% i z tej grupy aż 60,03% uzasadniało ten fakt, brakiem realnej potrzeby zakupu jakiekolwiek książki; przeszkody finansowe wykluczały możliwość zakupu książki aż w 26,41% gospodarstw.

W ciągu ostatnich 12 miesięcy nie przeczytało ani jednej książki 48,68% ankietowanych osób oraz ponad 74% osób nie skorzystało z usług biblioteki lub czytelni (74,19%).

Jedynie w 6,2% gospodarstw nie kupowano gazet, w tym w 31,38% z powodów finansowych, lecz aż w 45,32% z braku takiej potrzeby. Prenumerata czasopism była w 2009 roku zanikającą formą kontaktu z prasą, dotyczyła bowiem zaledwie nieco ponad 10% gospodarstw. Nie czytających w ogóle gazet odnotowano 26,29%; gazety ilustrowane czyta 74,23% czytelników czasopism.

Gospodarstw domowych gromadzących nagrania muzyczne było w roku 2009 59,75%, a takich, które nie zakupiły nośników z nagraniami muzycznymi w ciągu roku 61,42%. Osób, które zadeklarowały kompletny brak zainteresowania muzyką, czyli takich, którzy nie słuchają w ogóle muzyki jest 17,02%; niestety spośród słuchaczy muzyki w koncertach uczestniczy zaledwie 5,20% ankietowanych. W gronie fanów muzyki przeważają miłośnicy rocka i popu (53,29%), opera i operetka budzi zainteresowanie zaledwie u 5,66% ankietowanych, a muzyka klasyczna u 22,08% ankietowanych. Do opery lub operetki uczęszcza zaledwie 4,60% populacji, jeszcze rzadziej odwiedzane są teatry baletowe lub taneczne, bo zaledwie przez 3,39% ankietowanych, filharmonie odwiedza 4,01% miłośników muzyki; w nieco lepszej sytuacji są teatry dramatyczne odwiedzane przez 8,28% ankietowanych.

Ponad połowa gospodarstw nie posiadała żadnych nośników z filmami fabularnymi (54,11%), a korzystających z wypożyczalni płyt lub kaset z filmami było zaledwie 14,07%; do kina chodziło 39,57% miłośników filmów.

W Polsce tylko 1,5% gospodarstw domowych nie posiada odbiornika telewizyjnego, w ponad 60% gospodarstw domowych funkcjonuje telewizja kablowa lub satelitarna, a radioodbiorniki działają w 67,2% gospodarstw domowych.

Oglądanie spektakli Teatru Telewizji deklaruje w grupie często i bardzo często odpowiednio 1,80% i 8,64% widzów; ale 53,04% widzów deklaruje kompletny bark zainteresowania programami religijnymi, programy publicystyczne kulturalne bardzo często ogląda zaledwie 2,77% widzów. Szczęśliwie u 58,60% widzów, dominuje przekonanie, że oglądanie telewizji nie może zastąpić czytania książek.

I co może nieco dziwić – gospodarstw domowych nieposiadających w swoich zbiorach jakichkolwiek gier komputerowych jest aż 63,99%., i aż 80,01% nie zakupiło jakiejkolwiek gry komputerowej w ciągu roku, bowiem w ich gronie 73,17% nie dostrzegało jakiekolwiek uzasadnionej potrzeby dokonania takiego zakupu, pomimo że, już 60,8% gospodarstw posiadało komputer osobisty.

W imprezach organizowanych w domach kultury nie uczestniczyło 91,86% ankietowanych, brak zainteresowania dla działalności przykościelnych placówek kulturalnych zadeklarowało 94,99% respondentów.

Te wybrane subiektywnie i selektywnie dane dotyczące uczestnictwa w kulturze w tym także tej elitarnej, wysokiej lub, jak kto woli artystycznej muszą niepokoić. Z jednej strony ograniczona możliwość korzystania z usług instytucji kultury wynika z ich lokalizacji terytorialnej (głównie w miastach), z barier ekonomicznych (notowany w ostatnich latach wzrost poziomu zagrożenia ubóstwem i wzrost cen biletów oraz cen innych usług kulturalnych), a z drugiej strony z jakości proponowanej oferty repertuarowej, częstokroć niedostępnej dla potencjalnych odbiorców zapewne ze względu na wysoki poziom nowatorstwa artystycznego i równolegle relatywnie niski poziom kompetencji kulturowych potencjalnych odbiorców, widzów, uczestników wydarzeń artystycznych. Można by te sytuację określić jako barierę edukacyjną. Oczywiście przyczyną braku zainteresowania widzów, słuchaczy, czytelników może być – a po wielokroć zapewne i jest – niski poziom oferty artystycznej oferowanej przez instytucje kultury.

Przeprowadzone badania wykazały także, że ponad 42% uczestników badań wyraziło pozytywną opinię o posiadanej ilości czasu wolnego, bardzo zadowolonych z ilości posiadanego czasu wolnego było 4,43% badanych, tak więc blisko 50% badanych deklarowało posiadanie dostatecznej ilości czasu wolnego umożliwiającego uczestniczenie w oferowanych im przez instytucje kultury formach uczestnictwa w kulturze. Ta przeszkoda, brak czasu wolnego – wielokrotnie komentowana jako równie istotna jak finansowa – nie jest więc przyczyną negatywnych procesów w sferze upowszechniania i uczestnictwa w kulturze.

To właśnie wypełnienie czasu wolnego jest jednym z zadań instytucji kultury, dylemat jaki rysuje się przed animatorami tych poczynań to spór o jakość oferty skierowanej do potencjalnych odbiorców – zbudowanej na kulturze popularnej, dostępnej szerokim kręgom odbiorców, a konsekwencji spełnienia postulatów ekonomizacji tych instytucji i wprowadzenia menedżerskiego systemu ich zarządzania, lub preferowanie – kultury wysokiej i w konsekwencji położenie nacisku na walory artystyczne i edukacyjne, kulturotwórcze ekspresji artystycznej i działalności organizacyjnej.

Potrzebna stanowcza mobilizacja

Rozwój systemu instytucji kultury m.in. w województwie śląskim pozytywnie stymulowany był środkami europejskimi pochodzącymi m.in. z Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Śląskiego na lata 2007-2013, w którym na realizację zadań IV priorytetu *Kultura* przeznaczono 3% wartości funduszu tego programu (z 1,747 mld Euro).

Ogłoszone przez Wydział Rozwoju Regionalnego Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego w maju 2012 *Założenia do przyszłego RPO na lata 2014 do 2020* finansowanego z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego nie tylko nie kontynuują tradycji lokowania zagadnień związanych z kulturą w obszarach wsparcia tego programu, ale na stronie 30 owego dokumentu można znaleźć następujące zdumiewające stwierdzenie, cyt.: *Wstępne ustalenia na poziomie ministerialnym, przewidują wsparcie dziedzictwa kulturowego i różnorodności biologicznej na poziomie krajowym, tym samym uniemożliwią nam (prawdopodobnie) wsparcie ww. inwestycji w ramach przyszłego programu regionalnego...".*

Inaczej mówiąc o losie inwestycji w sferze kultury na Śląsku decydować będzie mityczny „poziom krajowy", a tzw. przedsięwzięcia „miękkie", czyli wszelkie koszty działań np. artystycznych, pokrywać będą instytucje kultury, wyłącznie z dostępnych im środków własnych. Kwestie te powinny niezwłocznie zainspirować do działania nie tylko administrację samorządową działającą w sektorze kultury, ale przede wszystkim organizacje pozarządowe współdziałające z samorządami i instytucjami kultury.

Zaprezentowane wyżej, wybrane dane statystyczne pokazują jak trudne zadania i problemy stają przed instytucjami kultury, poszukującymi swojej publiczności, odbiorców ich komunikatów kulturowych, artystycznych. Ewentualne pozbawienie tego systemu dopływu środków ze źródeł europejskich przyniesie opłakane skutki dla całego systemu instytucji i naszego społeczeństwa. ■

1. Kultura w 2010. Główny Urząd Statystyczny. Warszawa 2011. s. 320.

2. Uczestnictwo ludności w kulturze. Główny Urząd Statystyczny. Warszawa 2012. s.

3. Założenia do przyszłego RPO Województwa Śląskiego na lata 2014 – 2020 finansowanego z EFRR. Wydział Rozwoju Regionalnego Śląskiego Urzędu Marszałkowskiego. Katowice 2012. s. 84.



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik spóźnionego przybysza

Górny Śląsk: ogląd wsteczny i podróż do przyszłości (II)

• Sen o regionalnej szpadzie?

Zasadniczą ideą Ruchu Autonomii Śląska jest uzyskanie regionalnej autonomii. Nie chodzi jednak o autonomię jednego regionu, ale o stworzenie Polski silnych i autonomicznych regionów. Wstępując na tak przygotowane ścieżki działania, Ruch sukcesywnie dąży do zdjęcia z organizacji stygmatu narodowego czy etnicznego w czym pomocne są wszelkie stowarzyszenia na przykład Stowarzyszenie Osób Narodowości Śląskiej (SONŚ) – ponad 600 osób złożyło deklarację członkowską – zarejestrowane przez sąd w Opolu (obecnie prokuratura w Opolu podważa prawomocność rejestracji Stowarzyszenia). Celem SONŚ jest podtrzymywanie tradycji, języka, elementów etnicznych i narodowych osób utożsamiających się z narodowością śląską. Ważnym argumentem przemawiającym za Stowarzyszeniem są wyniki Spisu Powszechnego (2011), w wyniku którego śląską tożsamość narodową zadeklarowało 809 tys. osób, z których 362 tys. wskazało wyłącznie śląską identyfikację, a 415 tys. jako tożsamość śląską i polską. Aż 418 tys. osób wskazało jednak tożsamość śląską jako pierwszą.

Rozgraniczenie celów działalności prezentowanej przez RAŚ i reprezentowanej między innymi przez SONŚ sprzyja wyprowadzeniu wszelkich kwestii mniejszościowych z działalności Ruchu, pozostawiając w orbicie jego pracy wyłącznie działalność regionalną. Tymczasem celem Stowarzyszenia jest podtrzymywanie tradycji, języka, elementów etnicznych i narodowych osób utożsamiających się z narodowością śląską. Chodzi także o uznanie Ślązaków za mniejszość etniczną, a śląską mowę za język regionalny, podobnie jak zostało to uczynione wobec języka kaszubskiego. W Sejmie trwają prace nad nowelizacją zapisu o języku regionalnym w kierunku uznania za takowy mowy śląskiej, która spełnia kryteria definicji języka regionalnego podane w Europejskiej Karcie Języków Regionalnych lub Mniejszościowych sporządzonej w Strasburgu 5 listopada 1992 roku. W cytowanym dokumencie przyjęto, że język regionalny jest tradycyjnie używany przez obywateli danego państwa, którzy stanowią mniejszość, nie jest dialektem języka oficjalnego, w tym przypadku polskiego, jak również nie jest językiem imigrantów.

• Górnoślązacy w *Alzacji*

W tym kontekście należy wspomnieć o Związku Ludności Narodowości Śląskiej (ZLNŚ) zarejestrowanym w sądzie w Katowicach 24 czerwca 1997 roku, która to rejestracja została zakwestionowana przez ówczesnego wojewodę śląskiego. Rejestracja została uchylona, a walka o ponowne uznanie Związku trafiła do Wielkiej Izby w Strasburgu, stołecznym mieście pogranicza alzackiego, która w lutym 2004 roku orzekła, że polskie sądy nie naruszyły prawa odmawiając rejestracji Związku Ludności Narodowości Śląskiej. Powstanie Związku i jego działalność spotkały się z silnym sprzeciwem przede wszystkim na Śląsku. Wyrazem jest powołanie do życia Ruchu Obywatelskiego „Polski Śląsk", który najwyraźniej kontestuje istnienie ZLNŚ. Za punkty graniczne walki o rejestrację ZLNŚ należy uznać wyniki Spisu Powszechnego w roku 2002, kiedy 173 tys. osób po raz pierwszy zadeklarowało przynależność do narodowości śląskiej i Spisu z roku 2011, kiedy taką deklarację złożyło 809 tys. osób. Starania o rejestrację ZLNŚ to kolejny krok prowadzący do podkreślenia wyraźnego rozgraniczenia działalności na rzecz tożsamościowo-kulturowego statusu mniejszości śląskiej, a ideą autonomicznych regionów Rzeczypospolitej.

• Pytania godne Szekspira

W kontekście powyższych rozważań podkreślmy ponownie regionalne aspiracje RAŚ, który od początku swojego powstania ma klarowny i jednoznaczny pogląd na kształt autonomicznego Śląska i zasady jego funkcjonowania. Podstawą przyszłych decyzji regionalizacyjnych w tej części Polski winna być restytucja Autonomii Śląska w oparciu o Ustawę Konstytucyjną z 15 lipca 1920 roku. Ruch Autonomii Śląska zabiega również o wybór przyszłego wojewody w drodze głosowania mieszkańców regionu, a nie mianowania przez Prezesa Rady Ministrów RP. W korespondencji z tymi słowami pozostają poglądy dotyczące zmiany granic obecnego województwa śląskiego i opolskiego. Chodzi, w oparciu o wyniki referendów przeprowadzonych w powiatach województwa opolskiego, o likwidację województwa opolskiego i przyłączenie poszczególnych jego powiatów – zgodnie z wolą mieszkańców – do województwa śląskiego bądź dolnośląskiego. Tak ukonstytuowany obszar autonomicznego regionu Górnego Śląska miałby za sobą siłę referendalnych wyników, a równocześnie pożądany powrót do przywoływanej z przeszłości siły ekonomicznej i roli Śląska z początków XX wieku. Powstaje jednak pytanie czy przywracanie regionu śląskiego w historycznych granicach ma jeszcze sens? Czy zmiany jakie następowały w ostatnich dekadach, migracje ludności, mozaika społeczna, usprawiedliwiają takie przedsięwzięcie? Oto rzeczywiste i fundamentalne kwestie, wymagające obywatelskiej debaty i woli politycznej władz regionalnych i centralnych.

• Egzotyka czy normalność polityczna?

Sukcesem Ruchu Autonomii Śląska okazały się wyniki wyborów samorządowych, przeprowadzone 21 listopada 2010 roku. W ich rezultacie RAŚ, uzyskując poparcie 8,49% mieszkańców województwa śląskiego, wprowadził do Sejmiku Województwa Śląskiego trzech swoich przedstawicieli. Równocześnie lider Ruchu Jerzy Gorzelik został Członkiem Zarządu Województwa. W rezultacie tych wyborów doszło również do nieoczekiwanej koalicji w ramach Sejmiku. Stworzyła go zwycięska Platforma Obywatelska właśnie z RAŚ-em. To wydarzenia, które zdarzyły się po raz pierwszy od momentu powrotu Polski na drogę demokratycznego i wolnorynkowego rozwoju. Prezydent Bronisław Komorowski tę koalicję ocenia jednoznacznie negatywnie i oczekuje na jej rozwiązanie. Apologetą kooperatywy jest wiceminister gospodarki Tomasz Tomczykiewicz, działacz Platformy Obywatelskiej, który podkreśla jej zbawienny wpływ dla województwa śląskiego. Nie podzielamy żadnego z tych poglądów. Teraźniejszość województwa śląskiego nie jest tak czarna jak chcą pesymiści, ani tak jasna jak definiują ją niepoprawni optymiści.

Tekst powstał we współpracy z prof. UO. dr hab. Anną Śliz



Foto. Zbigniew Sawicz

Stolica z przypadku czy z wyboru?

BARBARA KALINOWSKA-WÓJCIK

Katowice obchodzą swoje urodziny 8 września w nawiązaniu do nadania praw miejskich w roku 1865. W tym roku nakłada się na tę datę 90. rocznica utworzenia w 1922 roku województwa śląskiego z Katowicami jako stolicą.

Przez długie wieki stolicą Śląska był Wrocław, stanowiący istotny punkt ciężkości zarówno życia politycznego, gospodarczego jak i kulturalnego regionu. Po trwających w połowie XVIII wieku wojnach śląskich doszło do podziału Śląska na dwie części, z których jedna przypadła monarchii Hohenzollernów, a druga, znacznie mniejsza, pozostała przy państwie Habsburgów. Odcięcie od dawnego centrum spowodowało powstanie nowego ośrodka – Opawy, w której siedzibę znalazły władze administracyjne Śląska austriackiego. Równocześnie na terenie pruskiego Śląska następowały przekształcenia poszczególnych szczebli administracji państwowej, a na początku XIX wieku w wyniku reform Heinricha Friedricha Karla Stein a i Karla A. Hardenberga wprowadzono podział prowincji na rejencje. Siedzibą jednej z nich zostało Opole potwierdzając swoją pozycję stolicy pruskiego Górnego Śląska. Sytuacja zaczęła się zmieniać wraz z rozwojem górnictwa i przemysłu. Obok miast wywodzących swoje tradycje od średniowiecznych lokacji zaczęły powstawać miejscowości, które swój rozwój zawdzięczały położonej w okolicy kopalni, hucie, połączeniu kolejowemu oraz powstającemu osiedlu robotniczemu. **Na przełomie XIX i XX wieku w Opolu i Katowicach mieszkała podobna liczba mieszkańców, jednak niewątpliwe centrum życia gospodarczego przeniosło się na wschód do Górnośląskiego Zagłębia Przemysłowego. Zakończenie I wojny świa-**

towej dało nieoczekiwaną szansę Katowicom. Podczas konferencji pokojowej w Wersalu postanowiono, że na terenach Górnego Śląska zostanie przeprowadzony plebiscyt, który zdecyduje o dalszej przynależności państwowej tych terenów. Zarówno strona niemiecka, jak i polska postanowiły zastosować zachęty administracyjne, które miały być świadectwem ich dobrej woli oraz chęci stworzenia lepszych warunków rozwoju regionu. Pierwszy ruch wykonała strona niemiecka podnosząc decyzją Landtagu pruskiego w dniu 14 października 1919 roku rejencję opolską do rangi prowincji. Strona polska zareagowała w podobny sposób jednak znacznie podbijając stawkę, mianowicie dnia 15 lipca 1920 roku Sejm odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej podjął decyzję o utworzeniu województwa śląskiego przyznając mu znaczny poziom autonomii i zachęcając tym samym do wybrania opcji polskiej, która miała im zagwarantować – i zagwarantowała większy poziom samorządności.

Ostatecznie w wyniku przeprowadzonego głosowania oraz trzech zrywów ludności polskiej, Górny Śląsk został podzielony na dwie części polską i niemiecką. W części przyznanej Niemcom stolicą polityczno-administracyjną nadal pozostało Opole, a Bytom oraz Gliwice podkreślały swoje pozycje ważnych ośrodków kulturalno-gospodarczych. Po stronie polskiej Katowice nie miały właściwie konkurencji, a ich znaczenie podkreślały między innymi siedziby najważniejszych instytucji przemysłowych, o ciążeniu w kierunku Katowic i wzroście ich znaczenia politycznego świadczyło umiejscowienie w nich głównej siedziby niemieckiego komisariatu plebiscytowego.

Po zakończeniu trzeciego powstania śląskiego i decyzji o podziale Górnego Śląska, z której jasno wynikało, że Katowice znajdą się po polskiej stronie do miasta zaczęły przenosić się najważniejsze instytucje życia politycznego, wśród nich znalazła się Naczelna Rada Ludowa na Górnym Śląsku. Zgodnie ze Statutem Organicznym Województwa Śląskiego jednym z najważniejszych znaków przyznanej tym terenom autonomii miał być Sejm Śląski. Pierwsze posiedzenie tego organu miało miejsce 10 października 1922 w auli, zakupionej przez Skarb Państwa dawnej Królewskiej Szkoły Rzemiosł Budowlanych przy ulicy Wojewódzkiej 45. Oficjalnie pierwsze obrady w imieniu Naczelnika Państwa otworzył prezes Rady Ministrów Julian Nowak, który zobowiązał się do podjęcia wszelkich starań, aby nowa egzystencja administracyjna jaką było Województwo Śląskie miała zapewnione dobre warunki rozwoju. Było to równoznaczne z przyznaniem Katowicom statusu politycznej i administracyjnej stolicy Województwa Śląskiego. Od tego momentu w ciągu kolejnych osiemnastu lat miasto rozwijało się stanowiąc centrum życia artystycznego, naukowego, samorządowego i gospodarczego regionu.

Autonomiczne Województwo Śląskie było najmniejszym spośród 16 województw Polski międzywojennej, w 1922 roku zajmowało teren 4216 km^2 (1,1% całej powierzchni kraju) a zamieszkiwało go według spisu z 1931 roku 1 290 024 osób (4,4% ludności kraju). W 1938 roku w wyniku zajęcia Zaolzia powiększeniu uległy zarówno teren jak i liczba ludności, był to jednak w związku z wybuchem II wojny światowej stan krótkotrwały.

Administracyjna i polityczna stolica autonomicznego województwa śląskiego

Autonomia przyznana Województwu Śląskiemu w Statucie Organicznym oraz trzech nowelach z 1921 roku polegała na prawie do wyboru własnego lokalnego parlamentu zwanego Sejmem Śląskim, który miał uprawnienie ustawodawcze, z którego wyłączone zostały sprawy związane z polityką zagraniczną, sprawami celnymi, wojskowością oraz pewnymi sprawami wewnętrznymi, które zostały zarezerwowane dla urzędów centralnych. Ustawy tego Sejmu nie mogły naruszać postanowień Konstytucji RP, ale regulowały w województwie kwestie związane z polityką religijną, szkolną, socjalną, kadrową, narodowościową oraz bezpieczeństwem wewnętrznym i gospodarką, czyli kwestie przemysłu, handlu, rolnictwa, transportu i budownictwa. Władza wykonawcza należała do wojewody i Śląskiej Rady Wykonawczej. Ponieważ zakres ich kompetencji był znacznie większy niż jakiegokolwiek innego wojewody i jego rady, dlatego też Katowice, w których skupiała się realna władza regionalna, wyrastały ponad inne miasta wojewódzkie w Polsce.

Drugim atrybutem autonomii był Śląski Skarb, który powstawał z podatków Górnoślązaków oraz innych opłat wnoszonych między innymi przez podmioty gospodarcze, tylko niewielka część była odprowadzana do budżetu centralnego, reszta była przechowywana w skarbcu wybudowanym pod urzędem wojewódzkim. Podobno bezpośrednio przed wybuchem II wojny światowej znajdowała się w nim tona złotego kruszcu. Skarbem dysponował Sejm Śląski. Dobra kondycja finansowa województwa przekładała się na wyższe zarobki wojewody oraz pozostałych urzędników pracujących w tutejszym samorządzie, a to z kolei oznaczało, że w mieście mieszkała duża grupa dobrze zarabiających osób, które posiadały znaczną siłę nabywczą i które mogły inwestować zarówno w dobra luksusowe, odwiedzać miejscowe restauracje i kawiarnie, jak również być odbiorcami kultury i sztuki. Środki Skarbu Śląskiego były inwestowane w rozwój miasta i województwa, ale również stanowiły źródło kapitału, którego używano dla powstrzymania skutków społecznych wielkiego kryzysu.

Katowice, ze względu na swoje przygraniczne położenie, ale również skomplikowaną przeszłość, były miastem, gdzie sprawy międzynarodowe odgrywały bardzo ważną rolę. Wynikało to między innymi z postanowień Polsko-Niemieckiej Konwencji Górnośląskiej podpisanej w Genewie, która aż do 1937 roku regulowała przede wszystkim sprawy związane z mniejszościami narodowymi na terenie plebiscytowym oraz regulowała kwestie małego ruchu granicznego starając się zminimalizować skutki podziału regionu, który przez wiele wieków stanowił jedną całość, a równocześnie ludziom, którzy byli jego mieszkańcami umożliwić zachowanie miejsce pracy oraz kontakt z sąsiadami, współpracownikami i znajomymi. Umiędzynarodowienie Katowic miało również swoje korzenie w nadgranicznym położeniu miasta, które bardziej niż inne stolice województw w Polce były wyczulone na zmiany w polityce międzynarodowej, z drugiej strony dotychczasowe wydarzenia historyczne, w których region odegrał istotną rolę i był istotnym punktem w rozmowach europejskich mocarstw skutkowało brakiem poczucia stabilizacji.

Konwencja Genewska, obowiązująca po obu stronach granicy miała jeszcze jeden często niedoceniany aspekt, mianowicie dawała ochronę również ludności żydowskiej, która aż do jej wygaśnięcia znajdowała tutaj schronienie i mogła się cieszyć prawami, które już dawno odebrano jej na pozostałych terenach Niemiec. Zaś po ustaniu postanowień konwencji dla części z nich województwo śląskie stanowiło drogę ucieczki, zaś Katowice były na niej przystankiem.

Zanim jednak do tego doszło ważna rola Katowic została potwierdzona również w umieszczeniu w Katowicach siedzib konsulatów państw, których obywatele zainwestowali środki finansowe w tym regionie i chcieli mieć możliwość pilnowania swoich interesów. W efekcie miasto stało się po Warszawie najwięk-

szym skupiskiem przedstawicielstw obcych państw w Polsce. Były to przede wszystkim reprezentacje Francji i Wielkiej Brytanii oraz konsulat niemiecki, który oprócz funkcji gospodarczych pełnił również, a może przede wszystkim funkcję polityczną polegającą na reprezentowaniu i obronie interesów Niemców, którzy pozostali po polskiej stronie granicy. Konsulaty utworzyły również państwa, które nie inwestowały bezpośrednio w tutejszy przemysł, ale za to prowadziły ożywione kontakty handlowe, które wymagały obecności ich stałych przedstawicieli, byli wśród nich Austriacy, Szwedzi, Węgrzy, Włosi, Brazylijczycy oraz reprezentanci Czechosłowacji. Ich obecność była znakiem zmian, jakie następowały w przemyśle śląskim, który w okresie dwudziestolecia międzywojennego stał się miejscem inwestycji instytucji finansowych zarówno z Europy, jak i Ameryki. Jednak wraz z pojawieniem się zewnętrznego kapitału ośrodki decyzyjne przenosiły się do krajów, z których pochodzili inwestorzy, a na miejscu pozostawali jedynie wykonawcy ich zleceń.

Przejęcie przez Katowice funkcji stolicy regionu wymagało znacznych inwestycji w budynki biurowe oraz zatrudnienia grupy wykwalifikowanych urzędników, którzy byliby w stanie sprawnie administrować tym trudnym terenem. W mieście powstała zatem grupa aspirująca do miana elity, której trzeba było zapewnić odpowiednie warunki mieszkaniowe, w efekcie powstały domy mieszkalne charakteryzujące się wysokim standardem wyposażenia oraz estetyką zewnętrzną. Wraz z przyznaniem Katowicom statusu stolicy regionu umieściły tu swoje siedziby również organy administracji szczebla wojewódzkiego, takie jak Sąd Okręgowy i Sąd Apelacyjny, Urząd Skarbowy, Wojewódzka Komenda Policji oraz Naczelne Dowództwo Wojskowe na Górny Śląsk.

Dużym wzmocnieniem samodzielności i podkreśleniem odrębności województwa było utworzenie decyzją kongregacji konsystorialnej z 7 listopada 1922 roku Administracji Apostolskiej dla polskiego Górnego Śląska z siedzibą w Katowicach na czele z księdzem Augustem Hlondem. Po podpisaniu przez Polskę konkordatu ze Stolicą Apostolską pojawiła się okazja, aby tymczasowy stan przeobrazić w bardziej trwałe ramy. Bullą papieską *Vixdum Poloniae Unitas* powołano 28 października 1925 roku diecezję katowicką z dotychczasowym Administratorem jako biskupem ordynariuszem. Była to postać wielkiego formatu, której jednak nie dane było służyć zbyt długo Górnoślązakom, ponieważ w czerwcu 1926 roku został mianowany prymasem Polski. Utworzenie diecezji śląskiej spowodowało, że po raz pierwszy Katowice stały się siedzibą władz kościelnych, co wiązało się zarówno z utworzeniem kurii biskupiej, jak również z budową katedry. Projekt pojawił się już w 1924 roku, kiedy to zakupiono odpowiednie grunty, jednak budowa została rozpoczęta dopiero przez następcę bp. Hlonda biskupa Arkadiusza Lisieckiego, który objął diecezję 24 czerwca 1926 roku. W Katowicach – stolicy jednej z 15 diecezji funkcjonujących w tamtym czasie na terenach II Rzeczypospolitej zaczęło się skupiać życie religijne zarówno polskich, jak i niemieckich katolików, którzy byli zmuszeni do wspólnego prowadzenia akcji charytatywnych, społecznych i edukacyjnych. Polityka równowagi propagowana przez ordynariuszy diecezji katowickiej przynosiła jednak efekty tylko do czasu objęcia w Niemczech władzy przez narodowych socjalistów, wraz z tym wydarzeniem sytuacja uległa znacznemu skomplikowaniu, które uniemożliwiło dalszą współpracę na szeroką skalę i zakończyło stosowane przez kolejnych biskupów zasady jednoczenia górnośląskich katolików niezależnie od preferencji politycznych i narodowości.

Utworzenie Województwa Śląskiego spowodowało poważne zmiany w sytuacji politycznej polskich i niemieckich stowarzyszeń i partii politycznych działających na tych terenach. Z jednej strony polskie organizacje działające do tej pory pod presją państwa pruskiego znalazły się w roli reprezentantów narodowości dominującej, w dodatku posiadających wsparcie instytucjonalne w nowo powstałym państwie polskim. Zmieniła się również diametralnie sytuacja Niemców, którzy zdecydowali się pozostać po stronie przyznanej Rzeczypospolitej. W pierwszym okresie istnienia Województwa Śląskiego niemieccy mieszkańcy starali się utrzymać swoją dotychczasową pozycję wszelkimi dostępnymi środkami podkreślając równocześnie tymczasowość swojego położenia i oczekując szybkiego przyłączenia do ojczyzny. W Katowicach, wraz z przyznaną jej funkcją pojawiły się główne manifestacje, wiece, imprezy, zjazdy i spotkania dotyczące całego regionu. Swoje siedziby znalazły tutaj redakcje większości gazet, partie polityczne, związki zawodowe, organizacje kulturalno-oświatowe oraz towarzystwa charytatywne. Przejęcie władzy przez polskie środowiska spowodowało, że na poziomie samorządowym musiały współpracować i brać pod uwagę potrzeby wszystkich mieszkańców.

Ważnym nośnikiem wymiany poglądów politycznych były liczne ukazujące się w Katowicach dzienniki i miesięczniki, które uczyniły z miasta jeden z największych ośrodków wydawniczych i prasowych w Polsce południowej do czego przyczyniło się ogólnopolskie znaczenie śląskiej chadecji na czele w Wojciechem Korfantym, intensywna walka propagandowa z Niemcami toczona na łamach tutejszej prasy, jak również prowadzenie przez śląski Kościół katolicki akcji chrystianizacyjnej poprzez wydawanego w dużym nakładzie „Gościa Niedzielnego".

Uhonorowaniem roli Katowic, jako stolicy regionu, były liczne wizyty przedstawicieli władz centralnych, które podnosiły prestiż miejscowości i miały być świadectwem docenienia przez władze Rzeczypospolitej znaczenia tego regionu dla życia politycznego i gospodarczego Polski. W sierpniu 1922 roku odbyła się jedyna wizyta Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego w Katowicach, który wziął udział w wizytacji tutejszych jednostek Wojska Polskiego oraz odznaczył osoby zasłużone w czasie powstań i plebiscytu. Osobistością, która wielokrotnie odwiedzała Górny Śląsk był prezydent Ignacy Mościcki, jednak najbardziej uroczysta była jego podróż do Katowic w maju 1929 roku związana z oddaniem do użytku gmachu nowego urzędu wojewódzkiego. Z okazji ważnych uroczystości rocznicowych regularnie pojawiali się w Katowicach również premierzy i ministrowie kolejnych rządów uświetniając swoją obecnością uroczystości i podkreślając w przemówieniach wyjątkową rolę Górnego Śląska.

Gospodarcza stolica górnośląskiego okręgu przemysłowego

Wraz z przejęciem roli stolicy administracyjnej w Katowicach zaczęły zakładać swoje siedziby różnego typu organizacje samorządu gospodarczego takie jak Izba Przemysłowo-Handlowa, która reprezentowała przede wszystkim przemysł ciężki, zajmując się kwestiami importu i eksportu oraz uzgodnieniami dotyczącymi polityki celnej i taryfowej oraz Izba Rzemieślnicza i Śląska Izba Rolnicza. Dwie ostatnie, ze względu na dominującą rolę przemysłu na Górnym Śląsku nie miały tak istotnego znaczenia jak w innych regionach kraju, gdzie rolnictwo stanowiło podstawowe zajęcie ludności. W Katowicach umieszczono również, zgodnie z rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia 24 czerwca 1922 roku Wyższy Urząd Górniczy, czyli władzę górniczą II instancji, któ-

remu podporządkowano cztery urzędy okręgowe: w Królewskiej Hucie, Katowicach, Rybniku i Tarnowskich Górach.

W Katowicach pojawiły się również siedziby największych banków, dyrekcji koncernów i firm, które interesowały się inwestycjami w górnośląski przemysł. Odbywały się tutaj narady, konferencje i spotkania specjalistów z różnych dziedzin, podejmowano decyzje, które miały wpływ na życie gospodarcze całej południowo-zachodniej Polski oraz jej trzech najważniejszych zagłębi przemysłowych: górnośląskiego, zagłębiowskiego i krakowskiego, a po 1938 roku również karwińskiego. Jako stolica gospodarcza południa Katowice były również predysponowane do organizacji wystaw i targów, w tym celu wybudowano odpowiednie obiekty sytuując je obok Parku Południowego. W Katowicach funkcjonowała ogólnopolska giełda, a swoje siedziby miały organizacje monopolistyczne, kartele i syndykaty różnych gałęzi przemysłu, kontrolujące większą część wewnętrznego rynku polskiego. Również większość firm sprzedająca węgiel na rynki wewnętrzne i zewnętrzne umieściła swoje siedziby niedaleko miejsca produkcji.

Stolica kulturalna i naukowa

Podobnie jak w innych okręgach przemysłowych również na Górnym Śląsku rozwój gospodarczy nie pociągnął automatycznie za sobą rozkwitu kultury, nauki i sztuki. Duże oddalenie od Wrocławia, będącego stolicą kulturalną Śląska oraz odcięcie granicą od Krakowa, który stanowił drugi, ważny znajdujący się w okolicy ośrodek uniwersytecki, spowodowało, że stając się stolicą Województwa Śląskiego Katowice nie miały ani prężnie działającego życia artystycznego, ani naukowego. Zresztą powodów takiego stanu rzeczy należałoby doszukiwać się również w wielu innych aspektach kształtujących życie tutejszej ludności skupionej przede wszystkim na sumiennym wykonywaniu swoich obowiązków związanych z pracą zawodową. Nie oznacza to jednak, że nie było w Katowicach przed I wojną światową grupy odbiorców kultury wysokiej, którzy byli gotowi zapłacić wysoką cenę za możliwość obcowania z dziełami sztuki, jednak wraz z przyznaniem tych terenów Polsce nastąpił ich odpływ na zachód.

Nowi gospodarze miasta i województwa postanowili, że wraz z przyłączeniem do odrodzonej Polski nadszedł czas na zmiany i miasto wraz z przejęciem funkcji stolicy regionu musi również zmienić oblicze i z odbiorcy stać się twórcą lub przynajmniej mecenasem sztuki. Nie było to proste, biorąc pod uwagę, że polskie życie kulturalne i naukowe praktycznie nie istniało, a jeśli były jakieś jego oznaki, to w bardzo okrojonej i uproszczonej formie. Przyłączenie Górnego Śląska do nowo odrodzonego państwa polskiego po wielu wiekach funkcjonowania tych ziem w ramach innych organizmów państwowych spowodowało potrzebę odbudowania, a następnie umocnienia więzi z Polską, dlatego wyraźnie faworyzowano twórców polskich zlecając im najważniejsze zamówienia i preferując klasycyzm, a unikając jakichkolwiek odwołań do neogotyku obecnego w Katowicach w budowlach powstałych w okresie pruskim. Nowe budynki spełniały rolę propagandową będąc ambasadorem Polski na Śląsku, potwierdzeniem awansu kulturowego tego regionu dotychczas postrzeganego jedynie poprzez kominy hut i szyby kopalń. Wartym podkreślenia jest również fakt, że samodzielność finansowa województwa przyczyniła się do zainwestowania znacznych środków – dużo większych niż w innych miastach Polski oprócz Gdyni – w architekturę miejską, która miała być świadectwem prestiżu, nowoczesności oraz dowodem na to, że miasto na przyłączeniu do Polski zyskało, a nie straciło.



Foto. Zbigniew Sawicz

Wobec braku wolnych terenów pod planowaną rozbudowę miasta, która miała jej przynieść wielkomiejski charakter, postanowiono w 1924 roku poszerzyć dotychczasowe granice miasta tworząc ustawą z 15 lipca tegoż roku Wielkie Katowice i włączając w ich skład pięć gmin: Bogucice – Zawodzie, Załęże, Dąb, Ligotę i Brynów.

Pierwszym i najbardziej reprezentacyjnym budynkiem w mieście była poświęcona w maju 1929 roku siedziba Sejmu Śląskiego i Urzędu Wojewódzkiego. Był to w tamtym czasie największy gmach administracyjny w Polsce, zbudowany według projektu krakowskich architektów, który był naocznym znakiem zespolenia tych ziem z Polską, był „wyrazem artystycznych i fachowych uzdolnień polskiego architekta, rzemieślnika i robotnika" oraz „materialnym symbolem kultury i potęgi polskiej". Budynek, jako jedyny w Polsce łączył w sobie siedzibę władzy wykonawczej i ustawodawczej, zaś sama sala Sejmu Śląskiego stała się wzorem dla budynku sejmowego w Warszawie. O wielkości i znaczeniu tej budowy może

świadczyć fakt, że pomimo upływu ponad osiemdziesięciu lat od momentu oddania budynku do użytku, nadal jest jednym z najważniejszych punktów na mapie miasta i wraz ze swoim otoczeniem tworzy forum – centrum administracyjne województwa. Podobną stylistykę nawiązującą do włoskich „palazzo" i wykazującą cechy monumentalne reprezentowały również budynki Syndykatu Polskich Hut Żelaza oraz lotniska na Muchowcu.

Oprócz stylu historyzującego będącego nośnikiem wartości patriotycznych, znakomita część nowo powstających budynków było tworzona w stylu modernistycznym, uważanym wówczas za najbardziej nowoczesny, świadczący o otwartości na nowe trendy oraz międzynarodowym obyciu twórców i zleceniodawców. Wśród najważniejszych budynków, które powstały w tym stylu należy wymienić dom mieszkalny dla Dyrekcji Okręgowych Kolei Państwowych wzniesiony przy ulicy Słowackiego w 1931 roku według projektu Tadeusza Michejdy, jednego z najbardziej znanych architektów mieszkających w tamtym czasie w Katowicach, założyciela Śląskiego Związku Architektów, zwanego również „twórcą modernistycznych Katowic", który projektując miał ambicję importu na grunt miejscowy rozwiązań i estetyki dominującej wówczas w pracowniach największych architektów światowych, takich jak Le Corbusier. Wśród najbardziej znanych jego prac, do dzisiaj zachwycających swoją formą była willa przy ulicy Poniatowskiego oraz ratusz w Janowie.

Jednak budynkiem, który realizował zasady racjonalności, ekonomiczności, nowoczesności oraz przenosił na polski grunt po raz pierwszy amerykańską ideę „drapacza chmur" był wybudowany w 1934 roku na ulicy Żwirki i Wigury budynek będący siedzibą Urzędów Skarbowych. O takich aspiracjach miejscowych władz świadczył artykuł autorstwa Witolda Kłębkowskiego, kierownika wydziału budowlano-architektonicznego w urzędzie wojewódzkim, opublikowany w 1932 roku w „Architekturze i Budownictwie", w którym konkludował, że „Śląsk to najbardziej amerykańska dzielnica Polski" i tylko takie budowle mogą oddać jego wyjątkowy charakter.

Na terenie górnośląskiego okręgu przemysłowego nie było tradycji akademickich, co nie znaczyło oczywiście, że miejscowe elity nie zdawały sobie sprawy z potrzeby uniwersyteckiego kształcenia młodzieży, jednak dla rozwinięcia własnego ośrodka naukowego potrzebne były odpowiednie środki finansowe, poparcie władz administracyjnych oraz odpowiednie zaplecze społeczne. Pierwsze inicjatywy założenia na polskim Górnym Śląsku szkoły wyższej pojawiły się już w latach dwudziestych, pomysł trafił jednak wówczas na niedogodne warunki gospodarczo-polityczne, ponieważ trwający kryzys spowodował, że wysiłki władz miasta i województwa skupiły się na polu walki z ubóstwem i bezrobociem. Połowicznym rozwiązaniem stało się powołanie przez Sejm Śląski w 1924 roku funduszu stypendialnego imienia Karola Miarki i Pawła Stalmacha dla studentów pochodzących z terenów województwa śląskiego oraz organizowanie kursów i wykładów akademickich z języka polskiego, literatury, matematyki, geografii i fizyki skierowanych głównie do nauczycieli, które od 1928 roku przyjęły bardziej zorganizowaną formę instytucjonalną. Pod koniec lat dwudziestych powstało w Katowicach Konserwatorium Muzyczne, które oprócz wypełnienia zadań statutowych polegających na kształceniu muzyków, organistów oraz nauczycieli muzyki stało się również animatorem życia muzycznego w mieście i regionie. Kolejnym krokiem było powołanie w 1936 roku Wyższego Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych, które rozpoczęło kształcenie w kierunkach ekonomicznych i administracyjnych, a po II wojnie światowej dało początek Akademii Ekonomicznej.

Pod koniec XIX wieku działało Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Śląsku, które odgrywało istotną rolę w zakresie inicjowania badań historycznych, co było zasługą między innymi jego kolejnych prezesów. Od 1934 roku rolę tę przejął nowo powstały Instytut Śląski, który znacznie ożywił naukową atmosferę w Katowicach, rozpoczął regularną działalność wydawniczą oraz obudził zainteresowanie źródłami historycznymi, które do tej pory pozostawały niezauważone. Inną instytucją, zaangażowaną w ochronę materialnego dziedzictwa zarówno regionu, jak i całego kraju było powołane w 1929 roku Muzeum Śląskie. Szybko powiększające się zbiory wymagające sal ekspozycyjnych wymusiły powstanie nowego budynku, który według założeń miał być najnowocześniejszą tego typu placówką nie tylko w Polsce. Jego zgeometryzowana bryła wpisywała się w założenia funkcjonalizmu, którym hołdował architekt Karol Schayer i które odbiegały zasadniczo od przyjętych w tym czasie w Polsce założeń jakim podporządkowywano budynki muzealne, będące „świątyniami sztuki". Katowice nie bały się pójść własną drogą, dokonując zmian mentalnościowych, które przyjęły się na szeroką skalę znacznie później.

Katowice stały się również kulturalną stolicą regionu dostarczając swoim mieszkańcom rozrywkę w postaci teatru, koncertów symfonicznych, wystaw malarskich, jak również szeroko dostępnego medium jakim było radio i kino. Miasto, oprócz inwestycji w kulturę i sztukę, miało również ambicję, aby życie w stolicy województwa było komfortowe i o wysokim standardzie, dlatego dbało o stały wzrost ilości nieruchomości podłączonych do sieci. W 1931 roku Katowice mogły się poszczycić podłączeniem 87% nieruchomości do wodociągu i 68% do kanalizacji, zaś pod koniec lat trzydziestych woda bieżąca była doprowadzana już do 95%, a ścieki były odbierane z 77% nieruchomości. Na początku lat trzydziestych aż 93% budynków było wyposażonych w sieć elektryczną, gdy w tym samym czasie w Warszawie było to jedynie 68%. Jedynie w przypadku sieci gazociągowej sytuacja przedstawiała się gorzej, ponieważ jedynie 18% budynków mogło z niej korzystać, było to jednak spowodowane dużą dostępnością i niewysoką ceną wydobywanego na Górnym Śląsku węgla kamiennego, który stanowił podstawowy surowiec służący do ogrzewania pomieszczeń.

Przyjęcie przez Katowice w 1922 roku funkcji stolicy spowodowało, że z jednego z wielu miast górnośląskiego okręgu przemysłowego stały się najnowocześniejszym ośrodkiem miejskim w Polsce wyprzedzając inne miasta pod względem standardu mieszkań, wielkości i wyposażenia w sieci elektryczną oraz wodno-kanalizacyjną oraz dostępności infrastruktury komunikacyjnej i drogowej. Pomiędzy Katowicami a resztą Polski istniały potężne dysproporcje wynikające przede wszystkim z industrializacji tutejszych terenów, dużej świadomości władz komunalnych i wojewódzkich kontynuujących tradycję wyniesioną z czasów pruskich inwestowania w miejską infrastrukturę, kulturę i politykę społeczną oraz silnie rozwiniętej świadomości samorządowej, której stworzono odpowiednie warunki rozwoju.

Katowice wykorzystały swoją szansę w dwudziestoleciu międzywojennym o czym świadczy szlak moderny, na którym możemy podziwiać perły architektury modernistycznej w Polsce. Nieprzypadkowo również mieszkańcy stolicy autonomicznego województwa śląskiego wykazują do dnia dzisiejszego silne poczucie wyjątkowości wynikające nie tylko ze skomplikowanej historii, ale również wiary we własne możliwości i marzenia, które w okresie dwudziestolecia międzywojennego udało się w dużej części zrealizować. ■

Mimo stereotypowego przeświadczania, Śląsk jest nowoczesnym regionem który stale zaskakuje. Jednak nie byłby taki bez swojej szerokiej tradycji i godki. Niestety bardzo często zdarza się, że trafiają do jednego wora, pod nazwą „stereotypowy kicz". Dlatego grupa młodych ludzi postanowiła nadać świeżości i polotu godce, tradycjom i pokazać je z zupełnie innej, nowej strony. Tak by trafiły do nowego grona odbiorców, nawet tego ze Śląskiem zupełnie niezwiązanego.

Godałach ci, gryfny ten Ślunsk jest

Od dawna Śląsk próbuje zmienić swój wizerunek raz z lepszym, raz z gorszym skutkiem. Niestety dla większości ludzi spoza naszego regionu nadal kojarzy się z krainą górników pracujących w pocie czoła w kopalniach, a w niedzielę zasiadających do sutego śląskiego „łobiodu". – *Wszyscy wiedzą, że Katowice istnieją, ale nie wszyscy wiedzą, że to miasto jest tak zielone i czyste! Ciągle się rozwija, rewitalizuje i ładnieje. Nie spodziewałem się, że nie pracuje tu prawie żadna kopalnia. Architektura jest tu obłędna. W Polsce panuje bardzo stereotypowe przekonanie o Śląsku. A to nieprawda!* – przyznał zaskoczony Jarosław Kret, spotkany w Katowicach podczas pracy nad swoim programem telewizyjnym.

Podobnego zdania jest Tomasz Gorol, student katowickiej ASP, twórca projektu *Ufoki uczą się ślunski godki.* Mówi o sobie, że jest 99 procentowym Hanysem przez nazwisko. Profil *Ufoków* na Facebooku wita wywołującym uśmiech stwierdzeniem „Kajś we łodległy galaktyce, we pierony daleko, mieszkoły ufoki" – *Czasami my jesteśmy Ufokami, ponieważ mimo tego, że nasza babka, prababka godała, to my jako młode pokolenie tego zaprzestajemy. Zauważyłem pewną tendencję jak babcia w relacji babcia – ojciec godała po śląsku, w relacji ojciec – syn był już to łamany polski. Samoświadomość kulturowa regionu, w którym żyjemy, który ma bardzo bogatą tradycję powinna obudzić się w nas. To są podstawy budowania tożsamości, od których należy zacząć ją pielęgnować. Pokazać młodym ludziom, że gwara funkcjonuje, jest ładna, może być przyjazna dla ucha. Przede wszystkim nie trzeba się jej wstydzić* – mówi pomysłodawca projektu.

Tomasz do godki podszedł nowocześnie. Stworzył profil, który serwuje kurs gwary przez publikację krótkich, dwuzdaniowych śląsko-polskich rozmówek sympatycznych jednookich ludków z tłumaczeniem na polski. Tytułowe Ufoki z odległej galaktyki wylądowały na Śląsku i zafascynowane tutejszą tradycją, historią i językiem postanawiają zostać i nauczyć się godki. Główny cel, który przyświeca fan page'owi to promocja i propagowanie języka śląskiego oraz wywołanie chęci powrotu do korzeni. Jest to też próba zainteresowania naszą kulturą, zachęta do odkrywania jej na nowo oraz walka z pewnymi wybudowanymi na śląskim języku stereotypami. Użytkownicy tego profilu również mogą przesyłać pomysły na kolejne etapy nauki, jak również dyskutować o tym jak dane słowo, albo zwrot zmienia się w zależności od rejonu. Facebookowy profil to tylko początek. – *Pomysł zrodził się z tego, że na zajęcia z grafiki edytorskiej mieliśmy stworzyć bajkę. Chciałem zrobić coś swojego. Zastanawiając się, szukając inspiracji, zapytałem moją przyjaciółkę czy może przychodzi jej coś do głowy w związku z tym projektem, chociażby imiona głównych bohaterów. Na to usłyszałem odpowiedź: „Gerard". Roześmiałem się po czym stwierdziłem – mam! Bajka po Śląsku!* – mówi Gorol, który ma w planach wydanie bajki dwujęzycznej, która ma bawić, a przede wszystkim uczyć i kultywować język oraz tradycje śląskie. Dziś mamy definitywne zapotrzebowanie na działania w kierunku odnalezienia naszej tożsamości. Ludzie coraz bardziej zaczynają czuć i pielęgnować swoją odmienność, która jest naprawdę piękna. Ten barwny język nie jest tylko ważny dla Gorola. Klaudia Roksela – współtwórca Gryfnie. com też podkreśla jego wagę – *Godka ślonsko jest dla nas mową serca, mową, którą wyniosło się z rodzinnego domu. Kojarzy się z ciepłem i dobrem. Jest mową prostą ale nie prostacką. Zaś kultura śląska to cały dorobek materialny i duchowy, który został wypracowany przez naszych przodków a my jesteśmy jego spadkobiercami i nadajemy mu nową jakość.*

Twórcy serwisu gryfnie. com, dzielą się z użytkownikami swoją miłością do Śląska. Sami mówią o sobie *Jest nos dwóch pierzińskich gizdów ze Pszczyny, ale ino jedyn je ganz Ślonzokiym. Etnolog i programista, po takim som my fachu. Kożdy z nos „mo ptoka" na punkcie swoji roboty. Pomysł na Gryfnie wziął się z chęci stworzenia serwisu, poświęconego Śląskowi, na którym można by się komunikować za pomocą mowy śląskiej. Wcześniej odwiedziliśmy wiele podobnych stron internetowych i stale brakowało nam dobrze zaprojektowanej, która by nasz region wartościowała pozytywnie. „Godka ślonsko" była i jest obecna w moim życiu od początku. Zawsze w domu podkreślało się jej ogromną wartość. Chciałam by została doceniona* – mówi Klaudia Roksela. Twórcy obu projektów zgodnie zauważają, że promocja Śląska zmierza w złym kierunku, a adresowana jest głównie do osób starszych. Przeważnie promowana jest tzw. kultura szwagrowa. W programach telewizyjnych i radiowych pokutuje obraz Ślązaka wykreowany przez między innymi serial Święta Wojna. Tam niestety Śląsk pokazany jest w złym, dość kiczowatym świetle. Gryfnie starają się promować kulturę śląską w inny sposób, bardziej nowoczesny. Promują młode osoby, które wykonują dobrą pracę, a nie są doceniane. Łamią panujący tu stereotyp, bo czują, że jest tu wiele możliwości, w którym mieszkają ludzie z ogromnym potencjałem i trzeba to wykorzystać. Dodatkowo tworzą kolekcje śląskich produktów promujących region. Są to głównie koszulki, ale też torba i kartka „Jo ci przaja".

W tym roku odbyła sie pierwsza na Śląsku impreza modowa na ulicy Mariackiej w KATO Yard Sale, w której również uczestniczyli. – *Spotkaliśmy się z bardzo pozytywnym odbiorem naszych propozycji. Coraz więcej osób chce kupować rzeczy stąd, projektowane i wykonywane w Polsce. Chińszczyzna powoli schodzi na dalszy plan. Wydaje mi się, że w naszym regionie mogłoby się naprawdę wiele dziać, ale do tego potrzeba ludzi, którym się chce. I też osoby zarządzające różnymi instytucjami powinny otworzyć tym młodym drzwi. Marzy nam się wartościowa gazeta wydawana po śląsku oraz telewizja, która dobrze pokaże Ślązaków* – stwierdza Roksela.

Śląsk to region z ogromnym potencjałem, który musi zostać dobrze spożytkowany. Śląsk to nie tylko kopalnie, węgiel, ale też piękna przyroda i niesamowite perełki architektoniczne. Jeszcze jedna rzecz składa się na jego wyjątkowość. Mieszka tu wiele wspaniałych osób, które są największą wartością tego regionu.

ANNA TOKARZ

Być z Kostuchny to obciach?

JOANNA KERN

– Dlaczego na pytanie o miejsce urodzenia czy zamieszkania zawsze odpowiadasz – Katowice? – pytam moją przyjaciółkę z Kostuchny.

– Bo być z Kostuchny to obciach – stwierdza moja inteligentna i wykształcona znajoma. I nie jest w tym mniemaniu osamotniona.



Foto. Zbigniew Sawicz

Stwierdzenie to skłoniło mnie do przyjrzenia się bliżej ludziom, którzy w Kostuchnie się urodzili i mieszkają, tym, którzy z Kostuchną związali się dobrowolnie, a także tym, którzy stąd w pewnym momencie życia wywędrowali. Jest to również okazja, aby przypomnieć sobie historię miejsca, w którym przyszło się na świat i w którym się żyje, bo w codziennej gonitwie nawet historia własnej rodziny, jeżeli jej się nie pielęgnuje, odchodzi w zapomnienie. Spostrzegamy to dopiero wtedy, gdy umierają ostatni ze starszego pokolenia i na wszystkie pytania jest już za późno.

Na początku była karczma

Kostuchna to południowa dzielnica Katowic, obecnie najbardziej pożądane miejsce do zamieszkania w obrębie miasta, które w latach powojennych rozrosło się o wsie do niego przylegające. W roku 1967 uzyskała prawa miejskie, a w 1975 została włączona do Katowic (pierwszy raz należała administracyjnie do Katowic wraz z Piotrowicami w latach 1951-1954).

Początek Kostuchny to wiek XVII, w 1629 r. istniała już na tych terenach karczma, tutaj wydobywano dla kuźnic i hut książąt pszczyńskich rudę żelaza, w wieku XVIII zamieszkali tu chałupnicy i robotnicy leśni. Pierwsza wzmianka pisemna z nazwą Kostuchna pochodzi z roku 1712 i znajduje się w urbarium dóbr księcia pszczyńskiego, kolejna z roku 1716 w metrykach kościoła parafialnego w Mikołowie. Następne pochodzą z lat 1740-1741 i figurują w dokumentach Księstwa Pszczyńskiego. Są to rachunki za dostawę węgla „z Kotliska w pobliżu Tych w rewirze leśnym Kostuchna". Sama nazwa wywodzi się od słowa kostucha, jednakże wytłumaczenie jej istnieje tylko w przekazach ludowych. Według jednych nazwa ta powstała na skutek wymarcia połowy mieszkańców osady w czasie licznych epidemii, według innych od imienia leśniczego Kostucha (od imienia Konstanty).

Obecny kształt Kostuchny wytyczyły istniejące już w XVII i XVIII wieku drogi, które łączyły ją z przyległymi wsiami, przy nich powstawały też pierwsze zabudowania. Była typową wsią, jednakże wraz z powstaniem kopalń, a później i innych zakładów przemysłowych, większość jej mieszkańców znalazła zatrudnienie poza rolnictwem.

Dziś trudno już znaleźć w Kostuchnie rolnika, na wczorajszych polach i łąkach stoją nowe osiedla, kolonie domków jednorodzinnych lub też otoczone murami prawdziwe twierdze nowobogackich.

W niedalekiej przyszłości ma tutaj powstać miasto w mieście, nowe osiedle z apartamentowcem na 750 mieszkań, z własną szkołą, siecią usług i rozrywką.

Dlaczego więc Kostuchna, pomimo widocznego postępu, jest przez wiele osób postrzegana jako prowincja, jako zaprzeczenie miejskości utożsamiane z wiejskim spokojem i nudą? A co za tym idzie, ludzi, którzy tu żyją stempluje się jako mniej wykształconych i niezainteresowanych kulturą, tradycyjnie konserwatywnych, by nie rzec kołtuńskich? Czy dlatego być z Kostuchny to obciach?

I nie są to teorie wymyślone przeze mnie. Jak już wspomniałam na początku, moi znajomi, wykształceni i obyci w świecie, na pytanie o miejsce zamieszkania, zawsze odpowiadają – Katowice. Kostuchna to wiocha, do której nie należy przyznawać się w kulturalnym katowickim towarzystwie.

Nie chcę tego zjawiska analizować, pozostawiam tę pracę socjologom. Mnie w tym kontekście zainteresowali właśnie ci, którzy poprzez urodzenie, zamieszkanie lub pracę związani są z Kostuchną, którzy byli lub są postaciami nietuzinkowymi, a nazwiska niektórych z nich znane są poza granicami Katowic a nawet kraju.

Tadeusz Sendzimir w Kostuchnie

W Kostuchnie w okresie międzywojennym, obok funkcjonującej już od początku XX wieku kopalni „Boże Dary", powstały nowe zakłady przemysłowe, w tym „Chlorfabrik" (1920), która współpracowała z fabryką chemiczną „Von Heyden Radabeul" z Drezna. W roku 1922 na jej terenie uruchomiono cynkownię blach i przekształcono ją na „Śląski Przemysł Cynkowy w Kostuchnie"

W roku 1932 w fabryce tej rozpoczął pracę inżynier Tadeusz Sendzimir, rok później zbudował w niej pierwszą cynkownię blachy stalowej stosując wynalezioną przez siebie technologię ciągłego wyżarzania i cynkowania blach stalowych na skalę przemysłową. Metoda ta pozwalała na taki sposób cynkowania, który chronił cały proces przed niekorzystnymi wpływami atmosferycznymi i nie wytwarzał przy tym trujących oparów. W roku 1934 inż. Sendzimir zrealizował następny swój wynalazek, w Hucie Pokój uruchomił linię produkcyjną do ciągłego walcowania blachy na zimno z równoczesnym jej rozciąganiem. Linia ta pracowała przez kilkadziesiąt lat i przed wybuchem II wojny światowej osiągała wydajność 1000 ton miesięcznie.

Najbardziej znanym i cenionym na świecie wynalazkiem polskiego inżyniera jest ten trzeci, który zrealizował już po wojnie w Stanach Zjednoczonych. Jest to tak zwana walcownia planetar-

na umożliwiająca walcowanie na gorąco, która uproszcza i skraca dotychczasowy proces walcowania i jest wykorzystywana przede wszystkim do produkcji blachy ze stali szlachetnych.

Wynalazki Sendzimira znalazły zastosowanie na całym świecie. Zostały wdrożone w fabrykach we Francji, Anglii, Szwecji, Kanadzie, Ameryce, Japonii.

W latach 80. ponad 90% światowej stali nierdzewnej pozyskiwano w wyniku procesu Sendzimira. W 1990 roku jego imię nadano hucie w Nowej Hucie (dawnej Hucie im. Lenina). Za wybitne zasługi dla nauki i przemysłu otrzymał tytuły i odznaczenia w wielu krajach, w Polsce odznaczony został Krzyżem Oficerskim Orderu Polonia Restituta a Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie nadała mu tytuł doktora honoris causa.

Był posiadaczem 120 patentów w górnictwie i metalurgii.

Tadeusz Sendzimir zmarł w 1989 roku w Stanach Zjednoczonych i jest pochowany w Bethlehem pod Waterburgiem w trumnie z ocynkowanej stali, sporządzonej ściśle według jego technologii.

5. marca 1935 roku do Kostuchny przybył prezydent Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki. Wraz z ministrem przemysłu i handlu Reichmanem i wojewodą Grażyńskim zwiedzili Zakłady Śląskiego Przemysłu Cynkowego, jednakże wizyta ta nie dała spodziewanych skutków. Rząd polski nie zgodził się na sfinansowanie budowy huty w Kostuchnie, a z wynalazku Sendzimira skorzystały wtedy Stany Zjednoczone i Francja.

Dziś warto to nazwisko przypomnieć, chociażby w kontekście sporów o przeszłość i przyszłość Śląska, bo chociaż sam Sendzimir nie był Ślązakiem, to właśnie tu, w Kostuchnie na Śląsku, widział swoją przyszłość i próbował zrealizować swoje genialne pomysły.

Kamil Durczok – synek stąd

Ale nie tylko rozwijający się w okresie międzywojennym w Kostuchnie przemysł przyniósł daleko idące pozytywne zmiany dla jej mieszkańców. Również sprawy ducha nie pozostały w tyle i dla wielu będzie zaskoczeniem usłyszeć, że w tym czasie działało w Kostuchnie około dwadzieścia różnych organizacji społecznych i kulturalnych, jak chociażby Związek Powstańców Śląskich, Towarzystwo Polek, Związek Harcerstwa Polskiego, Polski Czerwony Krzyż, Towarzystwo Gimnastyczne Sokół, Chór Górniczy, Koło Przyjaciół Naszej Czytelni, a nawet Liga Morska i Kolonialna. Kostuchna ma publiczną wypożyczalnię książek, swój zespół teatralny, tu odbywają się zjazdy chórów i szkolnych zespołów artystycznych, działają ponadto dwie szkoły i dwie ochronki.

Mieszkańcy Kostuchny są otwarci na wszystko, co nowe, uczestniczą w aktualnych wydarzeniach politycznych,

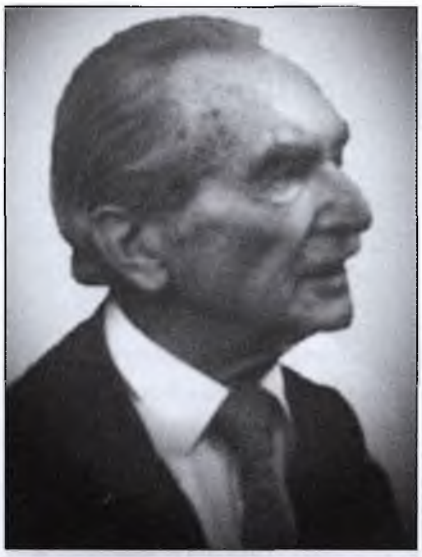

Tadeusz Sendzimir

społecznych i kulturalnych, mają także swojego przedstawiciela w Senacie Rzeczpospolitej Polskiej, jest nim dyrektor Brilow z Fabryki Miazgi Drzewnej.

Nic więc dziwnego w fakcie, że wielu tutaj urodzonych, zarówno tych przed wojną, jak i tych młodszych, urodzonych już po wojnie, będzie szukało swojej życiowej drogi poprzez naukę i działalność w różnych dostępnych im dziedzinach. Ich nazwiska ukazują się na łamach prasy, oglądamy ich w telewizji, spotykamy w ważnych urzędach.

Któż nie zna nazwiska Kamila Durczoka, dziennikarza i prezentera telewizyjnego. Urodzony w 1968 roku w Kostuchnie, swoją dziennikarską przygodę rozpoczął od pracy w Studenckim Radiu EGIDA, które działało w domach studenckich Uniwersytetu Śląskiego. W wieku 24 lat został, najmłodszym chyba w Polsce, dyrektorem i redaktorem naczelnym katowickiego radia TOP FM, które należało do NSZZ Solidarność. Od 1993 roku rozpoczął współpracę z telewizją, najpierw w Katowicach, potem w Warszawie. Był gospodarzem wielu znanych programów publicystycznych, prezentował główne wydanie „Wiadomości", jest redaktorem naczelnym i prezenterem „Faktów TVN".

Nagrody i wyróżnienia świadczą o wysokim poziomie wiedzy i umiejętności Kamila Durczoka, bo który z polskich dziennikarzy może poszczycić się taką ich liczbą, a wśród nich te najbardziej prestiżowe, jak na przykład Wiktor Publiczności oraz Wiktor dla najwyżej cenionego dziennikarza, komentatora, publicysty roku 2004, czy też tegoroczny Platynowy Laur Umiejętności i Kompetencji za 2010 rok w kategorii „Pro Publico Bono". Przy tym należy zauważyć, że ten *synek z Kostuchny* nigdy nie wstydził się swoich śląskich korzeni, w wywiadzie dla popularnego czasopisma wspomina swoje śląskie babcie i ich kulinarne umiejętności, uczestniczenie w kulinarnym obrządku, bo do tego sprowadza się na Śląsku gotowanie obiadu. I widocznie dla małego Kamila ten czas spędzony w babcinej kuchni był na tyle ważny, że teraz, jako dorosły człowiek mówi, że gdyby nie był dziennikarzem, zostałby kucharzem, i do tego marzy mu się własna mała knajpka w Pszczyńskiej Puszczy, z białymi obrusami i mnóstwem kwiatów.

Prezydent Uszok na rowerze

Ale nie tylko Kamil Durczok jest znaną powszechnie postacią z Kostuchny. Tutaj mieszka również prezydent miasta Katowice – Piotr Uszok. Jego biografia to droga współczesnego Ślązaka do wysokich urzędów, nie tak oczywista, jak by się zdawało, na Śląsku. Najpierw więc studia na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, następnie podyplomowe specjalizacje i wreszcie praca na dole w kopalni „Murcki". Jego zaangażowanie społeczne sprawiło, że w roku 1990 został wybrany radnym Rady Miasta Katowice, w latach 1994-1998 pełnił już funkcję wiceprezydenta, a od 1998 nieprzerwanie sprawuje funkcję prezydenta miasta Katowice.

Oprócz tego był również prezesem Związku Miast Polskich, prezesem zarządu Unii Metropolii Polskich, a obecnie jest współprzewodniczącym Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego.

Pomimo tak napiętego harmonogramu zajęć, Piotr Uszok znajduje jeszcze czas na swoje hobby – pływa, jeździ na nartach, gra na gitarze, zwiedza obce kraje, lub też po prostu wsiada na rower i przemierza drogi i ścieżki w Kostuchnie, fotografując przyrodę. Jego zdjęcia, o wysokim poziomie artystycznym, można potem podziwiać na wystawach oraz portalach społecznościowych w internecie.

Nazwiska przodków na powstańczym pomniku

Pisząc o ludziach z Kostuchny nie sposób nie wspomnieć o nauczycielach, tych ze szkoły podstawowej i tych z gimnazjum, a także tych, którzy pracują poza Kostuchną. Ich wychowankowie są potem uczniami renomowanych szkół średnich w Katowicach, studentami uczelni w całej Polsce. Zajmują się jednak nie tylko nauczaniem i wychowywaniem kolejnych roczników, są też autorami wielu inicjatyw w mieście. I tak na przykład, z inspiracji Mieczysława Zwolińskiego, wieloletniego dyrektora Szkoły Podstawowej nr 38, doszło do odbudowy pomnika upamiętniającego mieszkańców Kostuchny, którzy brali udział w powstaniach śląskich. Pomnik ten powstał w roku 1922 na pamiątkę połączenia części Śląska z Polską i dla uczczenia pamięci powstańców, a zburzony został w roku 1939. W odbudowie pomnika uczestniczyło Koło terenowe Związku Górnośląskiego, które zgromadziło informacje pozwalające na wykonanie repli-

ki oryginału. Jego kształt, forma i napis „Na pamiątkę 16 lipca 1922 roku" są zgodne z pierwowzorem, nowością natomiast są nazwiska powstańców z Kostuchny, umieszczone na czterech bocznych ścianach pomnika. Dzięki wsparciu finansowemu mieszkańców, miejscowych zakładów pracy, Urzędu Miasta Katowice i Parafii, 17 lipca 2002 roku doszło *do uroczystego odsłonięcia pomnika*, który stanął na skwerze bł. Stanisława Kubisty. Dla wielu z nas nazwiska wyryte na pomniku są nazwiskami naszych dziadków, miejsce to więc ma też dla nas szczególne znaczenie.

Inicjatywa Mieczysława Zwolińskiego, nauczyciela i wychowawcy, stała się dla nas prawdziwą lekcją patriotyzmu, nie tego z podręcznika, lecz tego odczuwanego prywatnie, bo dziejące się wydarzenia dotykają nas osobiście, i to nie ocena szkolna zmusza nas do szukania śladów w historii, lecz nasza własna ciekawość i chęć ocalenia pamięci o własnej rodzinie.

Pamięci Józefa Nowary

Na miejscowym cmentarzu, w głównej alejce po lewej stronie, znajduje się grób wielkiego polskiego szermierza – Józefa Nowary.

Urodzony w 1945 w Kostuchnie, mieszkał w pobliżu kościoła, w którym przez kilka lat był ministrantem, i to stamtąd właśnie pamiętają go niektórzy mieszkańcy Kostuchny.

Gdy w 1961 roku trafił pod skrzydła trenera szablistów Antoniego Sobika, szybko stało się jasne, że ten szesnastoletni chłopiec jest nie tylko pracowity i ambitny, ale ma też do tego talent. Szybko zaczął zwyciężać w kraju i za granicą. W czasie służby wojskowej w Warszawie zostaje zawodnikiem Legii, tam też pozostaje, a w międzyczasie kończy jeszcze Akademię Wychowania Fizycznego.

W czasie swojej kariery sportowej wywalczył dla Polski medale na Mistrzostwach Świata, w 1969 srebrny medal w Hawanie, w 1970 brązowy medal w Ankarze. Uczestniczył w trzech turniejach olimpijskich: w Meksyku w 1968 roku (6 miejsce), w Monachium w 1972 (5 miejsce) i w Montrealu w 1976 (6 miejsce). Był czterokrotnym indywidualnym wicemistrzem Polski w szabli, siedmiokrotnym mistrzem w drużynie, a w 1975 roku złotym medalistą w Mistrzostwach Polski.

Do tej pory jest jedynym sportowcem z Kostuchny, który brał udział w Igrzyskach Olimpijskich i wywalczył medale w mistrzostwach świata.

W 1980 roku zakończył swoją karierę sportową i wyjechał z rodziną do Luksemburga, gdzie trenował zawodników w szpadzie. Jego podopieczni zaczęli bardzo szybko osiągać sukcesy na międzynarodowych zawodach, co bardzo spopularyzowało w tym kraju tę dyscyplinę sportu.

Józef Nowara zginął w 1984 roku w wypadku samochodowym. Został pochowany na cmentarzu w Kostuchnie. Dla uczczenia jego pamięci, w Luksemburgu organizowany jest coroczny Memoriał im. Józefa Nowary w szpadzie kobiet, który zaliczany jest do Pucharu Świata. W Polsce natomiast jakby o nim zapomniano. I to na długie lata.



Ksiądz Stanisław Kubista

Dopiero w 2010 roku, z inicjatywy koła PTTK, działającego przy REMAG S.A. w Kostuchnie, mianem Józefa Nowary nazwano nowe rondo w Piotrowicach.

W tym samym roku, 7 grudnia, Gimnazjum nr 18 w Kostuchnie ogłosiło Józefa Nowarę swoim patronem. Jako motto całej uroczystości posłużyły słowa Alberta Einsteina, które w bardzo trafny sposób charakteryzują nowego opiekuna szkoły: „Osobowość kształtuje się nie przez piękne słowa, lecz pracą i własnym wysiłkiem".

Męczennik błogosławiony o. Stanisław Kubista

13 czerwca 1999 roku Ojciec św. Jan Paweł II na placu Piłsudskiego w Warszawie beatyfikował podczas mszy świętej zakonnika Stanisława Kubistę. Rok później, na terenie znajdującym się przed kościołem w Kostuchnie, powstał skwer i obelisk poświęcony jego pamięci. Kim był Stanisław Kubista wyniesiony po śmierci do takiej godności? Niewiele osób już pamiętało, że urodził się w Kostuchnie, w 1898 roku, w domu przy obecnej ulicy Boya-Żeleńskiego. Po studiach filozoficzno-teologicznych i święceniach kapłańskich w Modling koło Wiednia, jako werbista przydzielony został do domu zakonnego w Górnej Grupie koło Grudziądza i tam pozostał do wybuchu II wojny światowej. Był nauczycielem gimnazjalnym, pełnił liczne funkcje w zakonie, wybudował i kierował drukarnią, redagował i publikował liczne czasopisma katolickie, był także, z racji swoich zainteresowań, współorganizatorem Muzeum Etnograficznego eksponatów z Chin, Brazylii i Nowej Gwinei. Zainteresowania te znalazły również odbicie w jego utworach, w dramacie misyjnym „Krzyż i słońce", poświęconym historii Inków, a także w powieściach „Królowa Matamby", „Brygida", „W mrokach światłości".

Po wybuchu wojny, już w październiku, został aresztowany przez gestapo i osadzony w obozie przejściowym *w Nowym Porcie, filii obozu w Stutthofie*. Po kilku miesiącach, 9 kwietnia 1940 roku, został przewieziony do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen i tam zarejestrowany pod numerem 21154.

Zimno, głód i wyniszczająca praca doprowadziły do osłabienia organizmu i zapalenia płuc. Chorobą i wyczerpaniem zwrócił na siebie uwagę obozowego kapo. Zginął 26 kwietnia 1940 roku „wdeptany w ziemię nogami oprawcy". Naoczny świadek tak opisuje męczeńską śmierć Stanisława Kubisty:

– „W dniu 26 kwietnia 1940 roku gdy wróciliśmy z apelu do baraku, kładliśmy go na twardej podłodze z desek. Leżał na wznak pod ścianą jak w trumnie, podczas gdy my stać musieliśmy na baczność. Wtem wchodzi do baraku blokowy, kierownik baraku, nasz bezpośredni przełożony.

Był to więzień niemiecki, zawodowy przestępca. Ileż on ludzi niewinnych wysłał na tamten świat. Do tortur przewidzianych regulaminem dodawał od siebie sporą ilość. Byli tacy, których słowem i czynem nienawidził. Należeli do nich księża, żadnej sposobności nie zaniedbał aby im dokuczyć. Powitał nas zwierzęcym wzrokiem, potem z szatańską radością spoczęły jego oczy na o. Kubiście. Podszedł do niego i zamęczył go na haniebną, brutalną śmierć."

Od czasu postawienia na skwerze przed kościołem obeliska ku czci błogosławionego ojca Stanisława, w Kostuchnie rozwija się jego kult, pod pomnik przychodzą młode pary i dzieci komunijne, składane są kwiaty i palone znicze. Natomiast tablica pamiątkowa wisi nie tylko w kościele w Kostuchnie, podobne znajdują się w Panewnikach, Mikołowie, w Sanktuarium w Licheniu, w Domu Misyjnym w Baranowiczach na Białorusi, a także w Sachsenhausen.

Z baraku – kościół

Stanisław Kubista był pierwszym księdzem i nauczycielem pochodzącym z Kostuchny. W następnych latach w jego ślady poszli inni. W 1937 roku święcenia kapłańskie uzyskał Makary Zogala, franciszkanin, którego wojna zastała w klasztorze w Piotrkowie Trybunalskim. Był również nauczycielem gimnazjalnym, wykładał łacinę i grekę, w czasie wojny na tajnych kompletach zorganizowanych w klasztorze. Po tym, gdy klasztorem zainteresowało się gestapo, wyjechał i ukrywał się w Krakowie. Szczęśliwie przeżył wojnę i dalej pracował jako nauczyciel w seminariach duchownych.

Pisząc o duchownych z Kostuchny nie sposób pominąć tych, którzy wprawdzie urodzili się gdzie indziej, ale na wiele lat z Kostuchną się związali. Był nim pierwszy proboszcz, ks. Leopold Wolff, który pełnił swoje obowiązki od 1946 do 1974 roku, a zakupiony od firmy Śląski Przemysł Cynkowy drewniany barak przekształcił w kościół i doprowadził do utworzenia w Kostuchnie samodzielnej parafii. W tym kościele moje pokolenie było już chrzczone, tam szliśmy do pierwszej komunii, potem braliśmy śluby. Dziś na miejscu starego baraku-kościoła stoi krzyż, a nieopodal wznosi się nowy piękny kościół, którego budowę dokończył w 1995 roku ks. Stanisław Reś, nowy proboszcz parafii. Energia, pracowitość i dobre pomysły księdza Stanisława sprawiły, że kościół stał się też jednym z ośrodków życia kulturalnego. Świadczą o tym chociażby Dziecięce Festiwale Piosenki Religijnej, które od 1994 roku, kiedy brały w nich udział tylko zespoły z Podlesia i Kostuchny, stały się festiwalami tak popularnymi, że biorą w nich teraz udział zespoły z całego Śląska.

Mówiąc o kościele warto też wspomnieć o witrażach, które zaprojektował znany i ceniony opolski artysta – Bolesław Polnar. W uznaniu dorobku artystycznego Polnara, w Europarlamencie w Brukseli odbyła się we wrześniu wystawa jego dzieł, którą podziwiali przedstawiciele państw unijnych.

Najlepsze miejsce na ziemi

Moje rozważania dobiegają końca. Nie wspomniałam tutaj jeszcze o blokach mieszkalnych straszących swoim wyglądem, zaniedbanych i od lat nie remontowanych, nierównych chodnikach, zdewastowanych placach zabaw dla dzieci, brzydkich i zagraconych sklepach. Bo to też jest Kostuchna.

W dzisiejszych czasach, gdy jak grzyby po deszczu wyrastają nowe, piękne osiedla, centra handlowe mogą konkurować z tymi najnowocześniejszymi w Europie, obraz kostuskiej infrastruktury jawi się jak ten z najgłębszego PRL-u. I może właśnie to sprawia, że wrażliwi na brzydotę niektórzy mieszkańcy Kostuchny wstydzą się do tego miejsca przyznać, jest dla nich tym, co potocznie rozumie się pod pojęciem prowincji, w negatywnym tego słowa znaczeniu. Prowincja to zaprzeczenie miejskości, a ta kojarzy się najczęściej z tętniącym życiem miastem, mnogością wydarzeń kulturalnych, szykownymi sklepami i pubami.

Kostuchna tego zaoferować nie może. Na co dzień kojarzy się raczej ze spokojem i nudą, co dla niektórych nie jest przesłanką dla pełnej i wartościowej egzystencji. Dla innych natomiast, których życie wypełnione jest nie tylko pracą, ale również szeroko pojętą działalnością, Kostuchna jest tym najlepszym miejscem na ziemi.

■

KRYSTIAN GAŁUSZKA

KINO PATRIA

w moim świętym mieście er
tuż obok wodnej wieży
która wiadomo była i jest na początku
jak biblioteka przycupnięta w dole za górką
stoi kino patria
które niczym port kosmiczny
przyjmowało i odprawiało statki międzygalaktyczne
albo tylko rybackie
czy zwykłe stateczki z papieru
którymi tak czy tak w bezkres można było
bezkres

do kina patria chodziliśmy w kupie
przez pole z wysypiskiem
obok bunkra i szybu otylia
czując w nozdrzach
prawdziwy oddech industrii
do kina wchodziliśmy
jak do salonu
w kinie patria
lądowanie na księżycu było naturalne
jak jazda tramwajem
ale kiedy gubiliśmy pantograf
wyrastały nam skrzydła
i traciliśmy buty
czasem ze strachu
a czasem
z zapierającego dech oniemienia



Otwarcie kina PATRIA w Rudzie Śląskiej 1937 r.

zrazu z kilkoma uczniami
(karni jak to my – reszta wcześniej uciekła)
zamknięto nas w kinie jak w więzieniu
na filmie niewątpliwym *смень*
i choć nie było to kino wolność
tylko zaryglowana patria
zrozumieliśmy związek
pomiędzy cierpkim smakiem zielonego ogórka
zżeranym przez nowego człowieka z ekranu
a rozciągającym się bezmiarem bez ścian
bo przecież wszystko w głowie było
i jest
kino patria znicowało moje święte miasto er
wchłonęło ulice i domy
i place i parki i stadiony i stacje
i nawet ten słup ogłoszeniowy
o którym pamiętają tylko psy
dlatego kiedy siadam na przystanku
albo oglądam wystawy sklepowe
bywam jak na planie
statystą albo reżyserem
a nawet gwiazdą
choć na szczęście rzadko

kino patria
często też obejmowało przyjaciół
sadowiąc ich naprzeciw ekranu
gdzie po drugiej stronie
zasiadali celuloidowi
wymyśleni i prawdziwi
i tylko trudno było się połapać
– która strona jest która

przepastne magazyny kina patria
których jesteśmy częścią
jak *kansas salt mines*
przechowują filmy świata
a są dogłębniejsze niż net
albowiem pamięć nasza
nie tylko sięga początków
ile posiada linie papilarne emocji
wyczarowanych w magicznej sali kina
appendix:
smak lodów z dzieciństwa jest jak smak pierwszy
i choć on zawsze pierwszy ten jest swoisty
gdyż świat baśni jest bardziej namacalny
szczególnie w sali kinowej
która niczym *grotte de lascaux*
nie tylko trzyma byka za rogi
ile ukazuje moc imaginacji
zabierając nas w neolityczną podróż
która przemyka przez *praesens* i dalej do *futurum*
– w ustach i nosie ciągle czując zapach
prehistorycznej trawy
zatem niech będzie jak za razem pierwszym
w salonie indyjskim grand cafe
czy w tym konkretnym przypadku w kinie patria
w mieście er na górnym śląsku
z przeszłości przywołane *radośnie dece de decem*:
harald reinl – skarb w srebrnym jeziorze
blake edwards – różowa pantera
mihalis kakogiannis – dzień w którym wypłynęła ryba
ishirô honda – szerokość geograficzna zero
robert parrish – po drugiej stronie słońca
erik balling – gang olsena
gérard oury – mania wielkości
oldřich lipský – trup w każdej szafie
tage danielsson – człowiek który przestał palić
werner herzog – aguirre gniew boży

(albo inne – co komu zaświtało
czyli że ma to związek z iluminacją)

KRYSTIAN GAŁUSZKA

NATALIA ZALESIŃSKA

NA ULICY K. (TRYPTYK)

Naprzeciwko domu z „Paciorków jednego różańca"



Rys. Wojtek Łuka

Śpiew

Nie ma już tego domu. Ulica dawno zmieniona.
A kiedyś jabłkowy sad z plamami śliw i jedyną czereśnią.

Dom się rozwiewał, cieniował. Gościnny pokój z lustrem
w brązowej ramie dziewczynka ze szczotką w ręce nuciła:
Walentyna, Walentyna...

Za oknem świat, zardzewiała hulajnoga przy płocie.

Obok lepkość owoców

Dryń, dryń. Drewniana rama na kółkach. Podbój świata
od krawężnika do krawężnika i pompy z wodą.
We włosach broszka przypięta przez gołębie wujka.
Pobłażliwe uśmiechy i spady w sadzie.

Wir owadów.

Piwnica

Ceglane ściany. Żłobienia, inskrypcje w dół i w dół
– zakręcona wiłgoć, i kurz. Na środku cynkowa wanna,
w lodowatej wodzie ryby w srebrnych zakrętach.
Kwarantanna i krew. Wybielanie portfela – łuska

na szczęście, larwy w szczelinach.

Zakorzenione

Chciałam dojść na koniec świata. Nie przeczuwałam,
że w nietypowej pogodzie, w typowej arterii
będę świadkiem. Przy alei wyburzano Pałac Ślubów.

Ile to już lat minęło? Przechodzę. W podziemnym przejściu,
pod okiem miasta długowłosi śpiewali – w życiu
piękne są tylko chwile. W Gerlachu czeka zestaw łyżeczek
na kolejny ślub. Gdzieś rośnie życie i blade słońce;

srebrno, srebrno.

Przesilenie

Wszystko jest inne? A może tylko się odbarwia
– patrzymy za cieniem, za drzewem.
Coś majaczy, oślepia i spada światło.
Musimy być zimni i nigdy nie mówić
– jest tak a tak, bo po co.

Otwieramy skórę ziemi i krzyczymy
– hej ty weź nas do siebie!
Pewnego skwarnego dnia
przyjdą.

Codzienne wstrząsy i tamte
tajemne kolebania. Otwieranie szuflad
– nic nadzwyczajnego (chodzą chodniki
pod naszą dzielnicą?), umarli pukają od środka,
wkładają palce w usta śpiących.

Czujesz to czujesz?
Od rana ubijają ziemię z której jestem.

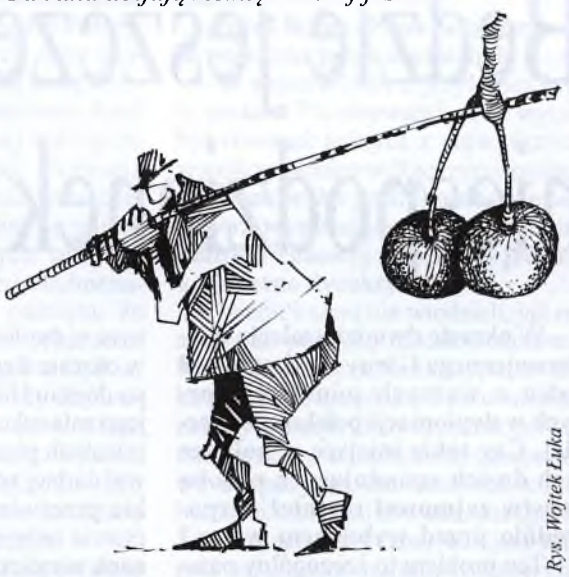

Rys. Wojtek Łuka

Rozmowa z prof. dr. hab. RYSZARDEM KACZMARKIEM



Foto. Zbigniew Sawicz

Badania historii Śląska

Będzie jeszcze wiele niespodzianek

– W okresie dwudziestolecia międzywojennego Górny Śląsk stanowił jeden z ważnych punktów spornych w dyplomacji polsko-niemieckiej. Czy takie miejsce w polityce tych dwóch sąsiadujących ze sobą państw zajmował również bezpośrednio przed wybuchem wojny?

– Ten problem to szczególny paradoks. Górny Śląsk był punktem spornym w dyplomacji przede wszystkim w okresie Republiki Weimarskiej, ale po dojściu Hitlera do władzy w 1933 r. jego rola sukcesywnie malała, a w niemieckich planach z 1939 r. nie odgrywał żadnej roli. My mamy często takie przeświadczenie, że to o Śląsk prawie że wybuchła wojna, ale w planach niemieckich, nawet tych, które pojawiły się po nieudanych rozmowach związanych z odmową wejścia Polski w układ sojuszniczy z Niemcami z przełomu 1938/1939 r., pozostawał tylko narzędziem i to niezbyt intensywnie wykorzystywanym. Kiedy podjęto decyzję o wojnie, koncepcja rewizji traktatu wersalskiego i zajęcia ziem na zachodzie nie odgrywała większej roli. Co ciekawe, według ustaleń prof. Stanisława Żerki w ostatniej propozycji, jaką w sierpniu 1939 r. Niemcy złożyli, prawdopodobnie czysto propagandowej mającej na celu wykluczenie zaangażowania aliantów na wschodzie, nie było Górnego Śląska wśród żądań warunkujących zaprzestanie przygotowań do wojny. Był Gdańsk, była słynna autostrada i kolej eksterytorialna, ale nie było Górnego Śląska. Górny Śląsk był łatwy do wykorzystywania w propagandzie: występowała tutaj mniejszość, punkty zapalne, niezadowolenie ze względu na strukturę w regionie w latach trzydziestych, co w większym lub mniejszym stopniu wykorzystywano. Mimo całej propagandy na pograniczu, którą można odnaleźć na przykład w prasie, w momencie kiedy podjęto decyzję o konflikcie, ten problem nie odgrywał już większej roli w stosunkach między Warszawą a Berlinem.

– A jaką rolę w planach militarnych przewidziały dla Górnego Śląska obydwa te państwa?

– Polski plan „Zachód" był robiony bardzo pospiesznie. Pierwsze dyspozycje przejścia na poziom operacyjny nastąpiły dopiero na początku 1939 r., więc możliwości wypracowania szczegółowego planu były złudne. Faktem natomiast jest, że w połowie lat 30., kiedy nie zakładano jeszcze szybkiego konfliktu z Niemcami, uwzględniano możliwość opuszczenia Górnego Śląska bez walki. Posługując się starym terminem, narożnikowość tego obszaru była z punktu widzenia wojskowego bardzo kłopotliwa. Kiedy przystąpiono do opracowywania planu Zachód, przyjęto linearny układ armii wzdłuż granic, co wynikało z racji stanu, a po drugie, o czym wiemy, choć zapominamy, Polska prowadziła wojnę koalicyjną. Ważne było tutaj, żeby związać jak największe siły przeciwnika na zachód od Wisły, co nie było takie nieracjonalne, bo Czechy zostały zajęte dopiero w marcu 1939 r., front się wtedy niespodziewanie rozciągnął, ze Słowacji też ruszyły oddziały niemieckie i słowackie. Więc ta granica raptownie w 1939 roku zupełnie się zmieniła. Gdyby realizować zobowiązania sojusznicze, ten plan miał rację bytu, bo dawał możliwość oparcia się w drugim etapie wojny, przy mniejszym znacz-

nie nacisku wojsk niemieckich, o linię Wisły i przeprowadzenia ewentualnie kontrofensywy. Tak się nie stało, dzisiaj wiadomo, że plany francuskie nigdy nie zakładały ofensywy na zachodzie, a Górny Śląsk stał się częścią planu operacyjnego Armii „Kraków". Te dwie grupy operacyjne, które tutaj działały, „Śląsk" i „Bielsko", były częścią tej linearnej przesłony. Mimo że w polskich planach militarnych Górny Śląsk nie odgrywał większej roli, to w niemieckich bezspornie tak. Grupa Armii „Południe" była głównym zgrupowaniem okrążającym wysunięte na zachód polskie armie: główny jej trzon uderzał przez Górny Śląsk na Kraków, a część (8. Armia) – na Warszawę. Stąd taka duża koncentracja wojsk niemieckich na tym obszarze.

– Czwartego września zakończyły się regularne walki na Górnym Śląsku stanowiące element wojny wrześniowej. Na zajętych terenach Niemcy przystępowali do narzucenia swojej koncepcji państwa i narodu...

– W pierwszych dniach wiele spraw nie było przesądzonych, na przykład kwestie podziału, granicy wschodniej. Natomiast Niemcy byli przygotowani do realizacji okupacji lub wcielenia tego obszaru w trzech aspektach, nie licząc spraw wojskowych. Z jednej strony wprowadzano aparat administracyjny, dość okrojony i skadrowany, ale docierający błyskawicznie do każdego powiatu za czołowymi oddziałami wojskowymi i pełniący tam funkcje komisaryczne. Drugim były, często zapominane, idące za wojskiem specjalne grupy przejmujące obiekty przemysłowe – zachowały się szczegółowe sprawozdania z przebiegu tych działań. Niemcom udało się przejąć przemysł bez większych zniszczeń i uruchomić produkcję z minimalnymi przerwami, jeśli chodzi o kopalnie i huty, to melduje się jedynie o jedno- lub dwudniowych przerwach. I trzeci rodzaj działań – to kształtujący się aparat represji, czyli wtedy *Einsatzgruppen*, które miały zapewnić porządek na zapleczu frontu. Każda z tych instytucji działała inaczej, co wynikało ze specyfiki struktur władzy w Trzeciej Rzeszy posiadającej liczne ośrodki decyzyjne. Na przykład aparat administracyjny w pierwszym okresie, kiedy rejencja katowicka stała się częścią Prowincji Śląskiej, podlegał w pełni kierownictwu partii i administracji we Wrocławiu, tamtejszemu gauleiterowi – Josefowi Wagnerowi. W 1941 r. nastąpiły zmiany w podziale administracyjnym – utworzono Prowincję Górnośląską z Fritzem Brachtem jako gauleiterem.

– Czy możemy sprecyzować kompetencje i zadania urzędu gauleitera?

– Łatwiej zrozumieć to osobom, które mogą odwołać się do doświadczeń z niektórych okresów PRL, kiedy władza wykonawcza była ujednolicona z władzą partyjną. W innych krajach socjalistycznych było regułą, że miejscowy szef partii był jednocześnie szefem administracji państwowej. W III Rzeszy Niemcy mówili o jedności partii i państwa. Gauleiter to właśnie taki I sekretarz tylko NSDAP, który jednocześnie jest nadprezydentem prowincji – jest szefem administracji i szefem partii.

– W sposób uproszczony obszar rejencji katowickiej czasami utożsamia się z obszarem przedwojennego województwa śląskiego, a przecież w granicach znalazły się tereny nie wchodzące przed wojną w jego skład...

– Generalnie te tereny przyłączono do Prowincji Śląskiej, której obszar rozciągał się od mniej więcej obecnej granicy polsko-niemieckiej, od Legnicy, a tak naprawdę od Goerlitz, aż po – no właśnie – przedwojenne województwo śląskie razem z Cieszynem, Zaolziem (historyczny Górny Śląsk). Ale przyłączono także obszar, który Niemcy nazwali ziemiami wschodnimi: to były właściwie trzy subregiony; najbardziej znane Zagłębie Dąbrowskie w obszarze od Zawiercia aż po Będzin, Sosnowiec, ponadto część Zagłębia Jaworznicko-Chrzanowskiego, czyli dawnego województwa krakowskiego, a na południu m.in. dawne powiaty bialski i żywiecki. Josef Wagner sprzeciwiał się włączeniu tych tzw. ziem wschodnich, ponieważ planował inne prowadzenie tzw. polityki narodowościowej. Nikt nie miał wątpliwości, że na tych obszarach wschodnich mieszkają wyłącznie etniczni Polacy, dlatego przyłączenie tych ziem i ludzi do rejencji katowickiej komplikowało problem narodowościowy. Josef Wagner sprzeciwiał się tej koncepcji, ale zadecydował nacisk Hermana Göringa, który stał formalnie na czele gospodarki niemieckiej i z powodów czysto racjonalnych optował za koegzystencją obszarów zindustrializowanych. Mało kto pamięta, że do rejencji katowickiej włączono również trzy powiaty górnośląskie, które przed 1939 r. należały do Rzeszy Niemieckiej, a więc zamieszkałe przez reichsdeutschów: Bytom, Zabrze i Gliwice. Przyłączenie tych obszarów także zmieniało strukturę narodowościową w rejencji.

– Tak duże zróżnicowanie pod wieloma względami obszarów zamkniętych w granicach rejencji katowickiej prowadziło do stosowania zróżnicowanej polityki wobec mieszkającej tutaj społeczności.

– To była niezwykle skomplikowana sprawa. Jedna rzecz jeszcze wydaje mi się ważna w odniesieniu do przedwojennego województwa śląskiego. Nie wiem, czy ktoś zwraca uwagę, że przed wojną, według spisu z 1931 r., 92% ludności przedwojennego województwa śląskiego podało język polski jako swój język ojczysty. Nie wiem, czy zwraca się uwagę, że to było jedyne takie województwo w Rzeczypospolitej. Tak wysokiego współczynnika osób deklarujących posługiwanie się językiem polskim nie miało ani województwo warszawskie, ani kieleckie, ani lubelskie. Ja wiem, że dane tego spisu są dosyć kontrowersyjne – dotyczą jedynie kryterium języka ojczystego, nie świadomości narodowej. Z pewnością wyniki te wyglądałyby inaczej, gdyby postawić inne pytanie, na przykład: czy jesteś Polakiem? Czy mówisz po polsku czy po śląsku? Wtedy pojawiło by się może te 30%, o których mówił Korfanty. Ta grupa niknie gdzieś w spisach, ponieważ kiedy pytanie dotyczy języka, są zaliczani do ludności polskiej, a ich świadomość narodowościowa była przecież nikła. Ich postawa była zachowawcza, deklarowali: będziemy tymi, kim chce władza. Nie należy też negować, że jeśli przeciętnemu Niemcowi przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego wbijano do głowy, że Górny Śląsk cały jest niemiecki, to dysonans poznawczy, z którym się zderzył, kiedy się tutaj pojawił, musiał być olbrzymi. Okazywało się, że z tą niemczyzną nie jest tak dobrze. To nawet widać w okresie wojny, że Niemcy nie wiedzą, jak klasyfikować miejscową ludność.

– A jak liczna grupa zadeklarowała wówczas język niemiecki?

– W spisie z 1931 r. język niemiecki podało 7% obywateli. Ten wynik był również jednym z najwyższych współczynników w Rzeczypospolitej.

– Niemiecka polityka narodowościowa wynikająca z nazistowskiej polityki rasowej zawierała jednak konkretne dyrektywy...

– Niemcy sami nie wiedzieli, jak realizować politykę narodowościową. Kiedy czytamy dokumenty, to wynika z nich, że urzędnicy byli w nienormalnej sytuacji, kiedy urzędnik prawie dosłownie co kilka dni otrzymuje nowe dyspozycje, ma stosować coraz bardziej skomplikowane paragrafy zawierające wytyczne, kto jest kim pod względem narodowościowym. Taka sytuacja zmieniających się dyrek-

tyw trwała do 1944 r. Mamy wobec tego w tych dokumentach postawy ludzi, którzy nie mają wątpliwości co do swojej deklaracji etnicznej i politycznej – Polacy. Jest też ogromna liczba tych, niektórzy twierdzą, że to większość, która jasnej deklaracji narodowościowej w niesprzyjających okolicznościach nigdy nie składała, uważając ją za niebezpieczną. Chwiejność postawy dawała szansę przetrwania. Należy wymienić także grupę zaliczaną po prostu do mniejszości niemieckiej, która uważała, że nie można tak łagodnie traktować Polaków i uznawać za Niemców wszystkich, kiedy oni przez 17 lat walczyli o niemieckość. Pogodzenie tych interesów nie było więc łatwe. Natomiast istniała jedna niekwestionowana dyrektywa ze strony władz okupacyjnych, nakazywała ona bezwarunkowo rozdzielić ludność polską od niemieckiej.

– W publikacji „Górny Śląsk podczas II wojny światowej" scharakteryzował pan ten problem następująco: „Cechą tych terenów, w odróżnieniu od innych obszarów okupowanych, była możliwość nabycia w przeważającej części rejencji katowickiej i trzech powiatów rejencji opolskiej niemieckiego obywatelstwa i stania się członkiem tzw. niemieckiej wspólnoty narodowej". Przed jakimi dylematami stawali Górnoślązacy, którzy mogli stać się członkami tej specyficznej wspólnoty narodowej?

– Początkowo w 1939 r. zaakceptowano *en block* wszystkich Górnoślązaków tutaj urodzonych, bo kwestia urodzenia odgrywała największą rolę. Powiedziano im, że są tzw. grupą pośrednią, mogą tutaj zostać, chyba że byli aktywni przeciwko Niemcom, wtedy byli represjonowani. Początkowo więc deklaracja narodowościowa nie wiązała się z niczym niebezpiecznym, ale dość szybko zaczęto wymagania precyzować. W 1941 r. pojawiła się osławiona Volkslista (niemiecka lista narodowościowa DVL). To była próba połączenia dwóch rzeczy: pochodzenia rasowego z kwestią obywatelstwa niemieckiego. W Niemczech od 1935 r., od ustaw norymberskich obowiązywało podwójne pojęcie obywatelstwa. Mógł to być obywatel, który znajdował się pod opieką państwa, ale nie spełniał wymogów rasowych, w tej grupie znaleźli się na przykład Żydzi, otrzymywał obywatelstwo, ale bez praw politycznych, a z biegiem czasu zaczęto mu stopniowo odbierać także prawa socjalne i cywilne. W terminologii nazistowskiej nie należał do rasowo definiowanej *Volksgemeinschaft* – wspólnoty narodowej. I była grupa pełnoprawnych obywateli – *Reichsbürger*. Po zweryfikowaniu ich pochodzenie rasowe uznawano za aryjskie. I w pewnym stopniu wykorzystano ten podział również na Górnym Śląsku. Pierwszą i drugą grupę DVL otrzymali ci poprawni rasowo, a inni (charakteryzujący się długim okresem mieszkania na pograniczu słowiańskim, okres kontaktów z ludnością polską tej tzw. grupy pośredniej – *Zwischenschicht* – był wielopokoleniowy), zostali uznani za zdolnych do przywrócenia ich niemczyźnie. Jako grupa pośrednia mogli otrzymać, w drodze wyjątku, także ograniczone do 10 lat obywatelstwo. Interwencje gauleitera Brachta sprawiły, że od 1942 r. stało się to nie wyjątkiem a regułą. Tzw. III grupa DVL otrzymała automatycznie obywatelstwo niemieckie z ograniczonymi prawami. Efekt był taki, że na terenie byłego województwa śląskiego wpisano na DVL 90% ludności.

– A jaka była to grupa w całej rejencji katowickiej?

– To było 64% mieszkańców. Ale w strefach wschodnich było wpisanych tylko 2-3% na DVL, czyli ponad 90% nie posiadało obywatelstwa niemieckiego. Jeśli Niemcy trzymaliby się literalnie ustalonych zasad, cały obszar pomiędzy Zawierciem, Żywcem i Białą podlegałby wysiedleniu.

– Była jeszcze grupa czwarta...

– Ona się praktycznie tutaj nie liczy, stanowi około 4-5% ogółu. To były wbrew pozorom osoby posiadające wymagane „pochodzenie niemieckie" i mogły potencjalnie znaleźć się w grupie I czy II, ale w okresie 17 lat istnienia województwa śląskiego deklarowały się politycznie jako Polacy, działały w polskich organizacjach, administracji. Uznano, że nie są „godne", mimo dobrego pochodzenia rasowego, uzyskania statusu obywateli Rzeszy Niemieckiej

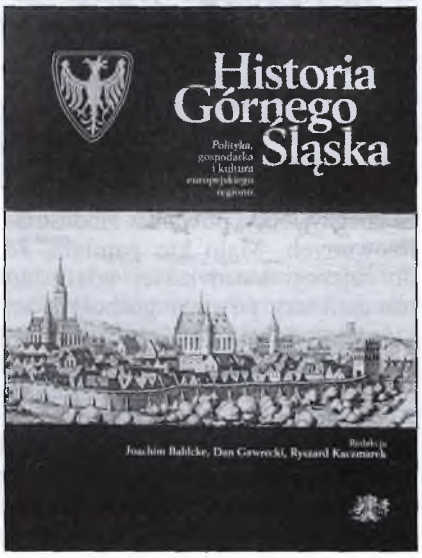

– Postawmy jedno z zasadniczych pytań dotyczących Volkslisty: przymus czy dobrowolność przyjęcia DVL na ziemiach wcielonych do Rzeszy?

– W rejencji katowickiej przymus wpisu na DVL był na obszarze byłego województwa śląskiego, mówiąc ściśle na Śląsku Cieszyńskim i w powiatach Lubliniec, Chorzów Katowice, Pszczyna, Rybnik, Cieszyn, Bielsko... Już Zawiercie, Olkusz, Jaworzno, Biała – nie, mimo że należały do tej samej rejencji. Należy jednak podkreślić, że przymus dotyczył wypełnienia ankiety. Niewypełnienie jej groziło karami, skrajnie na przykład aresztem ochronnym, który mógł być przedłużany w nieskończoność. To była dotkliwa represja, właściwie zagrażająca życiu.

– Kto decydował o nadaniu grupy DVL?

– Nigdy nie było tak, o czym wielokrotnie mówiłem, że ktoś się starał o wpis na konkretną grupę DVL. W całej ankiecie wypisywało się ważne dane, na końcu była adnotacja – jednozdaniowa prośba o przyjęcie do narodu niemieckiego i podpis. O wpisie do konkretnej grupy DVL lub odrzuceniu decydował urzędnik w powiecie, kierujący się odpowiednimi ustawami. To jest bardzo ważne, bo ci ludzie nie mieli nic wspólnego z przyznaną grupą. Zazwyczaj strach przed represją był powodem jej wypełnienia, co nie wyklucza istnienia i takich osób, którym zależało na uzyskaniu obywatelstwa niemieckiego. Mamy taką grupę uchwytną źródłowo odwołującą się od przyznanej DVL.

– Z jakich przyczyn odwoływano się od przyznanej grupy?

Odwołania dotyczyły otrzymania wyższej grupy, przeważnie załatwiano je pozytywnie. W takich przypadkach mamy już wyraźne wskazanie na postawę kolaboracyjną. Ale jest to ułamek procenta w porównaniu do wszystkich wniosków.

– Czy można ją statystycznie określić?

– Tego zjawiska oszacować się precyzyjnie nie da. Mamy tylko protokoły instancji odwoławczych (nie wszystkie) na poziomie prowincji. To są w najlepszym przypadku tysiące w stosunku do poziomu około miliona decyzji. Były też przypadki próśb o wypisanie z DVL.

– Czy znamy powody tych odwołań?

Jedno z tych, które pamiętam, to prawie próba szantażu ze strony człowie-

ka służącego w służbach medycznych. Został on wcielony do niemieckiego wojska, a jego rodzina znalazła się poza DVL, co było dość często spotykanym zjawiskiem. Napisał, że jeżeli rodzina nie otrzyma wyższej grupy, to on żąda niższej DVL i nie będzie służył w niemieckim wojsku. Wniosek na tym poziomie został odrzucony, ale znając praktykę w niemieckim wojsku potrzeba jak największej liczby żołnierzy skłaniała do ustępstw i nadawania III DVL. To są jednak wyjątkowe przypadki.

– Służba w Wehrmachcie mieszkańców ziem wcielonych do Rzeszy wzbudza do dzisiaj liczne kontrowersje, czasami bywa klasyfikowana na równi z kolaboracją.

– Ja również widzę, że używa się świadomie lub nieświadomie określeń wskazujących na ochotniczość, dobrowolność tej służby, np. pisze się „zgłosili się do Werhmachtu". Cała ta służba opierała się na obowiązku obywateli niemieckich służby wojskowej. Zaliczeni do pierwszych trzech grup DVL byli zaś po prostu obywatelami niemieckimi. Faktem natomiast jest, że do armii niemieckiej powoływano już w 1940 r., kiedy jeszcze nie było DVL, ale opierano się wówczas na wcześniejszym spisie policyjnym – i wtedy była to nikła podstawa prawna. Gros powołań nastąpiło jednak dopiero po 1941 r. Przypadki ochotniczego zgłaszania się do wojska były całkowitym marginesem. W pierwszych latach ochotnicze było rzeczywiście zgłaszanie się do *Waffen SS* i zdarzały wtedy przypadki odrzucania.

– Jakie konsekwencje groziły osobie odmawiającej służby w Wehrmachcie?

– Podlegał karze za niewykonanie ustawy. W III Rzeszy zdarzało się, że ta odpowiedzialność za jednostkową decyzję miała niekiedy charakter zbiorowy. Bardziej znane są takie przypadki z Pomorza niż ze Śląska – że w ślad za wysłanym do obozu koncentracyjnego obywatelem, który odmówił służby w wojsku, szła również jego rodzina. Bardziej świadomość niż praktyka była wystarczającym straszakiem, żeby się nie sprzeciwiać.

– Dezercje z niemieckiego wojska też były potwierdzeniem braku woli walki za Rzeszę i Führera...

– My nie przebadaliśmy dotąd podstawowego zasobu źródłowego do zagadnienia dezercji – zachowały się akta Najwyższego Sądu Wojskowego Trzeciej Rzeszy. Nie wiedziałem o tym, kiedy pisałem książkę „Polacy w Wehrmachcie". Przypadkiem trafiły one po wojnie do czeskiej Pragi

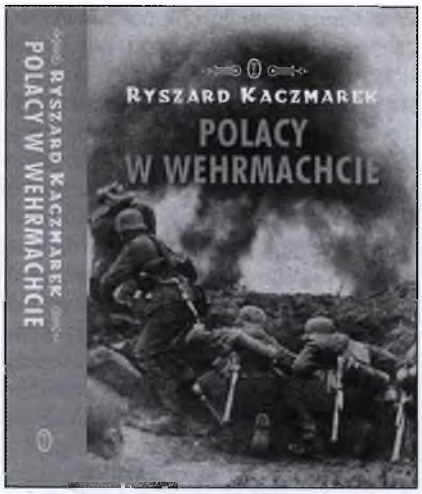

i dopiero od niedawna są udostępniane. Znajdują się tam między innymi akta dotyczące dezercji z Wehrmachtu, także bardzo dużej grupy żołnierzy pochodzących ze Śląska. W zachowanych teczkach są oryginalne materiały katowickiego gestapo, których my nie mamy. To żmudna praca selekcji, ale ten sąd wojskowy, który obradował w Torgau (gdzie w kwietniu 1945 r. doszło do spotkania amerykańsko-radzieckiego), pozostawił po sobie prawie kompletną dokumentację z prawie całej okupowanej Europy. Na tej podstawie francuski historyk Fryderyk Stroh niedawno opisał dokładnie dzieje dezerterów z Alzacji. Sąd ten zwracał się o materiały śledcze do katowickiego gestapo. Stąd zachowały się raporty wytworzone w Katowicach dotyczące tych osób, z zeznaniami świadków. To zespół konieczny do opracowania. Kiedyś już o tym mówiłem, ale warto przypomnieć jeszcze raz, że znajduje się tam również pełna dokumentacja dotycząca powołania przez gestapo w powiecie pszczyńskim siatki organizacji pod nazwą Armia Krajowa stanowiącej prowokację, w wyniku której aresztowano około 200 osób. Znajdują się tam również teczki dezercji Ślązaków z Wehrmachtu ze Śląska Opolskiego, Pomorza, Wielkopolski. To fantastyczny materiał i dobrze było by sfinansować badania na ten temat.

– Politykę terroru i represji realizowały określone struktury władzy Trzeciej Rzeszy...

– Podstawową częścią aparatu terroru i represji był aparat podlegający Heinrichowi Himmlerowi, który miał swoją strukturę pionową – przez Wrocław do Berlina, do tzw. Wyższego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA). Działał on za pełną wiedzą i przy pełnej współpracy z administracją lokalną i partią. Zaliczamy do niego tajną policję porządkową – moglibyśmy ją nazwać policją mundurową, która pracowała na ulicach miast, we wsiach -żandarmerię, nie mylić z żandarmerią wojskową, a w miastach *Schutzpolizei* w charakterystycznych zielonych mundurach. Natomiast zwalczaniem ruchu oporu zajmowała się policja polityczna gestapo, w dużej mierze działająca przy współpracy policji kryminalnej. Oprócz tego funkcjonował cały system rozbudowanego sądownictwa: – sądy doraźne, specjalne, słynny *Sondergericht* i system więzienniczy – od typowych więzień jak to przy ul. Mikołowskiej w Katowicach, gdzie wykonywano karę śmierci przez zgilotynowanie, przez więzienia policyjne, jak to w Mysłowicach, czy te zaliczane do struktury obozowej. Więzieniami są również obozy koncentracyjne – gdzie przetrzymywani są między innymi więźniowie polityczni, ale które pełnią także rolę *Vernichtungslager*.

– Jedną z pierwszych konsekwencji nieprzynależności do tzw. niemieckiej wspólnoty narodowej były wysiedlenia...

– Gdyby się trzymać literalnie celu, dla jakiego została powołana DVL, to mieszkańcy tzw. ziem wschodnich powinni zostać natychmiast wysiedleni. Trzeba powrócić do procesu wysiedleń, który został zapoczątkowany na przełomie 1939/1940 r. i przeprowadzony na przykład na Żywiecczyźnie (ostatnio świetna publikacja na ten temat Mirosława Sikory powstała w IPN). Został on wstrzymany do czasu rozwiązania kwestii narodowościowych. Wysiedlenia na Górnym Śląsku nigdy nie zaistniały w stopniu zaplanowanym.

– Szacuje się, że wysiedlono z tego terenu około 80 tys. mieszkańców...

– Te wysiedlenia dotyczą tego pierwszego etapu, jeszcze przed wprowadzeniem Volkslisty i dotyczyły wyłącznie ludności napływowej oraz takich obszarów jak Żywiecczyzna, ale w porównaniu z Pomorzem czy Wielkopolską to niewiele. Nie oznacza to, że wysiedlenie nie nastąpiłoby po zakończeniu wojny, co podkreśla się w zachowanych dokumentach niemieckich. Ci, którzy napłynęli do województwa śląskiego po roku 1922, jeszcze w 1939 zostali deportowani, o ile w ogóle nie wyjechali bezpośrednio przed wybuchem wojny. W sierpniu 1939 r. bardzo duża grupa Polaków opuściła Górny Śląsk, przewija się ten wątek we wspomnieniach Górnoślązaków jako exodus przez most w Szopienicach. Decyzja ta była zresztą słuszna ze względu na zagrożenie represjami, które nastąpiły później.

– Represje dotykały grupy i społeczności, wobec których takie działania często były już przygotowywa-

ne przed wybuchem wojny. Znamiennym tego przykładem były Sonderfahndungsbuch Polen – księgi gończe, w których znalazły się m.in. nazwiska powstańców śląskich, duchowieństwa.

– Różny był los powstańców śląskich. Rzeczywiście znaleźli się oni w *Sonderfahndungsbusch Polen* i często byli aresztowani, a nawet mordowani we wrześniu. Największa ich liczba była przetrzymywana w obozie pod Gliwicami, a stamtąd najczęściej trafiali do obozu koncentracyjnego Buchenwald. Ale trzeba też powiedzieć, że część z nich wróciła z tego obozu pod koniec 1939 r. Udział w powstaniach nie był później wystarczającym powodem odmowy DVL, ten proces nadawania im volkslisty nasilał się, kiedy zintensyfikowano powołania do wojska. Dotyczyło to z reguły osób, które nie pełniły ważnych funkcji, chociaż znam i przypadek komendanta placu, który był w grupie odwołującej się, żeby dostać wyższą kategorię DVL. On szczerze pisze, żeby mu grupę IV zamienili na III. Bardzo trudno więc o jakiekolwiek uogólnienia. Ale najbardziej represjonowana była grupa III – powstańców śląskich, etnicznych Polaków, zaangażowanych w tworzenie państwa polskiego po 1922 r. Paleta represji stosowanych wobec ludności cywilnej była bardzo szeroka. W pierwszym okresie najczęściej obóz koncentracyjny. Później za działalność w ruchu oporu procesy przed *Sondergerichtem* kończące się ścięciem w Areszcie w Katowicach przy ul. Mikołowskiej albo publicznymi egzekucjami, które bardzo mocno wbiły się w pamięć mieszkańców. Najwięcej z nich przeprowadzono na Śląsku Cieszyńskim, co wynikało z silnego ruchu oporu – dotkliwego bo partyzantki. Do bardziej „miękkich" form represji zaliczamy te związane z odpowiednio sterowanym życiem codziennym: nadzór gestapo, pobicia w więzieniach, kiedy nie udowodniono winy, mamy na ten temat przejmujące relacje z Mysłowic czy z Bielska. Natomiast często zapomina się o dokuczliwej represji, jaką była konfiskata majątku. Tylko obywatele niemieccy mogli zatrzymać majątek nieruchomy, kto nie otrzymywał obywatelstwa, tracił go. Bardzo trudno było go odzyskać, nawet jeśli konfiskata nastąpiła przed 1940 r., a później otrzymano grupę DVL. Przewidywano tylko zwrot w postaci odszkodowania. Częsty dramat polegał na tym, że służący w niemieckim wojsku dowiadywali się o pozbawieniu rodziny majątku. Nazistowska polityka rasowa stała się przyczyną śmierci większości Żydów mieszkających na terenie rejencji katowickiej. Spośród około 90 tys. przeżyło jedynie kilka tysięcy i to tych, którzy zostali stąd wywiezieni – na przykład do obozów pracy na terenie Rzeszy. Ci, którzy pozostali, po okresie pobytu w gettach zostali pozbawieni życia w KL Auschwitz. Ale tragiczne i zarazem skomplikowane losy ludzi mieszkających na tych terenach rzutują na życie również po wojnie, co obrazuje następująca historia. W Sosnowcu istniała niewielka papiernia z niemieckim właścicielem mieszkającym tutaj już od XIX w. Ta papiernia między innymi przerabiała rzeczy z getta po jego likwidacji. Córka niemieckiego właściciela uciekła z Sosnowca przed nadciągającą armią radziecką. Jeszcze w kwietniu 1945 r. wyszła jednak za mąż za Żyda z zacnej rodziny adwokatów warszawskich, który cudem uniknął śmierci w obozie w Poniatowej. Kiedy w listopadzie 1943 r. rozstrzeliwano wszystkich osadzonych w tym obozie, przebywał na przesłuchaniu na Szucha, skąd uciekł nie mając pojęcia, co dzieje się w tym czasie w Poniatowej. Poprzez Żegotę otrzymał fałszywe dokumenty i trafił na roboty przymusowe do Niemiec. Po wojnie zaangażował się w ściganie zbrodniarzy hitlerowskich. Kiedy jego żona poznała całość wydarzeń wojennych, zerwała kontakt z ojcem. Jej córka nakręciła film o rodzinie... To nieprawdopodobna historia, która pokazuje, że te losy jednostkowe nie były takie proste.

– Na czym polegała specyfika ruchu oporu w tym regionie?

– Ruch oporu na Górnym Śląsku nie miał realnych możliwości rozwoju, stąd partyzantka występowała wyłącznie na Śląsku Cieszyńskim lub na pograniczu Generalnego Gubernatorstwa. Natomiast specyfika sytuacji – swobodne przemieszczanie się osób posiadających obywatelstwo, w tym żołnierzy Wehrmachtu, dawało duże możliwości wywiadowcze. Ciekawym zagadnieniem badawczym jest poziom penetracji ruchu oporu przez gestapo. Trudno ocenić skalę problemu, ponieważ nie posiadamy dostatecznej liczby materiałów źródłowych, ale pewnym wyznacznikiem jest stopień dekonspiracji: na przykład w inspektoracie katowickim, którego struktury nie zostały w końcu po kolejnej „wsypie" odbudowane, czy w inspektoracie bielskim po dwukrotnej wielkiej „wpadce". Dlaczego się tak działo? To właśnie efekt tej niejednorodności narodowościowej, która ułatwiała zakonspirowanie konfidentów. Znamy pojedyncze nazwiska, Grolik, Ulczok, Seeman. Jeśli rozważać szacunki ruchu oporu, to konfidentów było tutaj około 2,5 tysiąca, ale wiemy prawdopodobnie o wierzchołku góry lodowej. Nigdzie nie było takiego poziomu penetracji. Bardzo trudno było prowadzić wobec tego w porównaniu z innymi kręgami działalność konspiracyjną. Wiele byśmy się dowiedzieli na ten temat, gdybyśmy mieli dokumentację gestapo. Organizacja ruchu oporu wiązała się z olbrzymią skalą represji. Powrócono z tego powodu do egzekucji publicznych z pierwszego roku wojny, o czym może świadczyć ostatnia wielka egzekucja przeprowadzona jesienią 1944 r., kiedy gestapo powiesiło w Tychach pięciu więźniów z Oświęcimia. Sprawozdania z powiatów wskazują na panikę w strukturach niemieckiej władzy w czasie ożywienia oporu w okresie powstania warszawskiego, później przed nadejściem frontu. Warto podkreślić, że mimo odwołania akcji „Burza", dzięki pracy pojedynczych służb przy przejmowaniu i ratowaniu kopalń, udało się uchronić je przed zniszczeniem w 1945 r.

– Istotnym elementem polityki III Rzeszy wobec Górnego Śląska były kwestie gospodarcze. W październiku 1939 r. gauleiter Wagner w swoim wystąpieniu mówił o budowie na Górnym Śląsku „nowego Zagłębia Ruhry" Jednak ta propagandowa zapowiedź nie została zrealizowana. Jak zmieniała się rola tego regionu w gospodarce III Rzeszy?

– Realizacja planów gospodarczych wynikała bezpośrednio z sytuacji na frontach i w przypadku Górnego Śląska możemy mówić o trzech etapach. Josef Wagner i jego otoczenie zmierzało do stworzenia centrum gospodarczego na wschodzie jako części wielkiego Śląska. Te planowane inwestycje były olbrzymie: dwa kanały: Wisła – Odra i Odra – Dunaj, dokończenie istniejącej już autostrady i doprowadzenie jej do Krakowa z odgałęzieniem do Wiednia. Plany uległy zmianie po kampanii francuskiej, bo w ręce Niemców wpadły znacznie ciekawsze tereny przemysłowe, zwłaszcza Lotaryngia z nowocześnie rozwiniętym przemysłem. Zagłębie w Westfalii miało zapewnione dostawy, co rozwiązało problemy gospodarki Rzeszy. Kolejny etap gospodarczych planów wydaje się najciekawszy. Po sukcesach na wschodzie, realnym wydawało się stworzenie komplementarnego systemu gospodarczego z Zagłębiem Krzywego Rogu. Pochodząca stamtąd tania i wysokokaloryczna ruda przerabiana w hutach na Górnym Śląsku w formie półfabrykatów miała być

wysyłana do Westfalii. Wtedy planowano modernizację hutnictwa, o czym nie było mowy w początkowym okresie, kiedy stawiano tylko na górnictwo. Ten etap zakończył się wraz z końcem sukcesów militarnych na wschodzie. Później ograniczono się do utrzymania wydobycia węgla, który był podstawowym surowcem energetycznym dla całych Niemiec. Przebieg wydarzeń spowodował, że z wielkich planów modernizacyjnych niewiele w istocie zrealizowano, a eksploatacja gospodarcza miała w czasie wojny charakter wybitnie rabunkowy.

– Czy udało się zbilansować straty, jakie region poniósł w wyniku II wojny światowej?

– Były takie próby podejmowane w latach 70. przez prof. Andrzeja Szefera, ale jest to zagadnienie trudne do oszacowania, stąd bardziej skupiono się na wskazaniu okresów szczególnego terroru i strat. Ciekawe, że straty wśród ludności cywilnej będące efektem działalności aparatu terroru na obszarze Górnego Śląska były największe w pierwszym roku wojny.

– Które ze zjawisk społecznych II połowy XX wieku uważa pan za wynik i konsekwencję II wojny światowej?

– Tak naprawdę wojna przyspieszyła w dramatyczny sposób trwający już co najmniej od stulecia proces przesuwania się ludności w Europie środkowo-wschodniej ze wschodu na zachód. Rozpoczął się on w XIX wieku i miał początkowo głównie podłoże ekonomiczne. Takie zjawiska jak I i II wojna światowa były swego rodzaju tragicznym akceleratorem tych migracyjnych zjawisk. Pewnie bez obydwu wojen odpływ ludności niemieckiej i napływ polskiej na tereny leżące na wschód od Łaby wyglądałby inaczej i trwał przez całe stulecia. Wcale też nie musiał być nieodwracalny. Drugą, historyczną konsekwencją, według mnie, było to, że wojna wbiła zdecydowany klin nienawiści między Polakami i Niemcami. Wcześniej nie było takiego antagonizmu polsko-niemieckiego. Jeżeli już, to występował w zupełnie innej postaci, właściwie tylko w zaborze pruskim. Po II wojnie światowej bardzo trudno było przezwyciężyć historyczny balast. Górny Śląsk jest tutaj pewnym wyjątkiem. Kiedy od lat 60. rozpoczął się mozolny proces pojednania polsko-niemieckiego, poziom antagonizmu obydwu nacji był tutaj niższy, co pewnie wynikało z wielowiekowej koegzystencji i nigdy nie zerwanych więzi rodzinnych. To prowadzi nas i do trzeciej konstatacji. Ślązacy już przed wojną byli traktowani jako trochę „inni Polacy", a nasiliło się to po 1945 r. Na przykład sprawa DVL odgrywała na tym obszarze niewspółmiernie większą rolę niż na jakimkolwiek innym obszarze Polski. Nawet obecnie bywa nadal używana w dyskusjach politycznych. Ta tzw. polityka historyczna jest jednak do zaakceptowania tylko wtedy, kiedy służy tworzeniu wspólnoty dziedzictwa kulturowego. Akurat w tym przypadku należy pochwalić władze województwa, za ostatnio realizowaną praktykę upamiętniania w drodze uchwał ważnych dla tego regionu ludzi polityki, gospodarki i kultury. To na tym właśnie polega, chodzi o wiedzę i tworzenie pozytywnych wzorów edukacyjnych. Kiedy jednak w polityce używa się argumentów historycznych dla uzasadniania bieżących działań, to trudno mi to zaakceptować. Taka debata polityczna była typowa dla okresu, kiedy cenzura uniemożliwiała dyskusję i trzeba było ją prowadzić przy użyciu historycznych kostiumów. Zawsze mi się wydawało, że w polityce należy szukać argumentów odnoszących się do teraźniejszości i przyszłości, a „wykopywanie trupów z szafy" jest mało produktywne. Kiedy na przykład myślę o aktualnych problemach województwa śląskiego, to biorąc pod uwagę problemy z zatrudnieniem moich studentów wiem, że nie ma nic ważniejszego dla regionalnego polityka niż wzrost gospodarczy, przezwyciężanie skutków bezrobocia, tworzenie realnych wizji karier zawodowych. Argumenty historyczne (bo tak kiedyś było) są w tym przypadku mało przydatne. W historii traktowanej wybiórczo zawsze można znaleźć argumenty „za" i „przeciw" jakimś postawom i działaniom. To dotyczy również refleksji o II wojnie światowej. Wspólna Europa powstała w wyniku odrzucenia kategorii historycznych, które do niej doprowadziły. Zbliżenie niemiecko-francusko-włosko-belgijskie byłoby niemożliwe, gdyby wówczas politycy rozpoczęli dyskusję o historii.

– Nowe publikacje ostatnich lat podejmujące temat II wojny światowej na Górnym Śląsku poszerzają naszą wiedzę, świadczą o żywotności tego zagadnienia w regionalnej historiografii. Jakie obszary badań związane z tym okresem historycznym czekają jeszcze na opracowanie, uzupełnienie czy nowe odczytanie. Czy nowo utworzony Instytut Badań Regionalnych kierowany przez pana profesora planuje prace również na tym polu?

– II wojna światowa na Górnym Śląsku cieszyła się zawsze dość sporym zainteresowaniem, aczkolwiek badania te miały różne fazy. Nie jest na pewno tak, że stan badań jest w pełni zadowalający, ale w ostatnich latach ukazało się naprawdę sporo ciekawych prac. Wiele z nich powstało w ramach badań IPN (m.in. Dziuroka, Bębnika, Sikory, Namysło, Kurpierza). Moim zdaniem bardzo brakuje dzisiaj badań, które kładłyby większy nacisk na personalizację znanych nam już niekiedy procesów historycznych. Do tej chwili nadal nie mamy biografii ani Josefa Wagnera ani Fritza Brachta (chociaż w tym drugim przypadku możemy powiedzieć, że ten impas jest przełamany, powstała obszerna, świetnie udokumentowana praca doktorska pióra Mirosława Węckiego na temat górnośląskiego gauleitera). Także brak biografii osób odpowiedzialnych za terror na tym obszarze, m.in. Mildnera czy Thümmlera. Myślę, że nadal czekamy także na dobre prace monograficzne dotyczące kampanii wrześniowej na Górnym Śląsku w 1939 roku, a jeszcze bardziej działań militarnych w roku 1945. Wiele można by było oczekiwać również od opracowań skoncentrowanych na zagadnieniach życia codziennego w czasie wojny. Nie ulega wątpliwości, że wiele wskazanych już przeze mnie aspektów działalności ruchu oporu czeka również na swoich autorów. Zazwyczaj w historii jest jednak tak, że najciekawsze prace powstają nie na zamówienie, ale w wyniku dotarcia do nowych zasobów źródłowych. Wspomniałem już o nieznanych źródłach związanych z sądownictwem wojskowym. Ale przecież wiemy, że materiały dotyczące Górnego Śląska w czasie wojny z pewnością są również w archiwach byłego Związku Radzieckiego. Kiedy, i czy w ogóle będą dostępne, to pytanie od lat jest stawiane przez historyków. Nie należy też wykluczać znajdowania materiałów do tej pory nie udostępnianych, zarówno w Polsce jak i w Niemczech, czego przykładem są przygotowywane obecnie do druku tylko częściowo do tej pory znane raporty SD z Górnego Śląska. Z pewnością będziemy się starali tę tematykę wprowadzić do działalności Instytutu Badań Regionalnych, uruchamiając od przyszłego roku projekty dla badań indywidualnych. Jeżeli się to uda, to w perspektywie kilku lat, bo tak naprawdę taka jest perspektywa solidnych badań historycznych, możemy oczekiwać jeszcze wielu niespodzianek w opisie tego, co się wydarzyło na Górnym Śląsku w ciągu sześciu lat wojny. ■



Sprzedani

ANNA TOKARZ

Sosnowiec. 9.50. Słoneczny poranek. Niewielkie osiedle Kolonia Ludmiła. Okolica skąpana w zieleni. Sielski widok zakłócają sterty kumulujących się śmieci wokół przepełnionych kontenerów i ścieki płynące po chodniku. Mieszkańcy budynków przy ulicy Mikołajczyka, zostali sprzedani wraz ze swoimi mieszkaniami przez Spółdzielnię Sokolnia prywatnemu właścicielowi w lipcu ubiegłego roku. Lokatorzy zostali pozbawieni możliwości pierwokupu. O sprzedaży dowiedzieli się, gdy do ich drzwi zapukał nowy właściciel.

Krystyna

Jesteśmy w jednym z trzech białych bloków przy ul. Mikołajczyka. Malutki przedpokój bezpośrednio połączony z kuchnią. W zielonym pokoju na fotelu wyleguje się 11-letni kot Kacper, a na stole suszy się domowy makaron. Ściany skromnego mieszkania zdobią stare rodzinne fotografie. W kuchni krząta się pani Krystyna – zaparza kawę. Doświadczona przez życie, ale energiczna kobieta z niesamowitym błyskiem w oku. W wieku trzydziestu lat wychowując swojego niespełna dziewięcioletniego syna, pochowała męża. W 2004 roku, kiedy rozpoczął dorosłe życie i potrzebował pieniędzy, zaczęły się problemy finansowe. Pani Krystyna, aby mu pomóc, wzięła kredyt. Potem drugi. Później konsolidacyjny. Dziś kobieta musi przeżyć za 400 zł miesięcznie. Tyle zostaje jej z renty – resztę zabierają banki. Ona jednak nie poddaje się i jest pełna optymizmu. Szuka pracy i marzy o wycieczce do Chorwacji.

Luty 1979 roku. Dziesięć lat po ślubie nagle umiera mąż Pani Krystyny. Młoda, trzydziestoletnia kobieta zostaje sama ze swoim ośmioletnim synem.

– Pojechał na badania okresowe do Gliwic, trafił do szpitala… na obserwację – głos jej się łamie – zdążył tylko podjechać pod okno i powiedzieć, ze idzie do szpitala. Wypuścili go w sobotę, szedł pieszo kilometr do domu, a w niedzielę zabrało go pogotowie. Zmarł na izbie przyjęć. – opowiada jakby było to wczoraj. Dla lekarzy niemożliwym było, żeby trzydziestojednoletni mężczyzna mógł być chory na serce. – Zostałam sama z dzieckiem, w jednej izbie na poddaszu. Dostałam mieszkanie w Tychach. Czekając jeszcze dwa lata dostałabym je w Mysłowicach i mieszkałabym tam do dziś…

Pośpiech nie był dobrym doradcą. Mieszkanie przy Mikołajczyka, na które Pani Krystyna zamieniła swoje rodzinne na Pawiaku, znajduje się na wiekowym, robotniczym osiedlu.

– Fajnie się tu mieszka. Jest dużo zieleni, cisza i spokój. Wie pani, tu większość to sami starsi ludzie. Pamiętam, jak kiedyś dbano o nasze osiedle. Ja sama żywopłot przycinałam, sprawiało mi to wiele przyjemności. Sąsiad z naprzeciwka kosił trawę, iglaki sadził – wspomina Krystyna. – Dopiero teraz zaczęły się problemy. Nie pamiętam, kiedy ostatnio kontenery na śmieci zostały opróżnione! Szambo cieknie po chodniku! Co będzie jak przyjdą upały?

Niestety to nie jedyne problemy, z którymi się boryka. Większość jej emerytury zajął komornik i banki. Kobieta nie ukrywa jak jest jej ciężko.

– Jest okropnie ciężko! Ale się nie poddaję, bo jakby mi psychika siadła, to byłaby dopiero tragedia. Co będzie, to będzie! Ważne, że jeszcze zdrowie jest. W życiu nie przypuszczałam, że mnie coś takiego spotka. Takie problemy z mieszkaniem! Jakby mi to ktoś powiedział parę lat temu, to bym się biła, że głupoty gada i nienormalny jest. Dajcie spokój starym ludziom!

Mimo wszystko Pani Krystyna nie poddaje się. W wolnych chwilach dużo czyta – na tapczanie leży Infekcja Scott'a Siglera oraz zaczęta powieść Fleszarowej. Uwielbia rozwiązywać krzyżówki, tym bardziej że już kilka razy udało jej się wygrać.

– Krzyżówki bardzo lubię. Wygrałam dużo nagród, co roku coś mi się trafiło. W zeszłym roku wygraną przeznaczyłam na wycieczkę. A na samym początku wygrałam sprzęt AGD.

Te drobne rzeczy dają jej nadzieję na przyszłość. Dziś Krystyna dostała pracę i nadal marzy o wczasach w Chorwacji.

Po drugiej stronie – Zbigniew

Osiedle po drugiej stronie ulicy. Wśród drzew stoi dziewięć czerwonych, stuletnich bloków. Stare, zaniedbane i nieremontowane od lat. Największy walor? Zachwycająca zieleń, mimo zaniedbania nadaje temu miejscu wyjątkowy charakter. Mieszkańcy sami określili je „wsią w mieście". Tu wszyscy się znają, pomagają sobie jak mogą. Obcy od razu są tam zauważeni i bacznie obserwowani. Spotykam pana Zbigniewa – górnika z dziada pradziada, który wychował się tu i spędził całe życie. Zna chyba wszystkich. Choć musiał opuścić swoje mieszkanie, bardzo często wraca, by odwiedzić sąsiadów.

– Było nas 15 może 16. Z naszej starej paczki to nas tu tylko dwóch zostało: ja i Stefek. Po 54 latach musiałem się wyprowadzić! Wiecie, jak tu się mieszkało z dawien dawna? – pyta.

– Tu było wspaniale, zielono, czysto, a dzisiaj?

– Dalej jest przyjemnie.

– Ale o tą przyjemność trzeba dbać, a nie jak teraz. Zarośnięte i zaniedbane – pokazując na drzewa opowiada, że kiedyś było tam boisko. Za młodu wraz z kolegami całymi dniami grali tam w piłkę. Drzewa, które rosną tu dzisiaj, sadzili sąsiedzi, prawdopodobnie z jego ojcem, chociaż tego akurat nie pamięta. – Tam dalej – wskazuje na tereny za działkami – jest łąka na którą się szambo leje. Jest inwazja owadów. Nikt się tym nie interesuje. Przecież od tych śmieci to niedługo szczury będą biegać

– Z tego co słyszałam po tamtej stronie już się zaczęły pojawiać.

– Sama pani widzi, przy takiej stercie śmieci.

– Może opowie mi pan jak się tutaj dorastało?

– Och piękna sprawa! Tu było wiele młodzieży. Dorastało się tu fajnie i w zasadzie spokojnie. A wie pani, co to jest kaganek? Jak przyszła moda, to wszyscy kręcili kagankami! To jest puszka po konserwie, ta wyższa, dwie dziurki i drut. W środku rozpalało się ogień i się kręciło. Wieczorem, gdzie się nie spojrzało widać było światełka kręcących kagankami.

To nie była jedyna rozrywka młodych mieszkańców Mikołajczyka. Z każdą historią, twarz mężczyzny jaśnieje. Opowiada o rzucaniu juchą, zabawie w Indian i Zorro.

– Najlepsza zabawa to było Zorro! Pani Sasowej syn, Witek, on był Zorrem. Miał damkę, a my wszyscy za nim. Ja chyba nie muszę mówić kim byłem – no, sierżant Gar-

cia! Mieliśmy szable, łeb podskakiwał tylko na wszystkie strony jak jeździliśmy po działkach. Kupa śmiechu była.

Na pozór niewinne zabawy dostarczały wiele radości, ale też niekiedy problemów. Kiedy zaczyna opowiadać o psikusach robionych sąsiadom cierpnie mi skóra.

– Wieczorem podchodziło się do okna i we framugę wbijało gwózdek i zaciskało żeby zawiesić śrubkę, która swobodnie zwisała i ciągnęło się sznurek. Za którymś razem śrubka się odchylała i zaczęła stukać w okno – a my w krzakach. Co chwile sąsiad do okna, a tam nikogo. W jednym z bloków mieszkało dwóch takich których nie lubiliśmy. To co zrobiliśmy? Przywiązaliśmy sznurek bieliźniany do obu drzwi zapukaliśmy i w nogi. Oj tak, czasami nas pogonili! Policję wzywali? Czasami wzywali, ale to musieliśmy bardziej nabroić.

Lata młodzieńcze szybko jednak minęły, koledzy trafili do wojska, potem pożenili się i wyjechali. Tak i Zbigniewowi przyszło wydorośleć. Gdy wrócił z wojska też się ożenił, jednak jego historia nie skończyła się happy endem. Pracował ciężko na kopalni – przenosił rury. W 1992 roku odszedł z kopalni, by w 1993 zacząć pracę w hurtowni nabiału. Bez przerwy siedem lat na nocnej zmianie. Dziś, od ponad trzydziestu lat jest szczęśliwie żonaty. Od czterech pracuje jako listonosz. Mimo iż pan Zbigniew doświadczył wielu zmian, raz lepszych czasem gorszych, jedno w jego życiu pozostało niezmienne. Bez zastanowienia przyznaje:

– To najpiękniejsze miejsce… Tu spędziłem prawie całe życie.

Powiew młodości – Monika, Michał i Patrycja

Monika. Trzydziestoczteroletnia matka pięciorga dzieci. Po osiemnastu latach życia w bloku wróciła do mieszkania, które odziedziczyła po swoich rodzicach. Na Mikołajczyka docenia przestrzeń, zieleń i bezpieczeństwo, ponieważ ze względu na dzieci to dla niej najważniejsze. Mieszka tu od trzynastu lat. Bardzo ważne są dla niej relacje między sąsiadami, którzy w większości się znają.

– Dzieci mogą biegać po podwórku nawet cały dzień. Nie boję się o nie, bo wiem, że w razie czego któryś z sąsiadów rzuci na nie okiem.

Dzieci są bardzo zżyte ze sobą mimo że wielu ich tutaj nie ma. Brak tu zawiści, a sąsiedzi wiedzą o sobie prawie wszystko. W wolnych chwilach odwiedzają się, przychodzą do siebie na kawę, a przy dobrej pogodzie grillują wspólnie. Z dala od zgiełku. Jest cisza, spokój. Choć na pewno mogłoby być jeszcze lepiej.



– Spokojnie toczy się życie bez awantur rozrób, jeszcze żeby tylko pogoda dopisywała, to wtedy widać że osiedle żyje.

Na pytanie czy lubi to miejsce po chwili zawahania stwierdza jednak, że lubi.

– Mam tutaj korzenie za głęboko by myśleć o czym innym… Całe życie marzyłam żeby mieszkać na wsi, a tutaj mam tego namiastkę.

– Jak się taką piątkę wychowuje? Ciężko?

– Starszaki mi pomagają dużo, ale nie odczuwam jakiegoś zmęczenia czy nadmiernego obciążenia. Wiadomo, pięć razy więcej sprzątania, gotowania. I miłość trzeba jakoś podzielić na całą piątkę. – zamyśla się.

W jej głosie słychać żal. I choć twierdzi, że czuje się spełnioną kobietą jako matka, nie wydaje się być szczęśliwa.

Ładnie urządzone, przestronne mieszkanie w jednym z ceglanych bloków zamieszkuje sympatyczne małżeństwo: Michał i Patrycja. Oboje na Mikołajczyka mieszkają od pokoleń i pochodzą z tradycyjnych górniczych rodzin. Tu urodzili się, wychowali i tu rozkwitała ich miłość. Dziś są młodym małżeństwem z dwuletnim stażem i oczekują swojego pierwszego dziecka.

– Przyjdzie na świat w grudniu, już nie możemy się doczekać! Zakochałam się w Michale już jak byłam dzieckiem. Podobał mi się odkąd pamiętam – wyznaje rozpromieniona Patrycja. – Wraz z sąsiadką uknułyśmy plan. Wymyśliłyśmy, ze pójdę do niego na korepetycje z matematyki i tak nas zapozna.

Wtrąca się rozbawiony Michał:

– Wiedziałem! Ja czułem, że z tymi korkami to jakiś spisek, ale matematykę tłumaczyłem twardo. Gdy minęło parę lat owzajemnił to uczucie i tak już pozostało. Michał pracuje na kopalni.

– Ta praca przyciąga. Na dole jest zupełnie inny świat, ale ciekawy. Jak zjeżdża się na dół, to jakbym był odcięty od rzeczywistości. Trzeba na pewno dużo się nauczyć i być twardym. Szczęść Boże i do przodu! Ja jestem akurat elektrykiem. Nie ma co myśleć o niebezpieczeństwach, bo wtedy człowiek nie zrobiłby nic.

Żona bardzo bała się o męża, ale z czasem się do tego przyzwyczaiła. W rodzinie Michała całe pokolenia pracowały na kopalni. Patrycja od czterech lat pracuje jako specjalista sprzedaży w jednym z wydawnictw.

– To jest ciężka praca. Tym bardziej że w okresie letnim zwykle jest przestój, gdyż bazujemy głównie na placówkach oświatowych.

Niebawem czeka ją obrona pracy inżynierskiej z logistyki. Oboje przyznają, że mieszkają tu dlatego, że trafiła im się dobra okazja. Cieszą się również, że ich rodziny tu zamieszkują. Zawsze będą mogli liczyć na pomoc, gdy na świecie pojawi się dziecko. Michał marzy o własnym domu. Jednak to tutaj szykuje już pokój dla dziecka. Przyszli rodzice uważają, że dzieci na Mikołajczyka mają rewelacyjne warunki. Mogą biegać, grać w piłkę, nie trzeba ich zanadto pilnować. Wokół dużo zieleni i sami swoi. Brakuje tylko placu zabaw i boiska z prawdziwego zdarzenia. Małżeństwo uwielbia spacery nad pobliskie stawy. Niedawno odkryli kolejne wspólne zainteresowania. Jak powiedział Michał:

– Nigdy wcześniej nie wiedziałem, że Pati gra w ping ponga i to tak dobrze! Może kiedyś pójdzie ze mną na ryby…

Michał i Patrycja mają przed sobą jeszcze wiele czasu, by odkrywać siebie wzajemnie. Chcieliby tylko robić to w spokoju o dalszą przyszłość na Mikołajczyka.



Na Śląsku ciąg wydarzeń okupacyjnych dyktował plan likwidacji tego wszystkiego, co polskie lub co mogło jeszcze kojarzyć się z polskością. Na ten plan nakładał się inny, o podłożu ideologicznym, związany z planowaną fizyczną eksterminacją duchowieństwa i sprowadzeniem religii do sfery czysto prywatnej, przy jednoczesnym zgermanizowaniu wszelkich przejawów duszpasterstwa. W rejencji katowickiej plan ten realizowali – zdaniem prof. Ryszarda Kaczmarka – „dobrani ludzie" Waltera Springoruma – w administracji cywilnej, Josefa Wagnera i Fritza Brachta – w okręgu partyjnym oraz Heinricha Himmlera – w aparacie terroru. Na początku wojny włączały się do tego grupy Schutzstaffel der NSDAP Brunona Strekenbacha i Udo von Woyrscha, później między innymi katowiccy gestapowcy: Hans Dreier, Hermann Folkerts, Rudolf Wendt. Większość z nich należała do pokolenia, które w 1939 roku miało 40-45 lat.

Wydział Teologiczny Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach

Śląski Kościół z nastaniem okupacji

Ks. HENRYK OLSZAR

Diecezja

28 sierpnia 1939 roku, a więc w chwili, gdy było już całkiem oczywiste, że wybuch drugiej wojny światowej jest kwestią dni lub godzin, biskup Stanisław Adamski przypomniał w okólniku duchowieństwu i wiernym diecezji katowickiej: „W razie najazdu nieprzyjaciela pamiętać należy, że według prawa międzynarodowego okupacja przez wojska nieprzyjacielskie pewnego terenu nie zmienia i nie zawiesza przynależności jego do właściwego państwa, którego obywatelami ludność miejscowa być nie przestaje. Zmianę przynależności państwowej zaprowadzić mogą tylko międzynarodowe prawomocne traktaty pokojowe".

Biskup Adamski zwrócił również uwagę swoim duchownym na to, że winni pozostać w swoich parafiach, z wyjątkiem tych, którzy otrzymali wezwanie do czynnej służby wojskowej w charakterze kapelanów wojskowych. Tylko nieliczni księża wraz z wiernymi uciekali przed frontem na Wschód. Większość pozostała w swoich wspólnotach i ci też zapłacili najwyższą cenę za wierność wobec parafian, z którymi związali się na dobre i na złe. Pod wrażeniem represji, jakie spotykały księży w pierwszych dniach wojny, zwłaszcza znanych ze swoich przekonań narodowych, politycznych i działalności społecznej; biskup Adamski wprost radził ocalałym z pogromu ucieczkę za granicę. Niektórych duchownych przenosił do innych, mniej eksponowanych parafii, aby ukryć ich przed prześladowaniami ze strony Gestapo. Jest faktem, że w czasie okupacji w diecezji katowickiej nie został powołany żaden nowy proboszcz; wszystkie nominacje miały charakter tymczasowy.

Jeszcze przed wybuchem wojny biskup Adamski mianował wikariuszy generalnych z władzą delegowaną w okręgach duszpasterskich: cieszyńskim, rybnickim, tarnogórskim i lublinieckim. Uznał bowiem, że należy przygotować się „(...) na wypadek uniemożliwienia na skutek działań wojennych komunikacji jakiegoś rejonu diecezji z Kurią".

Rządca diecezji katowickiej spodziewał się także ataku na samą Kurię. Dlatego wyznaczył – z obawy o los biskupa Juliusza Bieńka – kolejnych wikariuszy generalnych. Przebieg działań wojennych przekreślił jednak sens i celowość jego działań, ponieważ Gestapo rozpoczęło poszukiwania księży wyznaczonych na rejonowych wikariuszy generalnych; słusznie zakładając, że chodzi o duchownych posiadających szczególnie zaufanie władz kościelnych.

Niemcom udało się zamknąć Wyższe Śląskie Seminarium Duchowne w Krakowie, które uznano za bastion polskiego szowinizmu. 3 listopada 1939 roku gmach seminaryjny, mieszczący się przy Alejach Mickiewicza 3 oraz kilka pobliskich budynków zajęła policja. Pozwolono wywieźć tylko wyposażenie seminarium oraz bibliotekę. Niemcy planowali przejąć gmach na własność. W 1942 roku zaproponowali nawet kupno budynku. Wobec wystosowanej przez wikariusza generalnego diecezji katowickiej groźby, że taka operacja wymaga zgody Stolicy Apostolskiej, władze okupacyjne przystały na propozycję dzierżawy. W styczniu 1944 roku została podpisana umowa dzierżawna, ze skutkiem prawnym od 1 listopada 1939 roku.

W grudniu 1939 roku 27 kleryków złożyło konspiracyjne egzaminy z teologii oraz przyjęło święcenia kapłańskie w kaplicy kurialnej w Katowicach. Pozostałym alumnom, którzy nie mieli jeszcze święceń subdiakonatu, groziło w przyszłości powołanie do Wehrmachtu. Śląscy teologowie – na polecenie biskupa Adamskiego – kontynuowali studia i przygotowywali się do kapłaństwa w Austrii i Niemczech, na Węgrzech, w Anglii, Francji, Hiszpanii i we Włoszech. W ten sposób do kapłaństwa doszło 15 diakonów. Na temat ich pobytu w seminariach zagranicznych nie pozostało zbyt wiele wspomnień. Godny odnotowania jest incydent, który odbił się szerokim echem w kręgach kościelnych archidiecezji wrocławskiej. Chodzi o akademię 3-majową w 1940 roku, zorganizowaną przez grupę śląskich kleryków w Widnawie, w czeskich Sudetach. Głośne śpiewy władze seminaryjne odebrały jeśli nie za prowokację, to co najmniej za przejaw bezmyślności. W konsekwencji wszyscy śląscy klerycy zostali karnie zwolnieni. Szukali dla siebie miejsca w różnych seminariach europejskich.

Władze kościelne w Katowicach nigdy nie pogodziły się z myślą, że diecezja traci bezpowrotnie możliwość kształcenia przyszłych kapłanów na własnym terenie. Niezależnie od tego, że wysyłano kleryków i alumnów do różnych seminariów na terenie Europy, w Katowicach nadal prowadzono budowę własnego seminarium duchownego

przy ul. Wita Stwosza 17. Kanclerz Kurii katowickiej, ks. Hilary Gwóźdź przekonany o rychłym zakończeniu wojny i ustabilizowaniu sytuacji wewnętrznej radził, aby czasowo oddać budynek wojsku – funkcjonującemu jako „Haus der Wehrmacht in Kattowitz" – i dzięki temu dokończyć budowę gmachu.

Biskup Stanisław Adamski nie uciekał. Nie opuścił Katowic. Pozostał jako dobry pasterz, służąc swojej owczarni. On i jego sufragan, biskup Juliusz Bieniek zetknęli się z surowymi środkami odwetu ze strony nazistów. 28 lutego 1941 roku dwunastu gestapowców – na czele z komisarzem Hansem Dreierem – deportowało ich do Generalnej Guberni. Zostali oni wywiezieni do Krakowa i wysadzeni przed pałacem arcybiskupim. Przyjął ich jako gości książę- arcybiskup Adam Stefan Sapieha. Biskup Kurpas pozostał w Krakowie, zamieszkał przy ul. Marka 10 i zaangażował się w akcję charytatywną. Biskup Adamski natomiast wyjechał do Warszawy, gdzie mieszkał przy ul. Kanonia 12 i z dala, przy pomocy kurierów, śledził wydarzenia na Górnym Śląsku i w Cieszyńskiem. Ponadto dyskretnie wpływał na ważniejsze decyzje zarządu diecezji, kierowanej przez wikariuszy generalnych ks. Franza Strzyza i ks. Franza Wosnitzę, dobrze przyjętych przez władze niemieckie, które podjęły z nimi rozmowy. W Warszawie też prowadził bardzo aktywne życie duszpasterskie. W stolicy przeżył powstanie. 2 października 1944 roku opuścił miasto w sutannie z teczką w ręku. Zatrzymał się na Jasnej Górze. Zdaniem samego Adamskiego, rozkaz usunięcia biskupów katowickich wydał gauleiter Fritz Bracht. Według opinii Wojciecha Borowskiego usunięto go z diecezji na rozkaz Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (Reichssiherheitshauptamt – RSHA). Powodem tej decyzji miały być jego ścisłe kontakty z wojewodą Michałem Grażyńskim. Poza tym było nie do pomyślenia, aby w Katowicach – stolicy prowincji górnośląskiej – urzędował polski biskup. Ponadto był realizowany plan – na szczęście bez powodzenia – powierzenia administracji diecezji katowickiej arcybiskupowi wrocławskiemu Adolfowi Bertramowi lub mianowania jej administratorem *reichsdeutscha* – biskupa Heinricha Wienkena. Stolica Apostolska zignorowała jednak ten postulat władz niemieckich.

W diecezji katowickiej nastąpiła konfiskata i rabunek mienia kościelnego. „Caritas" katowicki próbował różnymi sposobami zapobiec lub ograniczyć przejmowanie przez Niemców kościelnych ośrodków wychowawczych, domów starców, sierocińców i przedszkoli. Kolejna akcja konfiskat, wynikająca z zarządzenia z 14 sierpnia 1942 roku, dotknęła głównie majątku będącego

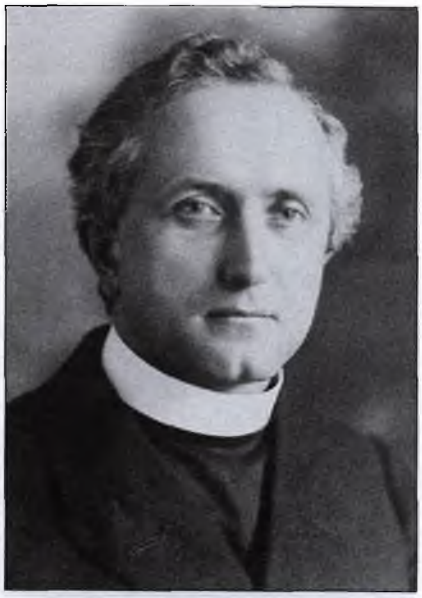

ks. Emil Szramek

własnością diecezji katowickiej i zakonów. Do połowy 1943 roku zostało zabranych 60 obiektów diecezjalnych oraz 37 obiektów zakonnych; przeznaczonych na szpitale, dla przesiedleńców i dzieci z miast oraz na siedziby Hitler-Jugend, wzorcowe zakłady wychowawcze NSDAP, koszary wojskowe, posterunki policji. Komisarycznym zarządcą konfiskowanej własności kościelnej w diecezji katowickiej został ustanowiony Hauptbereichsleiter Hans-Joachim Saalmann. Według opinii ks. prof. Jerzego Myszora; to, co działo się w Katowicach było swoistym testem do przeprowadzenia podobnej akcji na skalę ogólnoniemiecką.

Przez całą okupację trwał także rabunek dzwonów, dzieł sztuki, cennych archiwaliów, paramentów liturgicznych, parafialnych i należących do księży zbiorów bibliotecznych; nie uzasadniany żadnymi przepisami prawnymi, oparty jedynie na wewnętrznych instrukcjach poszczególnych instytucji, w tym głównie Gestapo. Diecezja katowicka straciła w ten sposób część zbiorów muzealnych, które w 1938 roku powierzyła w depozyt Muzeum Śląskiemu. W rabunkach tych można doszukać się pewnej prawidłowości. Gestapo brało nie tylko dokumenty najcenniejsze ze względów naukowych lub artystycznych, ale przede wszystkim te, które mogłyby świadczyć o polskości parafii. W ten sposób zniszczono bezcenne zbiory ks. Emila Szramka.

Duchowieństwo

W ostatnim okresie przed wybuchem konfliktu wojennego na polskim Śląsku doszło do silnego spolaryzowania postaw narodowych w duszpasterstwie. Najbardziej znanym tego przykładem stały się wydarzenia z czerwca 1939 roku, które doprowadziły do zawieszenia używania języka niemieckiego podczas nabożeństw. Tendencje te umocniły się po wkroczeniu Wehrmachtu. Ujawniły się zróżnicowane postawy ludności – od całkowitej identyfikacji grupy Ślązaków ze zwycięzcami do zupełnego odrzucenia wszelkich związków z Niemcami. Bardzo duża grupa przybrała „barwy ochronne". Okupant testował postawy duchowieństwa i ludności za pomocą „palcówki", a gdy ta powiodła się w marcu 1941 roku rozpoczęto tu masową akcję wpisu na listę narodowościową, zwaną powszechnie volkslistą. Trwa spór, który zdaje się nie mieć końca, o wpływ Kościoła katolickiego, w szczególności biskupa Adamskiego na przebieg „palcówki", a pośrednio na wyniki volkslisty. Jesienią 1939 roku, kiedy władze okupacyjne zaczęły wydawać tymczasowe dokumenty tożsamości, wielu katolików pytało swoich duszpasterzy, co należy napisać w rubryce „narodowość". Biskup po rozmowie ze swoimi doradcami, ks. Emilem Szramkiem, ks. Pawłem Latuskiem i ks. Bolesławem Kominkiem poradził, aby wpisać: „sprzyjający niemieckości". Sam natomiast, jako narodowość podał: „polska". W sprawie „maskowania się" wysłał do Stolicy Apostolskiej i rządu polskiego we Francji dwa obszerne memoriały. Istnieją nadal rozbieżne opinie na temat tego, w jakiej formie władze polskie na obczyźnie udzieliły odpowiedzi na raporty biskupa Adamskiego. W meldunku opracowanym przez Gestapo na użytek nadprezydenta Brachta czytamy, że w polskich audycjach radia BBC radzono górnośląskim Polakom, aby starali się o przyjęcie na Deutsche Volksliste (DVL) ze względu na pozostanie na miejscu. 25 maja 1940 roku ks. Franz Strzyz podpisał okólnik, w którym polecił, aby wszyscy księża należący do diecezji katowickiej odebrali w urzędach formularze volkslisty i wypełnili je. Treść okólnika współbrzmiała wyraźnie z ideą „przetrwania", głoszoną konsekwentnie przez biskupa Adamskiego. W efekcie po złożeniu wniosków o wpis na volkslistę prawie połowa księży w diecezji katowickiej otrzymała I-III grupę.

Jak się okazało, młode roczniki kapłanów, które pozostały na miejscu musiały się liczyć ze służbą w armii niemieckiej. Na podstawie wpisu na volkslistę władze sporządzały bowiem wykazy poborowych. Pierwszy sygnał dotyczący zamiarów wcielenia śląskich duchownych do Wehrmachtu odebrano 16 maja 1940 roku w Tarnowskich Górach. Wikariusze generalni w Katowicach zaczęli tworzyć nowe placówki duszpasterskie, w których osadzali samodzielnych duszpasterzy, tym samym ratując ich od służby wojskowej. Oka-

zuje się, że pobyt w Wehrmachcie mógł stać się jednym ze sposobów ukrycia przed czujnością Gestapo. Tak było w przypadku ks. Józefa Bołdy z IV grupą volkslisty, który za radą ks. Franza Wosnitzy poszedł do wojska, gdyż groził mu areszt i obóz koncentracyjny. Łącznie do niemieckiej służby wojskowej zostało powołanych z terenu diecezji katowickiej ponad 50 księży. Żaden z nich nie był kapelanem wojskowym Wehrmachtu; większość z nich służyła w formacjach sanitarnych, nieliczni w normalnych jednostkach liniowych. Życie straciło pięciu z nich: ks. Józef Krzykowski, ks. Alfons Sołtysik, ks. Hubert Brandys, ks. Józef Bernatowski i ks. Brunon Palutke.

W przeddzień wybuchu drugiej wojny światowej diecezja katowicka liczyła 489 księży. Prześladowania, jakie spotkały duchowieństwo, mocno przerzedziły jego szeregi. Niemcy przeprowadzili kilka akcji aresztowań księży. Powody były prozaiczne: zemsta na kapłanie, który naraził się parafianom niemieckim – zwłaszcza gorliwym zwolennikom ruchu nazistowskiego – aż po zaangażowanie w działalność podziemną i antyhitlerowskie wypowiedzi z ambony. Pierwsza fala zagłady towarzyszyła wkroczeniu Wehrmachtu na Górny Śląsk. W Gostyni Śląskiej i Gierałtowicach miały miejsce samosądy na kapłanach. Zginęli wtedy bestialsko zamordowani księża: Tomasz Mamzer i Władysław Robota. Drugi etap aresztowań nastąpił od połowy września do końca grudnia 1939 roku. Wśród 73 księży, działaczy plebiscytowych i powstańczych, których wybuch wojny zastał przy życiu, aż 41 było wtedy represjonowanych. Wielu uratowało życie przenosząc się dobrowolnie lub pod przymusem na teren Generalnej Guberni, do diecezji wrocławskiej lub w głąb Niemiec – do biskupstw z siedzibą w Trewirze, Moguncji, Monastyrze, Fuldzie, Miśni i Berlinie. Wreszcie w okresie od 8 kwietnia do 30 czerwca 1940 roku okupanci przeprowadzili trzecią falę represji i aresztowań, w wyniku której w więzieniach w Bielsku, Cieszynie, Chorzowie, Katowicach, Krakowie, Lublińcu, Pszczynie, Raciborzu, Rybniku, Sosnowcu, Tarnowskich Górach, Zabrzu i Żorach oraz w niemieckich obozach koncentracyjnych w Dachau, Mauthausen-Gusen i Auschwitz znalazło się znowu 41 duchownych katolickich (w kwietniu – 20 księży, w maju – również 20 księży i w czerwcu – ks. Zygmunt Krzyżanowski).

W połowie grudnia 1939 roku biskup Adamski wystosował obszerne pismo do katowickiego Gestapo, w którym zaprotestował przeciwko prześladowaniu duchowieństwa i domagał się wyjaśnienia losów 23 kapłanów. Aresztowanych księży bronił, choć była to sprawa beznadziejna. Na swoje pismo nie otrzymał żadnej odpowiedzi. W sumie – jak podaje ks. Józef Gawor – aż 281 księży i kleryków spotkało się z różnego rodzaju represjami (57 z nich poniosło śmierć). Natomiast według obliczeń ks. Franciszka Maronia liczba duchownych diecezji katowickiej, dotkniętych terrorem hitlerowskim wynosiła 157 osób (64 z nich zginęło, a 93 przetrzymało obozy i więzienia, i doczekało się wolności).



ks. Bolesław Kominek

Represji okupanta wśród księży nie należy tłumaczyć wyłącznie motywami politycznymi i narodowościowymi. Wynikałoby z tego, że nie mamy prawa mówić o nich, jako o męczennikach za wiarę, lecz jedynie uznać ich za męczenników sprawy polskiej. W gronie 108 Błogosławionych Męczenników – duchownych i świeckich – znaleźli się dwaj kapłani diecezji katowickiej: Józef Czempiel i Emil Szramek. W okresie międzywojennym ks. Czempiel był znanym na Górnym Śląsku kontynuatorem akcji abstynenckiej propagowanej wcześniej przez ks. Jana Kapicę, a także cenionym działaczem społecznym i narodowym, szanowanym duszpasterzem – proboszczem robotniczej parafii Wniebowzięcia NMP w Chorzowie, wychowawcą nowych pokoleń księży. Wiedząc, że jest poszukiwany przez Gestapo we wrześniu 1939 roku – po przejściu frontu – mimo tego powrócił do parafii, aby dalej służyć wiernym, powierzonym jego opiece przez biskupa. Zginął w Dachau 4 maja 1942 roku, w tzw. transporcie inwalidów. Jego imię nosi Dom Księży Emerytów w Katowicach, którego najstarsi mieszkańcy pamiętali go osobiście, a biskup Ignacy Jeż – za odprawienie mszy świętej za zmarłego ks. Czempiela – został zesłany do obozu koncentracyjnego w Dachau. Błogosławiony Józef Czempiel jest wzorem dla wszystkich kapłanów śląskich – zwłaszcza proboszczów – oraz wiernych. Jest symbolem postawy wierności swoim przekonaniom bez względu na konsekwencje, jakie mogą spotkać ofiarnych duszpasterzy. Kilka miesięcy wcześniej w obozie w Dachau zginął ks. Emil Szramek, proboszcz parafii Niepokalanego Poczęcia NMP w Katowicach. W okresie międzywojennym był pierwszym budowniczym katedry, kanclerzem Kurii Administracji Apostolskiej. Z zamiłowania był koneserem sztuki, bibliofilem, znanym w kołach naukowych – nie tylko na Górnym Śląsku – historykiem Kościoła i znawcą folkloru. Mógł uniknąć obozu, gdyby przeniósł się zgodnie z decyzją władz okupacyjnych na teren Generalnej Guberni. Został wtrącony za druty obozowe w kwietniu 1940 roku. W Dachau, na ostatnim przystanku drogi krzyżowej, był niekwestionowanym przywódcą księży śląskich. Podnosił więźniów na duchu, głosił kazania, w których dawał wyraz nadziei na odrodzenie Polski. Wobec prześladowców zachowywał się z godnością i spokojem. 13 stycznia 1942 roku został zamordowany na izbie chorych strumieniami lodowatej wody. Razem z nimi beatyfikowano górnośląskich zakonników – werbistów: Stanisława Kubistę z Kostuchny i Ludwika Mzyka z Chorzowa Starego. Warto też wspomnieć o toczącym się procesie beatyfikacyjnym drugiej grupy polskich męczenników z okresu drugiej wojny światowej. Nie ma wśród nich kapłanów archidiecezji katowickiej, ale są wywodzący się z jej terenu zakonnicy – ofiary nazizmu i postacie mało znane na Górnym Śląsku – misjonarze św. Wincentego à Paulo: Norbert Kompalla z Orzegowa, Józef Słupina z Chorzowa i Jan Wagner z Piasku; salezjanie: Jan Świerc z Chorzowa, Franciszek Harazim z Osin koło Żor, Karol Gołda z Tychów i Franciszek Miśka ze Świerczynowca; werbiści: Józef Huwer z Rogowa nad Olzą i Roman Kozubek z Paniówek, franciszkanin Euzebiusz Józef Huchracki z Katowic; jezuita Franciszek Kałuża z Rudy Śląskiej i duchacz Paweł Barański z Janowa Miejskiego. Obok nich aresztowanie i represje, często zakończone śmiercią, nie ominęły między innymi księży: Jana Gajdy (nawet w szpitalu był pilnowany przez straż), Piotra Klimka, Franciszka Ścigały i Ludwika Wrzoła (Gusen), Józefa Kwiczały i Stefana Szwajnocha (wysiedlonych do Generalnej Guberni) oraz Adolfa i Jana Pojdów, a także Rudolfa Tomanka (Dachau). Byli oni znani z działalności społecznej i politycznej.

Szeregi młodszego duchowieństwa były zradykalizowane. Spośród nich wywodzili się ci, którzy – mimo przestróg starszych księży – szukali bardziej zdecydowanych form oporu. Zaistniała też potrzeba niesienia konspiracyjnej po-

mocy tym, których okupant wyłączył spod prawa – rodzinom, których członkowie zostali osadzeni w obozach koncentracyjnych; członkom rodzin partyzantów i wysiedlonym. Wśród księży znaleźli się i tacy, którzy świadomie wybrali udział w zbrojnym ruchu oporu. Biskupi katowiccy i wikariusze generalni wiedzieli o tej działalności i wspomagali milcząco, a nierzadko aktywnie. Od pierwszych dni okupacji zaczął działać w konspiracji ks. Józef Kania, kapelan inspektoratu rybnickiego Armii Krajowej, występujący pod pseudonimem *Ojciec Michał*. Nazywany był on przez esesmanów „Partisanenpriester" i poszukiwany listem gończym. Księdzem-partyzantem można nazwać także ks. Józefa Adamieckiego, wikarego z Jabłonkowa, jedną z czołowych postaci Związku Walki Zbrojnej na Zaolziu.. Członkiem górnośląskiego ruchu oporu był ks. Bolesław Kominek – pełnomocnik Delegatury Rządu na Emigracji do spraw kościelno-społecznych. Duszpasterzami partyzantów byli: ks. Jan Urbaczka z Istebnej i ks. Franciszek Jastrzębski z Czechowic. Jedną z barwnych postaci wśród księży-członków ruchu oporu był administrator z Pogrzebienia, ks. Jan Król. Dokładnie nie jest też znana sprawa udziału ks. Waltera Gąski, proboszcza z Koszęcina, w działaniach grupy spiskowców, mających na celu obalenie Adolfa Hitlera w 1944 roku.

Duszpasterstwo

Jedno z pierwszych rozporządzeń, które dotknęło organizacje i stowarzyszenia kościelne diecezji katowickiej, było datowane na 2 października 1939 roku i podpisane przez Otto Fitznera – szefa zarządu cywilnego w Katowicach. Zarządzenie było skierowane przede wszystkim przeciw świeckim stowarzyszeniom polskim, a także – jak wynika z przebiegu akcji likwidacji – kościelnym. Największe niebezpieczeństwo, z punktu widzenia ideologicznego i politycznego budziła Akcja Katolicka. Z tych restrykcji wyłączono tylko związki kościelne o celach wyłącznie dewocyjnych oraz te niemieckie stowarzyszenia – niekoniecznie kościelne – które były zrzeszone w „Deutsche Kulturbund für Oberschlesien". Likwidacji uległy również czasopisma katolickie – tygodnik „Gość Niedzielny" i jego niemiecki odpowiednik „Sonntagsbote" oraz czasopisma parafialne, tzw. Pfarramtliche Nachrichten.

Władzom niemieckim ze względów ideowych przeszkadzały krzyże w salach szkolnych. W tej akcji posługiwano się argumentami o potrzebie tolerancji i równości wszystkich wyznań. Jakiś funkcjonariusz partyjny z Katowic zauważył, że w salach szkolnych powinien

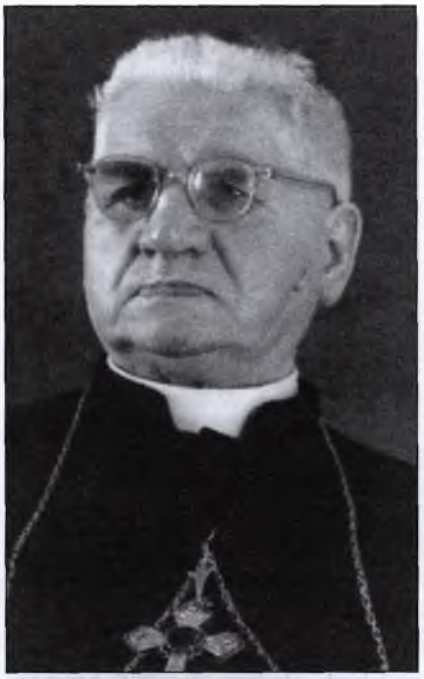

Bp. Stanisław Adamski

raczej wisieć portret Führera, natomiast „ozdoby" (Schmuck) w klasach, które mają być może znaczenie dla określonego związku wyznaniowego należy wycofać. Polecił usuwać krzyże z sal szkolnych w okresie ferii letnich, aby nie wzbudzić niepokojów wśród rodziców.

W ramach niszczenia wszelkich śladów polskości restrykcjom poddano również katechizację prowadzoną w języku polskim. Prezydent rejencji Walter Springorum 2 marca 1940 roku zarządził, aby dzieci uczęszczające do szkół niemieckich przygotowywane były do pierwszej spowiedzi i Komunii świętej wyłącznie w języku niemieckim, zaś inni uczniowie – według życzenia rodziców. Władze szkolne mogły oddać parafiom sale szkolne do katechizacji przygotowawczej do sakramentów, ale nie obligatoryjnie, lecz dobrowolnie, co w konsekwencji – w wyniku postawy kierownictwa szkół – spowodowało powolne wycofywanie nauki religii ze szkół. Tak więc z końcem roku szkolnego 1940-1941 katechizacja została definitywnie – z nielicznymi tylko wyjątkami – usunięta z terenu szkolnego. Przygotowanie dzieci do sakramentów odbywało się odtąd prawie wyłącznie w kościele i w prowizorycznych pomieszczeniach przykościelnych. W 1943 roku, w sprawozdaniu przygotowanym na potrzeby wikariusza generalnego diecezji katowickiej ks. Franza Wosntzy; zamieszczono zdanie, że jeszcze w około 5% ogólnej liczby szkół odbywała się nauka religii. Ograniczenia zmusiły duszpasterzy do zorganizowania zastępczych form katechizacji. Okólnikiem z 22 września 1941 roku Kuria katowicka wprowadziła obowiązek zorganizowania w każdej parafii tzw. „godzin duszpasterskich" – poza normalnym cyklem przygotowawczym do sakramentów. W jednej „godzinie duszpasterskiej" miało brać udział nie więcej niż 60 dzieci. Jednym z pierwszych, który to uczynił był ks. Eryk Dzieżok, administrator parafii św. Pawła w Pawłowie, który w salce nad zakrystią gromadził młodzież na katechizację i stowarzyszenia kościelne na wspólną modlitwę. Celebrował dla nich także nabożeństwa w języku polskim.

W kilka dni po zakończeniu działań militarnych biskup Adamski polecił przywrócenie nabożeństw w języku niemieckim na terenie diecezji katowickiej, zawieszonych od końca czerwca 1939 roku. Prezydent rejencji katowickiej Walter Springorum – w czasie swojej pierwszej rozmowy z nowo mianowanym wikariuszem generalnym diecezji katowickiej, ks. Franzem Strzyzem, do której doszło w połowie lutego 1940 roku – wprawdzie zapewniał przedstawicieli Kurii katowickiej, że władze niemieckie na mają żadnego planu ograniczenia nabożeństw prowadzonych w języku polskim, ale jednocześnie domagał się, aby wikariusz generalny zażądał od księży opanowania języka niemieckiego w stopniu pozwalającym na prowadzenie w nim duszpasterstwa parafialnego. Znajomość języka niemieckiego stała się podstawą do zatwierdzenia na stanowisku rządcy parafii lub lokalii. Wiosną 1940 roku w wielu parafiach diecezji, pod naciskiem lokalnych władz partyjnych i Oddziałów Szturmowych NSDAP (SA), zaczęto wycofywać język polski z kazań i nabożeństw. W Istebnej i Skoczowie już od początku okupacji zakazano odprawiania polskich nabożeństw. Biskup Stanisław Adamski polecił, aby od 3 czerwca 1940 roku w górnośląskiej części diecezji katowickiej zawiesić używanie języka polskiego w nabożeństwach popołudniowych, modlitwach i śpiewach w czasie mszy świętej. Zawieszone zostały także kazania w języku polskim oraz używanie tegoż języka w trakcie zebrań towarzystw kościelnych, które jeszcze ostały się w diecezji po październiku 1939 roku. Jednocześnie polecił szersze wprowadzanie do praktyki duszpasterskiej języka łacińskiego.

Dekret biskupa Adamskiego został w diecezji przyjęty ze zrozumieniem, choć nie bez goryczy. W zasadzie we wszystkich parafiach tzw. pruskiego Śląska przestano używać języka polskiego w duszpasterstwie, z wyjątkiem konfesjonału. Jednym ze sposobów omijania dekretu przez księży było używanie tzw. języka śląskiego czyli gwary, ale i to groziło ostrymi represjami w razie ujawnienia takich faktów. Chociaż spowiedzi świętej nie dotyczył żaden formalny zakaz używania języka polskiego, władze hitlerowskie usiłowały i z tego miejsca usunąć polską mowę.

Biskup Adamski podkreślał, że w tym przypadku nie ma kompromisu. Należy w takim języku odprawiać spowiedź świętą, w jakim penitent ujawnia swoje grzechy przed spowiednikiem. Historia diecezji katowickiej i tu ma swoich męczenników. Ks. Franciszka Górkę, proboszcza z Bujakowa, aresztowano na skutek denuncjacji agenta Gestapo za słuchanie spowiedzi w języku polskim. Wszyscy księża świeccy, uczestnicy ankiety ogłoszonej w „Gościu Niedzielnym", zgodnie podkreślali, że w konfesjonale respektowano język, jakim posługiwał się penitent. W kontaktach towarzyskich kapłani mówili językiem, w jakim ktoś się do nich zwracał. W kancelarii parafialnej – podobnie. Wśród księży były oczywiście wyjątki – mówiono ostentacyjnie po polsku lub po niemiecku, w zależności od przekonań narodowych. Większość z nich bała się, ponieważ w czasie okupacji trudno było rozpoznać, kto jest kim.

Inne zasady używania języków polskiego i niemieckiego były przewidziane dla tej części diecezji katowickiej, która kiedyś wchodziła w skład diecezji wrocławskiej w postaci Wikariatu Cieszyńskiego, a przed pierwszą wojną światową była częścią zaboru austriackiego. Zarówno władze okupacyjne, jak i władze kościelne były zgodne w tym, że powszechne wprowadzenie języka niemieckiego do duszpasterstwa w Cieszyńskiem i Bielskiem mija się z celem, ponieważ do wybuchu wspomnianej wojny nie było tu prawie żadnych szkół niemieckich. Miejscowe władze dążyły stopniowo, ale konsekwentnie do wyrugowania języka polskiego z duszpasterstwa. W pierwszej kolejności należało – zdaniem Niemców – wprowadzić we wszystkich parafiach przynajmniej jedną mszę świętą ze śpiewami i kazaniem w języku niemieckim. Wyjątek stanowiły Bielsko i Cieszyn, gdzie duszpasterstwo miało być prowadzone wyłącznie w języku niemieckim. W Skoczowie, Wiśle i Ustroniu – z nakazu władz okupacyjnych – rozpoczynano polskie nabożeństwa o tej samej godzinie, aby w ten sposób wierni „nie podróżowali z jednej miejscowości do drugiej".

Po wcieleniu części Śląska do Trzeciej Rzeszy władze okupacyjne wprowadziły niemieckie ustawodawstwo dotyczące zawierania małżeństw w sposób zróżnicowany – w zależności od przeszłości historycznej tychże ziem. Nowe rozporządzenia wykonawcze uzależniły zawarcie związku małżeńskiego przez Polaków od zgody władz na terenie miejsca zamieszkania, konkretnie od landrata. Od września 1940 roku na obszarach wcielonych istniał zakaz zawierania małżeństw między osobami narodowości polskiej i niemieckiej. W prowincji śląskiej (górnośląskiej) zakaz ten rozszerzono na obywateli



ks. Jan Macha

polskich, którzy zostali przyjęci na volkslistę. Pragnący przyjąć ślub kościelny mieli obowiązek wpierw – zgodnie z prawem obowiązującym w Prusach od 1875 roku – zawrzeć go w urzędzie stanu cywilnego. W związku z tymi ograniczeniami, na które nadto nałożyły się trudności w używaniu języka polskiego w duszpasterstwie; władze kościelne w diecezji katowickiej doszły do wniosku, że trzeba wprowadzić zasadę przyjmowania ślubów tajnych, zgodnie z zasadami prawa kanonicznego (kan. 1098). Biskup Stanisław Adamski zaprowadził tę praktykę i powiadomił o tym kard. Adolfa Bertrama w lutym 1941 roku.

Pierwsze ograniczenia w obchodzeniu świąt kościelnych wprowadzono w związku z uroczystością Bożego Ciała w 1940 roku. Z polecenia władz rejencji katowickiej obchody uroczystości przeniesiono na niedzielę, 26 maja 1940 roku. Zakazano głoszenia kazań i śpiewów w języku polskim w czasie procesji. Wykluczone zostały z niej poczty sztandarowe z polskimi napisami. W procesji można było przejść ulicami w granicach jednej parafii z tym, że w miastach – tylko na obszarze kościelnym lub ulicach przylegających do świątyni. Zniesiono także uroczystość śś. Apostołów Piotra i Pawła, jako dzień wolny od pracy; zaznaczając jednak, że w omawianym roku można było ją obchodzić w kościele według porządku świątecznego. Ograniczając lub usuwając obydwie uroczystości władze okupacyjne w Katowicach wyprzedziły w czasie rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych Trzeciej Rzeszy Wilhelma Fricka z 6 października 1940 roku. Frick oznajmił bowiem, że w okresie wojny uroczystości Trzech Króli, Matki Bożej Gromnicznej, śś. Piotra i Pawła, Wniebowzięcia NMP, Wszystkich Świętych i Niepokalanego Poczęcia NMP są dniami roboczymi. Rozporządzenie to nie tylko wymazywało święta z kalendarza państwowego, ale także zakazywało proboszczom obchodzenia ich w kościele w porządku świątecznym, tzn. nie można było odprawiać mszy świętej po godzinie siódmej rano i przed godziną dziewiętnastą wieczorem. Prezydent rejencji katowickiej Walter Springorum, informując o tym zarządzeniu wszystkie podległe instancje, określił również sposób obchodzenia uroczystości Wszystkich Świętych. Należało ją przenieść na najbliższą niedzielę, tj. na dzień 3 listopada 1940 roku. Zezwolił jedynie na urządzenie procesji według zasad ustalonych dla Dni Krzyżowych i Bożego Ciała. Obchody nadchodzących świąt Bożego Narodzenia także uległy ograniczeniom. Z uwagi na nakaz zaciemnienia zabroniono urządzenia pasterki. W tej sytuacji Kuria katowicka poleciła przenieść obchody pasterki na wieczór wigilijny; można ją było również odprawić wczesnym rankiem w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia.

Nie było to ostatnie ograniczenie w obchodach świąt kościelnych. W 1941 roku księżom katolickim zakazano urządzania procesji w Dni Krzyżowe. 15 maja 1941 roku wspomniany minister spraw wewnętrznych Wilhelm Frick podpisał kolejne rozporządzenie, zmieniające na czas wojny dla obszaru Prus ustawę z 27 lutego 1934 roku o ochronie świąt uznanych przez państwo. Zawieszeniu – jako dzień świąteczny – uległa uroczystość Wniebowstąpienia NMP. To ograniczenie spowodowało powszechny bojkot ze strony księży katolickich w całych Niemczech. W diecezji katowickiej kapłani również powszechnie nie zastosowali się do zakazu. Z tego powodu 72 duchownych zostało ukaranych grzywną pieniężną w wysokości 20 tys. Reichsmark (RM) lub aresztem.

Na równi z procesjami ograniczeniom uległ też ruch pielgrzymkowy. Władze prowincji górnośląskiej wprowadziły na obszar diecezji katowickiej zasady obejmujące pielgrzymów na terenie Altreichu; z tym zastrzeżeniem, że w pojęciu *althergebracht* wprowadzono konkretnie sprecyzowany termin – *tradycyjne* pielgrzymki to te, które datują się sprzed 1931 roku. Ponadto władze niemieckie zaleciły, aby – mając na uwadze bezpieczeństwo uczestników – parafie powstrzymały się raczej z urządzaniem pielgrzymek, których planowanie należało zgłosić 14 dni wcześniej. Jak wynika z analizy źródeł, formalnie nie było przeszkód w organizowaniu pielgrzymek, zwłaszcza jeśli były one organizowane pod szyldem niemieckim. Jednak w praktyce, co wykazuje statystyka, od wybuchu wojny polskie pielgrzymki zamarły całkowicie, a liczba niemieckich uległa znacznej redukcji.

Z chwilą wybuchu wojny i włączenia części terytorium polskiego do Altreichu problem wywłaszczenia cmentarzy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Trzeciej Rzeszy, powiązano z rozdziałem narodowościowym na terenach wcielonych. W czasie okupacji zostały „skomunalizowane" wszystkie cmentarze, które były własnością parafii. Niemieckie władze w Katowicach zażądały w 1942 roku od Kurii katowickiej, aby pogrzeby Polaków i Niemców odbywały się na oddzielnych cmentarzach lub w osobnych kwaterach. Gauleiter Fritz Bracht polecił, aby gminy przejęły nekropolie w zarząd i użytkowanie, począwszy od 1 stycznia 1943 roku. Władzom okupacyjnym chodziło jednak nie tylko o przejęcie cmentarzy, lecz również o wprowadzenie na nich „podziału narodowościowego" i pozbawianie miejsc publicznych charakteru religijnego.

Dobroczynność

Od samego początku okupacji w diecezji katowickiej spontanicznie rozwinęła się akcja niesienia pomocy głównie tym rodzinom, które w wyniku represji okupanta straciły ojców. Pomocy nieoficjalnie udzielały poszczególne parafie, związek diecezjalny „Caritas", członkowie towarzystw parafialnych, księża. Akcja miała charakter indywidualny i nieformalny. Ks. Gerard Bańka, przez cały czas okupacji proboszcz w Łaziskach Górnych, napisał: „Księża wydatnie wspierali materialnie (pieniądze, żywność i odzież) rodziny polskie, przeważnie matki i dzieci, których mąż i ojciec był za granicą, w GG czy w obozie".

Na terenie Imielina prowadzono indywidualną akcję niesienia pomocy biednym i rodzinom polskim pozbawionym kartek żywnościowych. W parafii piekarskiej działalność charytatywną na dużą skalę rozwinął ks. Henryk Ligoń. Objęła ona wysiedlonych i rodziny, których jakiś członek znalazł się w obozie koncentracyjnym. Podobnie uczynił w Józefowcu ks. Paweł Michatz. Ks. Wilhelm Dłucik poświadczył natomiast, że w Leszczynach wspomagano indywidualnie Żydów, podobnie jak odnotowano to w Skoczowie i Zebrzydowicach oraz Chełmie, Bieruniu i Michałkowicach. Kilku księży pracujących w duszpasterstwie w okolicach Oświęcimia – ks. Paweł Macierzyński, ks. Jan Trocha, ks. August Zając, ks. Teofil Szczerbowski – zaangażowało się na rzecz pomocy więźniom obozów koncentracyjnych, szczególnie wiele troski poświęcając więzionym w nim kapłanom. Cechy zorganizowanej konspiracyjnej akcji charytatywnej miała działalność grupy młodzieży, skupionej



ks. Józef Czempiel

wokół ks. Ignacego Jeża, w parafii Wniebowzięcia NMP w Chorzowie Batorym. Za podobną działalność ks. Jan Macha i jego współpracownicy zapłacili najwyższą cenę, co udokumentowała Dagmara Drzyzga w filmie *Bez jednego drzewa las lasem zostanie* (2011). Kapłan stanął na czele powołanej przez Związek Walki Zbrojnej „Opieki Społecznej", której celem było pozyskiwanie pieniędzy na cele charytatywne. Zebrane fundusze ks. Macha przekazywał rodzinom aresztowanych lub rodzinom ojców, którzy nie powrócili z frontu. Ta działalność nie uszła uwagi Gestapo. Latem 1941 roku z pomocą Heleny Matejanki, wpadło ono na trop konspiracyjnej akcji ks. Machy i kleryka Joachima Gürtlera. Na podstawie list współpracowników, które dostały się w ręce tajnej policji nastąpiły liczne, tragiczne w skutkach aresztowania. Wikariusz generalny interweniował u najwyższych władz niemieckich, między innymi za pośrednictwem nuncjusza Cesare Orsenigo w Berlinie. Mimo interwencji, ks. Macha został osadzony, skazany na śmierć i ścięty na gilotynie w Katowicach.

Pod przewodnictwem ks. Bolesława Kominka – poza oficjalnym „Caritasem" uznanym przez władze niemieckie – działał w Kurii katowickiej swego rodzaju punkt koordynowania pomocy charytatywnej. Wysyłano stąd lekarstwa, paczki żywnościowe, modlitewniki i pieniądze na teren Generalnej Guberni oraz do obozów koncentracyjnych, oflagów i stalagów.

Na terenie rejencji katowickiej znajdowało się kilka więzień i aresztów, do których docierali księża katoliccy z posługą duszpasterską. W pierwszym okresie okupacji nie mieli oni żadnego dostępu do uwięzionych. Dopiero od stycznia 1940 roku kierownictwa więzień w Lublińcu, Bielsku, Katowicach, Pszczynie i Rybniku poprosiły Kurię katowicką o wyznaczenie kapelanów. Ks. Joachim Besler SVD sprawował opiekę duszpasterską w więzieniu katowickim przy ul. Mikołowskiej, gdzie celebrował msze święte i spowiadał więźniów. Miał on też prawo spędzać ze skazanymi na karę śmierci ostatnie godziny życia. W ten sposób przygotował na śmierć blisko 500 osób, wśród nich także wspomnianego już ks. Machę. Obowiązek asystowania przy wyroku śmierci spadał w więzieniu katowickim na tzw. Miltärpfarrer, którym do 1942 roku był ks. Franz Schöltzel z Nysy. Pod koniec wojny urzędnicy w Ministerstwie Sprawiedliwości Trzeciej Rzeszy doszli do wniosku, że totalny charakter wojny jaki prowadzili Niemcy, wykluczał obecność wszelkich form kultu religijnego w więzieniach.

Więźnia skazanego na śmierć, kara dotykała nawet po wykonaniu wyroku. Władze niemieckie zakazały sprawowania uroczystych pogrzebów skazańców. Proboszcz nie mógł wymieniać ich nazwisk z ambony. Podobne restrykcje dotyczyły wszystkich skazanych na śmierć dezerterów z Wehrmachtu. Ks. Maksymilian Kowalczyk, który podczas mszy świętej odważył się wymienić imię zbiega z armii, znalazł się w efekcie w więzieniu. Podobnie ks. Ignacy Jeż, za odprawienie mszy świętej za zmarłego w obozie ks. Czempiela został umieszczony w Dachau; w tym samym obozie, gdzie zginął jego proboszcz.

* * *

W starciu z państwem okupacyjnym – totalitarnym, Kościół w diecezji katowickiej wyszedł okaleczony. Mowa tutaj nie tylko o stratach w sferze duchowej oraz na płaszczyźnie materialnej. Był bowiem zmuszony do koncentrowania się na obronie wartości, jakie niosła ze sobą wiara. W swojej wojennej działalności Kościół spełniał wiele funkcji zastępczych, które nie należały do istoty jego misji w świecie. Przetrwał terror nazizmu; po wojnie zdołał odbudować swoje straty duchowe i materialne.

Pod koniec stycznia 1945 roku Kościół na Śląsku wychodził już z „nocy" okupacji. Ale nowe władze – tym razem komunistyczne – w rzeczywistości realizowały ten sam scenariusz rozdziału państwa od Kościoła, który wcielały w życie hitlerowskie Niemcy. Zróżnicowaniu uległy tylko metody, cel zaś pozostał ten sam. Niewątpliwie doświadczenia, jakie duchowni i wierni w diecezji katowickiej wynieśli w zetknięciu z polityką kościelną Trzeciej Rzeszy, okazały się przydatne w starciu z władzą państwa komunistycznego oraz jego polityką stopniowego, ale konsekwentnego oddzielania Kościoła od społeczeństwa. ■



Najważniejsze partie „Soli ziemi czarnej" Kazimierza Kutza nakręcono właśnie w Nikiszowcu.

Nikiszowiec na ekranie

JAN F. LEWANDOWSKI

Niewątpliwie Nikiszowiec jest także fenomenem filmowym, skoro przyciąga kolejne ekipy z kamerami. Najczęściej filmowanym miejscem na Górnym Śląsku, a może nawet nie tylko na Śląsku. Dzięki temu jego ceglane kształty stają się rozpoznawalne wszędzie w Polsce.

Niebywała filmowa kariera Nikisza zaczęła się od Kazimierza Kutza, który właśnie w plenerach Nikiszowca zrealizował w 1969 roku najbardziej znaczące partie „Soli ziemi czarnej", a po kilku latach powrócił do Nikiszowca w „Perle w koronie". Dla Kutza, pochodzącego z sąsiednich Szopienic, zdjęcia w Nikiszowcu nie były niczym nadzwyczajnym, skoro jego zabudowa znana mu była z dzieciństwa, a w kopalni „Giesche" pracowali jego przodkowie. Z pewnością kręcenie w Nikiszu nie miało dla niego posmaku egzotyki, a o jego fenomenalnej architekturze wtedy jeszcze na salonach nie rozmawiano.

Debiut u Kutza

Zatem najważniejszą sekwencję „Soli ziemi czarnej", przedstawiającą zdobycie miasta, nakręcono właśnie w Nikiszowcu, co rozpozna każdy, kto poznał jego architekturę. Powstańcy pod komendą Erwina Marynioka nacierają ulicą Janowską, a ostrzeliwani przez załogę niemiecką z budynku ratusza chowają się pod arkadami placu. Rolę ratusza odegrała dawna nikiszowiecka gospoda, gdzie dzisiaj znajduje się poczta. W końcu Niemcy kapitulują. Powstańcy świętują zwycięstwo i pozują do zdjęcia na tle gmachu poczty.

Podczas tego natarcia Gabriel Basista wpada do pobliskiego kościoła, gdzie spotyka niemiecką sanitariuszkę. Jednak, chociaż wcześniej widzimy w planie ogólnym sylwetkę neobarokowego kościoła świętej Anny w Nikiszowcu, znajdującego się tuż przy polu walki, to fragmenty we wnętrzu kościoła nakręcono gdzie indziej – w ewangelickim kościele Zbawiciela w Szopienicach.

Plenery Nikiszowca pojawiają się także w późniejszych partiach filmu, włącznie z charakterystycznym szybem „Carmer" /dzisiejszy szyb „Pułaski"/ kopalni „Wieczorek", czyli dawniejszej kopalni „Giesche".

Z kolei akcja „Perły w koronie" rozgrywa się w latach trzydziestych XX wieku w kopalni „Zygmunt", w której dochodzi do strajku okupacyjnego pod przewodnictwem Franciszka Pieczki w kapitalnej roli przywódcy związkowego. Wprawdzie kopalnia „Zygmunt" jest fikcyjna, lecz na ekranie pojawia się szyb „Pułaski", zbudowany na początku XX wieku jako szyb Carmer, nazwany od nazwiska jego budowniczego Carmera. Wtajemniczeni łatwo rozpoznają jego charakterystyczną cechownię zaprojektowaną przez Emila i Georga Zillmanów, projektantów Giszowca i Nikiszowca. Jeszcze niektóre partie festynu górniczego nakręcano w Nikiszowcu.

Romansowa sceneria

Zastanawiające, że właśnie w plenerach plebejskiego Nikiszowca Radosław Piwowarski rozegrał akcję melodramatycznej „Kolejności uczuć" z romansową historią pięćdziesięcioletniego mężczyzny i nastolatki. Jego zabudowa z widoczną na drugim planie wieżą neobarokowego kościoła świętej Anny pojawia się już w pierwszym ujęciu.

Film Piwowarskiego rozpoczyna się przyjazdem sławnego aktora do prowincjonalnego teatru. Podczas pracy nad wystawieniem „Romea i Julii" bohater poznaje uczennicę średniej szkoły muzycznej. Z tej znajomości rodzi się pełna emocjonalnej szarpaniny historia miłości. Piwowarski opowiedział ją sprawnie i zabawnie, także dzięki wyrazistym kreacjom Daniela Olbrychskiego i Marii Seweryn, debiutującej właśnie w Nikiszowcu na ekranie.

Wprawdzie w filmie nie pada ani razu nazwa osady, a reżyserowi chodziło o akcję po prostu na prowincji. Niemniej fakt, że prowincję zagrały egzotyczne dla Piwowarskiego familoki Nikiszowca dowodzi, że jego magia zaczęła działać na filmowców. Niewątpliwie sceneria Nikisza stworzyła dla romansowej historii nieco magiczną aurę.

Zapewne Piwowarski, który nie miał żadnych specjalnych związków z Górnym Śląskiem, o Nikiszowcu mógł się dowiedzieć z filmów Kutza, ewentualnie z Janusza Kidawy. Z filmów Kidawy przynajmniej dwa nakręcano częściowo w Nikiszowcu, a mianowicie: „Grzeszny żywot Franciszka Buły" / 1979/ i „Komedianci z wczorajszej ulicy" / 1986 /. Jednak tylko niektóre sceny mają tło z Nikiszowca i może dlatego nie rzucają się one specjalnie w oczy.

Angelus i Barbórka

Nową falę filmowego odkrywania Nikisza zapoczątkował „Angelus" Lecha Majewskiego z 2000 roku, powracający do legendy Grupy Janowskiej, czyli grupy plastyków amatorów z Teofilem Ociepką na czele, owładniętej zgłębianiem nauk tajemnych. Dzieło Majewskiego, łączące metafizykę z akcentami ludycznymi, rozgrywa się na przestrzeni wielu lat w realiach Nikiszowca, czyli w miejscu, gdzie tworzyli i żyli artyści Grupy Janowskiej.

Rozpoczyna się pod koniec lat trzydziestych, gdy nowym mistrzem tamtejszej gminy okultystycznej zostaje malarz i teozof Teofil, lecz zasadnicze jego partie rozgrywają się w latach stalinowskich, gdy dla członków grupy staje się oczywiste, że wypełniło się proroctwo o rządach bestii i wkrótce nadejdzie zagłada. Majewski posługuje się zarówno realizmem, jak i scenami pełnymi komizmu i surrealizmu. Do tego film mówiony jest soczystą śląską gwarą, a zagrało w nim wielu naturszczyków. Przy silnym osadzeniu w górnośląskiej rodzajowości, film osiąga także wymiary uniwersalne jako dzieło broniące poszukiwania Tajemnicy i optujące za sferą duchowości. Niewątpliwie dzieło Majewskiego zainicjowało kolejne zaciekawienie niezwyczajnymi plenerami Nikiszowca.

Niezwykłe zdjęcia do „Angelusa" są dziełem operatora Adama Sikory, który jako reżyser zrealizował po kilku latach film dokumentalny „Sówka Erwin", powracający do jednego z artystów Grupy Janowskiej. Dodajmy przy okazji, że klasyk polskiego dokumentu Tadeusz Makarczyński zrealizował „Spotkanie z Teofilem Ociepką" i to jeszcze w 1962 roku.

Po kilku latach Maciej Pieprzyca postanowił osadzić akcję telewizyjnej „Barbórki" nie gdzie indziej, jak w znanej sobie scenerii Nikiszowca, gdzie kręcił wcześniej śląskie odcinki serialu „Kryminalni" dla TVN. Z jednej strony chodzi w filmie o górnicze święto Barbórki, z drugiej o historię dziewczyny Barbórki z górniczej osady, a najwięcej o zderzenie prostego świata górnośląskich górników z efekciarskim światem warszawskiej telenoweli. Do zderzenia dochodzi, gdy dyrektor kopalni zaprasza na Barbórkę gwiazdora telewizyjnych seriali, który spotyka tu dziewczynę ujmującą go prostymi, jasnymi zasadami. Zdjęcia nakręcano na ulicach Nikiszowca, także we wnętrzach, w nikiszowieckich mieszkaniach. W każdym razie realia Nikisza są zdecydowanie zauważalne.

Jeśli historia romansowa wydaje się mało prawdopodobna, to Pieprzyca potrafił wykreować frapujące sekwencje z życia górniczej osady, potraktowanej tutaj z dużą dozą sympatii. Najważniejszą cechą jego filmu jest kreacja Górnego Śląska w nieco baśniowej formule wizualnej, stwarzającej sugestię krainy magicznej. Niewątpliwie „Barbórka" podtrzymuje filmową magię Nikiszowca.

Nowe kreacje

Od lat osiemdziesiątych do Nikisza coraz częściej zaglądały ekipy telewizyjne kręcące reportaże o Górnym Śląsku, a potem także ekipy realizujące filmy reklamowe i muzyczne teledyski.

Już wtedy Nikiszowiec pojawił się po raz pierwszy w serialu telewizyjnym, a mianowicie w „Rodzinie Kanderów" w reżyserii Zbigniewa Chmielewskiego według scenariusza Albina Siekierskiego prezentującej losy górnośląskiej rodziny w okresie powojennym, a realizowanej w 1988 roku. Plenery Nikiszowca pojawiały się także w serialu dokumentalnym „Serce z węgla" Ireny i Jerzego Morawskich /2001/ o górnikach odchodzących z kopalń za odprawy.

Natomiast zwyczajnych reportaży telewizyjnych kręconych w Nikiszowcu przy najrozmaitszych okazjach nie sposób nawet policzyć, lecz z pewnością lista byłaby długa, a zresztą rozmaite ekipy telewizyjne kręcą w Nikiszowcu niemal na okrągło.

Pod koniec 2006 roku w Nikiszowcu pojawiła się ekipa serialu fabularyzowanego „Katastrofy górnicze" realizowanego dla TVN. Znamienne, że scenografia Nikiszowca wydała się autorom cyklu najbardziej oczywistym plenerem górnośląskiej osady. W odcinku „Ostatnia szychta" w reżyserii Radosława Dunaszewskiego o katastrofie w kopalni „Nowy Wirek" w 1995 roku familoki Nikiszowca udawały Rudę Śląską. Z kolei w odcinku „Cicha akcja" o katastrofie w kopalni „Niwka – Modrzejów" w 1998 roku tamtejszą cechownię odegrała charakterystyczna cechownia „Wieczorka" w Janowie, która pojawiała się już wcześniej wielokrotnie na ekranie.

Także niektóre partie „Benka" Roberta Glińskiego z 2007 roku nakręcono w plenerach Nikiszowca.

Z pewnością filmów nakręcono w Nikiszowcu więcej i z pewnością powstaną kolejne. Nie ma na Górnym Śląsku miejsca równie chętnie odwiedzanego przez ludzi z kamerami. Dzisiaj Nikiszowiec przypomina się filmowcom, gdy tylko pomyślą o ulokowaniu akcji w scenerii górnośląskiej i górniczej. Może w niedawno otwartym muzeum w Nikiszowcu warto byłoby przygotować dla turystów antologię najsławniejszych nikiszowieckich fragmentów filmowych...

■



Nową falę filmowego odkrywania Nikiszowca zapoczątkował przed dziesięciu laty „Angelus" Lecha Majewskiego.

Polscy Górnoślązacy z cenzusem akademickim w latach II wojny światowej

Uderzenie okupanta w inteligencję Śląska

LECH KRZYŻANOWSKI

Dnia 13 czerwca 1942 r., w Krakowie, podczas próby aresztowania przez Niemców, został zastrzelony Stefan Urbanowicz, doktor praw, urzędnik komunalny i adwokat. Urodzony w 1902 r. w Królewskiej Hucie. W chwili swej śmierci prawdopodobnie nie wiedział, że dwa lata wcześniej, w lesie katyńskim, z rąk drugiego okupanta poległ jego starszy brat Wiktor – przedwojenny radca prawny Urzędu Wojewódzkiego Śląskiego.

Można byłoby tragedię tej rodziny wpisać w obszerny rejestr zbrodni, których ofiarami stali się Polacy podczas II wojny światowej, gdyby nie narzucająca się w naturalny sposób konkluzja: ich śmierć miała ścisły związek z przynależnością do tej samej grupy społecznej. Obaj bracia współtworzyli mianowicie pierwszą i natenczas jedyną generację polskiej inteligencji, wywodzącą się z Górnego Śląska. Środowisko to zaś szczególnie było narażone na represje, w których celował zwłaszcza okupant niemiecki. W konsekwencji, śmierć Wiktora i Stefana Urbanowiczów, a także całej rzeszy innych górnośląskich akademików nie może być oceniana w kategoriach nieszczęśliwego splotu wojennych losów, lecz wyłącznie, celowej działalności okupantów.

Ostrze hitlerowskiego, a do pewnego stopnia także radzieckiego terroru, tym łatwiej dało się skierować przeciw górnośląskiej inteligencji, że charakteryzowało ją wiele wspólnych cech. Przy ich pomocy, agresorzy, bez trudu, a jednocześnie bardzo precyzyjnie potrafili zdefiniować obiekt swych represyjnych zarządzeń. Niemal wszyscy należący do omawianego tu środowiska urodzili się na początku wieku. Data ich przyjścia na świat o tyle była istotna, iż rozpoczynając naukę jeszcze w szkołach niemieckich, składali egzamin dojrzałości względnie rozpoczynali studia już w polskich placówkach. Na ich oczach zmieniała się polityczna mapa rodzinnego Górnego Śląska. Oprócz nauki, pociągały więc tych ludzi powinności patriotyczne (działali w Polskim Komisariacie Plebiscytowym, uczestniczyli w powstaniach śląskich) oraz, już po przejęciu części Górnego Śląska przez Polskę, aktywność w różnego typu organizacjach narodowych i społecznych. Fakty te będą miały istotny wpływ na ich wojenne losy. **Nim jednak mogły się one dopełnić, górnośląska inteligencja musiała dopiero okrzepnąć. Odbywało się to w zupełnie nowej rzeczywistości politycznej, ukształtowanej po 1922 r., bo właśnie ówczesne zmiany okazały się decydujące dla rozpoczęcia procesu tworzenia się lokalnego, a zarazem polskiego środowiska inteligenckiego.**

Lata międzywojenne, to w nowożytnych dziejach Górnego Śląska na dobrą sprawę najdawniejszy okres, w którym bez przeszkód mogli kształcić się Polacy miejscowego pochodzenia. Istnienie II Rzeczypospolitej jako odrębnego bytu państwowego, oferującego osobom z wyższym wykształceniem szereg atrakcyjnych stanowisk pracy było czynnikiem przyspieszającym awans społeczny tej grupy. Wyrażał się on właśnie wzrostem odsetka osób z cenzusem akademickim. We wcześniejszym okresie, ze zrozumiałych względów, istniały pod tym względem istotne bariery. Kształtowały one przekonanie, że gros stanowisk inteligenckich jest dla ludności polskojęzycznej zamknięte. Przede wszystkim dotyczyło to ogółu urzędów państwowych, na obsadę których przemożny wpływ miały berlińskie władze centralne, dbające by znalazły się one w rękach lojalnych obywateli pruskich. Osoby nie posługujące się na co dzień językiem niemieckim do takich zaś nie należały. Podobne rygory odnosiły się do posad oferowanych przez sektor samorządowy. Górnośląska inteligencja polskojęzyczna mogła więc ewentualnie aspirować do nielicznych wolnych zawodów lub realizować się w sferze eklezjalnej. **Nie było dziełem przypadku, iż większość niezbyt licznej grupy polskojęzycznych Górnoślązaków, która mimo wspomnianych przeszkód wybierała jednak karierę akademicką, kierowała się do wrocławskiego seminarium duchownego i na studia teologiczne prowadzone przez miejscowy uniwersytet. Nauka na tym kierunku, jako jedynym, chroniła przed intensywną germanizacją**, a ponadto, co nie było bez znaczenia, nie wymagała sporych nakładów finansowych, trudnych do udźwignięcia dla niezbyt zamożnych robotniczych rodzin.

Opisany stan rzeczy skutkował niemałymi trudnościami kadrowymi, ujawniającymi się po 1922 r. Gdy Polska, zagospodarowując posiadany od tego czasu fragment Górnego Śląska, przeprowadziła gruntowną wymianę kadr inteligenckich w miejscowych szkołach, sądach, urzędach itp. okazało się, że ustępujących pracowników niemieckich nie można łatwo zastąpić polskimi, gdyż tych ostatnich po prostu brakuje. Przewidując taki rezultat, już zawczasu zadbano o ściągnięcie potrzebnej liczby inteligencji z byłego zaboru austriackiego i rosyjskiego. Zabieg ten złagodził doraźnie problemy kadrowe; trudno było jednak traktować go jako antidotum na wszystkie bolączki społeczne. Przyjezdnym brakowało czasami wiedzy fachowej (pracowali do tej pory pod innym reżimem prawnym niż obowiązujący na ziemiach byłej dzielnicy pruskiej), nie bez znaczenia były również różnice mentalne, których efekt ujawnił się na wielu płaszczyznach w postaci wzrastającego antagonizmu dzielnicowego. **Jednoznacznie prowadziło to do wniosku, że górnośląskiej części województwa śląskiego potrzebna jest rodzima, a przy tym związana z polskim kręgiem kulturowym, warstwa inteligencji.** Różnorakie zachęty do studiowania, wśród których otwarcie atrakcyjnego rynku pracy należało do najistotniejszych, zrobiły swoje. **Niemal od początku lat dwudziestych, poszczególne wydziały polskich**

uniwersytetów i politechnik zaczęły zapełniać się górnośląskimi studentami, jakkolwiek nie wszędzie w tym samym stopniu. Najbardziej popularne były uczelnie poznańskie, mimo tego, że przeciętny Górnoślązak bliżej miał np. do Krakowa. Preferowanie Poznania to jeden z wielu dowodów świadczących o sile XIX-wiecznych związków dzielnicowych, które mimo oczywistego słabnięcia w ciągu dwudziestu lat okresu międzywojennego, zupełnie nie znikły. Wyznaczone przez liczbę oraz „przepustowość" polskich szkół wyższych tempo wzrostu ilościowego górnośląskiej inteligencji powodowało, iż **sukcesywnie zmniejszała się przewaga na tym terenie warstw wykształconych o napływowym charakterze, jakkolwiek proporcje nie zmieniały się identycznie we wszystkich zawodach inteligenckich.** Najszybciej w tych profesjach, które cieszyły się szczególnym wzięciem u górnośląskich studentów (prawo, kierunki pedagogiczne, techniczne); w innych (np. w medycynie, której studiowanie było najdroższe) długo dominowali przybysze. Nie wnikając w szczegóły tego procesu można przyjąć, iż pracujące na polskim Górnym Śląsku środowisko inteligenckie, w chwili wybuchu II wojny światowej, składało się z dwóch niemal równych liczbowo grup: napływowej oraz rodzimej – wywodzącej się spośród rdzennych mieszkańców tej ziemi.

Wspominam o powyższym podziale ponieważ w dużej mierze określał on specyfikę losów miejscowych warstw wykształconych w czasie okupacji. **Historia polskiej inteligencji z Górnego Śląska potoczyła się odmiennie, w zależności od dzielnicowego pochodzenia poszczególnych jej reprezentantów. Pierwsze oznaki wspomnianego zróżnicowania dały o sobie znać jeszcze we wrześniu 1939 r. Spora część napływowej inteligencji opuściła wówczas polski Górny Śląsk, przenosząc się w swoje strony rodzinne.** Ta dość powszechna migracja wynikała z wielu przyczyn. Wśród nich istotne znaczenie miało częste w tych dniach przekonanie, iż obecność w strefie przyfrontowej, a w dodatku na terenie, o który przez wiele ostatnich lat trwał intensywny, dyplomatyczny spór między Polską a Niemcami, jest bardzo ryzykowne. Gdy na drugiej szali położyć pobyt w bezpiecznej, jak się wówczas wydawało, Małopolsce lub na terenie byłej Kongresówki, rezultat tego typu dywagacji był oczywisty. Konieczność przesiedlenia sugerowały ponadto przewidywania natury bytowej. Akademicy, może jedynie z wyjątkiem lekarzy, wiedzieli doskonale, iż znalazłszy się pod okupacją niemiecką, utracą możliwość wykonywania dotychczasowego zawodu. Hitlerowska administracja nie będzie przecież zainteresowana polskimi nauczycielami, urzędnikami, sędziami itp. Z tej perspektywy patrząc, wizja powrotu w strony rodzinne, zazwyczaj



Feliks Marian Urbanowicz

wiejskie, gdzie bliższa lub dalsza rodzina nadal uprawiała ziemię, jeszcze bardziej kusiła. Praca na roli bez wątpienia mogła zapewnić znośniejsze warunki bytowania niż górnośląskie miasta. Zapewne, na ostateczną decyzję o wyjeździe wpływał ogrom innych, często bardzo osobistych motywacji, których nie sposób skwantyfikować. **Można natomiast postawić wniosek, iż migracja napływowej inteligencji najczęściej nie była manifestacją niezadowolenia z pobytu na Górnym Śląsku w okresie międzywojennym, ani symbolem braku więzi uczuciowych z tą dzielnicą. Z reguły mamy tu do czynienia z decyzją podyktowaną strachem o życie i materialny byt. Nie zmienia to jednak faktu, że w oczach miejscowych, exodus części inteligencji wywoływał niemiłe wobec niej skojarzenia.**

Utrwalony w takich okolicznościach podział górnośląskiej inteligencji na miejscową i napływową był zgodny z zasadniczymi tezami niemieckiej polityki narodowościowej na tym terenie. Okupant zatem wspomniany proces dodatkowo stymulował własnymi zarządzeniami. Już po zakończeniu wojny, tak wspominał tę politykę adwokat, dr Emil Motyka: „Rachuby moje co do przeniesienia się do GG [Generalnego Gubernatorstwa – przyp. L.K.] zawiodły na całej linii. Okazało się, że Ślązaków ze Śląska nie wypuszczano podczas gdy osobom pochodzącym z Małopolski czy z Królestwa nie czyniono żadnych przeszkód w przenoszeniu się do swych stron rodzinnych nawet z meblami". Dziś trudno o jednoznaczną weryfikację tych słów. Zaprzeczają im, rzadkie, co prawda, ale jednak możliwe do wymienienia przykłady tych przedstawicieli inteligencji napływowej, którzy pozostali w okręgu przemysłowym lub Górnoślązaków z cenzusem akademickim opuszczających ten teren (że wspomni się choćby losy Konstantego Wolnego lub rodziny Kuderów, przebywających we Lwowie). Wyjątkowość tych przykładów każe jednak zgodzić się z opinią, iż z punktu widzenia władz niemieckich nie było rzeczą obojętną kto Górny Śląsk opuszcza, a kto na nim pozostaje. W rezultacie **Niemcy przyczynili się w znacznym stopniu do tego, że przebywająca na Górnym Śląsku polska warstwa inteligencji była, od 1940 r., przeważnie miejscowego pochodzenia. Taki stan chciał osiągnąć okupant, gdyż ułatwiało to prowadzenie wobec tej grupy dalszych działań.** Nie były one, nota bene, w pełni konsekwentne. W lokalnych sferach rządzących (państwowych i partyjnych) **ścierały się bowiem, od początku okupacji, dwie wizje. Jedna zakładała jak najszybsze i przy użyciu najbardziej stanowczych kroków rozprawienie się z polską inteligencją**, druga, zastosowanie wobec rodzimych mieszkańców Górnego Śląska bardziej oględnych metod. Problem ów sprowadzał się do dylematu: czy należy germanizować ziemię, czy ludzi?

Zwolennicy pierwszego poglądu, powołujący się przy propagowaniu swych haseł na autorytet samego Führera, zwracali uwagę na rolę miejscowej inteligencji jako potencjalnego środowiska liderów przyszłych ewentualnych buntów. Skrupulatne pozbywanie się ich miało zapewnić spokój społeczny i lojalne wykonywanie zarządzeń okupanta. **W tego rodzaju myślenie wpisywał się przedwojenny jeszcze, niemiecki pomysł sporządzenia specjalnej listy proskrypcyjnej, tzw. Sonderfahndungsbuch Polen, na której znaleźliby się aktywni polscy działacze narodowi, w dużej części wywodzący się z przedwojennej inteligencji.** Szczególnie interesowano się ich ewentualnym udziałem w akcji plebiscytowej i powstaniach śląskich, sympatiami politycznymi, wreszcie, deklarowanym stosunkiem do mniejszości niemieckiej. Niemała liczba przedstawicieli górnośląskiej inteligencji, którzy na podstawie wspomnianych kryteriów uznani zostali za szczególnie niebezpiecznych dla interesów III Rzeszy, zdawała się potwierdzać słuszność programu propagowanego przez zwolenników radykalnego rozprawienia się z polskimi elitami. W sumie, księga zawierała nazwiska ponad 4 tys. obywateli polskich, wyłącznie tych, którzy zamieszkiwali zachodnie dzielnice Rzeczypospolitej. **Spośród nazwisk wymienionych w księdze, 1281 należało do Górnoślązaków. Nie dziwi, iż zapisani zostali przede wszystkim przedstawiciele inteligencji, bowiem to oni najskuteczniej mogli przeciwdziałać akcji wynaradawiającej.** Życiowe perspektywy tych kilkuset Górnoślązaków z cenzusem akademickim kształtowały się najmniej pomyślnie.

Podstawowe zasady opisywanej w tym miejscu koncepcji zostały ogłoszone jeszcze w trakcie kampanii wrześniowej. Dnia 12 września 1939 r., podczas konferencji w Jełowej, Adolf Hitler przekazał dowództwu Wehrmachtu wytyczne w sprawie polityki wobec inteligencji.

Likwidacja tej warstwy społecznej odbywać się miała w ramach operacji Flurbereinigung – oczyszczania zdobywanych przyczółków pod względem politycznym i narodowym. Inteligencja miała być szczególnie represjonowana na terenach włączonych do Rzeszy. Na Górnym Śląsku, walka z nią winna doprowadzić do usunięcia przedstawicieli warstw wykształconych z okręgu przemysłowego, aby brak naturalnych przywódców miejscowej ludności ułatwił proces regermanizacji jednostek nie w pełni zintegrowanych z niemieckim kręgiem kulturowym. Z tego głównie względu sugerowano wykluczenie jakichkolwiek bardziej tolerancyjnych wobec śląskiej inteligencji zachowań niemieckich władz. Tyle, że wykonawcy tej polityki, kierowali ją raczej przeciw inteligencji przybyłej na Górny Śląsk z innych dzielnic. Miejscowych miała ona dotyczyć w nieco ograniczonym zakresie, co nie oznaczało łagodniejszego traktowania lecz zastosowania innych metod politycznych, o czym będzie jeszcze mowa.

Jednym z podstawowych sposobów pozbywania się polskiej, napływowej, a także żydowskiej inteligencji była akcja wysiedleńcza, podczas której dopuszczano się również czynów o charakterze czysto eksterminacyjnym. Operację tę prowadzono w ramach tzw. Intelligenzaktion, od wiosny 1940 r., a wśród jej ofiar zdarzały się także osoby pochodzenia górnośląskiego. Na ten okres przypada najwyższy odsetek poległych i wywiezionych wśród osób zaliczanych do warstwy inteligencji. Opuszczone przez Polaków posady objąć mieli osadnicy niemieccy posiadający wyższe wykształcenie, co uwarunkowane było szczególnie potrzebami Górnego Śląska, obszaru nagle pozbawionego warstw wykształconych. Taka była zresztą konkluzja memoriału: „O problemie traktowania ludności byłych polskich obszarów z rasowo politycznego punktu widzenia", ogłoszonego jesienią 1939 r. i wówczas zaakceptowanego do realizacji przez Heinricha Himmlera, komisarza Rzeszy dla umacniania niemczyzny. **Akcja wysiedleńcza przeprowadzona na początku lat czterdziestych objęła około 81 tys. Polaków. Na ich miejsce przybyło około 37 tys. osadników niemieckich. Zwalczanie polskiej inteligencji i niszczenie wszelkich symboli polskiej kultury było charakterystyczne dla całości ziem polskich, przyznać jednak trzeba, że na obszarze Górnego Śląska, akcję tę prowadzono ze szczególną intensywnością.**

Zwolennicy konkurencyjnego programu, wśród których ważną rolę odgrywał gauleiter i nadprezydent prowincji górnośląskiej Fritz Bracht, nie negowali powyższych koncepcji. Uważali natomiast, że skoro miejscowi są pochodzenia niemieckiego, to nawet mimo, iż w okresie międzywojennym poddani zostali silnej polonizacji, zmieniającej



Wiktor, Ludwik Urbanowicz

w wielu wypadkach ich mentalność narodową, są materiałem który można odzyskać dla kultury niemieckiej. Oczywiście łatwiej było o taką konstatację w odniesieniu do osób bez wyższego wykształcenia, ale nawet inteligenci wydawali się administracji niemieckiej podatni na narodowościową perswazję. Specyficzną metodą stosowaną w ramach tej koncepcji było wciąganie inteligencji górnośląskiej do zawodowej współpracy w różnego rodzaju niemieckich instytucjach i organizacjach. Oczywiście dotyczyło to tylko osób posiadających, co nieco zagłuszony, ale przecież istniejący, zdaniem propagandy hitlerowskiej, „pierwiastek niemiecki". Najlepszym dowodem jego odradzania się miało być występowanie z wnioskiem o wpis na niemiecką listę narodowościową (tzw. volkslistę) i takie rozwiązanie kuszonym w ten sposób Górnoślązakom sugerowano. Wypada przypomnieć, że na omawianym obszarze wniosek o wpis na volkslistę nie wynikał ze swobodnej decyzji petenta, lecz był wymuszany czynnikami administracyjnymi.

Wielu przedstawicielom górnośląskiej inteligencji okupant proponował dobrze płatne stanowiska w niemieckich firmach i urzędach, tłumacząc równocześnie, że nowy gospodarz tej ziemi znacznie lepiej zaopiekuje się swymi rodakami niż robiła to wcześniej II Rzeczpospolita. Nie trzeba dodawać, iż obietnica ta była całkowicie złudna. Dla administracji niemieckiej liczyło się nie pochodzenie inteligentów górnośląskich lecz ich umiejętności, potrzebne państwu. Dotyczyło to m.in. lekarzy, inżynierów. W efekcie, gdy ten, wobec kogo sformułowano narodowo–zawodowe propozycje, odrzucał je, tłumacząc się np. swoimi polskimi przekonaniami narodowymi, stawał się automatycznie zdrajcą i wrogiem państwa, zasługującym na najbardziej surową karę. W ten sposób zacierała się w odniesieniu do górnośląskiej inteligencji granica między patriotyzmem (nieistotne w tym wypadku, że niemieckim), a zdradą. W oczach propagandystów hitlerowskich ta sama osoba w jednej chwili mogła być pełnowartościowym członkiem narodu by w następnej zasłużyć na śmierć lub pobyt w obozie koncentracyjnym. Wszystko zaś za sprawą własnych wyborów narodowych.

Brak możliwości pozostawania na uboczu wojny ideologicznej i zachowania, tylko dla siebie, własnych poglądów narodowych było przekleństwem, na pozór ustabilizowanej egzystencji niektórych reprezentantów górnośląskiej inteligencji. Skutkiem tego był los, jaki stał się udziałem m.in. Jana Kaczmarka, przedwojennego sędziego z Lublińca. Urodzony w Oberhausen w Westfalii (choć w polskiej rodzinie), znający doskonale niemiecki język i niemieckie prawo, wydawał się cennym nabytkiem dla wojennego wymiaru sprawiedliwości. Rządzący roztoczyli więc przed J. Kaczmarkiem wizję dobrze płatnej pracy w niemieckim sądzie w Krotoszynie (na terenie Kraju Warty) z możliwością korzystania ze wszystkich przywilejów, jakie stwarzała przynależność do „narodu panów". Przekonywali go, iż fakt urodzenia się w głębi Niemiec oraz uczęszczania do niemieckiej szkoły powszechnej i takiegoż gimnazjum, w gruncie rzeczy przesądza o przynależności do niemieckiego kręgu kulturowego. Gdy jednak J. Kaczmarek ogłosił, że Niemcem się nie czuje i pracować w hitlerowskim wymiarze sprawiedliwości nie zamierza, jeszcze na początku 1940 r. odesłany został do obozu koncentracyjnego w Dachau. Natychmiast straciła swą aktualność teza o „obiektywnej" przynależności J. Kaczmarka do niemieckiego narodu. Skoro w sposób tak manifestacyjny zadeklarował on własne poglądy, właściwym dla niego miejscem mógł okazać się tylko obóz koncentracyjny. Po kilku miesiącach pobytu, bohaterowi tej opowieści udało się Dachau opuścić, choć ceną za wyjście na wolność była zgoda na podjęcie pracy w wymiarze sprawiedliwości, tyle że nie niemieckim w Rzeszy, lecz „polskim" na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Pracował odtąd w Krakowie. Dodajmy dla porządku, że dzielnicowe pochodzenie łączyło raczej J. Kaczmarka z Wielkopolską, bowiem tam przed emigracją do Westfalii mieszkali jego rodzice i do tej dzielnicy powrócili w 1922 r. W niczym nie zmienia to jednak opinii o kierunku polityki narodowościowej okupanta. Przedstawiciele górnośląskiej inteligencji poddawani byli identycznej presji.

Możliwość uczestniczenia w swoistym targu z administracją niemiecką, w którym na jednej szali kładziono deklarację narodową, a na drugiej dostatni, jak na warunki wojenne, poziom egzystencji, dotyczyła inteligencji górnośląskiej, wykonującej zawody ważne z punktu widzenia okupacyjnej gospodarki. W znacznie trudniejszym położeniu znaleźli się ci, którzy z powyższego punktu widzenia, nie przedstawiali

dla władz niemieckich istotnej wartości (nauczyciele, księża, byli urzędnicy). Im oczywiście zatrudnienia nie zaoferowano, natomiast zagrożenie pobytem w obozie koncentracyjnym stawało się znacznie bardziej realne. Przykładem ilustrującym ów fakt mogą być okoliczności śmierci w Auschwitz, 18 sierpnia 1942 r., Józefa Bernharda, lublinieckiego i chorzowskiego nauczyciela. Jego rozstrzelanie było następstwem w głównej mierze przynależności do humanistycznej inteligencji, a dopiero na drugim miejscu skutkiem działalności w Służbie Zwycięstwu Polski. Z kolei bowiem np. ks. Emil Szramek w żadne działania konspiracyjne nie był zaangażowany, a mimo to osadzony został w Dachau, gdzie zmarł. Odpowiedź na pytanie, dlaczego aresztowano proboszcza katowickiej parafii mariackiej, znanego m. in. z tolerancyjnej postawy wobec swych niemieckich parafian, (dał temu wyraz choćby w słynnej przed wojną pracy: „Śląsk jako problem socjologiczny") może być tylko jedna. Lokalnym władzom przeszkadzał autorytet, którym darzyli go w równym stopniu Polacy jak i miejscowi Niemcy. Mogło to potencjalnie osłabiać znaczenie świeżo przybyłej administracji. Zapewne, gdyby ks. E. Szramek zgodził się swym prestiżem wesprzeć nowych gospodarzy Górnego Śląska, mógłby liczyć na profity płynące z takiego zaangażowania. Skoro jednak na to się nie zdecydował, spadły na niego represje równie intensywne, jak potencjalne awanse.

Postaci J. Bernharda i ks. E. Szramka nie wyczerpują oczywiście listy górnośląskich pedagogów i księży, którzy stracili życie w okresie II wojny światowej. Straty osobowe oraz liczba aresztowanych była w tej grupie największa, z powodów już wcześniej przedstawionych. Przed najtragiczniejszym losem uchronić mogło właściwie tylko wystąpienie z wnioskiem o wpis na niemiecką listę narodowościową. Szantaż w tej sprawie władze niemieckie często stosowały, zresztą także w odniesieniu do innych grup inteligenckich. Okupant nie miał wątpliwości, że wykształceni nadal stanowią autorytet dla miejscowej ludności, gdy zatem ktoś należący do tej kategorii wystąpi z wnioskiem o wpis na volkslistę, to taki przykład skutecznie łamać będzie sumienia jeszcze się wahających. Próba wystawienia z dzisiejszej perspektywy jakichkolwiek moralnych ocen odnoszących się do tych zachowań byłaby niestosowna. Historia uczy, że jednostka niemal zawsze musi przegrać w starciu z machiną państwa. Doprawdy trudno się więc dziwić, że inteligent górnośląski zagrożony więzieniem lub już w nim przebywający, nadto nie posiadający pracy, a przez to żadnych szans na wyżywienie rodziny, wreszcie, zdeprymowany rozmiarami klęski wrześniowej, ostatecznie godził się sporządzić wniosek o wpis na volkslistę. Bywało, że jeszcze w końcu 1939 r., podczas tzw. palcówki, deklarował przynależność do polskiego narodu. Wtedy jednak miał możność, w minimalnym co prawda zakresie, wyrazić własną wolę. Po dwóch – trzech latach, tej swobody był już pozbawiony więc ulegając wymienionym wcześniej okolicznościom, wpisywał się na volkslistę. Mógł się usprawiedliwiać tym, że zarówno rząd emigracyjny, jak i kręgi kościelne, w obecności na liście narodowościowej nie widziały nic hańbiącego, wręcz sugerując by Górnoślązacy zaakceptowali taką formę samoobrony. O wszystkich tych czynnikach musi pamiętać współczesny badacz przeszłości aby stosunkowo liczna grupa reprezentantów górnośląskiej inteligencji, wpisanych na volkslistę nie dziwiła go, ani tym bardziej nie gorszyła. Nie wolno zapominać i o tym, że prawie wszyscy zostali zakwalifikowani do III bądź IV kategorii. Jak widać, także okupant nie uznał za celowe w pełni zaufać ich postawie narodowej. Inna rzecz, że formułowane dziś oceny, także w stosunku do posiadaczy I lub II kategorii volksllisty powinny odróżnić od siebie postawy nacechowane koniunkturalizmem od rzeczywistego poczucia więzi narodowej.



Stefan, Michał Urbanowicz



Józef Pukowiec

Obecność na niemieckiej liście, zdarzało się, była również formą kamuflażu. Stosowali ten wybieg np. ci, którzy zaangażowali się w działalność konspiracyjną. Znajdziemy i tu liczne grono górnośląskiej inteligencji. Wystarczy wspomnieć o Teodorze Glensku, Józefie Korolu, Józefie Pukowcu, Ryszardzie Ligaczu, Jozefie Kokocie i wielu innych. Odnajdywanie się w nowej roli – organizatora państwa podziemnego – nie było dziełem przypadku. Miało swe źródło w postawach ukształtowanych na polskim Górnym Śląsku jeszcze w okresie II Rzeczypospolitej, gdy warstwy wykształcone przyjęły na siebie zadanie przewodzenia miejscowej społeczności oraz pobudzania różnych inicjatyw na płaszczyźnie kulturalnej, sportowej, naukowej, gospodarczej itp. Inteligencja zdawała sobie sprawę, że takiego posłannictwa wymaga od niej trudna, międzywojenna rzeczywistość. Znalazło to zresztą swe odbicie w ówczesnej publicystyce, m.in. w poczytnej na początku lat dwudziestych broszurze: „Zadania socyalne polskiej inteligencyi" pióra Górnoślązaka, ks. Teodora Kubiny. Z realizacją spisanego tam zestawu zadań społecznych spoczywających na barkach miejscowych warstw wykształconych nie było problemu. Już sama liczba organizacji, do których należał przeciętny Górnoślązak z cenzusem akademickim imponowała, znacznie przekraczając przeciętne normy, typowe dla II Rzeczypospolitej. Do najpopularniejszych należały: Liga Morska i Kolonialna, Polski Związek Zachodni – wcześniej – Związek Obrony Kresów Zachodnich, Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, liczne stowarzyszenia kościelne wchodzące w skład Akcji Katolickiej. Istotne było i to, że aktywność społeczna stała się polem nieoficjalnej wprawdzie, ale żywej rywalizacji między inteligencją miejscową i napływową. Wielu wchodzących w skład tej drugiej grupy przybywało na Górny Śląsk w poczuciu misji, jaką należało tu, ich zdaniem, wypełnić. Dawny teren plebiscytowy wyobrażali sobie jako ziemię, gdzie toczy się ciągle intensywny spór narodowościowy. Poparcie udzielone obozowi polskiemu, w takim kontekście stawało się więc patriotycznym obowiązkiem, a najlepszy sposób na wsparcie obozu polskiego wyrażał się w działalności stowarzyszeniowej. Nawet mimo tego, że po dłuższym pobycie w województwie śląskim, napływowi najczęściej łagodzili swe pierwotnie mocno pryncypialne stanowisko, utrzymywali jednak gotowość do konstruowania miejscowych ruchów i organizacji. Górnoślązacy z wyższym wykształceniem, nie chcąc uchodzić za bardziej apatycznych w tej dziedzinie, z równie dużą ochotą przystępowali bądź tworzyli wspomniane stowarzyszenia, co w ogólnym rozrachunku ukształtowało obraz wyjątkowo wysokiego stopnia zinstytucjonalizowania

miejscowego życia publicznego. Udział zaś warstw wykształconych w tym zjawisku był daleko powszechniejszy niż w innych dzielnicach II Rzeczypospolitej. **Będąc wychowanym na takich wzorcach, naturalne stało się ich naśladowanie w nowych, okupacyjnych warunkach. W tym należałoby upatrywać wzmożonego zaangażowania inteligencji w działania konspiracyjne, przez wielu utożsamiane z dawną aktywnością publiczną.**

Traktowanie przez władze hitlerowskie na Górnym Śląsku miejscowej inteligencji według jednego schematu (mającego atoli swoje wariacje – o czym była już mowa) powodowało, że i wojenne dzieje tej grupy zawodowej jawią się jako dość podobne. Ułatwia to badaczowi kreślenie jej losów, które w konsekwencji nie stają się zbiorem zupełnie nieprzystających do siebie indywidualnych historii, lecz logiczną i uniwersalną, do pewnego stopnia, opowieścią. Niewłaściwe byłoby jednak zupełne pomijanie przypadku, jako czynnika determinującego los wielu przedstawicieli miejscowej inteligencji. Odnosi się to zwłaszcza do osób, które w początkowym okresie wojny opuściły Polskę. Zazwyczaj czyniły to z myślą o rychłym powrocie do kraju, już wyzwolonego, bądź takiego, którego oswobodzenie będzie także ich zasługą. Tymczasem dla wielu z nich przekroczenie rumuńskiej granicy oznaczało ostateczne pożegnanie z Ojczyzną. Tą dużą, jak i małą. Na obczyźnie znaleźli się np. Bronisław Hager, Henryk Jarczyk, czy Jan Gondzik. Oni wrócili po wojnie do Polski. Z kolei adwokat Mieczysław Budek lub przedwojenny prezydent Katowic, a później ksiądz, Adam Kocur, pozostali na emigracji.

Nie wnikając w metodologiczne dywagacje odnoszące się pytania, kogo zaliczać do międzywojennej inteligencji w województwie śląskim, przyjmijmy, że w chwili wybuchu II wojny światowej środowisko to, wraz z rodzinami, liczyło około 120 tys. osób. Śmierć z rąk okupanta poniosło zaś ponad 1000 osób. Nawet mimo tego, że nie da się precyzyjnie ustalić, jaka część powyższej liczby przypada na grupę napływowych, ilu zaś zamordowanych to przedstawiciele rodzimej inteligencji, można z całą pewnością stwierdzić, że mamy do czynienia z bardzo wysokim wskaźnikiem strat. Pamiętać trzeba, że w innych dzielnicach państwa liczba poległych przedstawicieli inteligencji, czasem jeszcze wyższa, uwzględnia ofiary pochodzenia żydowskiego. Osób tej narodowości na Górnym Śląsku było niewielu, zatem skoro **wskaźnik strat odnosić tu trzeba niemal wyłącznie do grupy polskiej, należał on do najwyższych na ziemiach II Rzeczypospolitej. Równie znaczny był odsetek miejscowej inteligencji przetrzymywanej w więzieniach i obozach koncentracyjnych**, w których ludzie ci, przeżywszy, stracili jednak zdrowie. Najwyższa zaś liczba, choć precyzyjnie niepoliczalna, odnosi się do tych, co sił fizycznych wprawdzie nie zostali pozbawieni, lecz stali się ofiarami kto wie czy nie bardziej jeszcze dotkliwej konsekwencji wojny – ostracyzmu społecznego, mającego swe źródło w stereotypowym postrzeganiu Górnego Śląska i jego mieszkańców. Po zakończeniu wojny nie brakowało mianowicie opinii sugerujących, iż Górnoślązacy chętnie korzystali z przywilejów oferowanych im przez okupanta i w ten sposób sami umieścili się poza kręgiem osób przynależnych do narodu polskiego. Świadczyć o tym miała spora liczba wpisanych na niemiecką listę narodowościową, noszących mundury Wehrmachtu itp. Sugerowano, że przyszła pora by za te przejawy kolaboracji odpowiedzieć. Krytykom takich zachowań brakowało z reguły dociekliwości potrzebnej by zgłębić cały skomplikowany splot czynników kształtujących los Górnego Śląska i jego mieszkańców. O pryncypializm w wygłaszanych sądach tym bardziej było łatwo, że w niektórych wypadkach radykalizm krytyki odwodził od badania postawy tego, który taką opinię głosił. Szczęśliwie, powierzchowność potocznych sądów nie ujawniła się wewnątrz poszczególnych środowisk zawodowych. Tam, rzetelnie oceniano postawy narodowe. Wiemy to choćby na podstawie rezultatów postępowań weryfikacyjnych, jakie przeprowadzono w przypadku wielu grup zawodowych, zwłaszcza inteligenckich. Zdecydowana większość śledztw kończyła się stwierdzeniem, że oceniany Górnoślązak nie sprzeniewierzył się ideałom dobrego Polaka.

W świadomości pokoleń pamiętających wojnę, jeszcze długo obecny był cały wachlarz opinii dotyczących postaw narodowych górnośląskiej inteligencji. Kwestia ta więc, co jakiś czas wypływała na światło dzienne, nierzadko w zupełnie nieoczekiwanym kontekście. Dla zilustrowania tej sytuacji warto wskazać na postępowanie dyscyplinarne wytoczone jednemu z adwokatów katowickich w 1964 roku. Obwiniony w dość błahej sprawie, stwierdził, iż nie życzy sobie aby sądzili go koledzy po fachu: Antoni Klejnot i Karol Stach. Wobec Okręgowej Rady Adwokackiej w Katowicach „wyraził brak zaufania do dziekana Rady Adwokackiej adw. Stacha ze względu na to, iż był on adwokatem Sondergerichtu w Krakowie oraz do adw. Klejnota jako byłego volksdeutscha". Nie wystarczyła powszechna w środowisku prawniczym wiedza o tym, iż A. Klejnot za swe poglądy narodowe siedział w obozach Auschwitz i Oranienburg, zaś K. Stach organizował w Generalnym Gubernatorstwie konspiracyjną, śląsko-krakowską radę adwokacką. Gdy można było okupacyjne zaszłości wykorzystać dla własnych partykularnych interesów, nie wahano się skorzystać z tej metody nawet dwadzieścia lat po wojnie. Przy okazji tej sprawy odnotujmy, iż historia, jak to często bywa, zatoczywszy koło, ponownie splotła z sobą losy napływowej i miejscowej inteligencji na Górnym Śląsku. Wszak A. Klejnot urodził się w Katowicach, zaś K. Stach pochodził z Krakowa.

Opracowując artykuł korzystałem m.in. z materiałów archiwalnych zgromadzonych w Archiwum Państwowym w Katowicach, Archiwum Sądu Okręgowego w Katowicach, Archiwum Okręgowej Rady Adwokackiej w Katowicach, Archiwum Śląskiej Izby Lekarskiej w Katowicach, Archiwum Archidiecezjalnego w Katowicach. ■



Fot. Mirosława Łukaszek

Katowicka gilotyna znajduje się zbiorach Muzeum Auschwitz. Kadr z filmu „Bez jednego drzewa las lasem zostanie" w reż. Dagmary Drzazgi.

Lech Krzyżanowski
(ur. 1964 r. w Bielsku-Białej) – historyk, prawnik, pracownik naukowy w Zakładzie Historii Najnowszej 1918-1945, Instytutu Historii Uniwersytetu Śląskiego. Od 2005 r. wicedyrektor Instytutu Historii. Ekspert oceniający projekty konkursowe Europejskiego Funduszu Społecznego w obszarze edukacja. Jego zainteresowania badawcze koncentrują się na dziejach prawa i wymiaru sprawiedliwości oraz na historii inteligencji polskiej w okresie międzywojennym i w czasie II wojny światowej. Autor ponad 60 publikacji naukowych wydanych w kraju i za granicą, w tym m.in. „Kościół katolicki wobec mniejszości niemieckiej na Górnym Śląsku w latach 1922-1930". Katowice 2000, „Powstania śląskie w edukacji historycznej". Katowice 2010, „Sędziowie w II Rzeczypospolitej. Okręgi apelacyjne: krakowski i katowicki". Katowice 2011.



Bez wstydu

Jest to debiut fabularny, pełnometrażowy Filipa Marczewskiego (syna wybitnego artysty polskiego kina, Wojciecha Marczewskiego), nie w pełni udany, ale to, co się młodemu twórcy udało, warte jest głębszego zastanowienia. Przede wszystkim wybór tematu: miłość brata do siostry; film wprowadzany jest na ekrany w otoczce kilku intrygujących haseł, na przykład: „Miłość nie zna tabu", „Młodość, która nie uznaje granic", „Namiętność, której nie sposób okiełznać". Pada też słowo o nadzwyczaj groźnych konotacjach: kazirodztwo! Nie pada natomiast słowo: grzech. Pod koniec filmu Anka (starsza od Tadka o pięć, sześć lat) mówi z głębokim przekonaniem, że to, co się między nimi dzieje (a ściślej: oczekiwania Tadka względem Anki) jest złe! Młody mężczyzna mówi: ja cię kocham i chcę z tobą być. Na co młoda kobieta odpowiada: Ty nie chcesz ze mną być, ty chcesz mnie pieprzyć, a to już zupełnie inna sprawa!

Już z tych kilku przytoczonych zdań widać, że temat jest postawiony ostro, bez pruderii, jak w tytule: bez wstydu. I właściwie należało pójść w poruszający, a być może wstrząsający obraz psychologiczny, zaczepiony o realia o tyle, o ile to jest konieczne, by historia nie rozgrywała się w bezczasie, w dodatku nigdzie. Tymczasem reżyser zbyt zaufał scenarzyście Grzegorzowi Łoszewskiemu, którego scenariusz pt. „Komornik" (wyreżyserowany przez Feliksa Falka) zdobył kilka nagród, słowem doceniono go, a moim zdaniem przeceniono. Już w „Komorniku" raziła niewiarygodna przemiana bohatera z kanalii w dobroczyńcę; w „Bez wstydu" równolegle do dramatu rodzinnego pokazywane są relacje młodych skinheadów z miejscowymi Romami. Oczywiście, scenarzysta zadbał o w miarę wiarygodne zaczepienie o siebie obu opowieści: młoda, pełna wdzięku Cyganeczka, która zamierza zostać lekarzem (sic!) zakochuje się w Tadku od pierwszego wejrzenia. A dzieje się to w sytuacji niecodziennej: młodzieniec wyskakuje z pociągu, który zwalnia w pewnym miejscu (o czym Tadek wie), stacza się z nasypu niemal do nóg ślicznej Irminy, co ona przyjmuje jako coś w rodzaju daru niebios: ten chłopak został jej zesłany na męża, dziewczyna nie ma wątpliwości, że będzie jego żoną. Tadek okazuje jej sympatię, lecz on swe namiętne uczucia ulokował gdzie indziej! A Irminie się spieszy! Bo oto o jej rękę stara się przystojny Rom, trzydziestoparolatek, przybysz z Londynu, daleki krewny, decyzja należy do ojca Irminy, lecz, gdyby Tadek był nią zainteresowany, gotowa byłaby zerwać z rodziną, z Romami, idąc za głosem serca. Ją już częściowo przyjął do siebie ten drugi świat: po wyjściu z cygańskiego domu, uszedłszy kilkadziesiąt metrów, zamienia bujną cygańską suknię na dżinsy ukryte w rurze. Na odzywkę kawalera z Anglii wypowiedzianą po angielsku, Irmina odpowiada swobodnie po angielsku, jednym słowem żyjemy w XXI wieku i czas, byśmy zweryfikowali naszą wiedzę o Cyganach, a właściwie o Romach.

Powiedzmy, że wprowadzenie do filmu drugiej dziewczyny, zakochanej w Tadku i nie kryjącej przed nim swojego uczucia, było konieczne prawem kontrastu, ale dlaczego jest nią Cyganka? Zapewne po to, by w filmie pojawili się Romowie, a wraz z nimi problem nietolerancji, bo Romów, żyjących osobno i dostatnio prześladuje miejscowa banda skinheadów. Znamy to z reportaży telewizyjnych; Filip Marczewski zbyt powierzchownie pokazał społeczność romską, by film nabrał większej wagi i jakiegoś specjalnego znaczenia. Odruchowo stajemy po stronie Romów, podobnie jak Tadek, ale w jaki sposób problem cygański rzuca światło na dramat dziewiętnastoletniego mężczyzny pożądającego swojej siostry?

Jakby tego było jeszcze mało, kochanek (niby narzeczony) Anki, Andrzej (w tej roli brat reżysera, aktor Maciej Marczewski!) jest kolekcjonerem druków i zdjęć związanych z Hitlerem; w miasteczku uważany jest za neofaszystę (stąd jego powiązania ze skinheadami). Tadek chcąc go siostrze zohydzić, stroi miny i pokazuje palcami wąsiki a la Hitler. Słyszymy, że coś tam załatwia u Szkopów, wystarczy, że trzaśnie obcasami i wyciągnie rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. Po co to? Film aż się ugina od pobocznych wątków, siłą rzeczy zdawkowych, nie rozwiniętych, które się rozłażą po bokach, spowalniając rytm głównej opowieści o złej miłości brata i siostry. Nie starcza przy tym miejsca na pogłębienie historii rodzinnej Anki i Tadka.

Kim oni są, z jakiego domu wyszli, z jakiej rodziny? Co ma znaczyć powoływanie się Tadka na coś, co między nimi było dawniej? Robi to niemałe wrażenie, gdy Tadek rozbiera się i wskakuje do wanny, w której kąpie się Anka. Siostra wyrzuca brata bardzo stanowczo, gdy ten przypomina, że przecież kiedyś było im z tym dobrze, gdy jednak brat nie zamierza wyjść z wanny i opuścić łazienkę, robi to głęboko poirytowana Anka. Reżyser, świadom, że ta główna historia cierpi na niedostatek własnej prehistorii, rzuca na ekran serię zdjęć z dzieciństwa Tadka i Anki. Jest w nich coś sielskiego, widać też, że starsza o kilka lat dziewczyna jakby matkowała chłopcu. Coś w filmie, jakby w przelocie, napomyka się o jakiejś rodzinie zastępczej. Anka ma wyrzuty sumienia, że nie zaopiekowała się młodszym bratem, lecz oddała go pewnej pani, o której Tadek mówi „ciocia". Tak czy inaczej, prehistoria Anki i Tadka jest tak niejasna, że wydaje się ciemna i mroczna. Jakie jest źródło owej fascynacji siostrą jako kobietą? Być może miłość chłopca do starszej o kilka lat siostry, całkiem naturalna w stosunkach rodzinnych, została brutalnie wyhamowana. Minęło, powiedzmy, dziesięć lat, i tamta miłość ożywa ale już w innej postaci, w postaci seksualnego pożądania.

Temat ze wszech miar ciekawy! Filip Marczewski poczuł – i trudno się temu dziwić – że ma w rękach coś przed czym cofnęli by się twórcy z pokolenia jego ojca, już nie mówiąc o szkole polskiej. Dobrze obsadził dwie główne role (Agnieszka Grocholska i Mateusz Kościukiewicz), świetna jest również Irmina (Anna Próchniak), ale rezultat jest połowiczny. Film nie porywa, nie zachwyca, ale coś w nim jest, jakiś rodzaj bólu, cierpienia, z którym nie wiadomo co począć. Ale to tylko błyska. Film nie może być „o wszystkim". Może być i powinien być o czymś jednym, jedynym i niepowtarzalnym.

Chciałbym, aby Filip Marczewski trafił na dobrą polską powieść, aby się zmierzył z dużej klasy literaturą. Wierzę, że odniesie sukces, bo kino ma we krwi.

FELIKS NETZ

Po głośnej sprawie Jadwigi K., która po zamordowaniu swoich pięciu dzieci, ukrywała ich ciała w beczkach po kapuście, nie sądziłam, że cokolwiek wywoła we mnie większy szok. Gatunek ludzki po raz kolejny pokazał jednak, jak bardzo się myliłam. Madzia z Sosnowca, Szymek z Będzina, Gabryś z Moląga. Cała trójka dobrze znana większości z nas. To za sprawą ich śmierci zmieniłam zdanie.



Zabójcze matki

BARBARA NOWICKA

Pierwsza była Madzia. W miejscu, w którym pracuję naklejono jej uśmiechnięte zdjęcie, wówczas kiedy wszyscy jeszcze sądzili, że dziecko zostało porwane, że są jeszcze szanse na to, by żyło. Były błagalne apele o oddanie córki, były łzy i podpuchnięte oczy. Był nawet najsłynniejszy polski detektyw. I to właśnie za jego sprawą, w mniej lub bardziej etyczny sposób, zakończono ten tragiczny spektakl. Matka Madzi, ta sama która przez dziewięć miesięcy nosiła ją pod sercem, ta która tak usilnie błagała o oddanie jej dziecka, przyznała się, że upuściła Madzię, a ta uderzyła główką o wysoki próg, na skutek czego zmarła. Co w takiej chwili czuje matka? Co robi, kiedy widzi, jak przez jej nieuwagę ginie jej córka? Czy może doznać takiego szoku, aby przez tyle dni odgrywać tak przekonywająco rolę zrozpaczonej matki, którą ogłuszono, po czym zabrano jej dziecko? To pytania dla psychologa lub psychiatry, który być może byłby w stanie zrozumieć takie zachowanie matki, wyjaśnić je naukowo i nazwać specjalistycznie. Niestety nie wszyscy Polacy to psychologowie i większość z nich nie potrafi zrozumieć dlaczego kobieta nie wzywała pomocy, tylko ukryła ciało małej Magdy pod gruzami w sosnowieckim parku, po czym wznosiła apele o oddanie dziecka. Wizerunek matki pogrążonej w depresji nieco kłócił się z wyjściem do kina zaraz po konferencji prasowej skierowanej do wymyślonego porywacza oraz z bardzo mocnym parciem na media. Na światło dzienne zaczęły wypływać informacje, mówiące o tym, że jeszcze przed nieszczęśliwym wypadkiem, matka dziecka szukała informacji na temat trumienek dziecięcych oraz wysokości zasiłku po śmierci dziecka. Rozpoczął się lincz medialny nad rodziną z Sosnowca, który trwa do tej pory.

Szymek z Będzina, był chłopcem którego przed dwoma laty wyłowiono z cieszyńskiego jeziora, po którego nikt się nie zgłosił i którego nikt nie szukał. Gdyby nie sąsiadka, która po (bagatela) dwóch latach postanowiła poinformować odpowiednie instytucje o tym, że nie widziała dziecka od dłuższego czasu, Szymek pewnie do dziś pozostałby bezimiennym chłopczykiem z Cieszyna. Matka chłopca i jej konkubent zostali zatrzymani. Jej postawiono zarzut zabójstwa, jemu – nieudzielenia pomocy. Szymek zginął od silnego uderzenia w brzuch, które spowodowało zapalenie otrzewnej. Przez wiele godzin konał w bólach, odgryzając sobie wargę, podczas gdy ani matka, ani jej partner nie uznali za stosowne zawiadomić pogotowia. Kiedy chłopiec zmarł wywieźli jego ciało daleko od miejsca zamieszkania, po czym wrzucili je do jeziora, uzgadniając wspólną wersję zarówno dla sąsiadów, jak i dla policji na wypadek, gdyby ta jednak do nich dotarła. Przez dwa lata, kiedy Szymek już nie żył, pobierali na niego zasiłek. Matka oszukała ośrodek zdrowia, w którym Szymek miał być zaszczepiony, przyprowadzając na zabieg swojego wnuka, podobnie postąpiła gdy w jej domu zjawiła się policja, która przeszukiwała kilkaset mieszkań w związku z niewyjaśnioną śmiercią chłopczyka, wyłowionego z jeziora w Cieszynie. Z kilku relacji, jakie pojawiły się w prasie wynikało, że chłopczyk był permanentnie bity i poniżany przez matkę, ze względu na rzekome opóźnienie w rozwoju... Czy naprawdę nikt nie zauważył, że czasy spartańskiego

wychowania już dawno są za nami, że wszelkie wady genetyczne lub po prostu bycie słabszym nie dają powodu by odbierać życie?!

Gabryś z Morąga. Chłopczyk znaleziony przypadkowo przez właścicielkę mieszkania, w którym dziecko mieszkało razem ze swoją matką. Znaleziony w foliowym worku, schowanym w wersalce, uduszony. Podobno przeszkadzał matce w zabawach i rozwiązłym trybie życia. Chłopiec miał na ciele ślady, dowodzące tego, że wcześniej próbowano go spalić. Matka liczyła na to, że zupełnie nie zostanie po nim ślad. W skrytce na pościel leżał od lutego. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał, nikt nie zauważył, że dziecko jakby rozpłynęło się w powietrzu. Przez pięć miesięcy Matka chłopca funkcjonowała w mieszkaniu-krypcie tak, jak gdyby wszystko toczyło się w jak najlepszym porządku. Zapraszała do domu znajomych, co dzień mijała łóżko, w którym ukryła ciało swojego synka. Gdzie w takich chwilach podziewa się zwykłe ludzkie sumienie…?

Co roku w Polsce odnotowuje się około trzydziestu – czterdziestu przypadków dzieciobójstwa. Do najczęstszych przyczyn takiego postępowania zalicza się depresję poporodową, brak więzi emocjonalnych oraz zaburzenia seksualne skierowane w stronę dzieci. Uwarunkowania te są na tyle istotne, że zostały wzięte pod uwagę w kodeksie prawnym. Matce, która zabija swoje dziecko pod wpływem na przykład szoku poporodowego grozi kara do pięciu lat pozbawienia wolności. Szok poporodowy stanowi okoliczność łagodzącą w tym przypadku, ponieważ matka może być nieświadoma swoich czynów, stanowiąc tym samym osobę niepoczytalną.

W przeciągu ostatnich miesięcy Polską wstrząsnęły historie trójki dzieci, które zginęły z ręki własnych matek. Ich imiona nie schodziły z pierwszych stron gazet i pojawiały się w niezliczonej ilości programów informacyjnych. W internecie dochodziło do ostrych dyskusji i zbiorowych linczów na matkach-morderczyniach. Nasuwa się pytanie dlaczego teraz wszyscy jesteśmy tak silnie wzburzeni, podczas gdy statystyki mówią same za siebie? Czym te trzy tragedie różnią się od pozostałych kilkudziesięciu? Po pierwsze, dużą rolę odegrały tutaj media, które po tragedii Madzi z Sosnowca, poszły za ciosem, chcąc żerować na tak makabrycznej sensacji, jaką było dla nich dzieciobójstwo. Po drugie, we wszystkich trzech przypadkach najmocniej razi perfidia czynów. Tylko w jednej z tych historii dopuszcza się działanie pod wpływem szoku poporodowego. Pozostałe dwa zabójstwa to nie tylko (i aż) odebranie życia dziecku, ale również grubymi nićmi szyta intryga i bezczelne poczucie bezkarności. Świadomość zdrowego człowieka nie jest w stanie pojąć tak nieludzkie zachowania, wytłumaczyć sobie gdzie podziało się sumienie tych kobiet. Odebrały one swoim dzieciom życie, ale również należyty pochówek. Ani Madzia, ani Szymek, ani Gabryś nie mieli takiego pogrzebu, jaki mieć powinni. Gruzy, jezioro czy schowek na pościel nie są miejscem ostatniego spoczynku. Ukrycie ciała nie spowoduje jego zniknięcia, jak również nie cofnie tragedii, która się za nim kryje. Pokaże jednak do jakich okropieństw jest w stanie posunąć się człowiek. Dzisiejsza etyka i prawo kategorycznie zabraniają odbierania życia. Biorą jednak pod uwagę matki, które z różnych przyczyn nie chcą, bądź nie mogą opiekować się swoim dzieckiem. Mając tyle możliwości, mogąc zostawić dziecko w szpitalu, oddać je do adopcji, czy pozostawić w oknie życia, kilkadziesiąt matek co roku wybiera dla swoich dzieci śmierć. I choć pracując nad tym artykułem zagłębiałam się w naukowe teksty psychologów wyjaśniające takie wybory, przyjmuję do swojej świadomości informację, że takie tragedie się zdarzają, jednak zrozumieć ich nie potrafię.

Trudno też pojąć fakt, że cała Polska aż wrzała z przejęcia losami całej trójki nieżyjących już dzieci, a jednak przez długi okres czasu ani jeden Polak, ani jedna Polka nie odważyła się zgłosić na policję i powiedzieć głośno o swoich podejrzeniach. Dziś z gazety dowiadujemy się o sąsiadce z Będzina, która zauważyła brak dziecka, ale nie chciała się wtrącać, bo to przecież nie jej sprawa. Już wcześniej, kiedy szukano Szymka, jako bezimiennego chłopca, były osoby które podejrzewały, że to chyba ten „mały z mieszkania na piętrze", ale przecież pewności nie miały… Poza tym było wtedy tyle ważniejszych spraw, że nie było czasu nad tym się zastanawiać. To że kobieta już wcześniej porzuciła kilkoro swoich dzieci, nie dało im wystarczających podstaw do niepokoju. W Morągu też jakoś tak nagle cicho się zrobiło w mieszkaniu, dziecka nie było słychać, ale kto wie? Może na wakacje wyjechał…. W Polsce w dalszym ciągu, szczególnie wśród starszego pokolenia, istnieje przeświadczenie o tym, że informowanie instytucji państwowych to donosicielstwo. To rozumowanie rodem z PRL-u, sprzyja takim tragediom i pozwala ich sprawcom czuć się bezkarnie. Poprzez takie działanie Polacy jawią się jako naród hipokrytów wstrząśniętych tragedią, linczujących dzieciobójczynie, jednak nie widzących własnych zaniedbań. Zdecydowanie łatwiej przerzucać odpowiedzialność na państwowe instytucje, wytykać im rzekome uchybienia, a własną obojętność przemilczeć.

Historia Madzi z Sosnowca, Szymka z Będzina i Gabrysia z Morąga to tragedie nie mieszczące się w głowie, budzące oburzenie, szok i niedowierzanie. To dramat dający podstawy do zastanowienia się nad ciemną stroną natury człowieka oraz takimi pojęciami jak premedytacja, brak skrupułów i zezwierzęcenie. Wydarzenia ostatnich miesięcy zostawiają za sobą czarną listę pytań, na które bardzo ciężko odpowiedzieć, a jeszcze trudniej zrozumieć odpowiedzi na owe pytania. Żadne bowiem usprawiedliwienia kobiet, które dopuściły się dzieciobójstwa nie są dla mnie wystarczające. Ani nadmierny stres, ani brak wsparcia w rodzinie, żaden szok poporodowy nie daje prawa do zabicia własnego dziecka. Każda z tych osób była dorosła – miała wybór. I każdy inny wybór byłby lepszy, niż ten którego dokonały. Ogrom odczuć związanych z tragedią tych dzieci systematycznie podsycały media, nie znając umiaru, żerując jak sępy na czymś co już dawno powinno zostać zamknięte. Spokój należy się tym, którzy w tej historii byli bezradni i odegrali najbardziej tragiczną rolę – dzieciom. Tak duża doza potwornych informacji podawana w stosunkowo krótkim odcinku czasowym wywołała jednak w całej Polsce ogromne poruszenie i niekończące się dyskusje. Wiem jedno – potworów nie ma, są za to ludzie. ■

Rozproszeni

JOANNA STORCZEWSKA-SEGIETA

I

Krzyś przybiegł z drewnianym krzyżykiem pomazanym śmiercią pająka. „Zatłukłem robaka!", piszczał. Matka wyjrzała z zamyślenia. Syn podstawił jej pod nos wymieszane tkanki.

– Zobacz! Pająk ukrzyżowany!

– Pająk krzyżak, nygusie, nie bluźnij!

Z rozgrzanej patelni donosił olej.

– A dziadek tak mówił.

– No właśnie, mówił brzydko i teraz nie chcą go w niebie. Umarł i powinien iść tam – wyprostowała palec wskazujący ku górze – a on buszuje mi po domu i straszy nawet w dzień.

W tym momencie rozmowy kropla wody w gorącym tłuszczu całkowicie zabrała głos.

Puls zmarłego; Krzyś przysunął okularki bliżej paramyślenia. W wybitnym labiryncie widzeń i przywidzeń dziecka zobaczył modlącą się śmierć. Odmawiała pokutę za niedbalstwo. Za zostawione byle gdzie szkielety nieśmiertelności. Zaparowały soczewki. Chłopiec docisnął je do nosa i trzymał palcem wierząc, że logika oczu pomoże zrozumieć. Próby wzrokowe zawiodły – oczy nie wierzyły słowu.

– No co takie gały robisz. Wczoraj ni z tego, ni z owego spadł twój obrazek od komunii, chociaż gwóźdź był wbity jak teraz. A tu zobacz, zapalniczka dziadka. Przecież tego tutaj nie było.

Faktycznie; zapalniczkę włożono dziadkowi do trumny. *Pewnie miał dwie, oszukiwał z paleniem*, miarkował Krzyś. *Mama zabierała mu papierosy przez tego raka płuc.*

Co jeszcze po umarłym?, chłopiec układa w pojęcia szczegóły mieszkania. Kubek na mleko z kopalni, kanarki w klatkach. „Dzień dziadka" na obrazku miesiąc przed śmiercią. Czarna sukienka matki. Czarna tasiemka na chłopięcej kurtce. Znaki tego i tamtego bycia.

Śmierć biblijna była dla Krzysia zjawiskiem bez definicji, ponieważ z widzenia przyszłość nieboszczyka nie nosi śladów wieczności. Oddzielenie duszy od ciała widział jako usunięcie baterii z zabawek. Kładły się w trumnach mechaniczne lalki. Obok tej fikcji – ludzie bez prądu. Głowił się, czy to jest to samo, czy prawie, tak jakby. Mimo białych plam w teorii, chłopiec wierzył w życie wielkie, w krzyż i światło na początek drogi. Ale gdy alternatywą dla wniebowzięcia okazał się powrót do domu człowieka bezpowrotnego, zawiesił się jego delikatny światopogląd. Chemia lęku płynęła z krwią.

Krzyś popatrzył z kuchni na kanapę w pokoju. Zobaczył odcisk głowy na poduszce. Zły sen o śmierci. Ryby w workach. Drętwe liszki. Wykopany w kocu dwumetrowy dół. Na stacji pogody wybiła temperatura poniżej poziomu życia. Krzyś przylgnął do matki supełkiem pępowiny. Poczuł mokro pod pachami – odeszły wody strachu.

– Uważaj dziecko, żebym cię nie podeptała – od zawsze opiekuńcze ramię odcięło skulonego syna.

– Naprawdę myślisz mamo, że dziadek tu jest?

– Ej! – na powrót łaskawa ręka poszarpała go lekko za włosy – Żartowałam! Duchów nie ma! Takie rzeczy się zdarzają; to w kopalni tąpnie, to ciężarówki przejadą i obrazki, lustra spadają. A coś ty taki blady? I spocony? Co ty boisz się?

– Nieee, nie, nie. Nie jestem głupkiem – rozcieńczył prawdę fochami i przytulił się do kobiety, której ciepło roztapiało go do nieistniejącego samodzielnie embrionu. W innych warunkach to ciepło pomagało mu odbić się z owej maleńkości, ale teraz był dzieckiem z matką.

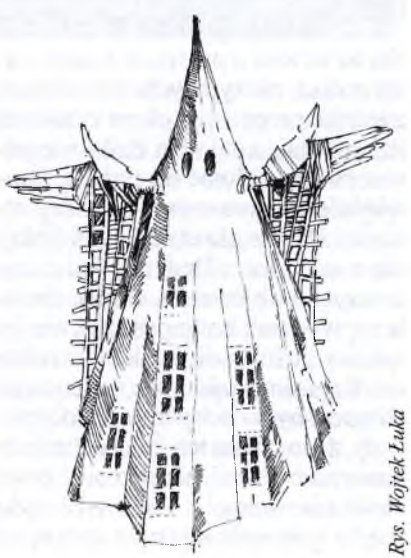

Rys. Wojtek Łuka

Krzyś nie wyszedł z kuchni, dopóki smażyły się placki ziemniaczane. Zjadł jednego. Przeliczył resztę. Wieczorem sprawdził stosunek zjedzonych do znikłych. Dziadek zawsze mógł tylko dwa.

II

Wakacje ruszyły pod cukiernię. N-klasiści posadzili siebie kwitnących na długiej ławce z widokiem na słodki handel i zapamiętale lizali lizaki, zapamiętale lizali lody. Czerwiec gasił tornistry słońcem. Nauka wyważyła drzwi do lasu. Zapachniało buczyną, zaszemrało jej łacińską nazwą. Uczennice i uczniowie rozbiegli się po okładkach atlasów przyrodniczych, radośni z prawa do zamknięcia książek. Nieletni-wieczni czcili urodziny życia.

Na tej ławce siedział także Krzyś. Wraz z innymi chłopcami dostrzegał dziewczyny. Dziewczyny zadowolone z dostrzegania, mówiły, że je to wnerwia. I rozpuszczały włosy. Edytka dawała światło zielonymi rumieńcami na bladej twarzy, że jest wolna. Krzyś wybrał Emilkę. Kupił jej batonik. Sobie loda. W stronę młodych kroczyły tryumfy uczuć i deptały troskę czujnych matek, które nadaremnie „aniemówiły", że dzieci nie powinny bawić się w seks i papierosy. Mimo ogni hormonalnych w tym dniu Krzysia nie przepaliły amory. Dostał porcję dojrzewania do innego pokoju wrażliwości.

Słońce zstąpiło na ziemię. Szedł pokaz efektów solarnych. Było jak zwykle o tej porze roku. Niespodziewanie letni wiaterek napowietrzył się surrealizmem. W małej odległości od wakacyjnej ławki pojawiła się postać bezpowrotna. Krzyś upuścił loda na ziemię.

– Tam jest mój dziadek.

– Ten co umarł? – gruby Sylwek myślał, że powiedział dowcip lata.

– Skąd się tu wziął? – Krzyś zapytał własnego ucha. Był sam w przywidzeniu.

Dziadek zatrzymał się przy zamkniętej od pół roku księgarni. Podeszła do niego pani Kasia, sprzedawczyni. Obydwoje pochowani w marcu. Teraz stali wobec siebie jako ludzkie moce.

W tym momencie rzeczywistość rozłożyła się na dwie przestrzenie, podobnie jak przy zsiadaniu mleka, kiedy wytrąca się żółta woda, aby mogło toczyć się w niej życie, dla którego brakło miejsca w białym. Tutaj, na ławce przed cukiernią, wytrącił się kawałek „tamtego" świata i stanął w świecie „tym", ujmując chłopca w swe granice, między brzegi ulicy pełnej zadziwiających mgieł nieśmiertelnych. Były to dusze, które stały w rozkroku między dożywociem a odwiecznością. Krzyś rozwarł wewnętrzne oczy i poznał w tych natchnionych aerozolach znane mu twarze. Podskoczyły w komorach uczucia z nimi związane. *Moja dusza widzi*, wystraszył się nieznanego i z powodu lęku poczuł zagrożenie, choć powinno być odwrotnie. Bał się coraz bardziej, gdy dziadek zbliżał się do rozmowy z wnuczkiem. Kiedy stanął blisko, Krzysiowi przemokło serce.

– Dziadku, co tu robisz?

Towarzyszące Krzysiowi dzieci zlizywały słodkie kalorie w świecie obok.

– Przyszedłem. Wróciłem. Tęskniłeś?

– Nie – kłamał.

– Nie szkodzi. Długo mnie nie było.

– Zapomniałem, że miałeś tyle siwych włosów.

– A ja pamiętam ciebie od stóp do serca.

Dziadek objawił się wnuczkowi przede wszystkim jako miłość, która na własne widziadło ponakładała ludzkie szczątki i od-

bijała się w oku dziecka ukochaną postacią. W rzeczywistości była mlecznym snopem o rozproszonych konturach, które zahaczały o cząsteczki powietrza. Naraz od całości oddzieliła się smużka; Krzyś zobaczył wyciągniętą ku sobie rękę. Zachował się wobec niej nieufnie. Wsunął się plecami między dzieci, między ich nieskupioną uwagę nad spotkaniem ciała i duszy. Z miejsca nawiedzenia Krzyś dostrzegł, że dziadek mówi do niego znad ziemi.

– Boisz się, Krzysiu?

– Boję. I jest mi zimno przez ciebie – cofnął się przed wyciągniętą drugi raz dłonią, jakby ten dotyk miał go zabić.

– Przez lody, Krzysiu.

– Ale ty jesteś żywy czy nieżywy?

– A jakbyś wolał?

–Sam nie wiem. Za dużo zjadłem słodkiego. – zemdlony popatrzył w stronę zamkniętej księgarni. – Pani Kasia nie żyje, ci ludzie – zatoczył ręką półkole – też nie. Bracia Rogalscy spaleni prądem. Ojciec Sylwka. Czemu nie podchodzi do syna tak jak ty do mnie? Chyba bym wolał, żebyś był żywy…

Dziadek westchnął.

– A więc nieżywy…

– A może to ty jesteś nieżywy, wnusiu?

Chłopiec był blady jak trup.

– Idź sobie, dziadziu, niech ja się spokojnie obudzę.

– Nie obudzisz się, bo nie śpisz.

– Dziadku, proszę, idź do domu!

– A którędy to się szło?

– Do swojego domu idź!

– Nie kochasz dziadziusia?

– Kocham, tylko tego nieżywego!!! – zakończyła się wrzaskiem maskarada spokoju. Wylały się łzy i zmoczyły dziecięce okularki. W pamięci serca chłopiec ze ściętą różą po raz drugi idzie na pogrzeb dziadka i żegna go na zawsze. Drugi raz na ziemi przestaje być wnuczkiem i przesuwa się w pokoleniach na miejsce swojego ojca. Przesunięcie gumuje świat, który był przed nim. Dlatego Krzyś chce żyć pogodzony ze śmiercią dziadka, bo boi się godzić na nią raz jeszcze. Dobrze mu bez smutku. Poza tym jest przerażająco.

Nagle chłopiec zerwał się z ławki, zrzucając przypadkiem kilka kruchych lizaków. Na patyczkach już pusto.

– Co robisz, gnoju! – usłyszał od serdecznych przyjaciół, którzy cały czas czekali na niego przy wyjściu z odrętwienia. Nie zauważył ich. Dostał kopa od grubego Sylwka.

Wbiegł do domu i zamknął się pod kołdrą. Zmuszał głowę do spania, żeby obudzić się z tamtego. Płakał. Znalazła go opiekuńcza dłoń matki i zdiagnozowała gorączkę. Wyciszyła dreszcze polopiryną. Wtedy przyszedł sen, a w nim Bóg patrzący na Ziemię przez dymne szkiełko. Był sam w Niebieskim Królestwie. Mimo że tylu powołał do siebie, zostali oni we współrzędnych Wszechświata. Nie w prochu, ale w rozproszeniu. Chmura energetyczna zaćmiła ludzką planetę.

III

Krzysztof obudził się przed dziesiątą rozsunął powieki i leżąc, przeciera flanelą okulary znalezione na nocnej szafce. Dopasowuje je do twarzy, okularnik od dziecka. Na kalendarzu wisi dwudziesty ósmy dzień lutego. Żadnych poszlak, który z dni będzie jutro. Może tylko biszkoptowy zapach z piekarnika.

Weronika szykuje tort na trzydzieste urodziny Krzysztofa. Rośnie magma ciasta. Solenizant czuje święto. Idzie do żony i po drodze szepcze: „Cześć, muszę coś zjeść. A wy na dwór!”. Powietrze robi się rzadsze.

Na środku kuchni koło mleka. Weronika z nożem w biszkopcie śmieje się z bałaganu. Nie wie, że na szyi ma plamę waniliowego kremu. Krzysztof obejmuje kobiecy stan, a słodycz zlizuje nęcąco.

– Mmm, kwiatek waniliowy, mak we włosach. Gdybym teraz umarł, taka bakaliowa umarłabyś razem ze mną. – przesypuje ziarenka niepokoju, dotykając wargami nagie ramię Weroniki. – Bo martwy człowiek to egoista. Żyje sobie pozagrobowo w czyjejś pamięci, a sam zabiera do grobu pamięć o innych. Na przykład mój dziadek; on jedyny wspominał, jak grałem Szopena na cymbałkach. Po jego pogrzebie przepadła moja osobliwość – uśmiechnął się w sobie.

Żona strząsa go z ramienia.

– Nie witaj mnie rano „dziadkiem”. Wiem. Umarł w twoje urodziny. I co z tego? Co w tym dniu jest ważniejsze? Boję się o ciebie. Musisz pokonać tę chorobę z duchami. Ich nie ma. I ludzi, którymi byli, też nie ma.

Przytuliła męża, który splunął w to współczucie śmiechem z konduktów żałobnych, przerostu formy nad treścią. W którym sadziła się na wierzących logika. Złagodził ją ubraniem w słowa.

– Śmierć, moja miła, nie jest końcem końców. Jest przejściem za mętną, dźwiękoszczelną szybę. Za wieczność. Ciało to przyroda, życie metafizyka. Zobacz ile tu jonowego puchu do wypchania nowych istnień – pokazał na białe smużki nieodczuwalne dla pięciu zmysłów. – Matka powtarzała, że jej ojciec za bluźnierstwa nie dostał się do nieba. Nie dostał się, bo go nie znalazł – zakpił z ulgą.

– Boję się coraz bardziej.

Jakkolwiek matka Krzysia wierzyła, że synek wyrośnie z przywidzeń, tak żona Krzysztofa zawiozła ten problem do egzorcysty. Usłyszała: „Krążymy, proszę pani, jesteśmy materią i energią, a one, jak wiadomo, krążą. Mąż ma prawo odczuwać półśmierć osoby, jeśli ich pola elektromagnetyczne są bliskie. Ja zajmuję się złymi duchami, nie dobrymi”. Niebo wymieszało się z podłogą. Kanapka z ezoteryką. Weronika wyszła na zawsze od wszelkich specjalistów. „Musimy cię ratować, Krzysztof. Schowamy cię przed dziadkiem, żebyś go na odmianę z tej tęsknoty przestał widzieć”. Krzysztof wiedział swoje. Od czasu spotkania na wakacyjnej ławce przestał tęsknić za staruszkiem. Przestał też kochać go całym sercem, a zaczął połową. Drugą połową bardzo się go bał.

Krzyś nie spodziewał się, że jego dojrzewanie nie obejmie wyobraźni. Opuścił dzieciństwo z siatką widzeń, przywidzeń, idących w siebie mas wiecznych. Był coraz bardziej ciekaw, jak wygląda to przejście. Chciał doświadczyć go, myśląc. Przeżyć to z otwartymi oczami. Jedyne, co powstrzymywało go przed złożeniem ciała na progu śmierci, był ten lodowaty trupi dotyk na powitanie. Kiedy był mały, dziadek mu mówił „dotknij palcem ślimaka, a zmienisz go w skorupkę”. Skorupka – o ile zimno dłoni zmieniłoby Krzysztofa tylko w Krzysia, tak powstałego Krzysia na pewno zmieniłoby właśnie w nią.

Weronika wyjmuje z piekarnika ostatni okrągły biszkopt. Parzy palce. Zawija ciasto w foliową torbę. Otwiera puszki z makiem i bakaliami i na łyżeczce podsuwa mężowi słodki test. On nie spostrzega. Jest z dziadkiem. Mówi mu, żeby nie podsiadał go w fotelu.

Do wieczora świat subtelnie się postarzał. Ludzie obiegli tarczę zegara. Krzysztof pali świeczkę przy swoim zdjęciu. Weronika tego nie widzi, bo śpi od godziny, spracowana. Nad biurkiem kalendarz z niezerwaną kartką. Pod nią dwudziesty dziewiąty dzień lutego lub nie. Jeżeli urodziny – Krzysztof spojrzy w przyszłość. Pomyśli, czy nadal jest tam miejsce dla niego. Jeśli stwierdzi, że nie ma, to umyje swemu ciału nogi i zostawi je w przyrodzie. Weronika jest jeszcze blisko męża. Jak blisko będą jutro?

Nazajutrz schodzą się goście z kwiatami dla Krzysztofa. Solenizant uśmiechnięty i zadowolony z życia w niebie jak i na ziemi. Wchodzą ciałami bratnie dusze. Życzą „sto lat”. Nie mówią czego. Krzysztof dziękuje za przybycie i zaprasza na toast. Na początek Weronika wnosi makowy tort.

– Miałem rozpocząć lekkie życie w dniu moich trzydziestych urodzin. Wczoraj byłem gotów, a gdy się obudziłem było już pojutrze! – stuka palcem w pierwszy dzień marca.

Goście piją wódkę za plan Krzysztofa. Przeliczają czas na pieniądze. Prognozują. Krzysztof nie wyprowadza ich z przyziemia. Musi do łazienki. Otwiera drzwi, za którymi dziadek patrzy mu w oczy ni z żalem, ni z ulgą.

– Dlaczego Krzysztofie tego nie zrobiłeś?

– Bo Krzyś nadal się ciebie boi.

Rozchodzą się obaj zakłopotani własną postacią. ■

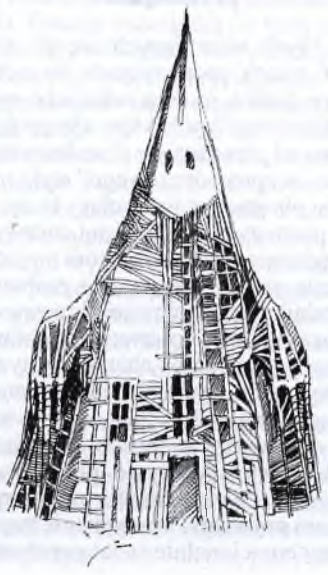

Rys. Wojtek Łuka



„Nie mija cud przemijania"

ALEKSANDRA ZASĘPA

Anna Janko jest niewątpliwie poetką nieprzeciętną, której twórczość od samego początku uznawana była przez krytykę literacką za zjawisko nad wyraz wyjątkowe i osobne. Życzliwość recenzentów (wśród których znaleźli się zarówno Hanna Krall, jak i Artur Sandauer) towarzyszyła autorce od samego startu literackiego, na początku jej twórczej drogi, objawiając się już w chwili debiutu bardzo entuzjastycznym przyjęciem przez środowisko literackie (Sandauer przyrównał młodziutką wówczas poetkę do jednego z najważniejszych *poetes maudits*, określając ją życzliwym mianem „Rimbauda w spódnicy").

Intrygująca liryka Anny Janko była wówczas prawdziwym objawieniem i obiecującą „zapowiedzią" rozwijającego się talentu. Warto zaznaczyć, że w ukazującej się na bardzo specyficznym tle literackim (końca lat siedemdziesiątych) poezji debiutantki pokładano wielkie nadzieje, upatrując w tej twórczości innowacyjnej szansy, która nie tylko wniosłaby nową poetycką jakość, ale także poszerzyła obszar rozwijającej się wówczas poetyki Nowej Prywatności. Pierwszy tomik poetycki, zatytułowany *List do królika doświadczalnego* (1977) pozwolił Annie Janko zdobyć uznanie krytyków i czytelników, a także zaistnieć na polskiej scenie pisarskiej. Idąc niejako za ciosem poetka wydała następnie dwa kolejne tomiki: *Wykluwa się staruszka* (1979) oraz *Diabłu świeca* (1980), które stanowiły swoistą kontynuację poetyckich poczynań autorki, znanych z debiutanckiego zbioru wierszy.

Miłość, samotność, przemijanie

W tych ukazujących się po sobie trzech propozycjach literackich Anny Janko można odnaleźć wiele punktów wspólnych, które występują zarówno na płaszczyźnie charakterystycznego „bezprecedensowego" stylu poetki, w obrębie jej poetyckiej frazy, jak i na płaszczyźnie wyrazistej, niezwykle energicznej wyobraźni, która niejednokrotnie potrafi zaskoczyć i zachwycić czytelnika intensywnością kreowanych obrazów. Już w pierwszych zbiorach wierszy dominuje, charakterystyczny dla tej poezji, styl osobistego wyznania, osiągany przy użyciu języka prywatności, oddającego w sposób bezpośredni subiektywne przeżycia podmiotu lirycznego. Poetka odsłania przed czytelnikiem prywatny, niesłychanie zagmatwany emocjonalnie świat psychosfery

ANNA JANKO – urodziła się w Rybniku. Jest córką Teresy Ferenc i Zbigniewa Jankowskiego – znanego małżeństwa poetyckiego. Ceniona poetka, autorka wielu zbiorów wierszy, laureatka szeregu nagród i wyróżnień, nominowana do Nagrody Literackiej Nike 2001 oraz Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus. Anna Janko jest także autorką dwóch powieści: „Dziewczyny z zapałkami" i wydanej ostatnio „Pasji według Hanki".

głównej bohaterki, tytułowego „królika doświadczalnego" wrzuconego w piekielny krajobraz istnienia, targanej sprzecznymi uczuciami i uwikłanej w bolesną grę z samą sobą, z drugim człowiekiem, wreszcie z otaczającą ją rzeczywistością. Strategia uobecniania wprost przeżyć i myśli podmiotu wytwarza jednocześnie wrażenie jakiegoś wewnętrznego napięcia, towarzyszącego bohaterce w jej relacjach z wielowymiarowym światem, własnym losem i nieprzeniknionym Innym. Wszystkie najważniejsze kwestie, których dotyka poezja Janko w wymienionych tomach (a zatem miłość, samotność, strach przed przemijaniem, problem kobiecości) zostają zazwyczaj wyrażane za pomocą niezwykle skondensowanych obrazów, których plastyczność i wizyjność zaskakuje swą niezwykłością.

Wykreowany świat tej poezji przypomina niekiedy artystyczne dokonania nadrealizmu. W budowanych, zapożyczoną niemalże od surrealistów, siłą „wyzwolonej wyobraźni" niezwykle intensywnych figuratywnych konstrukcjach poetyckich, uobecniają się dziwne, estetycznie ostre i mroczne jakości: agresywne, wyraziste, brutalne w swym obrazowaniu, niekiedy nawet okrutne w swej irracjonalności: „Zęby kamienieją / gdy otwierasz drzwi / nie stoczy się ani słowo / skrzepy powiek / uciskają przecięte źrenice" (*Koniec*). Poezja Anny Janko z tamtego czasu z pewnością porażała czytelnika siłą własnych, niekiedy bolesnych wizji, uderzając swą rozwścieczoną emocjonalnością i wyrazistym obrazowaniem. Dominuje w niej jeszcze atmosfera buntu, mroczna i ciężka w swej depresyjności, co przekłada się również na szorstkość kreowanych wyobrażeń i walczącą postawę podmiotu, uczestniczącego w rozgrywce między tym, co wewnętrzne, a tym, co zewnętrzne, posiadającego głębokie poczucie własnej odrębności: „Nie roztrząsam atomu / nie trawi mnie nieskończoność / Bóg nie narzuca swojej obecności // Odebrałam sobie rozum / zostałam kobietą" (*Być albo nie być oto jest odpowiedź*).

Silna intensyfikacja płciowa z jednej strony wyodrębnia podmiot w jego indywidualnym poczuciu istnienia, z drugiej zaś paradoksalnie nie chroni go przed dekonstrukcją własnej osobowości i fizyczną dezintegracją. Somatycz-

na całość bohaterki zostaje wielokrotnie podważona, jej ciało rozczłonkowane i rozparcelowane, zdaje się wskazywać na wyrzucenie ze świata, potęgując przeżycie odróżnicowania: „Dam się sobie rozbiec w cztery strony / nie pamiętając że którymś ranem / pozbierana do drobiazgu / wysprzątana z cudzości / odczuję swoje wyraźne granice / święte koło wokół mnie zakreślone" (*Antrakt*). Janko mocno eksponuje wewnętrzną potrzebę podmiotu do kontaktu z drugim człowiekiem, z inną odrębnością. Uwikłanie żeńskiego podmiotu w odwieczny konflikt płci, który zazwyczaj przybiera postać relacji o charakterze antynomicznym, stanie się swoistą obsesją tej twórczości. Mężczyzna i kobieta należą do odrębnych, dwóch różnych światów, które wprawdzie krzyżują się, ale nigdy nie potrafią osiągnąć spójnej całości: „Minęliśmy się / w jednej słonecznej chwili/ i tylko wtedy / byliśmy jednocześnie (…) pamiętaj / o mojej / pustce / obok / ciebie" (*Listy*); „Rano będzie zimno / Rano będzie ślisko / Rano będzie osobno" (*Wesele*).

Po 10 latach milczenia

Po okresie intensywnej i owocnej pracy twórczej przyszedł dla Anny Janko okres poetyckiego milczenia, który trwał prawie całe dziewięć lat. Poetka przypomniała o sobie po długim okresie nieobecności na scenie literackiej, dopiero pod koniec lat 80, kiedy ukazał się jej kolejny tom poetycki *Koronki na rany* (1988). Poza dotychczasowymi komponentami poezjowania Anny Janko w tym tomie wyraźnie odsłania się wspólnota przeżyć generacyjnych, a na prywatne wątki (związane z doświadczeniami dzieciństwa, obrazem domu, intymnymi przeżyciami) nakładają się również historyczne uwarunkowania „tamtego czasu", oscylujące wokół tematyki politycznej. Pojawia się silnie odczuwalne uczucie nieufności wobec świata, języka, codzienności wplatanej w bezlitosny mechanizm dziejącej się historii. Bezdomność, utracone bezpowrotnie dzieciństwo, zmaganie się z mijającym czasem to najważniejsze tropy interpretacyjne tego tomu.

Kolejne tomiki poetyckie przynoszą zmianę tonacji. Poezja Janko osiągnęła swój punkt zwrotny, dokonał się w niej jakiś wewnętrzny przełom, po którym ta twórczość zaczęła przybierać całkiem inny kształt, implikując tym samym nową jakość i proponując bardziej dojrzały rodzaj wrażliwości. Nowe propozycje liryczne Anny Janko przyniosły przede wszystkim zmiany w samym nastroju i atmosferze jej wierszy. Spokojniejszy ton, oddający wewnętrzne opanowanie myśli i uczuć podmiotu sprawił, że pozbawiony zbędnej i sztucznej wirtuozerii formalnej obraz tej twórczości, zdecydowanie złagodniał. Wyciszenie dokonało się przede wszystkim na płaszczyźnie uspokojenia zmysłów i wizji, a miejsce buntowniczego, krytycznego języka, wyrażającego swobodną grę wyobraźni, zastąpiła bliska metafizyczno-egzystencjalnym artykulacjom, dojrzała, życiowa mądrość. Te tendencje stopniowo ulegały nasileniu, począwszy od zwiastującego przemianę artystyczną tomu „Zabici czasem długo stoją" z 1995 roku, jak i w kontynuującym z większym natężeniem owe zabiegi artystyczne, następnym zbiorze Janko „Świetlisty cudzoziemiec", pełnym liryków miłosnych, które ukazały się w 2000 roku. Ujawnia się w materii tych wierszy jeszcze większa dojrzałość poetki, która znalazła swój własny sposób mówienia o sprawach dojrzewania, miłości, przemijania i śmierci. Czas staje się przedmiotem refleksji poetyckiej, kategorią poddaną egzystencjalnej i metafizycznej analizie, ujmowanej z perspektywy prostej życiowej prawdy – istnienia, któremu towarzyszy „cud przemijania".

Ciało i doświadczenie

Upływ czasu jest, w przypadku poezji Janko, niewątpliwie najważniejszym zjawiskiem dla postrzegania zdarzeń i własnego trwania w świecie. Ta twórczość jest przede wszystkim czuciem, zapisem doświadczania istnienia, które najpełniej realizuje poetka w tropieniu śladów własnej starości, przeczuwanej śmierci, odkrywaniu samotności i wyczulonej intuicji straty w macierzyństwie. Obcując z własnym ciałem, które podlega tajemniczemu zjawisku „przemieniania", podmiot nie tylko koncentruje się na wyrażeniu własnej, spełniającej się w nim kobiecości, ale poprzez nabytą empirycznie samowiedzę, określa również doświadczenia człowieka związane z doznawaniem upływu czasu: „a jednak wiek robi swoje / i czas we mnie wchodzi jak zgniłe / w nogę kwiatu i idzie do głowy" (*Nie radość*). Ta poezja bywa również przesycona erotyzmem, czego dowodzi tom „Świetlisty cudzoziemiec", pełen niebiańskich skojarzeń erotyków, które jeszcze bardziej wzmagają wrażenie ulotności i subtelności tej liryki. Emocje rozciągają się tutaj między dwoma odległymi biegunami, wyznaczonymi przez przyciągające się wzajemnie pierwiastki męskie i żeńskie. Świat zdaje się istnieć na prawach przeciwieństw, paradoksalnych zestawień materii i ducha, konkretu i nierealności obrazów, posiadania i utraty, wreszcie bycia i nieistnienia. Siła poetyckiego wyrażania tkwi w niesamowitym połączeniu prywatnej przestrzeni zwykłej codzienności z magią święta, w próbach mistycznego zjednoczenia, które dokonują się dzięki potędze uczucia: „W jednej i tej samej chwili jestem przed spełnieniem/ króluję u szczytu i zapadam się po stracie" (*Ty jesteś tym*). Ale ostateczne zespolenie odrębności, całkowita wymiana dusz jest do końca niemożliwa. Każde współobcowanie, każde połączenie z innym, jest jednocześnie naznaczone stratą: „Wołam cię idąc przez rozkosz jak płonące drzwi donikąd / Twoje oczy małe szare okręty wojenne odpływają" (*Świt wypija światło...*).

Najważniejszym horyzontem temporalnym jest tu chwila, wąska przestrzeń dziejącego się Teraz (rozumianego nawet w aspekcie minionego), ale w podmiocie równie silne jest pragnienie wieczności, dlatego pojawia się tutaj perspektywa otwarcia na przyszłość, zapowiedź jakiejś nieokreślonej bliżej nieskończoności i wychylenie naprzód, zgodne z obietnicą, że: „na końcu alei nie ma końca alei" (*Biały dzień...*). Całość tego tomu spowija ponadto jasna aura iluminacji, blask i świetlistość tych wierszy, które sprawiają, że poetycka sztuka Janko chwilami ociera się nawet o kuszącą tajemnicę sacrum. Nieco inną tonację przynoszą już ostatnie teksty poetki, zebrane w najnowszej książce Anny Janko, opatrzonej znaczącym tytułem „Wiersze z cieniem" (2010). Powracają w niej dawne sprawy: przemijanie i towarzysząca mu świadomość kresu, samotność i starość, o których prowokacyjnie pisała Anna Janko, będąc zaledwie dwudziestoletnią dziewczyną.

W smudze cienia

Dziś, z perspektywy prawie trzydziestu lat, poetka, która powoli wchodzi w smugę cienia, pisze jeszcze bardziej świadomie, jeszcze bardziej dojrzale o ciemnej prawdzie życia. Po mistrzowsku żongluje motywem własnej starości, zagrożonej śmiercią, wykorzystując przy tym estetykę cielesności, czy stosując formuły osobistych pożegnań. Najnowsza książka Janko jest przy tym bardzo zróżnicowana stylistycznie i gatunkowo. Odnajdujemy w niej zarówno wiersze bardzo refleksyjne, filozoficzne, jak i utwory stylizowane na poezję ludyczną, wiersze o charakterze niemalże barokowym (z konstrukcją opartą na koncepcie), a także bliskie dziecięcej wrażliwości rymowane piosenki. Jednocześnie silniejsza jest w tych zapisach świadomość kresu, początku końca, naznaczenia bytu niszczącą erozją i skazania na klęskę unicestwienia: „Maleję. Dopalam się. Cień podchodzi ze wszystkich stron" (*Śmierć*). Na okładce, utrzymanej w odcieniach szarości, stoi puste krzesło. Oparte o ścianę rzuca na nią swój cień. To krzesło jest smutnym symbolem nieobecności człowieka, nietrwałości jego istnienia. **Poezja Anny Janko z wielką wrażliwością zapisuje „stawanie się życia", jego nieuchronną skończoność. Ale w niedoskonałości trwania poetka potrafi dostrzec prawdziwą wartość. Tkwi ona właśnie w kruchości bytu i istniejącego na prawach dopełniających się przeciwieństw świata, w którym paradoksalnie „nie mija cud przemijania."** ■

HENRYK CIERNIAK

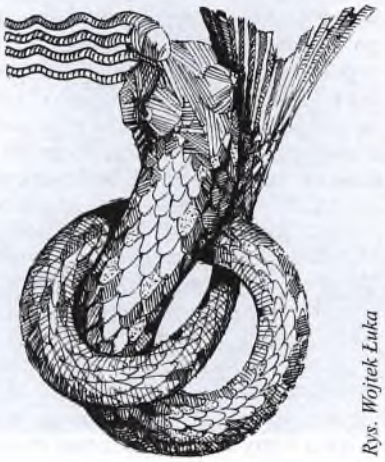

Rys. Wojtek Łuka

LIST

Jestem Panu niezmiernie wdzięczny
doktorze Theophrastus von Hohenheim vel Paracelsus
za Pańską systematykę istot o których pisze się niezmiernie rzadko
niesłusznie nazwanych demonami przez nieoświecony lud
którą zawarł Pan w swoim najnowszym dziele
„O nimfach, sylfach, pigmejach i salamandrach".

Nie są to istoty nadprzyrodzone
bo składają się z realnej substancji
stanowiącej mieszaninę ducha, zwierzęcia oraz człowieka
a skoro są z nami to niekoniecznie muszą być złe -
także w wiosce ludzi kręci się morderca.

Pan uświadomił mi jaka jest przyczyna
tak rozlicznych spotkań z nami tych dziwnych istot
które Bóg stworzył na nasze podobieństwo
tak samo jak my ludzie nosimy w sobie zalążek boski.
Otóż, podobnie jak zwierzęta, nie posiadają one nieśmiertelnej duszy
i kiedy wchodzą w związek z człowiekiem
ów związek obdarza je duszą.

Wspomniana klasyfikacja tych istot niewątpliwie czerpie z
Arystotelesowskiego podziału wszelakiego bytu na cztery żywioły
jednak i tak wnosi bardzo wiele do nowoczesnej nauki.

Dziękuję Panu za nazwanie tych istot ludźmi, nie demonami.



Rys. Wojtek Łuka

A więc, *Primo* – ludzie wody inaczej nimfy
poruszają się płynnie, przyczepieni do grzebienia fali
przyklejają błoniaste piąstki swoich małych dłoni do naszych oczu
kiedy fala napiera zabierając nam pewność spod nóg.
W żyłach nimf tylko woda.
Może przyszedł czas na braterstwo z ludźmi wody,
abym krew rozcieńczył, dał nowe życie nimfom,
nie sądzi Pan, doktorze Paracelsus ?

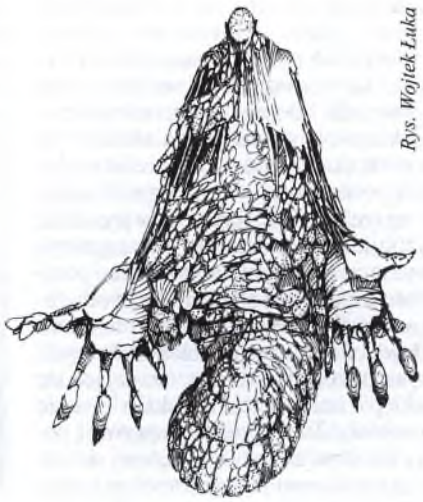

Rys. Wojtek Łuka

Secundo – ludzie powietrza – sylfy
znani też jako ludzie wiatru mają
niezwykłą łatwość pojmowania myśli w locie i przechodzenia
nad sprawami bytu na rzecz chmurek i letargu wśród obłoków,
nie ma w ich żyłach nic nad powietrze.
Może czas nadszedł bym napowietrzył swoją krew
tamtym wiatrem, dał nowe życie sylfom,
mam rację doktorze von Hohenheim vel Paracelsus ?

Tertio to pigmeje – ludzie ziemi
zwani też gnomami od niewielkiego wzrostu
całe dnie ziemistymi paluchami kopią w ziemi
w poszukiwaniu cennych kruszców
cennych jak glina przesuwająca się w ich żyłach.
Może czas zmieszać krew z gliną gnomów,
by dać pigmejom nowe życie ?

Quatro – ludzie ognia – vulcani lub salamandry
wewnętrzny płomień ich słusznego gniewu jest
o chwilę drogi od suchych traw starych prawd
lecz same nie dadzą rady tego świata zmienić,
Pan pewnie myśli pewnie tak ja ja, doktorze Paracelsus,
bo trochę wybiegł Pan ponad wiek XVI.
Może trzeba połączyć krew z moich żył
z ogniem płonącym w żyłach salamander,
może razem uda nam się nasza walka ?



Rys. Wojtek Łuka

Póki co mamy ciepłą wiosnę
brzozy kapią mlekiem na spragniony mech
drzewa splatają miłośnie gałęzie
co buk związał
niech żaden wiąz nie waży się rozwiązać
żaden grab zagrabić.
Trzeba kochać ten świat
ale nie bezkrytycznie.
Tak jak Pan.

Może dane mi będzie spotkać Pana
pośród stuletnich drzew.

HENRYK CIERNIAK

Impresje o wierszach
JANA GOCZOŁA



Poszum lasu

BARTOSZ SUWIŃSKI

W 1961 roku ukazuje się debiutancka *Topografia intymna* Jana Goczoła, która zaczyna się wierszem *Milczenie*, gdzie spotykamy wersy: „i wszystkie nazwy / umierania i życia – / są we mnie / żyją we mnie / jak rój pszczeli". Dopiero przeczuwamy poetyckie akordy, które będą składać się na piosenkę szukającą dla siebie melodii w poruszeniach wewnętrznej Goczołowej rzeki, gdzie gładkie powierzchnie odbijają rzeczywistość, roztargnioną swym rozedrganym kołysaniem, i przeszłość zapadającą się w mętne wody falującej tafli. Rzeka zapomnienia, która zalewa okaleczone pejzaże na których kostur pozostawił trwałą, nie dającą się zasklepić inskrypcje. Ta rzeka wlewa się do wierszy. To z jej nurtem upływają poetyckie znaczenia. Łoskotowi towarzyszy milczenie tak jak spokój następuje po burzy, cisza po krzyku, po wszystkim. Z każdym kolejnym wierszem wsłuchujemy się – nie potrafię uwolnić się od metafory – w poszum lasu, który wyprowadza z tych pól i ziemi pieśń tęsknoty za tym, co ocalić od zapomnienia może tylko jeden ruch – ruch wiersza. Te kilka wersów zawiązuje supły bardziej, zaciska się mocniej wokół pierwszego impulsu, kiedy jesteśmy już dziesiątki wierszy dalej i czytamy (wyznanie Goczoła) o rozpaczy i miłości jako „dwóch jedynych porach mojego życia". Te wersy i ich echa słychać niemalże w całej poezji Goczoła. Ten impuls traktuje o niemożności całkowitego wyrażenia emocji za imionami, których nie sposób ocalić z przeszłości inaczej, niż przepisując je z intymnej topografii i – w tym wypadku – wpisując w topografię miasta, wcale nie tak przychylnego poecie, co do czego zdaje się on nie mieć złudzeń. Przeczytajmy *Dedykacje*:

Mógłbym ciebie odgadnąć z wiatru
Z zakurzonych ścieżek, z kory wiśni –
I mógłbym twoje cierpkie imię
Rozgryźć do żywic melodii

Ale stoję w blaszanej chmurze,
W asfaltach ulic, w ogniach
neonów –
Beton się spiętrza szarym murem
Nad przedostatnim z horyzontów

[TI]

Pierwszy krok, pierwszy zbiorek i słowa, które czytam jako wskaz, jako pewne wytyczne zakreślające bądź kreślące dalsze perspektywy (dla) lektury. Poeta szuka po sobie i w sobie poetyckich krosen dla wzorów „makatek" z przeszłości, z czasu, kiedy można w nich było dojrzeć najbliższy świat – stąd ustawić swój głos. Zaczynać od milczenia to iść w stronę przeciwną do języka, to szukać w sobie/dla siebie przestrzeni która może cofać się przed wierszem, ustąpić pod naporem słowa. „Zapamiętam ciebie tak, – pisze Goczoł – jak zapamiętuje się las – milczeniem [SD, 31]. Poniechać artykulacji wewnętrznej implozji, mówić przez ściśnięte gardło, a jednak traktować poezję jako niemożność innego przeżycia chwili. Jako jedyne miejsce na ziemi gdzie najpewniej mogę być u siebie. Co ciekawe wiersz *Dedykacja* wykazuje pewną koincydencję z wierszem-tęsknotą *Finlandia* Marcina Świetlickiego, który kończy się wersami rymującymi się z końcówką wiersza Goczoła: „Nad horyzontem błyska się / i słychać szczęk / żelaza". Minione przemieszkuje tylko w poezji, zaś rzeczywistość miasta spiętrza się nad poetami, wytyczającymi ścieżki dla swych odrębnych wędrówek. Poeci spotykają się w różnych miejscach, o różnych porach, na sposób tylko sobie znany. Tyle tytułem małej dygresji o wierszach przepracowujących elegijną nutę wspomnienia.

Goczoł często występuje jako strażnik pogranicza życia i śmierci, jawy i snu, dnia i nocy, ktoś dla kogo wiersz staje się ćwiczeniem w oddechu bez którego brak tchu. To osoba, która jest przedzielona na dwa wykluczające się bieguny, pośrodku których musi znaleźć dla siebie miejsce „on", stąd ustawić swój głos. Pierwszy tom poety wyobrażam sobie właśnie tak: jako pewien moment rozdarcia, obrania dla siebie drogi, przekonania się, że źródłem wierszy jest zawsze brak, troska aby puste wypełnić treścią, która choć trochę załagodzi niedobory doczesności, niedostatki za przeszłym, uświetniającym wartości pracy, dobrego obyczaju czy umiarkowania. Jest próbą klarowania się pióra celującego w impresjach, pióra które lubuje się w naturze i z czułością potrafi ją odmalować, zakreślić pejzaż w którym rozgrywają się wiersze. Te dwa momenty w doskonały sposób wiążą się w tytułowej *Topografii intymnej*, gdzie dodatkowo antropomorfizująca kreska zespala te dwa porządki w sugestywny obraz:

Poszarpane krawędzie wąwozów
rozdartych aż do czerwonego rdzenia
zakurzone arabeski poplątanych
ścieżek
popękane wzgórza i wyschnięte rzeki
– krajobraz prawie księżycowy:
dłoń mojej matki

– jedyna strona świata
w której nie zabłądzę.

[TI, 9]

Rok 1969 przynosi zbiorek *Sprzed drzwi*. Tutaj na dobre krystalizują się główne wątki poezji Goczoła, jest to również moment poetyckiego zwrotu ku treściom, którym autor pozostaje wierny po dziś dzień – etosowi pracy i „dekalogowi" postępowania wyniesionego z rodzinnej wioski, Rozmierzy. Tom zaczyna się wierszem *Wychodźstwo*, który należy rozpatrywać jako poetyckie supliki za dawnym światem, którego obraz odszedł do annałów przeszłości. Bohater tej poezji cały czas wydaje się nie przystawać do otoczenia w którym przyjdzie mu żyć, trawiony tęsknotą za bezpowrotnie utraconą „naiwnością" na zgliszczach tego, co pozostało, wznosi swoje wiersze jak pomniki ze spiżu. Wiesław Myśliwski konstatował, że to poezjowanie wyrasta z dotkliwości losu poety, jego ziemi, a przede wszystkim jest bólem po stracie ojca wywiezionego do obozu w Borżomi na Zakaukaziu, kiedy niedoszły pisarz miał 11 lat: „Wstrzemięźliwy, podskórny, ukryty, ten ból tli się niemal w każdym jego wierszu". Postać z tych wierszy jest odseparowana od pobożnego życzenia bodaj najprostszego szczęścia bycia pośród innych. Życie wespół z ludźmi potęguję alienację, ta podsuwa scenariusze dla bycia ze sobą w samotności. Dlatego tam, gdzie przyszło poecie żyć:

Nie odwracaj się: tam gorze miasto
słów, które
odpadły od znaczenia, jak mięso
chore
odpada od kości;
tam miarą echo.

[SD, 7]

Goczoł pokazuje nam umieranie świata dawnej wsi, dawnego kodeksu postępowania i wartości. Odchodzenie świata w którym wszystko było na swoim miejscu, gdzie tradycja była pielęgnowana, obyczaj kultywowany, praca święta. Poeta co rusz poświadcza napieranie miasta, jego nieposkromioną „interwencję" w przyrodę, wypierania zieleni przez beton. „Dewastowanie" przyrody powodowane nieuchronną cywilizacyjną przemianą. Jest to wątek stale powracający w poezji Goczoła, a oto przykład z późniejszego tomu:

Po drzewach zostały dziury
w powietrzu.
Głosy sumienia, a także głosy
pokrewne,
Zalano asfaltem. Jeszcze tylko
Na zmianę pogody szosa czuje ostro
Tamte dawne, do dna wyrwane
korzenie.
[PW, 122]

Miasto jest przestrzenią nienawistną, a sioło gwarantującą poszanowanie porządku, mitologizowanym *locus* wobec, którego określa autor swoją współczesność. Miasto jest „ciężkostrawne", „odbija się czkawką" bohaterowi tych wierszy. Jego poetycki rekonesans może powodować wzrastającą względem niego idiosynkrazję. To samo tyczy się języka: miastowe konwencje pętają i mitrężą spontaniczność wiejskich zaklęć, gdzie mowa posiadała funkcje i sankcje magiczne przemieniania rzeczywistości. To ważny moment: w poezji Goczoła obserwujemy erotyczny stosunek względem istnienia, które łudzi poeta zaspokojeniem w intymnym zespoleniu z przyrodą, w splocie, który nie rozwiąże się na nice. Dawny świat – oset, który porasta rumowisko, dziewanna, nawłoć, wrotycz mogłyby występować jak bliskie imiona kolejnych „fascynacji" poety. Kilkadziesiąt lat później Goczoł napisze *Na 22 września*:

Lato schodzi z chmur. Na przyleśnej
łące
kwitnie coś, na co w językach, które
znam,
nie ma słowa. Tak jak na oczy
kobiety
nasycone pieszczotą; może czymś
więcej.
[ZS, 29]

Natura – jej cykliczność, porządek – jest w tej poezji wzorem wedle którego należałoby się układać ze sobą, ze swoim życiem. W końcu dar widzenia „skromnego" pejzażu, wyimka z rodzinnej Rozmierzy lub innej wsi. I jest równina otwarta: skrawek pola, zapuszczona miedza, fragment lasu, kawałek łąki – te wszystkie migawki widzenia scalają się w „sceny z życia" wsi, w poetyckie błyski bycia (pośród) natury. Nazywanie świata jest próbą oswajania siebie w nim i adoptowaniem jego w sobie. Przyroda okazuje się uprzywilejowana i nieustannie oswajana przez poetyckie oko. Przywołajmy *Suche ptaki*:

Wszędzie jest nikiel. Wszędzie jest
nikiel.
Chmura nawisła białym deszczem
rtęci,
A liście drzew rozkute są tak ostro,
Że łyko wiatrów szarpie się
na strzępy.

Lancety rowów w sztywnych
trawach łąki
Śnią twardość ostrza. Ptaki skwierczą
w słońcu
Sucho. Tylko za bandażami grobli
Wciąż jeszcze dymią mokre rany
bagna.
[SD, 14]

W roku 1974 ukazuje się tom *Manuskrypt*, za który Goczołowi przyznana zostanie nagroda imienia Stanisława Piętaka. Autor pisał, że są to wyznania najbardziej bolące, doświadczone, na własnej skórze przeżyte – jako jego „ślad w wapiennej ścianie czasu". Teraz atmosfera ulega zagęszczeniu. Obserwujemy walkę z naporem niby anonimowych sił, które czynią z danego nam świata obcy horyzont, odpodobniają widnokrąg do przestrzeni, dla której przymiotnik opresyjna byłby wielce trafną charakterystyką. Uciekamy z takiego świata, gdzie pozornie „niezaangażowane" kontakty między ludźmi podszyte okazują się obłudą. Obnażają fałsz wspólnoty jako grupy, która ma na względzie wspólne dobro składających się nań ludzi. Demaskują „fenol żargonów", który ruguje słowa i sprowadza je do czysto użytkowych funkcji, do bełkotu, którym siebie zdybujemy, zagadujemy. W tym tomie najpewniej realizuje się przekonanie o poezji, jako o jedynym miejscu na ziemi, gdzie mogę być u siebie. Tak wygląda *Zima w mieście:*

Byłem blisko: krew zapalała się we
mnie bliskością
tych lotnych
piasków, które nazywałem kobietą.

Wypadły mi oczy – teraz jest we
mnie
przeciąg, jak w domu o wybitych
oknach.

Już nadleciały gawrony. Bo pozostało
jeszcze
trochę słów, w których łatwo uwić
gniazda.
[M, 41]

Drugim momentem pozwalającym wyłączyć się z trybów zaprzęgających nas do ustalonego wzorca współbycia jest intymność. Miłość jawi się jako azyl, schron przez rzeczywistością rugującą nas do liczby, danych, statystyki. Zachwianie wewnętrznej równowagi i psychicznej kondycji odbywa się kosztem „gruzowania" własnej tożsamości. Ta poezja jest również pytaniem o autentyczność, szukaniem przeszłych śladów w świecie który się opuściło i powiada o niemożności zakorzenienia w świecie do którego się przybyło, bądź wciąż przybywa. I ciemna strona tej literatury:

Nie ma we mnie nieba. Nie ma we
mnie piekła.
Nie ma nicości. Jest opuchnięte nic.

Dzwony popękały we wszystkich
wieżach.
Jeszcze są słowa, ale powietrza już
nie ma.
Zgaście światło. Światła we mnie
nie ma.
[M, 68]

W miarę postępującej lektury robi się coraz ciemniej, pętla się zaciska, uścisk nie ustaje – życie jawi się jako przypis do nicości. Odchodzą dni podobne do siebie – przywołując karty Różewiczowskiego dziennika – jak zapałki. Okazują się dniami wydreptanymi dla tych samych spraw beznadziei. Zostajemy sam na sam ze wszystkim, co wyłania się za szarej poświaty zmierzchu. Bohater tych wierszy jest zawsze pomiędzy, w rozkroku. Pomiędzy wioską, która została w tyle, kiedy jej cień za plecami niknie, a światem miasta do którego się zbliża bez nadziei na spotkanie czy „rozchodzenie" splinów podczas swych miejskich peregrynacji kiedy znoje odpadają od nas jak „słowa chore od mięsa". Kiedy jest mi z sobą nie po drodze – zdaje się mówić poeta – wtedy we własnych granicach dokonuję ponownej redystrybucji sensu siebie-tutaj-obecnego. A miłość jeśli jest dana, staje się jednym ze sposobów oswajania cudzego w głąb siebie „wycofania" *Czas bez Ciebie*:

Od horyzontu do horyzontu kamień
na kamieniu.
Drzewa umarły, powysychały
wszystkie rzeki.

Źrenice zaszły mi solą, w piasek
obrosły mi wargi
i język,
a we mnie, w lesie najgłębszym,
dzikie zwierzę
skowycze,
do krwi siebie kąsa.
[M, 53]

I trop być może najistotniejszy: poezja jest dla Goczoła „walką o oddech", „kaftanem bezpieczeństwa", sposobem na życie, którego koniecznością stają się wiersze. Mówi Goczoł: „Wierszy się nie «pisze», nie konstruuje, wiersz «rośnie» wewnątrz, jak płód – gdy się wystarczająco ukształtuje, naporem konieczności zostaje wypchnięty na zewnątrz, zostaje wyartykułowany. Żadnego z moich wierszy nie mogłem nie napisać" Goczoł zapisuje nieuchronność, to, co nieodwracalne. Obrazy destyluje z wolna, przymierza do siebie, nakłada ostrożnie. Wyroki z wierszy przyjmujemy z pokorą. Chcemy wierzyć poecie, kiedy ten pisze *Przypis do całości*:

Mój czas, który jest
wapienną ścianą w celi śmierci.
W ścianie śladowe zapisy
wydrapane ukradkiem. Być może
całkiem inaczej znaczą
niż sentencja wyroku. Być może
znaczą wszystko.
[ZS, 7]

Rozmowa z ks. prof. JERZYM SZYMIKIEM miała miejsce w Liceum Ogólnokształcącym im. Noblistów Polskich w Rydułtowach w lutym 2012 roku w ramach projektu „Wybitni Absolwenci Skalnej". Budynek szkoły został oddany do użytku we wrześniu 1937 roku, zaś liceum ogólnokształcące działa w nim już blisko 65 lat. Ta śląska, rydułtowska Alma Mater wychowała wielu znakomitych artystów i naukowców, m.in. Henryka Mikołaja Góreckiego czy Jana Wincentego Hawla. Wśród nich poczesne miejce zajmuje poeta, teolog, członek Watykańskiej Międzynarodowej Komisji Teologicznej, „synek z Pszoswa".



Mów na wysokości tej górki

– Kiedy ksiądz profesor chodził do naszej szkoły – to jaka ona była? Jacy byli uczniowie, nauczyciele, przedmioty, dyscyplina?

– Byliśmy najlepszym pokoleniem jakie tu kiedykolwiek się uczyło (śmiech). Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Proszę sprawdzić na przykład nasze oceny z zachowania (śmiech). Idealne.

A serio: nie umiem tego ocenić. Nie umiem nas porównać z innymi pokoleniami uczniów naszego LO. Zdawałem maturę czterdzieści lat temu, więc trochę czasu minęło, a w tym okresie nie bywałem w naszej szkole szczególnie często... *A propos* tej 40-tki: w tym roku jesienią się spotykamy z koleżankami i kolegami, żeby tę rocznicę uczcić, „obrzykać" i „obloć", tamten maj wonny, pamiętny, sprzed czterdziestu lat... Zaczynamy Mszą świętą w Domku Marii przy parafii św. Jerzego (piękny tytuł parafii zresztą, podkreślmy), (śmiech), i potem w jakiejś okolicznej trattorii zabalujemy. Ogromnie się na te chwilę cieszymy... Natomiast nie umiem chyba za bardzo porównać pokoleniowo was z nami. Myślę, że się bardzo, bardzo dużo zmieniło. Ale mam też ciągle wrażenie, że cały czas ten nasz świat tutejszy, lokalny, świat ziemi rybnicko-wodzisławskiej, zupełnie nieźle się broni przed całym tym globalnym, wszechobecnym cyrkiem (że się tak eufemistycznie i łagodnie wyrażę), to znaczy, że cały czas jest to świat w większości normalnych rodzin, że nic się strasznego nie dzieje z frekwencją na niedzielnych mszach w naszych parafiach, że takie środowiska szkolne jak to nasze, nie są wylęgarnią narkomanów, że cały czas obecne na rybnicko-wodzisławskiej ziemi struktury społeczne, ich jakość, chronią młodych ludzi przed złem. Mam takie wrażenie. Choć chętnie o to zapytam nauczycieli, na pewno zniuansują moje spojrzenie. W każdym razie tak było za tzw. „moich czasów" na pewno. Myśmy robili różne głupstwa, oczywiście, mniejsze lub większe, ale jak z dzisiejszą moją wiedzą o ludziach i życiu na to patrzę, to na pewno nie było to zło w postaci czystej. To były najwyżej jakieś wagary, jakieś nastoletnie wygłupy (czasem ostre, owszem), ale to nie był żaden wielki alkohol, żadne narkotyki, żadne zło, które by nas definitywnie zniszczyło na samym starcie w dorosłe życie. I wydaje mi się, że jesteście kontynuatorami tej drogi.

– Jak wspomina ksiądz profesor tamte lata, lekcje, nauczycieli, przyjaźnie?

– Byłem lepszy z przedmiotów humanistycznych niż ścisłych i w związku z tym (jak to zazwyczaj bywa) więcej przykrych wspomnień mam z lekcji przedmiotów ścisłych, ale to nie są żadne prawdziwie złe wspomnienia, bo one są z perspektywy czasu równie zabawne, jak wspomnienia miłe. W każdym razie tekst spod tablicy – nie wiem na ile on się teraz powtarza w szkole – który brzmiał: *mów na wysokości tej górki*, na której stoi szkoła – czasem mi się jeszcze śni (śmiech)... Z człowiekiem jest jakoś tak, że dość naturalny jest w nim proces wypierania i czyszczenia wspomnień przykrych, a uwznioślania rzeczy fajnych. Być może jest to jakiś instynkt samozachowawczy naszej pamięci, a dalej i osobowości. I tak też to działa u mnie, we mnie.

– Czy pamięta ksiądz profesor jakieś zaskakujące przygody szkolne?

– Pamiętam – biologii uczył nas pan profesor Utrata. Kiedyś zrobił nam niezapowiedziany sprawdzian, a mieliśmy chyba jakąś z nim umowę, że zapowiada sprawdziany. Nikt w całej klasie nie pisał tego sprawdzianu, to znaczy profesor dyktował pytania, dawał półtorej minuty czasu na odpowiedź, następne pytanie itd. Klasyczny, solidarny strajk, dekada przed „Solidarnością"... Zabawa w kartkówkę trwała pół godziny. Potem profesor pozbierał kartki i poszedł z nimi schodami (klasa była na ostatnim piętrze) do pana dyrektora. Powiedział, że zaraz z nim wróci. Nie wrócił. Złamał nogę na schodach, po drodze. Wrócił dopiero za jakieś dwa miesiące do pracy. Ale następnego dnia w szkole byli już nasi rodzice (śmiech).

– Co z perspektywy lat pozostało najważniejsze? Jaki obraz Skalnej ma ksiądz profesor w sercu?

– Trudno jest mi powiedzieć jak to rozumiałem wtedy, a w jaki sposób i na ile na moje postrzeganie tamtego czasu nakładają się następne lata życia, bo tego nigdy nie da się odwirować. Nie umiem wskoczyć w siebie osiemnastoletniego bez pamiętania doświadczeń późniejszych – zastrzegam. Ale już odpowiadam. Dla mnie najciekawszym zjawiskiem z dzisiejszej perspektywy był sposób, w jaki radziliśmy sobie z indoktrynacją komunistyczną. To jest szalenie interesujące: jak to działało, że to nie działało! Przecież myśmy byli intensywnie, wieloaspektowo indoktrynowani. Chyba chroniły nas rodzina i Kościół. Dzięki nim wiedzieliśmy jednak, że to jest wielki pic. Oczywiście coś to z nami robiło, jakoś nas to psuło, musiało w jakimś „dwumyśleniu" kształcić, co jest zawsze szkodliwe dla młodego człowieka, który się uczy, że aby przetrwać, to na to samo pytanie musi odpowiadać inaczej w szkole a inaczej na religii i w domu. To nie jest bez skutku, to jasne. Było na przykład tak, że wybierając seminarium du-

chowne po maturze, nie mogłem tego w żaden sposób wyartykułować w szkole, ponieważ miałbym kłopoty z maturą właśnie. I nie dość, że ja miałbym kłopoty, to dyrektor i wychowawca mieliby od razu UB-ecję na karku, że swoim wychowaniem doprowadzili do pobłądzenia ideologicznego ucznia a nie ustrzegli młodego człowieka przed czymś tak fatalnym jak odchylenie religianckie. Tak że musiałem składać papiery na uczelnię gdzie indziej i dopiero potem przenosić je do seminarium, żeby nie robić sobie, ani nikomu kłopotu. Po roku się pojawiłem w szkole i dyrektor ówczesny, pan Roman Korepta, mówi do mnie: *Przyjacielu, coś ty nam zrobił?* Dowiedziałem się potem, że przez kolejny rok mieli duże trudności z tego powodu, iż zdolny absolwent, laureat olimpiady ogólnopolskiej, wywinął taki numer: chce zostać księdzem. Jak w tym wszystkim myśmy jednak wiedzieli generalnie gdzie jest czarne, a gdzie białe, mając przecież około 18 lat, to jest bardzo ciekawe i nie umiem tego do końca jeszcze wytłumaczyć. Łaska Boska, po prostu.

– Czy koledzy i koleżanki wiedzieli, że ksiądz profesor idzie do seminarium? Jaki był poziom tej jawności?

– Najbliżsi wiedzieli, ale też oczywiście to wszystko było splątane wielorako. *No ja, łon godo, że idzie do syminarium, a łon przeciyż jeszcze w zeszłym tydniu chodziył z Cilom!* (śmiech). Dodam, że w tym cytacie absolutnie nie chodzi o mnie i że w naszej klasie nie było Cili, imię to jest więc dobrane rozmyślnie neutralnie... Więc to wszystko, te poziomy się na siebie nakładały i komplikowały. Ja też musiałem się niejako przedrzeć do tej decyzji przez różne warstwy siebie samego, musiałem ją w sobie wywalczyć. W maturalnej klasie zająłem szóste miejsce w warszawskim finale Olimpiady Polonistycznej, to mi dawało wstęp na polonistykę gdziekolwiek w Polsce. To było miłe, ale mi nieco zaciemniało wybór drogi, w tym znaczeniu, że myślałem: *może tego chce Bóg, skoro mi język polski tak dobrze idzie. Może powinienem iść w tę stronę* (polonistyka, dziennikarstwo). A jednocześnie ta myśl przemożna, coraz jaśniejsza: *nie słuchej gupot, byłeś ministrantem i zawsze chciałeś być księdzem! Wróć do tego, zostow wszystkie wiersze, eseje i Cile!* (śmiech, wyjątkowo głośny).

– Po co w naszych czasach – upadku języka na rzecz obrazka – tych wszystkich smsów, gadu-gadu, skypów – czyli największych możliwych skrótów – poezja – praca w słowie?

– Właśnie dlatego! Bez słowa w naszym ludzkim świecie sobie nie poradzimy. *Na początku było słowo*... To pierwsze zdanie Ewangelii według św. Jana. Chrześcijaństwo i kultura, którą chrześcijaństwo ufundowało i uformowało do spółki z Helladą i Rzymem, współtworzą wielką cywilizację słowa. Słowo jest tu podstawą a moc ma kreatywną. Dlatego też praca w słowie jest pracą dla człowieka, dla kultury, dla przyszłości.

– Jak ksiądz profesor pisze wiersz? Jaki jest proces twórczy i czy natchnienie jest najważniejsze?

– Początek to jest jakaś inspiracja, iskra, wydarzenie, przeżycie. Przykład: młody człowiek sięga po pióro, kiedy się zakocha. Nie kpię z tego, broń Boże. To jest tak silne poruszenie emocjonalne, takie doświadczenie radości i bólu zarazem, doświadczenie nieznane prozie życia, że człowiek chce je wykrzyczeć i musi o tym powiedzieć światu. Początek moich wierszy jest podobny, w tym znaczeniu, że biorą się one z mocnego wydarzenia i z pragnienia skomunikowania się w tej sprawie ze światem. Natomiast potem musi się na to nałożyć ciężka praca, podobna trochę do pracy rzeźbiarza, praca oczyszczająca słowo, uwalniająca je z tego, co „zaciemnia" kształt; trzeba sporo niepotrzebnego tworzywa „odłupać". Jeżeli pisaniu nie towarzyszy tego typu praca i obfita lektura cudzych tekstów (dobrych książek, dobrych wierszy, prasy etc.) to mogą powstawać rzeczy bełkotliwe, a nie wolno – myślę – zabierać ludziom czasu byle czym. I nie wolno czytelnikom wciskać kitu – tekstów niedopracowanych, niedomyślanych, nieprzecierpianych, nieprzekochanych.

– Kto jest pierwszym czytelnikiem i recenzentem nowego wiersza, czy dzieli się ksiądz profesor z kimś swoimi pomysłami?

– Nowe wiersze, w rękopisach, zabieram na wieczory autorskie i testuję je na słuchaczach. Jeżeli widzę, że trafiają, czyli poruszają, są „słuchane", to coś tam jedynie udoskonalam i drukuję. A jeśli nie, to je wycofuję.

– Czy bycie naukowcem, teologiem, autorem kilkudziesięciu książek naukowych pomaga czy przeszkadza w pisaniu wierszy?

– Zdania są podzielone. Ja myślę o łączeniu tych dziedzin pozytywnie w tym znaczeniu, że jeśli te funkcje sobie jakoś przeszkadzają to jedynie marginalnie, a w swej istocie i jedno i drugie, i trzecie, jest przecież pracą w żywiole słowa. Jestem księdzem przede wszystkim i przed wszystkim i tak naukę jak i poezję traktuję jako wtórne. Podstawą jest kapłaństwo – o nie chodzi w moim życiu. I jemu tak nauka jak i poezja mają służyć. Myślę też, że kapłaństwo je scala ze sobą i utrzymuje je – naukę i poezję – w duchowej formie. Trochę prościej, trochę inaczej: kiedy słucham kazania księdza w kościele, to wiem mniej więcej ile rocznie kaznodzieja czyta książek. Jestem w stanie po tylu latach pracy z księżmi i z klerykami to mniej więcej trafnie stwierdzić. Oczywiście trochę w tej chwili żartuję, ale każdy tu wie o czym mówię: szerokość i głębokość słownika, z którego zbudowana jest homilia – czy to jest sto pięćdziesiąt słów czy dziesięć tysięcy – to wyraźnie słychać. A bierze się to głównie z lektur i z pisania, bądź ich (jego) braku. Czyli, wracając do istoty pytania: praca w tworzywie poetyckiego słowa wzbogaca język, a ten służy ambonie i wykładowi. Doświadczenia i inspiracje religijne są kluczowe dla poezji. Największe pytania metafizyczne i teologiczne ludzkości sztukę nasycają największymi z możliwych treściami. Korzyści są więc wzajemne, sądzę.

– Czy często czyta ksiądz swoje wiersze? Który jest najbardziej ukochany i dlaczego?

– Samemu – rzadko. Mam różne wady, ale ufam, że nie są to wady narcyza, którym mam nadzieję głęboką nie być. Jedno i drugie mówię szczerze. I to, że mam wady i że nie narcyza. Jeśli wiersz działa (a on działa bądź nie działa), to poznaję to po odbiorcy, a nie po sobie.

– Ile wierszy już ksiądz profesor napisał – czy liczba ma tu znaczenie? – ponoć śp. Szymborska tylko 350, bo miała kosz na śmieci. Czy taki mechanizm ma również ksiądz profesor?

– Z Szymborską się nie porównuję, oczywiście. Nie ta skala talentu, miejsca w szeregu nie zapomniałem. Poza tym: jej poezja – przy całym do niej szacunku, podziwie, chwilami zachwycie – jest metafizycznie pusta i to mnie od niej odstrasza. Szymborska prezentuje też (w wierszach to jest w oczywisty sposób do „wyczytania") pewien rodzaj daleko idącego wycofania (kobiecego? Może, nie wiem), które jest mi obce. Osobowościowo znacznie mi jest bliższy Miłosz, biorący się z rzeczywistością nieustannie za bary, odważny, wadzący się z Bogiem i o Boga... W każdym razie: wiersze wyrzucam rzadko, może i ze szkodą dla czytelników, ale z pożytkiem dla organizacji mojej pracy (przerabiam je, wykorzystuję fragmenty w esejach, wykładach etc.).

– Czy jest jakaś różnica między wierszem, który pisze katolicki ksiądz, a takim, który jest pisany przez „zwykłego poetę"? Czy w księdza wierszach widać Boga? Czy się ksiądz o to stara?

– Trudne pytanie, idące bardzo głęboko... Staram się o to, chciałbym żeby tak było, marzę o tym, chociaż do końca nie wiem, czy mi to się moim wierszom udaje i na ile to w ogóle jest możliwe... To wynika z priorytetów, po prostu. Gdyby ktoś powiedział, że to, co piszę, jest tylko „zwykłą katechezą", powiedziałbym,, dobrze, bardzo dobrze, to nie jest mało, ja żadnym poetą być nie muszę". W życiu chodzi o Boga. Kropka. Czułbym się źle, gdybym mącił w głowie mojemu odbiorcy. Pragnienie jest szczere. Ale jak wygląda jego realizacja? Nie wiem. Trzeba zostawić ocenę Bogu i ludziom.

– Czy Ślązakowi trudniej być poetą, ze względu na krążące stereotypy o śląskiej małomówności czy posługiwaniem się gwarą śląską?

– Mnie łatwiej. Gwara wspiera literacką polszczyznę. Zgadzam się z tezą profesora Miodka, że tam, gdzie się gwara zmaga się z językiem literackim, oba te języki niesłychanie się tą walką wzbogacają. Język literacki jest wtedy bardziej plastyczny i cały czas ma dopływ świeżej – gwarowej – krwi. W tych regionach Polski, gdzie na co dzień mówi się językiem mediów, gdzie nie przebija się gwara (w niektórych częściach Polski zachodniej i północnej), język ulega spłaszczeniu. Ale to tylko moje zdanie i nie muszę mieć racji.

– O czym jest poezja księdza profesora? Co chciał przez nią Ksiądz przekazać ludziom?

– Jeżeli się pisze wiele lat, w życiu – w każdym – sporo się dzieje i te wydarzenia odzwierciedlają się w poezji. Chciałbym, aby w moich wierszach była przede wszystkim obecna prawda. Czyli uczciwa próba odpowiedzi na pytanie: jak to rzeczywiście jest – z Bogiem, z nami, ze światem. Ze mną i z Tobą (drogi czytelniku).

– Jak wygląda praca księdza jako tłumacza? Jak wygląda schemat tłumaczenia wiersza?

– Jest to ciężka robota i jak mogę, jej unikam... Przede wszystkim sądzę, że tłumaczyć wiersze można jedynie tak jak to czasem robię, to znaczy z języka obcego na język ojczysty. Przekładu w odwrotną stronę nie wyobrażam sobie (przynajmniej w moim wydaniu). Język na który się tłumaczy wiersz trzeba słyszeć do samego dna, do ostatniego szmeru... Wiersz, który się tłumaczy trzeba przede wszystkim dobrze zrozumieć (z niuansami), zachować w przekładzie muzyczność jego frazy, uszanować rymy i rytmy. I tak dalej.

– Jak wygląda taki„ zwykły" dzień księdza profesora?

– Codziennie staram się z samego rana przynajmniej godzinę modlić. Cztery, pięć razy w tygodniu mi się to udaje. Bardzo mi na tym zależy, bez tego na pewno bym się wywracał w życiu więcej razy niż mi się to zdarzało. Strasznie dużo energii pochłaniają mi zmory współczesności: technokracja, biurokracja (pracuję na uczelni), przyśpieszenie (wszystkiego), wmanewrowanie w nadaktywność. No i robię rzeczy, które robią wszyscy ludzie: chodzę do lekarza, odbieram setki maili, chodzę do sklepu, odwiedzam ciocię, myję zęby. Staram się jakoś to wszystko organizować, spać ile trzeba, pomagać innym. Podsumowując: żyję pracowicie. Bóg mi błogosławi, mówię o tym z najgłębszym wzruszeniem...

– Czy jest jakaś osoba w życiu Księdza, która szczególnie się odznaczyła, zawsze służyła radą, wspierała w sukcesie?

– Mam cudowną rodzinę! Myślę, że to im właśnie, Bliskim, ogromnie dużo zawdzięczam. Teraz, kiedy jestem na progu sześćdziesiątego roku życia, widzę to jeszcze wyraźniej: o całą masę życiowych wartości nie musiałem walczyć, gdyż oni mi to dali, za darmo, niejako „w posagu" na życie. Dali mi na przykład zdrową pewność siebie: kiedy mam coś do powiedzenia – mówię; kiedy nie mam nic do powiedzenia – nie mówię, nie muszę. Myślę też, że wielkie znaczenie miało poczucie bezpieczeństwa w moim rodzinnym domu, gdyż między moimi rodzicami nigdy nie było cienia możliwości rozstania, rozwodu. I dziecko wówczas ma to, co ma mieć, żeby pewnie stać na ziemi (która się przecież nieustannie kręci...) – pełną, stabilną rodzinę, gdzie jest chciane, kochane i chronione. Życie nabiera wtedy smaku miłości i wiele drzwi staje otworem.

Rozmawiali
ŁUKASZ OLSZOWSKI
i KAROLINA GRZEGOREK,
13 lutego 2012 r.
LO na Skalnej w Rydułtowach

Przeżył, wrócił, zaświadczył. Józef Kassolik (1894-1975), obecny patron szkoły w Międzyrzeczu koło Pszczyny, jej były kierownik, przeżył kilka obozów koncentracyjnych. Najstraszniejszy był właśnie Konzentrationslager Stutthof. Teraz jest tu muzeum. Podążyłem jego śladami...

Stutthof. Piekło według Kassolika

GRZEGORZ SZTOLER

Rozmowa

dwóch przyjaciół, jeszcze z lat dziecinnych, nauczycieli Franciszka Szczepańczyka i Józefa Kassolika. To właśnie ten pierwszy ściągnął z Kęt swojego przyjaciela na posadę w szkole w Międzyrzeczu, kiedy część Górnego Śląska po 1922 r. znalazła się w granicach przyznanych Polsce.

Franciszek: – Przeszedłeś aż osiem obozów koncentracyjnych. Który z nich był najgorszy?

Józef: – Zdecydowanie ten w Stutthofie…

…

W obozie w Stutthofie, na Mierzei Wiślanej, niedaleko zdrojowych plaż można zobaczyć krematoryjne piece. Kremacja jednego ciała trwała w nim około czterdziestu minut. Piece, opalane koksem, były wydajne, ale i tak nie nadążały z przerobem, więc praktyczni Niemcy wymyślili przenośny piec… diesel – opalany olejem napędowym. Wszystko to, łącznie z szubienicą, można dotknąć, zobaczyć – bo istniało. I zwiedzić darmowo. Mieści się tu Muzeum Stutthoff.

Kassolik trafił na skutek denuncjacji właśnie do tego obozu. I to w czasie jego intensywnej rozbudowy. Kiedy wkraczali do niego Rosjanie, zobaczyli hałdę pół miliona ludzkich butów [dorosłych i dzieci], zastali też starą część obozu. Nową Niemcy zdążyli zniszczyć.

Baraki były zimne

Wędruję śladami mojego bohatera. Niesamowite. Baraki, w którymś z nich mieszkał, się ostały. Są, jak pisze, „zimne, nieopalone, bez powały [sufitu], jak stodoły". Teraz urządzono w nich muzealną ekspozycję. Zachowała się makieta obozu, z wszystkimi etapami jego rozbudowy. Działał już przed wojną, Sztutowo leżała wtedy w granicach Rzeszy. Nawet w lecie zwiedzanie tego miejsca powoduje ciarki na plecach. Zawszone prycze, prowizoryczny lazaret. Kassolik trafił tu zimą z 1939 na 1940 rok. Wspomina, że był to „nowy obóz, dopiero w rozbudowie, umieszczony w lesie". Jak wtedy mógł wyglądać obóz widać doskonale na wystawie fotografii, jaką urządzili młodzi adepci tej sztuki. Niesamowity, magiczny – choć nie są to odpowiednie słowa – i przerażający. Kilka fotografii wykonano nawet z udziałem aktorów przebranych w mundury hitlerowskich strażników. To robi większe wrażenie niż tablice pełne historycznych opisów. Ale największe wrażenie wywiera na mnie jedna informacja – w potoku cyfr [ich rozbieżności], informacji [i nadinterpretacji] jedna jedyna nie daje mi spokoju. Rosjanie zastali górę ludzkich butów. Zdumiało ich to. Policzyli. Butów było pół miliona, z czego duża część dziecięcych. Nie bardzo wiedzieli, co zrobić z tym nietypowym pomnikiem ludzkiego okrucieństwa. Zostawić? Początkowo obóz miał być zniszczony. W końcu, część z niezwykłej ekspozycji postanowiono wykorzystać przy budowie pomnika.

Arbeit macht frei

Więc zima i szron. „Słoma, na której więźniowie leżeli była całkiem mokra" – pisze kierownik. – „Szczęśliwym był ten, kto miał własny płaszcz, ale tacy stanowili wyjątki. Leżeliśmy więc w tym gnoju i zimnie bez przykrycia. Do tego czasem zdarzało się, że ludzie nie mieli w nocy siły, by iść do ustępu, więc robili pod siebie. Do mokra, zimna, przyłączył się jeszcze smród…"

Podstawowym celem pobytu w obozie była praca. Kassolik opisuje, jak przez dwa tygodnie pracował przy budowie baraków. Niemcy wykorzystali niewolniczą pracę więźniów do perfek-

cji. To ich siłami wzniesiono ceglane budynki komendantury obozu, w których teraz jest administracja muzeum. Więźniowie rozbudowywali obóz. Pracowali w szklarniach, by zapewnić esemanom, odpowiednie wyżywienie, bogate w warzywa. „Z pobliskiego lasu nosiliśmy na barkach całe świerki liczące nieraz do 30 metrów. Stanęło z 25-30 ludzi, podnosiło na barki, i niosło do obozu 1-2 km. Często chodziliśmy do lasu dalej na wyrębisko i kopaliśmy pniaki, którymi potem palono w kuchni obozowej. Kopać trzeba było, ile tylko człowiek miał sił, aby się rozgrzać, bo mrozy dochodziły do 35 stopni i wiały silne wiatry".

Pytam się o jakąś obozową ewidencję. W recepcji pokazują mi kilka publikacji, ale w nich ani śladu. Jest sobota, będę musiał napisać maila w poniedziałek, po powrocie do domu. Chciałbym potwierdzić informację, że kierownik szkoły w Międzyrzeczu tu przebywał. Choć mam pamiętniki, a one, i opisy w nich zawarte, nazbyt szczegółowe i drastyczne momentami, wykluczają mistyfikację.

„W obozie przebywało około 300 księży polskich – wspomina Kassolik. – Pracowali oni przeważnie przy usuwaniu śniegu na wielkim placu przed obozem". W jednym z obozowych baraków trafiam na ekspozycję poświęconą polskim księżom zakatowanym w obozie. Wstrząsająca. Lista nazwisk się nie kończy. I to z całej Polski. „Jeżeli zauważono, że któryś ksiądz wyprostował się i odpoczął… wieczorem po apelu cała grupa karana była przez bicie" – relacjonuje Kassolik dopowiadając, że bicie odbywało się w obecności wszystkich więźniów obozu, a bito metalowym prętem owiniętym gumą. Wszyscy musieli liczyć. Razów mogło być kilkadziesiąt. Jeżeli delikwent jęczał lub krzyczał karę powtarzano.



Głód

Doskwierał. Kassolik: „Stutthof to był bardzo ciężki obóz. Tam panował szalony głód. Dostało się na obiad menażkę zupy, w której czasem były 3-4 ziarnka żyta albo dwa ziarnka grochu. Było w tym czasie 500 menażek na 4500 więźniów." Trzeba więc było czekać na swoją kolejkę. Warunki sanitarne też nie były najlepsze. Nie wiadomo, czy lepiej myć menażkę, czy nie. Raz wody brakowało, innym była brudna. Z tego też powodu nie myto się prawie wcale. Prawie, bo dla odważnych była poranna, często o czwartej nad ranem, toaleta w śniegu. Ten przynajmniej był czysty. I zahartowany, jak dodaje Kassolik.

„Z końcem marca [1940 r.] urządzono mycie przy korycie na środku obozu. Zima była jeszcze tęga. Każdy musiał myć się do pasa pod strażą. Wtedy to wielu ludzi zachorowało na płuca i pomarło…"

Niemcy

Nie kryli, że powstały jeszcze przed wojną obóz w Sztutowie ma na celu eksterminację polskiej inteligencji. Podkreślali to na każdym kroku, próbując nawet „rozgrywać" polskich więźniów: „Na początku kwietnia zwołano wszystkich więźniów na zebranie i jeden z hitlerowskich dygnitarzy miał przemowę do nas – wspomina Kasssolik. – Mówił: Wy robotnicy, rolnicy, ludzie prości, jesteście dobrymi ludźmi, ale wasza inteligencja, to tacy psuciele, ludzie nic nie warci. My się z nimi porachujemy".



Dzieci

Tak, było ich sporo w obozie. Szczególnie chłopców w wieku 6-12 lat, zauważył to jako wieloletni nauczyciel. I zastanawiał się: „Nie wiem, czego się Niemcy obawiali?"

„Na wielkim placu przed obozem były tysiące mebli z mieszkań polskich w Gdańsku, a w obozie kilka baraków zawalonych ubraniami i materiałami z pobliskich polskich sklepów z Gdańska".

Chyba w połowie 1940 r. Kassolik został przewieziony do kolejnego obozu w Sachsenhausen. Przeżyje wojnę. Najstraszniejszy obóz miał już za sobą.

Świadectwo

Leży przede mną pamiętnik. Spisał go Franciszek Szczepańczyk, mieszkaniec Pszczyny, ale spisał wspomnienia swojego przyjaciela, Józefa Kassolika. Uznał, że muszą przetrwać. Bo niosą niezwykłe świadectwo.

Mailuję do historyków z obozu, pytając o Kassolika. Proszę o potwierdzenie jego bytności. Nadmieniam, że posiadam jego wspomnienia, które mogę udostępnić. Odpowiedź mnie zaskakuje.

Szanowny Panie,

Niestety w naszym archiwum nie posiadamy inf. o więźniu Józefie Kassolik. Niestety nie posiadamy danych wszystkich więźniów zwł. z początkowego okresu. Nie mamy pełnych danych więźniów z transportu z kwietnia 1940 r. do Sachsenhausen. Tym bardziej jesteśmy zainteresowani posiadanymi przez Pana pamiętnikami

Pozdrawiam serdecznie,
Bogusława Tartakowska

Szczepańczyk się nie mylił, świadectwo jego przyjaciela jest naprawdę cenne. W końcu kto przeżył aż tyle wcieleń otchłani… ■

Biblioteka nocą



KRYSTIAN GAŁUSZKA

Magiczny stół

Moja Biblioteka niczym nieodległa wieża wieńcząca szyb kopalniany wpisuje się w pejzaż przemysłowy, trochę zatracając się w tym industrialnym zgiełku. Jest jednak, jak stylowe zabudowania dawnych hal fabrycznych, starych pieców hutniczych, charakterystycznych wieży ciśnień bądź chłodni kominowych, a nade wszystko wież kościołów świadkiem historii miejsca. A gdy się zastanowić, to może bardziej strażnikiem, a nie świadkiem. Jak ja. Zamknięty w wieży bibliotecznej, która niczym wieża sił gotyckiej świątyni podtrzymuje mury już nie fizycznej katedry ile mentalne mury cywilizacji – nie inaczej.

Biblioteka skrywa w sobie warstwy czasu, które jak w palimpseście w przetarciu przenikają się wzajemnie, uwypuklając konteksty, które choć oczywiste, wydają się być nowe i odkrywcze. A trzeba powiedzieć, że pomimo pozornej statyczności wszystko jest nad wyraz dynamiczne – zachowując odpowiednie proporcje oczywiście.

W te wrześniowe dni Roku Pańskiego 2012 sięgam po książkę – rozpisaną wydawniczo na cztery odrębne tomy. Albowiem przedsięwzięcie literackie *Duchy wojny dziennik żołnierski 1942-1944* tworzą: *W koszarach pod szczytami Alp, W bunkrach Wału Atlantyckiego, W okopach Frontu Wschodniego* (wydane w Katowicach w latach 2008-2010 przez „Śląsk" Wydawnictwo Naukowe oraz Stowarzyszenie Thesaurus Silesiae – Skarb Śląski) oraz *W objęciach śmierci* (tom wydany w roku 2011 w Cieszynie przez Offsetdruk i Media). Jak widać dzieło Alojzego Lyski jest zatem nie tylko dokonaniem literackim, ale także edytorskim. Na ponad tysiącu stronach autor rozpisał 667 dni z życia Ślązaka Alojzego Ochmana, żołnierza Wehrmachtu. Tekst pisany w etnolekcie śląskim wzbogacony został ponad 500 oryginalnymi zdjęciami z epoki – dookreślającymi klimat, ale także będącymi samoistnym świadkiem tamtych dni. Świadkiem równie wstrząsającym jak słowo – nie wyszukane, nie wymyślone na potrzeby literackich konstrukcji ani innych figur stylistycznych. Śląskie słowo.

Rzecz niebywała. Tysiąc stron po ślonsku (być może z powodu tego, iż książka skierowana jest nie tylko do czytelnika śląskiego, autor zastosował do zapisu swej rodzimej mowy ortografię polską – nie rezygnując nawet z używania samogłosek nosowych, co w znacznym stopniu ułatwia czytanie – jakkolwiek osobom pozbawionym kontaktu ze ślązczyzną odbiera możliwość wsłuchania się do końca w mowę Ślązaków). To tak jakby przenieść się w czasie i siąść sobie w śląskiej gospodzie, powiedzmy w Raciborzu – albo, co jest oczywiste w Bojszowach (rodzinnej miejscowości Alojzego Lyski, który na kartach swej książki poświęcił jej tyle ciepłych słów, iż mogło by się przy nich ogrzać niejedno wielkie miasto) – i dać się ponieść „maszketnyj godce". I jeszcze jakby było piwo i przyśpiewki z epoki, tak hojnie cytowane przez autora, które siłą swej urody do dzisiaj brzmią naturalnie i świeżo, chwytając za serce, gdyż przypominają niektórym smak dzieciństwa – można by pomyśleć, że ocieramy się o bramy raju.

Książka jednak nie opisuje nieba, gdyż jej głównym tematem jest piekło. Piekło wojny. Przedstawiony świat jest światem prawdziwym ojca autora, który – wierząc opowieściom Lyski – w szczególny sposób upomniał się o swoje. Gdyż pewnej nocy, z niezrozumiałych przyczyn, budząc domowników, rozpadł się, odsłaniając ukryte skarby stary stół. Magiczny jak się okazało. Zdarzenie przypominało lądowanie kapsuły czasu, dzięki której zostały udostępnione nie tylko nie znane do tego momentu pamiątki rodzinne, ale nade wszystko korespondencja wojenna ojca Pana Alojzego do jego matki (wykorzystana później w książkowym cyklu *Duchy Wojny*). Głos zza światów stał się punktem wyjścia do peregrynacji śladami ojca. I jak podaje autor, ojcowska opieka towarzyszyła mu do końca, niejednokrotnie podtrzymując jego wiarę w sens żmudnej, mrówczej roboty literackiej. Na końcu autor wyraża myśl, że sam nie wie, kto jest faktycznym autorem ukończonego dzieła. Wiemy jednak, że to Alojzy Lysko syn fizycznie spisał losy Alojzego Lyski ojca szeregowca 167 dywizji piechoty Wehrmachtu. Czytelnik zagłębiając się w tetralogię wojenną Alojzego Lyski idzie śladami żołnierza w niemieckim mundurze – od momentu jego wcielenia, poprzez szkolenie, działania na froncie zachodnim, piekło frontu wschodniego i śmierć. Idzie śladami żołnierza, który nie chciał być żołnierzem tej armii. To nie była jego wojna. Jednak jako odpowiedzialny ojciec i mąż, świadom konsekwencji odmowy, wypełnia swą powinność – solidnie po śląsku, do końca. Opisując losy swego ojca, a co za tym idzie losy swej rodziny, a co za tym idzie losy mieszkańców ziemi rodzinnej (oprócz ojca w powieści pojawia się ponad sto osób), ustrzega się patosu. Opisane postacie nie są pomnikowe. Mają swoje przywary, bezsensowne przyzwyczajenia, lęki i słabości. Świat przedstawiony jest okrutny, złowieszczy i zimny. Jednak czytając, widać że powieść zanurzona jest w powodzi tkliwości, nie łzawej bądź sztucznej, ale tej czystej, pierwotnej, osadzającej się w dotyku matki, bądź pochwale ojca. Utkana jest nićmi miłości, które sprawiają, że czytelnik przyswaja opisany świat, rozumiejąc i czując – szczególnie z punktu widzenia polskiego czytelnika – ów bezmiar żalu i tęsknoty dla swej rodziny, dla swych korzeni, niechby mających związek z Niemcami.

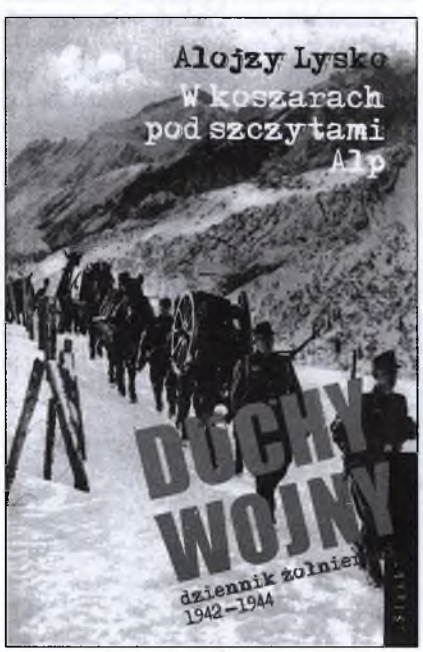

Alojzy Lysko twórczo odtwarza losy swej śląskiej rodziny, złapanej przez wojenne demony, które niejednokrotnie do dzisiaj trzymają w swym zbutwiałym uścisku losy Ślązaków. I robi to czysto. Bez zajadłości czy taniej klaki. Głos jego jest prosty i dźwięczny jak dzwon kościelny. Przyzywa do siebie naszych ojców, z których jesteśmy dumni. I nie wstydzimy się ich. Przez jego czterotomową pieśń oddajemy im należny hołd, bo wiemy, że pomimo tego jaki nosili mundur, zawsze byli ze swymi rodzinami i zawsze byli wierni. I w końcu w kolejną rocznicę bezsensownej tragedii, która rozpoczęła się pierwszego września tamtego roku trzydziestego dziewiątego wieku dwudziestego, należało powiedzieć, że taka jest nasza historia, a my jesteśmy z niej. Bo też jesteśmy wierni.

Cztery tomy czytania. Jak pięknie. ■

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Welszkraut jako... pomoc dydaktyczna

Kiedy ostatnio pisałem o obecnych w gwarach śląskich zapożyczonych z języka niemieckiego wyrazach złożonych typu *tanksztela* („stacja benzynowa"), *nudelkula* („wałek do ciasta"), *kartofelzupa* („zupa kartoflana"), *glaspapiór, glancpapiór* („papier ścierny"), *kauguma* („guma do żucia") – z członami odróżniającymi *tank-, nudel-, kartofel-, glas- (glanc-), kau-* na pierwszym miejscu, wiedziałem, że następny odcinek poświęcę *kapuście włoskiej*, której często jeszcze na Śląsku odpowiada forma *welszkraut (welszkrałt): dzisiej se kupia welszkraut i bydymy mieć na łobiod* – czytam w „Małym słowniku gwary Górnego Śląska" Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec z roku 2000. W jakim zaś sensie ma być ten rzeczownik zapowiedzianą w tytule pomocą dydaktyczną?

Otóż jednym z bez przerwy kierowanych do mnie przy najrozmaitszych okazjach pytań jest to, które dotyczy nazwy *Włochy:* dlaczego cały świat ma odpowiadającą oryginałowi *Italię*, a my – jak zawsze – musimy być wyjątkowi?

Odpowiadam niezmiennie, że przywilejem starych miast czy krajów są odmienne ich określenia w różnych językach – czasem brzmieniowo zbliżone do postaci wyjściowej, a czasem całkowicie odrębne, od zupełnie innych podstaw słowotwórczych urobione. Niemcy sami siebie nazywają *Deutsche,* my ich *Niemcami,* Francuzi – *Allemands,* Anglicy – *Germans,* Włosi – *Tedeschi,* a Litwini – *Vokieciai.* Rosję nazywają Łotysze *Krewija,* Estonię – *Igaunija.* Dla Węgrów Polska to *Lengyorszag,* a dla Litwinów – *Lenkija,* dla nas zaś państwo węgierskie to *Węgry,* a nie *Magyarorszag.*

No a skąd się wzięły w naszym języku *Włochy* i *Włosi?* – Wszystko się zaczęło od celtyckiego plemienia *Wolsków*, które kiedyś zamieszkiwało Galię, a stało się protoplastą *Walii* i *Walijczyków* (po angielsku *Wales*). W językach germańskich nazwą odnoszącą się do Wolsków objęto wszystkich Celtów, gdy zaś pierwotna Galia przez Celtów zamieszkana została zromanizowana, nazwę nadaną Celtom przeniesiono na Romanów, a później – zwężając zakres znaczeniowy – na mieszkańców Półwyspu Apenińskiego, łącznie z Rzymianami. Z germańskich zapisów typu *Walhe, Walscher* na drodze morfologicznych substytucji powstały nasze formy *Włoch, Włochy* – z etymologicznego punktu widzenia tożsame z *Wołochami,* tyle że ci ostatni utrwalili się we wschodniosłowiańskim brzmieniu z pełnogłosem *–oło-* i stali się nazwą pasterskiej ludności zamieszkującej nizinę w dzisiejszej południowej Rumunii. Ten sam źródłosłów co *Włoch* ma też węgierski *Olasz.*

Kiedy się zajrzy do słownika polsko-niemieckiego, zobaczyć można, że naszemu przymiotnikowi *włoski* odpowiadają dwie niemieckie postacie – *italienisch* i właśnie *welsch*, z tym że ta druga jest we współczesnej niemczyźnie prawie zupełnie nieobecna – być może dlatego, że ma odcień nieco lekceważący, o czym pisał przed laty prof. Witold Doroszewski („O kulturę słowa. Poradnik językowy", Warszawa 1964, str. 473). Na włoską kapustę zresztą Niemcy mówią *Wirsing (kohl).* Jeśli zatem na Śląsku słyszy się do dziś brzmienie *welszkraut*, to można żartobliwie, ale niegłupio stwierdzić, że Ślązakowi łatwiej zrozumieć cały przedstawiony powyżej wywód o starożytnym celtyckim plemieniu Wolsków, których nazwa za germańskim pośrednictwem ostatecznie doprowadziła do utrwalenia się naszych *Włoch* i *Włochów.* To dlatego pozwoliłem sobie w tytule dzisiejszego odcinka określić *welszkraut* mianem pomocy dydaktycznej!

By wywód historycznojęzykowy był pełny, dopowiedzmy, że pierwotną formą mianownika liczby mnogiej rzeczownika *Włoch* byli *(ci) Włoszy*, dopiero później zamienieni na dziś obowiązujące brzmienie *(ci) Włosi*, bo miękkim odpowiednikiem twardej spółgłoski *ch* było *sz.* Kiedy stwardniało, użytkownicy polszczyzny zamienili je na historycznie i współcześnie miękkie *ś* – tak jak pierwotną parę typu *duży chłopiec – duży chłopcy* zamieniono na *duży chłopiec – duzi chłopcy* (postać *świezi* natomiast ma jeszcze status błędu; należy mówić *świeży zawodnik – świeży zawodnicy*).

A skoro o substytucjach niemiecko-polskich była wyżej mowa... Obdarowany zostałem niedawno piękną książką Elżbiety Molak i Ireneusza Racławickiego „Zapomniane zabytki. Dwory i pałace wiejskie południowej Polski. Śląsk Opolski" (Opole 2011). Ileż w niej przykładów typowych polsko-niemieckich odpowiedniości morfologicznych, dowodnie pokazujących, że większość nazw Niemcy tylko substytuowali, pozostawiając aż nadto wyraźny brzmieniowy znak ich słowiańskiego charakteru: *Bąków – Bankau, Biechów – Bechau, Brynica – Brinitze, Gierów – Guehrau, Gołkowice – Golkowitz, Gręboszów – Grambschuetz, Grobniki – Groebnig, Komorno – Komorno, Łączany – Lankau, Maciejowice – Matzwitz, Mikolin – Nikoline, Minkowskie – Minkowsky, Nasiedle – Nassiedel, Osiek – Osseg, Siedlec – Zedlitz, Smardy – Schmardt, Strzelce – Strehlitz, Trawniki – Trawnik, Większyce – Wiegschuetz, Wronów – Frohnau, Ziemiełowice – Simmelwitz, Zimnice – Schimnitz, Zwanowice – Schwanowitz, Żyrowa – Zyrowa.*

Do tej ostatniej miejscowości, położonej w otulinie Parku Krajobrazowego Góra św. Anny, około czterech kilometrów na północ od Zdzieszowic, mam szczególny sentyment, bo tamtejsza szkoła nosi imię mojego uniwersyteckiego mistrza prof. Stanisława Rosponda (1906-1982), wybitnego historyka języka, szczególnie zasłużonego dla naszego regionu. Jego „Dzieje polszczyzny śląskiej" z roku 1959 i ich skrócona wersja – „Polszczyzna śląska" z roku 1970 to pozycje kanoniczne, z których zawsze będą korzystać badacze dziejów naszej ziemi i jej języka.

■

Rozmowa z prof. nadzw. dr hab. KATARZYNĄ LISOWSKĄ, biologiem molekularnym, pracownikiem naukowym w Instytucie Onkologii w Gliwicach, członkiem Komisji ds. GMO przy Ministerstwie Środowiska, działaczką społeczną.



Transgeniczna ruletka

– GMO czyli genetycznie modyfikowane organizmy budzą skrajne opinie, emocje i obawy. Naukowcy różnią się w ocenie korzyści i ryzyka, jakie niesie za sobą manipulowanie przy mechanizmach dziedziczności organizmów...

– Genetycznie zmodyfikowane organizmy (transgenicze) nie powstają ewolucyjnie w warunkach naturalnych, lecz w zamkniętych laboratoriach. To żywe organizmy i mikroorganizmy, do których genomu człowiek celowo wprowadza obcy gen, wyizolowany wcześniej z innego organizmu. Po to, by wzbogacić je o nowe, dziedziczone cechy. Modyfikuje się bakterie, pleśnie i drożdże, a także niektóre rośliny jak choćby zboża, kwiaty ozdobne, warzywa czy drzewa leśne i owocowe oraz niektóre zwierzęta. (np. gospodarskie i domowe, gryzonie, ptaki, a nawet ryby)

Badania związane z GMO prowadzone w hermetycznych warunkach specjalistycznych laboratoriów nie budzą niczyich zastrzeżeń. Dzięki nim poznajemy przyczyny wielu groźnych chorób, w tym nowotworowych; otrzymujemy m.in. skuteczniejsze leki, testowane wcześniej na transgenicznych zwierzętach. Nie budzi naukowych wątpliwości wykorzystywanie GMO przez przemysł farmaceutyczny czy chemiczny. Ale już uprawy zmodyfikowanych genetycznie zbóż, traw, drzew na ogromnych obszarach rolniczych świata muszą niepokoić. To zagrożenie dla ludzi i przyrody.

Są obawy, że żywność GMO nie jest całkiem obojętna dla zdrowia ludzi, a skutków nieodwracalnego uwalniania do środowiska naturalnego żywych, zmodyfikowanych organizmów, nie jesteśmy w stanie przewidzieć.

– Na czym polega to zagrożenie?

– Życie na Ziemi kształtowało się miliardy lat. Genetycznie modyfikowane organizmy powstają szybko, w wyniku zastosowania inżynierii genetycznej czyli stosunkowo młodej technologii, sięgającej lat 70. ub. wieku. Pierwsze produkty (medyczne) z GMO pojawiły się na rynku w latach osiemdziesiątych. W latach 90. XX wieku dzięki tej biotechnologii naukowcy „wyprodukowali" transgeniczne rośliny i zwierzęta. Inżynieria genetyczna pokonała barierę międzygatunkową. Udało się wprowadzić gen świni do… pomidora czy gen ryb z zimnych mórz do roślin, by mogły one rosnąć także w chłodnych strefach klimatycznych.

Teoretycznie, otrzymywanie transgenicznych roślin jest zabiegiem bardzo prostym. Aby przenieść nowy, obcy gen wystarczy do rośliny wstrzelić tzw. pistoletem genowym odpowiednią cząsteczkę DNA. Alternatywną metodą jest użycie specjalnych bakterii glebowych (Agrobacterium), które samorzutnie zakażają rośliny i wprowadzają do ich komórek obcy gen. Każda z tych metod niesie ze sobą wiele niezamierzonych skutków ubocznych. W roślinie, oprócz pojawienia się pożądanej, nowej cechy, powstają mutacje, nowe metabolity, nieznane interakcje. Te zjawiska nie zostały dobrze przebadane przed dopuszczeniem roślin GMO do spożycia przez ludzi i zwierzęta.

Obecne dziś na rynku rośliny GMO zawierają w większości przypadków dwa rodzaje modyfikacji. Jeden służy zwalczaniu chwastów, drugi szkodników. Tyle że z konsekwencjami, w imię niesprawdzonych teorii i złudnych korzyści.

– Modyfikowanie upraw rolnych ma swoje drugie, ukryte dno?

– Wokół genetycznie modyfikowanych roślin uprawnych narosło wiele fałszywych mitów, rozpowszechnianych przez ogromne koncerny agrochemiczne, produkujące równocześnie nasiona GMO oraz środki ochrony roślin. Głównie po to, by pomnażać swoje zyski. Więc promują uprawy transgeniczne, lobbują za nimi argumentami w rodzaju: modyfikowane rośliny uprawne uwolnią świat od głodu; przynoszą rolnikom większe zyski, bo lepiej plonują niż odmiany tradycyjne; można je uprawiać w sąsiedztwie naturalnych odmian; czynią pracę na polach łatwiejszą oraz są bezpieczne i dobrze przebadane.

– Jakie argumenty przeciwstawiają tym opiniom przeciwnicy GMO?

– Argumenty nie tylko naukowe, oparte o jedną z podstawowych zasad badawczych czyli zasadę przezorności, ale również ekologiczne, ekonomiczne, społeczne, prawne, etyczne i te potwierdzone praktyką.

W jaki sposób odmiany roślin GMO mogą uwolnić świat od głodu, skoro stosuje się właściwie niemal tylko dwa rodzaje modyfikacji. Jeden służy zwalczaniu chwastów: zmodyfikowane, oporne na działanie środków chwastobójczych uprawy soi czy rzepaku spryskuje się Roundupem i chwasty giną, rośliny GMO – nie. Drugi rodzaj modyfikacji chroni uprawy przed szkodnikami, jak w przypadku kukurydzy MON810 z wszczepionym genem bakteryjnej toksyny Bt, która zabija larwy szkodników.

Nie istnieją natomiast rośliny GMO odporne na mrozy, suszę, zasolone gleby czy na zmieniające się warunki klimatyczne. Brak dowodów, że uprawy GMO lepiej plonują. W 2010 roku Amerykańska Akademia Nauk ogłosiła, że wydajność upraw GMO z hektara wcale nie jest znacząco większa niż upraw tradycyjnych.

O jakie więc wyższe zyski chodzi? Osiągają je głównie producenci nasion GMO i herbicydów, dostarczanych rolnikom w pakiecie. Choćby taki potentat korporacyjny jak amerykański koncern chemiczny Monsanto, producent zarówno środka chwastobójczego pod nazwą Roundup oraz zmodyfikowanego ziarna siewnego odpornego na ten środek. Ten stuletni koncern w ponad 90. procentach kontroluje światowy rynek opatentowanego ziarna GMO.

Nie sprawdzają się też zapewnienia o mniejszym zużyciu przy takich uprawach herbicydów. W praktyce jest ono większe. Roundup zabija wszystko, co zielone, z wyjątkiem zmodyfikowanej rośliny uprawnej. Jednak jego coraz powszechniejsze stosowanie związane ze wzrostem światowego areału upraw GMO, spowodowało adaptację chwastów i pojawienie się uodpornionych roślin, tak zwanych „superchwastów". Szarłat Palmera uodporniony na Roundup osiąga 3 m wysokości i trudno go wyplenić nawet najbardziej agresywnymi środkami chemicznymi. Używa się więc ich bez umiaru, co zwiększa wydatki na ich zakup oraz doszczętnie niszczy środowisko, jego życiodajną bioróżnorodność i zdrowie ludzi.

– Uprawy GMO nie są przecież obowiązkowe...

– Nie, ale presja marketingowa na ich stosowanie jest ogromna. Próbuje się przekonywać rolników, że uprawy GMO mogą rosnąć w koegzystencji z odmianami tradycyjnymi. Jednak przyroda nie uznaje granic. Zjawisko „ucieczki genów" z roślin transgenicznych do naturalnych zachodzi na wiele sposobów: poprzez zapylenie krzyżowe; podczas mieszania się ziarna (modyfikowanego i tradycyjnego) w skupie i podczas konfekcjonowania; w transporcie czy z przenoszenia go z pola na pole w maszynach żniwnych. Nie każdy rolnik ma więc wolny wybór, często okazuje się, że ma GMO na polu wbrew swojej woli!

Nietrudno też obalić mit o żywności GMO, rzekomo bezpiecznej i dobrze przebadanej. Po pierwsze, nie ma obowiązku badania jej pod względem toksykologicznym. W handlu obowiązuje teoria „zasadniczej równoważności", przyjmująca, że żywność GMO jest taka sama, jak ta naturalna.

Badania na zwierzętach laboratoryjnych w tej kwestii przynoszą sprzeczne wyniki. Badania na ludziach nie są prowadzone, chociaż u ludzi znajdowano już we krwi toksynę Bt z kukurydzy GMO. Nie ma badań nad skutkami obecności tej toksyny w organizmie człowieka.

Według jednej grupy naukowców żywność GMO jest bezpieczna, inni natomiast obserwują jej negatywny wpływ na narządy wewnętrzne i układ odpornościowy, a nawet zaburzenia płodności. Do dziś nauka nie udowodniła, że GMO jest w pełni bezpieczne. Nie da się oprzeć wrażeniu, że badania wykonywane na zlecenie międzynarodowych korporacji agrochemicznych są stronnicze. Tych niezależnych nie mamy zbyt wiele. Ostatnio jednak coraz więcej krajów europejskich robi je na zlecenie swoich rządów.

– Według Greenpeace, globalnej organizacji ekologicznej: GMO to niekontrolowany eksperyment na światową skalę na ludziach i przyrodzie... Jak wielki to obszarowo problem?

– Pokazywanie rokrocznego wzrostu areału upraw GMO to jeden z elementów kampanii promowania tej technologii rolniczej. Przoduje w tym Międzynarodowy Instytut Propagowania Upraw Biotechnologicznych – ISAAA, która zrzesza największe koncerny agrochemiczne i dba o ich interesy oraz wizerunek. Przykładem propagandy sukcesu jest np. podawanie informacji, że od momentu wprowadzenia pierwszych upraw GMO w 1996 roku, do roku 2011 ich areał wzrósł 94-krotnie. Przecież to oczywiste, że kiedy liczymy niemal od zera, to przyrosty będą imponujące. ISAAA chwali się, że GMO uprawia się w 29 krajach na świecie. To jednak oznacza, że 165 krajów nie korzysta z tego „dobrodziejstwa".

Uprawy GMO na świecie zajmują obecnie sto kilkadziesiąt milionów hektarów powierzchni, to zaledwie nieco ponad 1proc. wszystkich gruntów ornych na świecie! Z tego blisko 85 proc to odmiany oporne na herbicyd. Wysiewa się więc rzepak czy soję i wielokrotnie w sezonie „traktuje się" te rośliny Roundupem, by niszczył chwasty. Do czasu, bo na nowe superchwasty, ten środek już nie działa!

Inne rośliny uprawne to m.in. kukurydza czy bawełna z wszczepionym genem toksyny Bt, zwalczającym szkodniki, a przy okazji także pożyteczne, żywe organizmy w urodzajnej glebie i zapylające rośliny owady. Taką kukurydzą obsiany jest zaledwie jeden promil ziemi uprawnej w Europie („niszowe" rolnictwo ekologiczne zajęło blisko 4% areału). Sytuacja jednak się zmienia. Coraz więcej krajów europejskich wprowadza zakaz jej uprawy. Obowiązuje on we Francji i we Włoszech, w Niemczech, Austrii, Grecji, Irlandii, na Węgrzech, na połowie obszaru Wielkiej Brytanii a także na Ukrainie, w Szwajcarii, Luksemburgu. Mimo zezwolenia Komisji Europejskiej – kraje unijne nie zdecydowały się na wprowadzenie u siebie ziemniaka ze zmodyfikowaną skrobią, o nazwie Amflora – firmy Basf, uprawianego na potrzeby przemysłu papierniczego i farbiarskiego.

Najwięcej roślin GMO uprawia się w Stanach Zjednoczonych, w Brazylii, w Argentynie, w Kanadzie oraz w Indiach i Republice Południowej Afryki.

– W Ameryce GMO jest niemal powszechne, jakie są tego konsekwencje?

– W Argentynie – dla wyprodukowania 50 mln ton soi wylewa się rocznie na pola 200 mln ton herbicydów. Tam też lekarze rodzinni zwracają uwagę na wzrost wad wrodzonych u dzieci. Doświadczenia na kręgowcach sugerują, że przyczyną może być wszechobecny Roundup. W Brazylii trwa wojna... soi z wycinanym, pod miejsce dla niej, lasem Amazonii. W Paragwaju padły małe gospodarstwa rolne, nie wytrzymujące konkurencji z wielkimi, wyspecjalizowanymi latyfundiami z GMO. Na tysiącu hektarów takich upraw wystarcza pracy jedynie dla dwóch rolników. To spowodowało bezrobocie na wsi i migrację 100 tysięcy rolników, zmuszonych do zamieszkania w podmiejskich slamsach. To z tego powodu Kostaryka nie zgodziła się na uprawę kukurydzy GMO.

W USA bezustannie dochodzi do konfliktów pomiędzy wielkimi koncernami agrochemicznymi a rolnikami uprawiającymi rośliny GMO i tradycyjne. Pierwsi, kupując opatentowane ziarno GMO uzależnili się na stałe od wielkich korporacji. Nie wolno im wysiewać zebranego ziarna ze swojego pola w następnym sezonie, muszą je co roku kupować od producenta, za coraz wyższą cenę. Inaczej grożą im procesy i wysokie kary.

Dotąd kary groziły również tym rolnikom, których pola z tradycyjnymi uprawami zostały samoistnie zapylone pyłkami z pól GMO. Mimo że to ich uprawy ekologiczne zostały zanieczyszczone, koncerny wytoczyły im procesy o kradzieże własności intelektualnej. Poszkodowani rolnicy się zjednoczyli i w procesie zbiorowym wygrali!

Przykładów konfliktowych jest coraz więcej. Coraz częściej do krajów kupujących np. ryż, dociera on z przypadkowymi domieszkami GMO. Takie partie w Wielkiej Brytanii i Niemczech po prosu wyrzucono.

– Jak wygląda sytuacja w Polsce?

– Od kilku lat toczymy w kraju publiczną debatę na temat GMO. Dotyczy ona wyłącznie mocno kontrowersyjnej produkcji rolnej i żywności, a nie zastosowań laboratoryjnych czy farmaceutycznych. Ścierają się w niej dwa skrajne stanowiska: za i przeciw! Dlatego nowy projekt ustawy rządowej nadal leży w sejmowej „zamrażarce", chociaż... uprawy modyfikowane genetycznie, sprzeczne z interesem polskiego rolnictwa, są już u nas obecne. Wbrew ramowemu stanowisku rządu, które mówi: polskie rolnictwo ma być wolne od GMO!

Przysłowiowy „diabeł" tkwi w.... niespójnym prawie. Obowiązująca w naszym kraju ustawa z 2001 roku „Prawo o organizmach genetycznie zmodyfikowanych" jest „dziurawa", inne przepisy są sprzeczne. Istnieje np. zakaz obrotu materiałem siewnym GMO, ale nie ma zakazu uprawy modyfikowanych genetycznie roślin. Ziarno GMO można prywatnie kupić lub w promocji otrzymać zagranicą. I tak się dzieje. W Polsce rosną odmiany kukurydzy, zakazane w krajach unijnych.

W tej sytuacji trzeba zapytać w czyim interesie jest niszczenie naszej ekologicznej żywności, sztandarowego towaru eksportowego Polski?

Polski rynek nasienny też nie jest chroniony. Sprzedaje się centrale nasienne, a do ustawy o nasiennictwie próbowano metodą tylnych drzwi wpuścić nasiona GMO. Na szczęście tę ustawę zablokował Prezydent RP.

Kolejny istotny problem to ustawa paszowa. Z powodu wieloletnich zaniedbań w produkcji rodzimego białka paszowego oraz pod namową lobby sojowego, obecnie co roku importujemy dwa miliony ton śruty sojowej (GMO) z Argentyny i Stanów Zjednoczonych za 3,2 miliarda złotych. Ustawa wprowadzała zakaz importu od początku 2013 roku, ale Sejm zdecydował o odsunięciu zakazu do 2017 roku! Za taką sumę można produkować rodzimą, zdrową paszę bez GMO bądź kupować ją np. na Ukrainie. Nasz wschodni sąsiad rygorystycznie strzeże swoich upraw przed ich genetycznym „ulepszaniem". I znakuje swoje produkty nie tylko spożywcze, ale nawet papier informacją „wolny od GMO"!

W Polsce trudno znaleźć na sklepowych półkach oznakowane produkty spożywcze z domieszką GMO, choć jest to wymóg prawny!

– Decyzje czołowych krajów rolniczych Wspólnoty dowodzą, że ryzyko stosowania technologii GMO w rolnictwie i żywności niemożliwe jest do oszacowania...

– W tych sprawach jeszcze przed wakacjami podpisałam wraz z kilkudziesięcioma polskimi lekarzami i naukowcami list otwarty, pod którym Koalicja „Polska wolna od GMO" zbiera podpisy... Żaden rzetelny naukowiec nie może przecież przyznać, że GMO w rolnictwie i żywności jest bezpieczne i pożyteczne.

– Ile razy Ministerstwo Środowiska zwracało się do Komisji ds. GMO o opinię w sprawie krajowej polityki dotyczącej GMO?

– Nie było zapytań!

Rozmawiała:
JOLANTA KARMAŃSKA

Dofinansowano ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach

Okolice układów

Po raz kolejny artyści związani z jednym z najciekawszych europejskich centrów sztuki współczesnej – belgijskim Atelier 340 Muzeum z siedzibą w Brukseli, zagościli w katowickim BWA. Wystawa została zatytułowana „Okolice układów", a swoje prace pokazali: Laurette Atrux-Tallau (Francja), **Marco Bagnoli** (Włochy), **Marcus Bering** (Belgia/Niemcy), **Lionel Estève** (Belgia), **Sylvain Le Guen** (Francja), **Charles Lopez** (Francja), **Pierre Radisic** (Belgia), **Sergey De Rocambole** (Rosja), **David Roux-Fouillet** (Francja/Dania), **Julien Salaud** (Francja), **Vladimír Škoda** (Francja), **Emmanuelle Villard** (Francja), **Yves Zurstrassen** (Belgia). W tym międzynarodowym gronie Polskę reprezentował **Krystian Burda** – artysta urodzony w 1935 roku w Rydułtowach, uczeń rzeźbiarza Ludwika Konarzewskiego, absolwent Wydziału Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Studia ukończył z wyróżnieniem w 1961 roku w pracowni rzeźby pod kierunkiem profesora Jerzego Jarnuszkiewicza i Oskara Hansena. Tematem pracy dyplomowej był pomnik upamiętniający twórczość Fryderyka Chopina pt. „Droga do Żelazowej Woli". Nowatorska forma plastycznej interpretacji tego tematu – zastosowanie filmu do opisania czasoprzestrzeni – została przyjęta z dużym uznaniem przez środowisko warszawskiej akademii i krytyków sztuki. W 1962 roku artysta otrzymał stypendium Rządu Duńskiego, z którego nie mógł skorzystać ze względu na brak zezwolenia na wyjazd. W trakcie studiów artysta odbył dwuletnią praktykę w zakresie wzornictwa przemysłowego w Zakładach Artystyczno-Badawczych przy ASP w Warszawie działających pod kierunkiem profesora Jerzego Sołtana. Wyniesione z tej pracowni doświadczenia znalazły praktyczne zastosowanie w podjętej przez artystę pracy w Hucie Silesia w Rybniku. W 1970 roku artysta jako pierwszy opracował i zastosował do architektury technologię malarstwa na blasze stalowej emaliowanej. Będąc członkiem Związku Artystów Plastyków brał udział w wystawach zbiorowych i indywidualnych.

Atelier 340 Museum to centrum sztuki niezależnej, utworzone w 1979 roku. Za cel swojej działalności postawiło badanie i propagowanie rzeźby oraz sztuki trójwymiarowej – instalacji.

Wystawa w Katowicach prezentowała prace **artystów eksperymentujących** w swojej sztuce **z układami kolistymi**, którzy poszukują **ładu i sensu** na poziomie **abstrakcyjnych modeli, geometrycznych układów i rozrastających się rytmicznie struktur.**

Zaciekawienie wzbudzały modele przestrzenne – od zbudowanych przez **Davida Roux-Fouillet'a** w prymitywny, lecz niebywale zaskakujący sposób *Konstelacji* „produkującej" przestrzenne bryły do złudzenia przypominające oszlifowane misternie diamenty, emanujące całą gamę rozszczepionych kolorów, po „fabrykę" baniek mydlanych wydobywających się z wielkiej kuli, w którą wmontowano napędzające urządzenie. Przestrzeń ekspozycyjną wypełniły wielkich rozmiarów grafiki, których tematem były elementy kuliste i ich pochodne, grafiki przestrzenne, projekcje video i instalacje, wykorzystujące kulę w najróżniejszych układach. Zaciekawienie wywoływała „Konstelacja sarny" – pokryte gęstą siatką drobnych układów kulistych wypchane głowy i całe postaci zwierząt, oplatające je niczym pajęczyna. Inna praca – niewielki o regularnym, elipsoidalnym kształcie kamień (niczym meteoryt?) wpisany przez Lionela Estève'a jak kokon w układającą się w geometryczne figury siatkę, albo zanurzone przez Laurette Atrux-Tallau układy w cieczy, samo układające się – wszystkie te prace wykorzystywały zwyczajne przedmioty, których użyteczności w sztuce czasem trudno się spodziewać – jak na przykład płyn do naczyń, z którego produkowane były „diamenty" (choć dzisiaj już nic nikogo nie zaskoczy). Znakomite zdjęcia Pierre'a Radisic'a ukazujące zwyczajne znamiona na ciele człowieka: na stopach, piersiach, brzuchu – jak gwiazdy na płaszczyznach wcale nie kosmicznych.

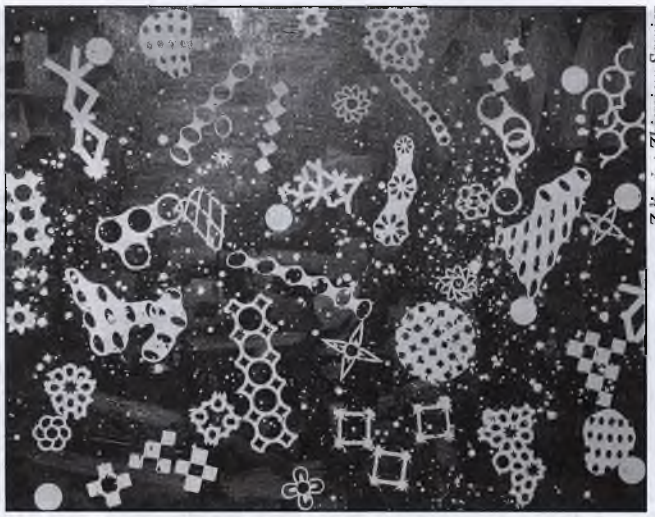

Zdjęcia: Zbigniew Sawicz

Yves Zustrassen, Konstelacje, 2011

Oglądając poszczególne prace, krążąc pomiędzy nimi, przekraczając ułożone na podłodze elementy, podziwiając – jak dziecko – wydobywające się z kuli bańki, które układają się w kolejne konstelacje, wspomniane już „diamenty" powstające w zawieszeniu na cieniutkich metalowych pręcikach, które pod wpływem ruchu wypełniały swe fantazyjne ścianki rozpiętą pomiędzy nimi mydlaną bańką czy przestrzenne rzeźby przypominające fantazyjne wisiory – to także kule i kulki mogące bodaj w każdej chwili zmienić kształt, położenie. To wszystko właściwie jest wokół nas – te płaszczyzny, układy, siatki, nie dostrzegamy ich obecności. Uzmysłowione przywracają jakąś pierworodną, nieskażoną radość ich doświadczenia, bycia wśród nich, obcowania z ich obecnością.

O czym właściwie była ta wystawa? – O człowieku, tak najprościej. Najprostsze elementy, zadziwiająca lekkość, fantazyjność – pokazały że to, co nazywamy Kosmosem, nie jest tylko kategorią astronomiczną, ten Kosmos ze swoimi jest z nami i jest nami; nasze ciało jest też podporządkowane tym samym prawidłom. I nie trzeba przy tej okazji doszukiwać się wielkiej idei kosmologicznej czy filozoficznej – chociaż przy ich pomocy można znacznie więcej dostrzec. Spoglądamy w niebo, obserwujemy spadające gwiazdy, widzimy „wielkie" i „małe" wozy, poszukujemy własnej gwiazdy – a to wszystko jest pomiędzy nami i w nas. Jesteśmy cząstką tego kosmoświata – chciałoby się rzec po obejrzeniu prac artystów Atelier 340. Można pozazdrościć owej swobody postrzegania człowieka – to nie ten, który widzi swą małość wobec wielkości Kosmosu, zgoła odwrotnie – jest równy Kosmosowi w każdym calu – w wymiarze fizycznym i psychicznym. To spojrzenie optymistyczne, bez obciążeń. To odpowiedź na utrapienie artystów minionych epok zapatrzonych w niebo, odczuwających respekt przed niepoznanym, spekulujących o relacjach Człowieka i Kosmosu. Od artystów Atelier 340 otrzymaliśmy prosta odpowiedź – optymistyczną!

WIESŁAWA KONOPELSKA



Na pierwszym planie praca Vladimira Škody Bez tytułu, 1989-1993.

***„Okolice układów"* – wystawa w Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach. Wernisaż odbył się 27 lipca 2012.**





Pierre Radisic, *Hydrus*, 1996



Laurette Atrux-Tallau, *Bez tytułu*, 2009



Lionel Estève, *Bez tytułu*, 2006



David Roux-Fouillet, *D. River*, 2010

Okolice układów BWA Katowice



Marcus Bering, *Zbiorowisko*, 2012

Zdjęcia: Zbigniew Sawicz

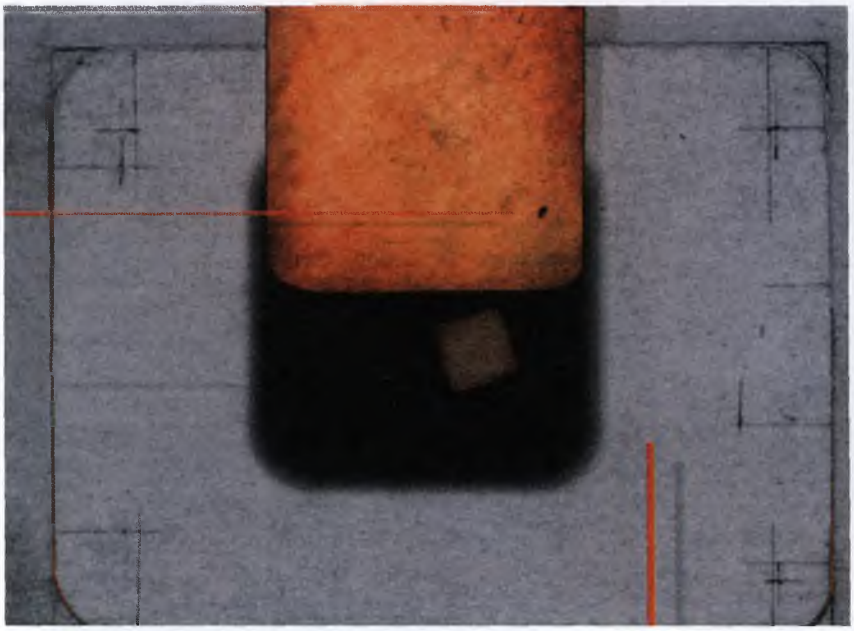

Katarzyna Kroczek ***Algorytm czerwony III***, 2009



Małgorzata Rozenau ***Mild as May***, 2010

Sztuka kobiet – kobiety w sztuce

„Artystki na Śląsku 1880-2000"

MUZEUM ŚLĄSKIE W KATOWICACH



Katarzyna Gawrych-Olender
Po obiedzie idę na wojnę, 2006



Agnieszka Czyżewska ***Mgła***, 2011



Anna Bodnar, bez tytułu, 2008

Być kobietą, być artystką

Zupełnie przypadkowo wystawę *Sztuka kobiet – kobiety w sztuce. Artystki na Śląsku 1880-2000 w Muzeum Śląskim w Katowicach* zacząłem oglądać „od końca", to znaczy sal, w których prezentowano twórczość z lat 1945-2000. Trzeba przyznać, że zgromadzone w nich dzieła robią wrażenie. Kuratorki wystawy Katarzyna Jarmuł i Joanna Szeligowska-Farquhar wykonały naprawdę świetną robotę. Już sama koncepcja pogrupowania prac według klucza tematyczno-problemowego, czego konsekwencją jest „pomieszanie" tradycyjnych dziedzin sztuki, to jest malarstwa, grafiki, rzeźby, fotografii itp. ale i nowych (np. multimedia) uświadamia odbiorcy jak ogromne – dzięki różnorodności technik, stylów, kierunków oraz poszukiwań – jest bogactwo sztuki współczesnej. Do pierwszej grupy autorki ekspozycji zaliczyły prace – cytuję z folderu – „o podłożu emocjonalnym, odwołujące się do sfery snu, marzeń, wspomnień i tradycji w stylu nieco sentymentalno-nostalgicznym". Uwaga! Nie należy takiego określenia mylić z czułostkowością, sentymentalizmem, kobiecą łagodnością, czy miękkością. Jest za to w niektórych z tych dzieł „literatura", którą osobiście – ku zgrozie wielu profesjonalnych krytyków – w malarstwie albo grafice lubię. Jest nawet poezja. W części drugiej znalazły się – znów odwołam się do cytatu – „prace wyrażające autorefleksję i świadomość odmienności własnej płci, związane z tym ograniczenia, wyzwania oraz eksplorację związków z innymi (mężczyzna, dziecko, przyjaciel, otoczenie)." Wiem, że jakoś trzeba było zdefiniować kryteria kwalifikujące dzieła do tej grupy, muszę jednak powiedzieć, że w wielu przypadkach, gdybym z góry nie wiedział, iż te rzeczy stworzyły kobiety, miałbym problem z odgadywaniem płci autora. Albo by mnie to specjalnie nie interesowało. Kobieta, jej odmienność oraz związki z innymi jest odwiecznym tematem również twórczości mężczyzn, którzy całkiem dobrze sobie z tymi problemami radzą. Ważne, że pokazane w tej grupie dzieła to po prostu w większości sztuka dobra, interesująca, przyciągająca uwagę widza i skłaniająca go także do „autorefleksji". Trzecia grupa to prace z „nurtu intelektualnego", kojarzonego stereotypowo i bezpodstawnie wyłącznie z twórczością „męską". Przykładem mogą być geometryczne abstrakcje lub kompozycje zbudowane jak równania matematyczne czy obrazy (bo to więcej niż wykresy) funkcji. Gdybym je zobaczył na Facebook-u, bez wahania zaznaczyłbym „lubię to". Eksponaty zgromadzone w salach ze sztuką współczesną pochodzą z prywatnych kolekcji autorek, ze zbiorów Muzeum w Bielsku-Białej, Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu, Galerii Bielskiej BWA, Fundacji dla Śląska oraz zbiorów własnych Muzeum Śląskiego.

Dopiero w drugiej kolejności obejrzałem sobie dzieła, od których „wszystko się zaczęło". Zrozumiałem przy tej okazji dlaczego kuratorki w części poświęconej współczesności zrezygnowały z tradycyjnego malarstwa realistycznego. W salach, w których prezentuje się sztukę z lat 1880-1945, dominuje bowiem realizm. Trzeba też powiedzieć, że początkowa część wystawy jest – przynajmniej dla mnie – o wiele mniej interesująca artystycznie. Wierzę jednak, że dla odbiorców, którzy wolą sztukę tradycyjną, pokazane tu dzieła będą bardzo atrakcyjne. Znajdą bowiem w tych salach pejzaże, martwe natury, portrety, studia architektury miejskiej z katedrą Notre Dame na czele. Znajdują się tu też bardzo ciekawe fotografie „z epoki". W wystawowym folderze opatrzono je wprawdzie przymiotnikiem „artystyczne", są jednak także dokumentem czasu – zmieniającej się mody oraz, co nie bez znaczenia, estetycznego kanonu „nowej" dziedziny sztuki. Całości dopełniają tkaniny, hafty oraz pierwsze próby włączania się kobiet w „męskie" gatunki – projektowanie oraz rzeźbę. Jak już wspomniałem, sale rozpoczynające ten „krótki kurs" sztuki kobiecej mniej do mnie przemówiły. Za to zwiedzając je uświadomiłem sobie coś istotnego. Niby to wiemy, rzadko jednak myślimy o tym, jak późno kobietom pozwolono „być artystkami". Widziałem obrazy w wielu muzeach Europy i jakoś nigdy nie zastanawiałem się nad tym, dlaczego w renesansie nie było żadnej malarki. Dlaczego wśród „małych mistrzów" z północy nie ma ani jednej „mistrzyni". Podobnych pytań można stawiać wiele. Trzeba było tej wystawy, żeby do mnie dotarło, iż kobiety dopiero w połowie XIX wieku wywalczyły sobie wstęp na akademie sztuk pięknych, i to z ogromnymi oporami. Najpierw miały prawo być wyłącznie wolnymi słuchaczkami. Z czasem wolno im było malować ciało, ale tylko modelki (chłopów już nie). Tak naprawdę edukacja artystyczna kobiet zaczęła się po I wojnie światowej. i okazało się, że panie w krótkim czasie nadrobiły wszystko to, do czego mężczyźni dochodzili przez wieki.

W podtytule wystawy zaznaczono, że chodzi o artystki na Śląsku. To ważne. Oznacza bowiem, że do roku 1918 najważniejszym ośrodkiem artystycznym w tym regionie był Wrocław, gdzie kształciły się głównie (o ile nie wyłącznie) Niemki. (Stolica Dolnego Śląska pozostała artystycznym ośrodkiem akademickim także po roku 1945, choć wtedy już trudno mówić o „śląskiej" szkole). Dlatego współorganizatorami tej wystawy są Muzeum Śląska w Görlitz oraz Muzeum Narodowe we Wrocławiu. (Warto dodać, że prace pokazywane w pierwszej części wystawy pochodzą też z Muzeum Narodowego w Warszawie, Muzeum Narodowego w Krakowie, Muzeum w Bielsku-Białej oraz Muzeum Włókiennictwa w Łodzi). Kuratorki wystawy zwróciły też uwagę na fakt, że po wojnie (a także i później) twórczość artystek ze Śląska była dość mocno osadzona w regionalnej tradycji. Również dziś u wielu można się doszukiwać „śląskiej specyfiki". Do tej pory nie za bardzo zwracałem na to uwagę, jednak kiedy zacząłem sobie przypominać (i rozważać) rozmaite plastyczne dokonania naszych pań, doszedłem do wniosku, że coś w tym spostrzeżeniu jest. Nie chodzi tu wyłącznie o tematykę, treść, nie każda malarka musi umieszczać na obrazie kopalnianą wieżę wyciągową albo wielki piec. Chodzi o dawno stwierdzony przez psychologów fakt, że otoczenie wpływa na naszą wrażliwość, wyobraźnię, obszar własnej ekspresji. Ciekawe byłoby skonfrontowanie śląskiej sztuki z tą z innych regionów mających własne tradycje. Czy nasza specyfika by się jakoś odróżniała? Czy charakter miejscowej sztuki to wpływ tradycji i krajobrazu, czy może też oddziaływanie szkoły (ASP oraz cieszyńskiego wydziału UŚ)? Tak, czy inaczej w Muzeum Śląskim do połowy września nożna jeszcze oglądać niesłychanie interesującą a jednocześnie piękną wystawę.

Na roku 2000 kończy się muzealna prezentacja sztuki kobiet. Od tego czasu minęło 12 lat, warto więc dodać, że przybyło znowu trochę utalentowanych „magisterek sztuki". Ich dokonania można było oglądać np. w Galerii „Ateneum", gdzie swoje wystawy indywidualne miały: Natalia Romaniuk, Monika Tobiańska, Sylwia Woźniczka. Każda z nich inna, każda godna uwagi. Artystki z „pokolenia wstępującego" pokazują też swoje prace w Galerii ZPAP, w Rondzie Sztuki, radiowej Galerii „Na żywo". Można zatem powiedzieć, że kobieca passa trwa.

BOGDAN WIDERA

Rozmowa z dyrektorem naczelnym
Teatru Zagłębia w Sosnowcu ZBIGNIEWEM LERACZYKIEM
i zastępcą ds. artystycznych DOROTĄ IGNATIEW

Wysoka poprzeczka

– Spotykamy się u progu drugiego sezonu waszej dyrekcji w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu. Jak oceniacie państwo miniony rok?

Dorota Ignatiew: – Kiedy obejmowaliśmy dyrekcję teatru, chcieliśmy kontynuować zaplanowane pozycje repertuarowe jak również rozszerzyć ofertę. Hasło naszego duetu: nie rewolucja, a ewolucja. Nie było więc żadnych zmian kadrowych, mam na myśli zwolnienia, przyjęliśmy natomiast kilkoro nowych młodych aktorów. Przed objęciem dyrekcji podjęliśmy zobowiązanie, żeby spektakle naszego teatru brały udział w festiwalach. I tak też się stało. „Korzeniec" w reżyserii Remigiusza Brzyka zagościł w sierpniu na 14. Letnim Ogrodzie Teatralnym w Katowicach, w październiku weźmie udział w VI Międzynarodowym Przeglądzie Przedstawień Istotnych „Przez dotyk" w Częstochowie a w listopadzie – w Wałbrzyskich Fanaberiach Teatralnych. Zaczęła też nieźle funkcjonować teatralna turystyka, coraz częściej odwiedzają nas reżyserzy z całej Polski, piszą o nas recenzenci ... ustawiliśmy dosyć wysoko poprzeczkę i musimy dbać o to, aby jej nie obniżyć.

Zbigniew Leraczyk: – Obejmowaliśmy dyrekcję podczas wakacji ubiegłego roku – ja w lipcu, Dorota w sierpniu, to nie jest dobry okres na przygotowanie i dopracowanie repertuaru. Zachętą do odwiedzenia sosnowieckiej sceny okazała się wrześniowa Metropolitalna Noc Teatrów, która była okazją do spotkań z różnymi twórcami. Wielu z nich wróciło do Sosnowca na weekendowe spektakle. Mieli więc okazję poznać zespół, scenę i jej techniczne możliwości. Udało się wówczas rozniecić małą iskierkę, która w przypadku między innymi „Korzeńca" w reżyserii Remigiusza Brzyka wznieciła pochodnię.

– To wręcz kosmiczne tempo, książka Zbigniewa Białasa trafiła do księgarń 6 października ubiegłego roku a po ośmiu miesiącach, 26 maja odbyła się już prapremiera...

Z.L. – Pierwotnie Remigiusz Brzyk miał zupełnie inną propozycję. Podczas wizyty w naszym teatrze pożyczyłem mu do przeczytania jeszcze „gorącą" książkę profesora Białasa, a po kilku dniach usłyszałem w słuchawce: chcę robić „Korzeńca". Zafascynował go ten tekst.

D.I. – Trochę obawialiśmy się kolejnej pozycji tak głęboko osadzonej w realiach miasta. Byliśmy przecież świeżo po premierze „Chłodnych poranków" Jacka Rykały. Nie obyło się więc bez wątpliwości.

– Tymczasem okazało się, że był to „strzał w dziesiątkę".

D.I. – Świadczy o tym wypełniona po brzegi widownia na każdym spektaklu i zaproszenia na festiwale. Zawsze istnieje ryzyko, że lokalna tematyka nie znajdzie szerszego zainteresowania poza granicami miasta. Spektakl posiada jednak walor uniwersalny, intryga rozgrywająca się w historycznych realiach carskiego miasta i Trójkąta Trzech Cesarzy w 1913 to także obraz ówczesnej Polski – rozdartej politycznie i społecznie, to również historia ludzi żyjących na styku różnych kultur. I myślę, że właśnie ten aspekt zdecydował, że otrzymujemy zaproszenia z odległych stron Polski, aby pokazać tam sosnowieckiego „Korzeńca". Książka zdobyła już wiele nagród, między innymi Śląski Wawrzyn Literacki a w plebiscycie internautów – tytuł „Najlepszej książki roku 2011".

Z.L. – Nie tylko reżyser zakochał się w powieści, z podobnym zapałem zabrali się do pracy: dramaturg, autor adaptacji i współautor scenografii Tomasz Śpiewak, jak i twórca muzyki Jacek Grudzień. Jeżeli profesor Białas dotrzyma słowa i dopisze ciąg dalszy zapowiadanej trylogii, mamy nadzieję, że kolejne dzieje Sosnowca przeniesie na teatralne deski ten sam tercet.



Zbigniew Leraczyk

– Internauci w kategorii „proza polska" uznali „Korzeńca" za „Najlepszą książkę na jesień 2011", jej popularność stale rośnie, nie bez powodu porównuje się ją ze śląskim „Cholonkiem". To chyba także znakomita okazja do nauki historii, uzupełniająca wiedzę o regionie.

D.I. –Ten spektakl świetnie wpisuje się w nasze plany edukacyjne. Istniejące dotychczas lekcje teatralne wzbogaciliśmy o odbywające się raz w miesiącu spotkania z dziećmi i młodzieżą na próbach czytanych w kostiumach. W zależności od wieku uczestników przedszkolakom na przykład oferujemy fragmenty bajek, poprzedzone wprowadzeniem literackim a dzieci na podstawie zainscenizowanych scen rozważają motywacje ich postępowania, opisują cechy charakteru bohaterów, snują ich dalsze losy, mają także okazję poznać tajniki teatru podczas wycieczek po różnych pracowniach. Młodzieży proponujemy bloki tematyczne: świat teatru antycznego, czy „krew w teatrze", ilustrację stanowią sceny ze spektakli.

– Repertuar jakby nieco się odmłodził. „Piaskownica" Michała Walczaka, „Między nami dobrze jest" Doroty Masłowskiej – to propozycje skierowane głównie do młodych widzów.

Z.L. – Staramy się zachować różnorodność, bo jest ona w dzisiejszych czasach konieczna. W repertuarze powinny znaleźć się zarówno propozycje dla koneserów wysmakowanego teatru, miłośników klasyki, dobrej komedii, proponowane przez nas spektakle muszą także zaspokoić oczekiwania młodego pokolenia. Nie możemy nie dostrzegać jak bardzo się zmienia język komunikacji, nie możemy także konkurować z facebookami, blogami itp. Ale możemy o tym wszystkim dyskutować, posługując się ich językiem mówić o ich problemach. Jeśli dzisiaj stracimy kontakt z młodzieżą, nie będziemy dla nich atrakcyjni, jutro widownia może opustoszeć. Tekst Doroty Masłowskiej za pośrednictwem reżysera Piotra Ratajczaka, podobnie jak „Piaskownica" Michała Walczaka w reżyserii Jerzego Bielunasa świetnie trafiły do młodych. Oni nie tylko ślęczą przed komputerami bawiąc się wirtualną rzeczywistością, nie zamykają się wyłącznie w świecie gier i blogowych fascynacji, borykają się także z samotnością, wyobcowaniem czy odrzuceniem i o tym chcą rozmawiać, chcą aby nie przechodzić obojętnie wobec ich obaw i lęków, pozorna buta skrywa głębokie emocje i niepokoje.

Dwuosobowa „Piaskownica", wzbogacona o nierzeczywiste postaci z komiksów cieszy się ogromnym zainteresowaniem. Młodzież zostaje po przedstawieniu i chce o nim dyskutować. To jest naprawdę ewenement.

– Zanim jednak sami staną w kolejce do kasy biletowej upłynie jeszcze trochę czasu. Dziś to nauczyciele decydują – czy i jak często młodzież odwiedza teatr.

Z.L. – To zrozumiałe, że kontakty z dyrektorami szkół i nauczycielami są niezbędne w planowaniu repertuaru. Nam te kontakty układają się bardzo dobrze. Na początku ubiegłego sezonu zorganizowaliśmy specjalny spektakl i spotkanie, po którym odbyliśmy „trudną rozmowę". Trudną, ponieważ bywa, że oczekiwania nauczycieli nie zawsze są możliwe do spełnienia. Oczywiście najbardziej preferowane są lektury i to na pewno jesteśmy w stanie w miarę możliwości zapewnić. Natomiast zgranie terminów spektakli z omawianiem poszczególnych lektur w szkole i oczekiwaniem powtórzeń spektakli sprzed lat – to już zadanie, któremu nie jesteśmy w stanie sprostać. Teatr nie posiada tak obszernych magazynów, w których mógłby przechowywać niejednokrotnie bardzo potężne dekoracje i kostiumy. Liczba premier w roku jest także limitowana i to nie tylko finansami. Pewnym uzupełnieniem repertuaru mogą być spektakle przygotowywane w ramach Sceny Inicjatyw Aktorskich.

– To nowość w Teatrze Zagłębia.

D.I. – To znakomita inicjatywa. Aktorzy sami, w czasie wolnym od pracy, przygotowują przedstawienia, sami je reżyserują, sami projektują scenografię, korzystając ze wszystkiego, czym dysponuje teatr. Na etapie przygotowań nie ma mowy o jakichkolwiek honorariach ani zakupach. Gotowe dzieło weryfikuje komisja, a zakwalifikowany spektakl wchodzi do repertuaru i dopiero wtedy aktorzy w nim grający otrzymują wynagrodzenia według ustalonych stawek. W ten sposób poszerzyliśmy nasz repertuar o „Szewczyka Dratewkę" Marii Kownackiej przygotowany przez Elżbietę Laskiewicz i „Śluby panieńskie" Aleksandra Fredry wyreżyserowane przez Grzegorza Kwasa. Każdy z tych spektakli opatrzony jest dopiskiem – Scena Inicjatyw Aktorskich. To nie tylko dobry sposób na wypełnienie wolnego czasu, to także możliwość artystycznego wyżycia się.

– W pracy nad kostiumami i scenografią „Korzeńca" uczestniczyli studenci Akademii Sztuk Pięknych, to zapewne nie był przypadek.

Z.L. – To reżyser, Remigiusz Brzyk wybrał tę „trójkę". Chcemy dać możliwość młodym, aby nie w szkicowniku, ale na prawdziwej scenie pod okiem profesjonalistów doszlifowali swoje umiejętności i sprawdzili zdobytą wie-



Dorota Ignatiew

dzę teoretyczną. Oni mają mnóstwo ożywczej inwencji i warto to wykorzystać. Sprawdzianem była premiera, opinia publiczności i recenzentów. A ponieważ spektakl zebrał bardzo dobre oceny, można powiedzieć, że egzamin praktyczny wypadł pomyślnie. Prawdopodobnie, z niektórymi z nich spotkamy się podczas kolejnych realizacji, szczególnie w dziedzinie grafiki komputerowej, Szymon Szewczyk – jak się okazało – ma znakomite pomysły.

– Czego możemy spodziewać się w nowym sezonie?

D.I. – Otworzymy go brakującą w repertuarze bajką dla najmłodszych widzów, będzie to „Alicja w krainie czarów". W okresie karnawału zaproponujemy spektakl komediowy w reżyserii Wojciecha Malajkata a w drugiej połowie sezonu swoje przedstawienia zaprezentują Łukasz Kos i Igor Gorzkowski. Czeka nas także ciekawy spektakl w reżyserii Krzysztofa Popiołka, zwycięzcy w konkursie Dnia Otwartego Wydziału Reżyserii PWST w Krakowie. Będzie to „Sen nocy letniej" W. Szekspira. Próby rozpoczną się w czerwcu a opiekę nad spektaklem będzie sprawował prof. Jacek Orłowski.

– Nie poznamy reszty tytułów?

Z.L. – Po doświadczeniu z Remigiuszem Brzykiem, który miał reżyserować inny spektakl, a przypadkowo przeczytana książka zmieniła zupełnie te plany – wolę być ostrożny.

– „Zagłębie" ze względu na swoje położenie geograficzne ma do spełnienia dość specyficzne zadanie. Kierując się na północ najbliższy teatr znajduje się dopiero w oddalonej od Sosnowca o siedemdziesiąt kilometrów Częstochowie. Po drodze w niejednej miejscowości są dobrze wyposażone ośrodki kultury, w których mogłyby odbywać się spektakle teatralne.

Z.L. – Jesteśmy tego świadomi, wiele domów kultury dysponuje odpowiednimi warunkami, wiemy również jak dużym zainteresowaniem cieszy się tam nasz repertuar. To nie jest jednak problem, który w jakiś szczególny sposób dotyka sosnowiecki teatr, borykają się z nim wszystkie sceny. Powód ograniczonej liczby spektakli wyjazdowych sprowadza się wyłącznie do limitów finansowych a nie do niechęci zespołu do grania w tak zwanym terenie. Wyjeżdżamy tak często, na ile pozwalają nam środki, którymi dysponujemy. W miarę możliwości ożywiamy wymianę między teatrami w Bielsku-Białej, Częstochowie, Zabrzu, Chorzowie...

– Zbigniewa Leraczyka znamy od 1979 roku, kiedy to świeżo upieczony absolwent PWST w Krakowie zadebiutował na deskach sosnowieckiej sceny w roli *clowna* w „Operze za trzy grosze" Bertolda Brechta. Szybko stał się ulubieńcem nie tylko sosnowieckiej publiczności i tak pozostało do dziś. Nic dziwnego, zagrał przecież w ponad stu dwudziestu premierach. Dorota Ignatiew – absolwentka wydziału aktorskiego w Krakowie i lalkarskiego we Wrocławiu, aktorka Teatru Polskiego w Warszawie, asystentka Jerzego Grzegorzewskiego dała się poznać w naszym regionie przed kilkoma laty za sprawą reżyserii wielokrotnie nagradzanych „Utarczek" C. Hayes i „Norymbergi" W. Tomczyka w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej. W Sosnowcu jednak wcześniej pani nie gościła?

D.I. – To prawda. Znałam Sosnowiec wyłącznie zza szyb pędzącego przez miasto pociągu na trasie z Bielska-Białej do Warszawy. Po raz pierwszy przyjechałam tu, składając dokumenty na ogłoszony konkurs. Teatr ma dla mnie wymiar uniwersalny, nie kojarzę go z żadnym konkretnym miastem, jest to wyłącznie miejsce, w którym tworzy się sztuka i to jest ważne.

– Refleksja po spędzonym tu roku...

D.I. – Cieszą mnie efekty, ponieważ widzę pełną widownię, czytam dobre recenzje z premier, zbieram zaproszenia na festiwale i czuję, że zespół jest także zadowolony.

– Rośnie kolejne pokolenie, które oczekuje z nadzieją, że Teatr „Zagłębia" wzbogaci się wreszcie o Małą Scenę.

Z.L. – Jesteśmy bardzo blisko sfinalizowania tego marzenia. Pomieszczenie – była siedziba Klubu im. Jana Kiepury przy ulicy Będzińskiej – wymaga jednak gruntownej przebudowy i wręcz rewolucyjnej adaptacji. Aby nie zapeszać, powiem może eufemistycznie: Mała Scena na pewno będzie otwarta przed czerwcem 2014 roku.

– ???

Z.L. – Do tego czasu trwa nasza kadencja.

– Pierwsza, ale na pewno nie ostatnia.

Rozmawiała:
MARIA SZTUKA

Gra bez końca…



Fot. Leszek Pilichowski

Villqist opowiedział o zmaganiach się współczesnego człowieka z innymi, gdy wolność przekształca się w kaprys i swawolę.

Tegoroczny sezon artystyczny Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie zakończył wystawieniem *Niebezpiecznych związków* Pierre'a Choderlosa de Laclosa, w adaptacji Christophera Hamptona (o czym pisała już Magdalena Figzał w poprzednim numerze). To dobry prognostyk na przyszły sezon. Reżyser Ingmar Villqist nieco uwspółcześnił czas akcji, a raczej uczynił z niego wieczną teraźniejszość. Historia de Laclosa przypomina przecież medialne opowieści z życia celebrytów, gdy najbardziej interesujące są pikantne szczegóły z ich osobistego życia – romanse, zdrady, a nawet intrygi. Aktualizacja następuje poprzez kostiumy i niezwykle oszczędną dekorację, a przedstawienie staje się przede wszystkim opowieścią o namiętności i zranionych uczuciach. Aktorzy noszą niemal współczesne, nieco przestylizowane stroje, których elementy, a zwłaszcza wysokie fryzury, siwizna i warkoczyk wicehrabiego de Valmonta nawiązują do stylu dawnej epoki. Zobaczymy więc koronkowe mankiety, gorsety, skórzaną kurtkę zdobioną cekinami.

Na scenie znajduje się metalowa konstrukcja przypominająca koncerty i imprezy plenerowe. To scena na scenie, miejsce wzmożonej obserwacji i zachowania pozorów. Głównym meblem jest fioletowy okrągły tapczan z poręczą od strony widowni, a nad nim duże lustro. To potęguje erotyzm przedstawienia, ale także zwraca uwagę, że ta historia jest przygotowana przez głównych jej aktorów. Lustro pozwala im kontemplować przebieg wydarzeń oraz kontrolować wrażenia doświadczane przez odbiorcę (listów). Widz staje się podglądaczem, zerkającym wstydliwie do cudzej sypialni, ale także zaglądającym pod podszewkę świata, znając od początku istotę prowadzonej intrygi. Całości dopełniają dwa stylizowane na antyki krzesła.

Muzyka buduje temat miłości. Już w pierwszej scenie kawaler Danceny uderza w trójkąt, jakby rozpoczynał przedstawienie, zapowiadając lekcję śpiewu z Cecylią Volanges (Anna Konieczna). Wobec rozbrzmiewającej muzyki operowej to stawianie pierwszych kroków, także w sferze uczuć. Płynące z głośników arie wzmagają także teatralność. W dawnej operze bohater wyśpiewuje swoją rolę mimo bólu czy śmiertelnego zagrożenia, u de Laclosa Valmont i markiza de Merteuil podejmują perwersyjną grę, której nie potrafią przerwać. Ale nie jest to jedyne powinowactwo. Według wicehrabiego, tylko opera dopuszcza skargi miłosne. On i markiza nie mówią o uczuciach, ale o kolejnych wyzwaniach, czyli zdobytych i porzuconych kochankach. W prowadzonej intrydze on porównuje się do bóstwa zapewniającego właściwe rozwiązanie akcji (*deus ex machina*). Dwie silne osobowości – de Merteuil (Renata Dancewicz) oraz wicehrabia de Valmont (Zbigniew Stryj), Kobieta i Mężczyzna, przekształcają przedstawienie w pojedynek między płciami. Ich relacja jest niemal sadomasochistyczna. Ranią siebie nawzajem, wzbudzają zazdrość, by zdobyć nad przeciwnikiem przewagę. Spektakl rozpoczyna się zakładem – markiza prosi wicehrabiego o przysługę i obiecuje mu nagrodę, jeśli uda mu się zdobyć bogobojną prezydentową de Tourvel (Sylwia Oksiuta), potem wymusza zerwanie, gdyż obawia się, by jego kaprys nie przerodził się w miłość, a następnie odstępuje od warunków umowy w trosce o swoją niezależność. W finale wicehrabia ginie w pojedynku z aktualnym kochankiem markizy, kawalerem Danceny (Hubert Bronicki), ukochanym naiwnej Cecylii.

Sztuka przypomina współczesną intrygę romansową o naiwnej panience, Cecylii, która po klasztornej edukacji poznaje świat, a przed wszystkim swoją zmysłowość. XVIII-wieczny libertynizm dziś już nie oburza i przypomina jeden z wielu poradników dla kobiet, a Cecylia wraz z rozwojem akcji odrzuca model świętoszki. Aby więc choć trochę uderzyć w mieszczaństwo widzów, reżyser wprowadził na scenę dwie niezwykle ponętne kurtyzany, blondynkę i brunetkę, Emilię i Justynę (Joanna Falkowska i Dagmara Ziaja), które pieszczą Valmonta, kawalera Danceny, ale także markizę, panią de Volanges i siebie nawzajem. To one zdają się być duchem sprawczym tego świata. Pomagają wicehrabiemu pisać list do prezydentowej oraz parodiują chór, komentując albo raczej przekładając treść listu na język gestów. Blondynka, trzymając pejcz nad głową, przypomina także triumfującą kobiecość w *Szewcach* Witkacego i staje się alegorią libertyńskiego społeczeństwa.

Współczesność sztuki wzmacnia jedna z ostatnich kwestii pani de Rosemonde (Czesława Monczka), podkreślając niezmienność zachowań ludzi. Epistolarna powieść de Laclosa jest historią o cynizmie, budowaniu fałszywego wizerunku w społeczeństwie. W dwugodzinnym przedstawieniu akcja rozwija się znacznie szybciej. Tu już nie ma czasu na opisywanie zdarzeń, są jedynie poszczególne gesty, fragmenty zdań, które prowadzą do seksualnego spełnienia. To także charakterystyka naszej współczesności.

Czas, który upłynął od wydania powieści, zakwestionował również sens finałowego pojedynku. W epoce Laclosa był to jeden z ostatnich przejawów honoru, gdy jak pisał Andrzej Kijowski, został on „zdegradowany do kodeksu honorowego", ale także gest samowoli ścigany przez prawo. Dziś takie rozwiązanie jest już zupełnie nieprawdopodobne. Może co najwyżej ulec metaforyzacji i przekształcić się w walkę szermierzy (jak w *H.* Jana Klaty), o czym przypominają rekwizyty, sposób zaliczania pchnięć oraz wyraźnie znudzona widownia. Śmierć Valmonta wstrząsa jedynie ciotką i prezydentową, która na wieść o tym umiera w klasztorze. W spektaklu zwycięski Danceny wraz z Cecylią zastąpią cynicznych wychowawców, podejmą porzucone przez nich role i pewnie tak samo będą kochać się i nienawidzić jednocześnie. W powieści świat zostaje uporządkowany, a kara spotyka także markizę. Najpierw zostaje wygwizdana w operze, a następnie ospa niszczy jej urodę. Taki finał pewnie dziś zdawałby się dość naiwny.

Bardziej życiowe zakończenie Villqista zmienia jednak tytułowe niebezpieczeństwo. W finale powieści pani de Volanges nazywa tak każdą chwilę słabości, mając w pamięci zmarłą prezydentową i decyzję swojej córki o wstąpieniu do klasztoru. Wcześniej określa tak małżeństwa z rozsądku zawierane wbrew uczuciom. Niebezpieczeństwo to także zdrada, odrzucenie wartości i Boga, wyrachowanie rodziców, którzy dbając o posag i pozycję społeczną, przyczyniają się do utrwalenie instytucji kochanka, nad czym jeszcze w międzywojniu ubolewał Tadeusz Boy-Żeleński. W przedstawieniu to także budzenie się zła w człowieku. Valmont i markiza pozbawieni wszelkich przesądów występują jako apostołowie nowej wiary.

Aktorzy grają dobrze, czasami recytują swoje kwestie i wygłaszają je do publiczności, jakby nie dostrzegając partnera stojącego obok. To wynika ze sposobu istnienia postaci pierwowzoru oraz sytuacji narracyjnej. Listy miały przede wszystkim wzbudzić podziw, były kunsztownym monologiem, a nie sposobem porozumiewania się. Tym samym nieco manieryczny sposób mówienia nie razi publiczności. Czasami jednak w poszukiwaniu wyrażenia namiętności aktorzy szepcą, co wywołało szmery na widowni.

Villqist opowiedział o zmaganiach się współczesnego człowieka z innymi, gdy wolność przekształca się w kaprys i swawolę. I choć człowiek się nie zmienia, może jednak trochę happy endu żal. Nie w przedstawieniu, jego niedomknięcie powinno zmusić widzów do działania, ale w życiu.

JOANNA WAROŃSKA

Christopher Hampton: *Niebezpieczne związki*, reżyseria: Ingmar Villqist, scenografia: Marcel Sławiński, kostiumy: Katarzyna Sobańska. Producenci spektaklu: Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie i Teatr Nowy w Zabrzu. Premiera częstochowska – 24 czerwca.

Offowe rozmaitości

Cztery dni koncertów, ponad osiemdziesięciu wykonawców, w tym gwiazdy światowej sceny alternatywnej – tak w dużym skrócie podsumować można siódmą edycję Off Festivalu, który po raz kolejny przyciągnął do Katowic rzesze fanów różnorodnej muzyki.



Zdjęcia: Justyna Bursy

POZIOM 1/ Iggy Pop and The Stooges – jeden z najbardziej wyczekiwanych koncertów tegorocznej edycji.

Wielkie muzyczne święto, nad którym artystyczną pieczę trzyma Artur Rojek, rozpoczęło się już 2 sierpnia – zainaugurowały je kameralne koncerty klubowe, podczas których wystąpili między innymi znany ze swych dźwiękowych eksperymentów Matthew Herbert oraz niemiecki pianista i kompozytor Nils Frahm. Swoją kolejną polską odsłonę miał też tego samego dnia międzynarodowy projekt Electronic Beats, tym razem zdominowany przez reprezentantów brytyjskiej sceny electro.

Po tym – niezwykle udanym wstępie – uczestników festiwalu czekały trzy dni koncertów w Dolinie Trzech Stawów, która po raz kolejny na czas trwania imprezy przybrała postać festiwalowego miasteczka, z dużym polem namiotowym i siecią punktów gastronomiczno-usługowych.

Podobnie jak w ubiegłym roku, muzyczne wydarzenia odbywały się na czterech różnych scenach. Zaprezentowali się na nich przedstawiciele rozmaitych gatunków muzyki alternatywnej – od indie-rocka poprzez folk, noise, hip-hop, avant-pop, aż po jazz i szeroko pojętą elektronikę. Wśród wykonawców nie zabrakło legend światowych scen, jak i interesujących odkryć muzycznych ostatnich lat.

Największym i najbardziej emocjonującym wydarzeniem pierwszego dnia koncertów w Dolinie Trzech Stawów okazał się występ Charlesa Bradleya i jego Extraordinaires. 62-letni muzyk, którego niezwykłą energię katowicka publiczność miała okazję poznać już podczas ubiegłorocznej edycji Festiwalu Ars Cameralis, swym muzycznym show podbił serca niemalże wszystkich festiwalowiczów. Wychowanego na ulicach Brooklynu artystę bardzo często porównuje się z Jamesem Brownem – w istocie bowiem twórczość jego wyrasta z najlepszych tradycji muzyki soul. I choć swój debiutancki album Bradley wydał dopiero w ubiegłym roku, na scenie czuje się jak ryba w wodzie, za każdym razem przenosząc swą pozytywną energię na widownię. Na koncertach stawia na prawdziwe emocje i bliską relację z publicznością – tego właśnie nie zabrakło podczas jego występu w Dolinie Trzech Stawów, który z pewnością pozostanie jednym z niezapomnianych wydarzeń tegorocznej edycji.

O podtrzymanie pozytywnych wibracji po koncercie Bradleya bardzo skutecznie zadbali również kolejni artyści pierwszego dnia: czarujący swymi rozkołysanymi balladami Mazzy Star, pobudzający tanecznymi rytmami Metronomy oraz zwariowani i dzicy Atari Teenage Riot.

Najbardziej wyczekiwanym wydarzeniem drugiego dnia festiwalu był koncert Iggy'ego Popa i jego legendarnej grupy The Stooges. Uważany za „ojca chrzestnego punk rocka" Iggy Pop nie zawiódł swych fanów i mimo tego, iż przekroczył już sześćdziesiątkę, scenicznego wigoru mógł pozazdrościć mu niejeden dwudziestolatek. Wraz z kilkunastotysięcznym tłumem wyśpiewał swe największe hity, takie jak „Passenger", „I Wanna Be Your Dog" czy „Search and Destroy", pokazując przy tym, czym jest prawdziwy rock'n'roll.

Mimo iż napięcie towarzyszące oczekiwaniom na koncert Iggy'ego Popa dało się wyczuć już od godzin popołudniowych, to jednak wielu zespołom nie przeszkodziło to w porwaniu bądź też równie efektownym oczarowaniu publiczności. Specjalistami w obu tych dziedzinach okazali się reprezentanci dwóch indie-rockowych zespołów: brytyjskiej formacji The House of Love oraz pochodzącego z Brooklynu The Antlers. Wielką klasę pokazał również Thurston Moore, współzałożyciel i lider formacji Sonic Youth, który tym razem zaprezentował się w nieco spokojniejszym repertuarze.



POZIOM 2/ Festiwalowa publiczność pod główną sceną.

Również trzeci dzień koncertów miał swoją gwiazdę wieczoru – był nim amerykański zespół Swans, którego fanom muzyki rockowej przedstawiać nie trzeba. Choć od wydania przełomowej w historii zespołu płyty *Filth* minęło już prawie trzydzieści lat, jej echo wciąż odbija się w dokonaniach młodszych gitarowych zespołów. Reaktywacja grupy, która nastąpiła w 2010 roku po trzynastoletniej przerwie ucieszyła niejednego wielbiciela noisowych, gitarowych eksperymentów, w których specjalizuje się Michael Gira – lider zespołu. Swój koncert amerykańska formacja przemieniła w iście rockowy rytuał, w którym nie brakowało ekstatycznego tańca, okrzyków i bardzo hałaśliwego instrumentarium.

Na Off Festivalu co roku usłyszeć można również grono polskich artystów. Tym razem rodzimą scenę alternatywną reprezentowali między innymi: Kasia Nosowska, Cool Kids of Death, Apteka, Kobiety, Kanał Audytywny, Łona & Webber, Afro Kolektyw, Jacaszek, czy wreszcie Mikołaj Trzaska, który po raz pierwszy na żywo wykonał soundtrack z wstrząsającego filmu *Róża* Wojciecha Smarzowskiego.

Poza muzyką i koncertami dużą popularnością cieszyła się również ulokowana na terenie festiwalu Kawiarnia Literacka, nad którą opiekę artystyczną po raz kolejny objął Wojciech Kuczok. Wśród zaproszonych przez niego gości znaleźli się między innymi: Krzysztof Varga, Olga Tokarczuk, Mariusz Sieniewicz, Andrzej Stasiuk i Sławomir Shuty.

Tegoroczna edycja imprezy udowodniła, iż katowicki festiwal w pełni zasłużył na otrzymaną w styczniu tego roku prestiżową nagrodę European Festival Award w kategorii Najlepszy Festiwal Średniej Wielkości. Eklektyczny program oraz otwartość organizatorów na nowe zjawiska muzycznego świata sprawiają, że festiwalowej publiczności wciąż przybywa i stanowią ją również goście spoza naszego kraju. Pytani o wrażenia po festiwalu uczestnicy imprezy niemalże jednogłośnie odpowiadali, iż z niecierpliwością wyczekują nowych muzycznych niespodzianek, jakie przynieść może przyszłoroczna edycja. Sam Artur Rojek przyznał zaś, iż zaczyna układać już line-up na kolejny rok – na szczegóły musimy jednak jeszcze trochę poczekać.

MAGDALENA FIGZAŁ

Off Festival: 2-5 sierpnia 2012 r., Katowice

Sonety brynowskie Tadeusza Kijonki

Z POGROMU

Minęło, przeminęło, jak królewskie śluby
W snach obojga narodów, berła i korony.
Jak kresy zagrabione, tron nie do obrony,
Bezpotomnej monarchii skazanej na zgubę.

Gdzie szarże tryumfalne i sobole szuby
Chorągwie w złotogłowiach, hołdy i pokłony?
Komu na chwałę biją zniewolone dzwony,
Gdy już boskie i ludzkie zawiodły rachuby.

Ten szczęk łamanych szabel, łoża splugawione,
Stuk kosturów na drogę wypędzonych z domów,
Kiedy jak klątwa pełznie: Pod twoją obronę...

Minęło, przeminęło... Co uszli z pogromu
Szczyptę ziemi w szkaplerzu tuląc po kryjomu,
Bo ile unieść zdoła ocalony sonet?

Lipcowy numer TWÓRCZOŚCI otwiera cykl dwunastu SONETÓW BRYNOWSKICH Tadeusza Kijonki. Identyczne zdarzenie miało miejsce przed blisko trzema laty, gdy 10. numer tego prestiżowego miesięcznika literackiego otwierały również SONETY BRYNOWSKIE Tadeusza Kijonki, w liczbie dziesięciu. Po obecnej kontynuacji cyklu widać – więcej niż zarys – niemal gotową już książkę poetycką pierwszorzędnej jakości. Jest to liryka głęboko osadzona w polskiej tradycji. Problematyka metafizyczna, teksty rozpięte między życiem i śmiercią, między zachwytem nad cudem istnienia i rozpaczą w obliczu przemijania. Sonet – jako forma wiersza – wymaga wielkiej dyscypliny, Tadeusz Kijonka posługuje się włoską odmianą sonetu z wirtuozerią zapierającą dech! Bezbłędna rytmika, rymy dobierane bez wysiłku, ze swobodą mistrza! Czternaście wersów, z przejściem po dwóch narracyjnych czterowierszach do dwóch tercyn o charakterze refleksyjnym, filozoficznym... I każdy odrębny wiersz na swój sposób uzasadnia wybór formy sonetu, który potrafi być *„wierny po ostatnie zdanie"*, ale też surowy i bezlitosny, jak w cyklu poprzednim: *„Patrz jak w życiu po życiu szczęki zwiera sonet"*. Czytam, po wielekroć, tych dwanaście sonetów (i poprzednich dziesięć) z radością, której chciałem dać wyraz w tych kilkunastu zdaniach. Cieszy mnie niezmiernie, że tak doskonale wiersze ukazały się właśnie w TWÓRCZOŚCI, a najbardziej cieszy mnie fakt, iż ich autorem jest mój Przyjaciel.

FELIKS NETZ

---

49. Tydzień Kultury Beskidzkiej

Stolica światowego folkloru

Tydzień Kultury Beskidzkiej jest największą imprezą folklorystyczną w kraju, a jak zapewniają organizatorzy (Regionalny Ośrodek Kultury w Bielsku-Białej) – także i w Europie. Trudno z tym stwierdzeniem dyskutować, skoro każdego roku uczestnicząca w tym niezwykłym pokazie kultur wszystkich kontynentów widownia, której niejedno światowe wydarzenie artystyczne może pozazdrościć – to kilkaset tysięcy widzów. Są wśród nich zarówno przypadkowi turyści, jak i stali bywalcy, którzy przyjeżdżają tu każdego roku, wielu z zagranicy. Nawet Koleje Śląskie organizują dodatkowe połączenia na trasie Gliwice – Katowice – Wisła Głębce. Ten rajski „Tydzień" często znacznie się wydłuża, czasem nawet do 9 (tak było w tym roku) dni. Tegoroczna edycja odbyła się po raz 49. a honorowy patronat nad TKB objął prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Bronisław Komorowski.

Od 28 lipca do 5 sierpnia blisko 100 zespołów pieśni i tańca z Polski i z różnych zakątków świata, czyli około cztery tysiące tancerzy, śpiewaków i muzyków wystąpiło na ponad 50 koncertach w Wiśle, Żywcu, Szczyrku, Oświęcimiu i Makowie Podhalańskim. W sumie przetańczyli i wyśpiewali oni ponad 200 godzin, porywając do wspólnej zabawy wszystkich uczestników. Goście z zagranicy m.in. z: Rosji, Białorusi, Chorwacji, Hiszpanii, Gruzji, Albanii, Chile, Zaolzia w Republice Czeskiej, z Turcji i regionu Kurdystanu w Iraku, prezentując bogactwo swoich rodzimych kultur, obrzędów i obyczajów nie tylko podbijali serca widowni, dostarczyli jej także wielu wzruszeń. Tradycyjnie już imprezie towarzyszyły: *„Festiwal Folkloru Górali Polskich"* (po raz 43.) *i „Międzynarodowe Spotkania Folklorystyczne"* (po raz 23.) w Żywcu, *„Gorolski Święto"* w Jabłonkowie (po raz 65.) – największa i najważniejsza impreza organizowana przez naszych rodaków mieszkających w Republice Czeskiej, *„Wawrzyńcowe Hudy"* w Ujsołach (po raz 34.) i *„Festyn Istebniański"* w Istebnej (po raz 18.). Jak zwykle nie samym tańcem i muzyką żyły na przełomie lipca i sierpnia Beskidy. Wielką atrakcją były także przedpołudniowe koncerty kapel, uliczne korowody, wystawy, kiermasze i Targi Sztuki Ludowej w Żywcu.

Ledwie przebrzmiały dźwięki 49. festiwalu a już na stronie internetowej TKB pojawił się zegar odliczający dni, minuty a nawet godziny do jubileuszowego – 50. spotkania. Aż trudno uwierzyć, że w 1964 r. był to zaledwie skromny przegląd zespołów regionu cieszyńskiego wzbogacony o zespoły z Podhala i Zaolzia...

(ms)

Festiwal Moniuszkowski odnowiony

W ramach wypoczynku wakacyjnego, łączącego przyjemne z pożytecznym, zawezwano nas na 50. Festiwal Moniuszkowski do Kudowy Zdroju. W tym roku festiwal otrzymał zupełnie nową formułę po tym, jak jego dyrekcję przejął wybitny dyrygent Stanisław Rybarczyk. Miło było widzieć, jak szef przechadza się po parku zdrojowym doglądając swego gospodarstwa. Rybarczyk słusznie założył, że festiwal potrzebuje nowej oprawy i nowych pomysłów, zarządził więc m.in. organizację konkursu wokalnego (otrzymał on imię Andrzeja Hiolskiego, uczestniczyło w nim około 30 osób, do finału doszło 8, a wygrał studiujący w Warszawie Francuz David Beucher). Poza tym były plenerowe koncerty, nie tylko muzyki Moniuszki. Jeden z nich zrealizowała orkiestra z Hradec Králove pod dyrekcją Andreasa Weisera, grając bardzo dobrze różne popularne utwory oraz towarzysząc w ariach operowych (także moniuszkowskich) Małgorzacie Walewskiej i dwojgu artystom z opery lwowskiej: Lubow Kaczale i Olechowi Łychaczowi, na drugim Orkiestra Filharmonii Wałbrzyskiej pod dyrekcją Warcisława Kunza akompaniowała laureatom konkursu wokalnego. Oprócz tego był spektakl operowy (*Straszny dwór* w realizacji Opery Krakowskiej), koncerty chóralne, prezentacje klas wokalnych wrocławskiej Akademii Muzycznej, spotkania z wybitnymi śpiewakami (niestety nie doszło do skutku zapowiadane spotkanie z twórczynią festiwali moniuszkowskich w Kudowie Marią Fołtyn), występy orkiestr dętych, przemarsz marżoretek i rozmaite inne „wydarzenia" z muzyką lub wokół muzyki Moniuszki (np. Moniuszko po klezmersku, pokazy multimedialne, prezentacja filmowej adaptacji *Halki* autorstwa Jana Rybkowskiego). W ramach odnawiania Moniuszki (nazywało się to oficjalnie „odczarowywaniem", pod takim tytułem wychodziła gazetka festiwalowa) została także zorganizowana konferencja muzykologiczna z udziałem naukowców z różnych krajowych ośrodków, którzy prowadzą obecnie badania nad twórczością kompozytora, mając również na uwadze odnowienie jego wizerunku. A jest, jak się okazało, co odnawiać, bo badania Moniuszkowskie są w Polsce bardzo zaniedbane – ostatnia konferencja dotycząca kompozytora odbyła się w Warszawie w 1972 roku, w stulecie śmierci. Potem przez pół wieku nic się na tym polu naukowo nie działo, dopiero po 2000 roku wznowiono prace nad wydaniem kompletu dzieł (wiele jest jeszcze nie wydanych, a niektóre, w tym *Halka*, domagają się nowej krytycznej redakcji), dokładnym i nowoczesnym opracowaniem twórczości Moniuszki oraz jej recepcji w Polsce i za granicą. Dyrektor Rybarczyk obiecał kontynuować konferencje w przyszłości – trzymamy za słowo.

MIĘDZY NUTAMI



Festiwal promocyjny „Silesii"

Jak co roku, Instytucja „Silesia" przygotowała na sierpień cykl koncertów młodych utalentowanych muzyków. W poprzednich edycjach (było ich dotąd osiem) cykl nosił nieco zawiłą nazwę Festiwalu Młodych Laureatów Konkursów Muzycznych. Teraz stał się po prostu „Sierpniem talentów", co jest zmianą nie tylko korzystną z punktu widzenia językowej „chwytliwości", ale i z punktu widzenia samej zasady: występują niekoniecznie laureaci, co stwarza przestrzeń dla muzyków, którzy nie należą do typu „konkursowiczów" i niekoniecznie legitymują się wieloma nagrodami. Zresztą, konkursy konkursom nierówne…

Na ósmą edycję sierpniowego festiwalu złożyło się dziewięć koncertów. Wystąpili młodzi skrzypkowie, akordeoniści, gitarzyści, pianiści, organiści, harfiści, śpiewacy z różnych regionów kraju. Gośćmi festiwalu była węgierska grupa składająca się z Węgierki Viktorii Herencsár grającej na cymbałach, czeskiej altowiolistki Zuzany Bouřovej i słowackiego wiolonczelisty Jozefa Podhoranský'ego. Podbiła publiczność wykonaniem transkrypcji różnych popularnych utworów muzyki poważnej, w tym Chopina. Ja trafiłam na przedostatni koncert festiwalu, na którym wystąpiły pianistka Barbara Gładysz i skrzypaczka Joanna Borowiec – katowiczanki, studentki naszej Akademii Muzycznej, a zarazem laureatki tegorocznej edycji Międzynarodowego Konkursu Młodych Muzyków „Citta di Barletta", gdzie zdobyły laury jako duet oraz jako solistki. W tych dwóch rolach prezentowały się również na omawianym koncercie, który odbył się w środę 29 sierpnia w Muzeum Archidiecezjalnym, w obecności licznych słuchaczy świeckich i duchownych. Na początku usłyszeliśmy w wykonaniu Barbary Gładysz czteroczęściową *Suite bergamasque* Claude'a Debussy'ego, której najsławniejszym fragmentem jest część trzecia *Clair de lune* (*Światło księżyca*), utwór inspirowany wierszem Verlaine'a o tym samym tytule, który przed wykonaniem odczytała słuchaczom (bardzo ładnie!) prowadząca koncert Magdalena Makaruk. Wybór utworu wiąże się z obchodzoną w tym roku 50. rocznicą urodzin francuskiego kompozytora, ale i bez okazji miło jest posłuchać jego nieco już staroświeckich, pełnych paryskiego spleenu tonów (jak wygląda w świetle księżyca kieliszek absyntu?). Na swój solowy występ Joanna Borowiec wybrała dwa utwory o kompletnie różnej formie i wymowie: *Filo d'Arianna* (*Nić Ariadny*) Eugeniusza Knapika oraz *Kaprys polski* Grażyny Bacewicz. Pierwszy z utworów (przeznaczony w oryginale na wiolonczelę solo) został napisany w 2002 roku jako utwór obowiązkowy na zorganizowanym przez katowicką Akademię konkursie dla młodych wiolonczelistów. W 2007 roku kompozytor stworzył wersję skrzypcową. Obie wersje różnią się niewiele, nawet brzmienie pozostaje podobne, gdyż w wersji skrzypcowej dominuje najniższy, ciemny rejestr instrumentu. Niełatwo jest wyobrazić sobie w związku z *Filo d'Arianna* obraz Labiryntu. Zwykle kompozytorzy ewokują go poprzez efekty lustrzane i różne inne figury symbolizujące złudę. Tutaj wszystko jest jasne: segmentowa, wyraźnie dzieląca się, dynamiczna narracja, jednoznacznie zdefiniowane odcienie wyrazowe i tylko końcowy powrót inicjalnego fragmentu można odczytać jako efekt zbłąkania. Króciutki *Kaprys polski* Bacewicz lepiej było chyba zagrać przed Knapikiem, chociażby dla zachowania chronologii. Ten nieco ponad dwuminutowy utworek napisała Bacewiczówna w 1949 roku, z myślą o uzupełnieniu własnego repertuaru skrzypcowego o pozycję na bis. Pomijając dość rozwlekły i zbyt ponury wstęp, jest bardzo efektowny, chyba jednak nie wytrzymuje roli samodzielnego elementu programu koncertowego, bo jest po prostu za krótki. Ledwo się skrzypek rozkręci, a tu już koniec! To samo wrażenie miałam po wykonaniu – już przez obie artystki – pierwszej części *I Sonaty skrzypcowej* Schuberta, tym bardziej że zdecydowały się zagrać ją bez powtórek. Zdecydowana, „męska" ekspozycja przeszła w dramatyczne, zapowiadające prawdziwego Schuberta tony, po czym – wszystko znikło. Niedosyt po wysłuchaniu pierwszej części koncertu zrównoważyło wykonanie *Sonaty skrzypcowej* Ravela, za którą to kreację Barbara Gładysz i Joanna Borowiec otrzymały właśnie tegoroczną nagrodę na włoskim konkursie. Słyszeliśmy tę sonatę w ich wykonaniu już wczesnym latem, zachwycając się, również na tych łamach, świetnymi tempami, precyzją rytmiczną i bluesowym „szwungiem" w drugiej części.

MAGDALENA DZIADEK

Stan ducha i ciała

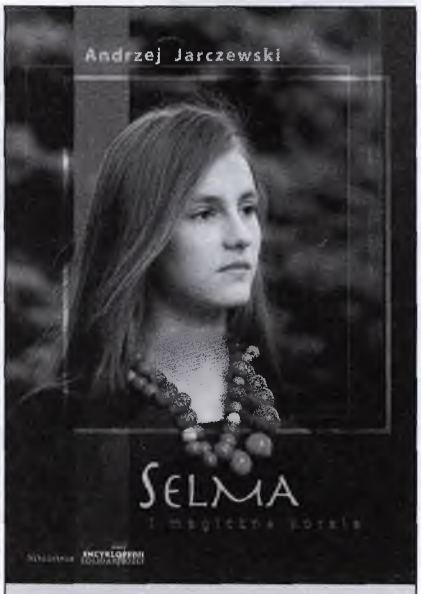

Andrzej Jarczewski *Selma*. Wydawnictwo: Stowarzyszenie Pokolenie, Katowice 2012, s. 399.

Czy można dziś interesująco opowiedzieć o Karnawale „Solidarności" i o konspiracji stanu wojennego?

Zmierzył się z tym Andrzej Jarczewski w powieści dokumentalnej (tak to chyba trzeba zakwalifikować) pt. „Selma". Jest to sfabularyzowana, oparta na autentycznych zdarzeniach opowieść o grupie gliwickiej młodzieży, która działała w latach osiemdziesiątych w małej konspiracji. A osią tej niezwykłej historii jest dziewczyna o pseudonimie SELMA, fascynująca i dziwna. Wokół niej kręci się powieściowy świat.

Na pierwszą część („Stan Ducha") składa się kilkanaście krótkich opowiadań, sygnowanych pseudonimami licealistów i opublikowanych w latach 1982-83 w młodzieżowym dodatku literackim biuletynu „Manifestacja Gliwicka", redagowanym przez Jarczewskiego. Są to oryginalne, żarliwe i autentyczne teksty młodych ludzi, którzy włączyli się w tamtych czasach do działalności konspiracyjnej. Przyświecało im motto, drukowane w tym piśmie: ***Koledzy. Nie rzucajmy kamieniami. Słowa są cięższe od kamieni. Piszmy!***

W części drugiej autor przechodzi do wartko prowadzonej fabuły i kreśli losy bohaterów „Stanu Ducha". Czyta się to znakomicie, zwłaszcza że jest to napisane niezłym językiem literackim. W tle konspiracja, często „na wesoło", manifestacje, malowanie haseł na murach, ucieczki przed atakującą milicją. Ale nie jest to papierowe i sztucznie zarysowane. Czuje się, że to jest AUTENTYK! Że autor to wszystko doskonale zna, że był w środku. Jako narrator „obserwujący" nie wpływa na bieg zdarzeń; raczej daje znać o sobie gawędowymi dygresjami, które płynnie i nieagresywnie wtapia w akcję fabularną.

Nie jest to fabuła typowa i „grzeczna". Czytelnik płynie w różnorodności zdarzeń, przenosi się z miejsca na miejsce i trudno, żeby się nudził. Tak jak nie nudzą się bohaterowie powieści.

Na dłużej autor zaprasza nas do GARAŻU, typowego muzycznego garażu, jakich było w Gliwicach wiele, gdzie młodzi ludzie improwizują bluesa na gitarach i uczestniczą w świecie oderwanym od szarej rzeczywistości; z dala od kolejek, codziennych kłopotów, ale także od konspiracji politycznej, którą realizują gdzie indziej. Muzyczny garaż to ich azyl, wymarzone niebo; miejsce, gdzie nie ma dostępu bieda, kolejka za chlebem, kłamstwo i propaganda ludowej władzy. Niestety nie wiedzą, że wśród nich jest agent służby bezpieczeństwa, który pisze raporty, ale który – paradoksalnie – ich także chroni, bo dla niego garażowy blues też jest ucieczką przed szarą rzeczywistością…

Równolegle rozgrywa się dramat wojennego wygnańca i repatrianta z Kazachstanu, Sinusa, nauczyciela matematyki, internowanego 13 grudnia i zdradzonego przez najbliższych. Jednak osią tej polimorficznej powieści jest tytułowa Selma, dziewczyna niesamowita, intrygująca, o wspaniałym głosie. Na koniec, po trzydziestu latach – w zabytkowej Radiostacji Gliwice – spotykają się uczestnicy tamtych wydarzeń i robią rachunki swoich młodzieńczych sumień, konfrontują swoje widzenia tamtych lat... Wszyscy kochali Selmę.

W Gliwicach to nie przypadek demograficzny, statystyczny i emocjonalny, że dziewczyna jest rodowitą Ślązaczką, a jej platoniczni wielbiciele pochodzą z rodzin kresowych i chcą szczerze pokochać Silesię – krainę, która dla ich rodziców miała być tylko chwilowym wygnaniem ze Lwowa. Nieubłagana logika powieści czyni jednak z Selmy postać tragiczną. We wspomnieniach kolegów pozostaje „wiecznie młoda".

W tej fascynującej opowieści są jeszcze inne wątki, zwłaszcza muzyczne. Bach, Beethoven, Chopin, ale także Rolling Stones, Niemen i Aretha Franklin. Przenikanie się różnych muzycznych światów. A na pierwszym miejscu „Selma" – słynna piosenka sarajewskiego zespołu Bijelo Dugme (Sarajewo i Gliwice to znów miejsca, znane z wydarzeń, poprzedzających wybuch I i II wojny światowej). Zupełnie nową jakością są niezwykłe opisy koncertów klasycznych i rockowych, zrealizowane oryginalną metodą „czasownikową". Autor nie mówi, czym jest muzyka, ale opowiada, co ta muzyka z nami robi, a raczej: co wyprawia! Garażowy „koncert Selmy" zapewne znajdzie trwałe miejsce w literaturze, bo niczym podobnym nie dysponujemy.

Mamy tu również dokumentalny opis wydarzeń politycznych, widziany od środka oczami uczestników konspiracji antykomunistycznej; poznajemy esbeckie metody infiltracji, „łagodne" przesłuchania, łamanie charakterów, sylwetki ludzi, którzy nie wytrzymali presji bezpieki. Swoisty kontrapunkt względem drogi do nieba, jaką (na wzór mozartowskiej „Lacrimosy") jest koncert Selmy, stanowi diabelski monodram, któremu autor zapomniał nadać oczywisty tytuł: „Kuszenie Ewy". Jedna z ważnych postaci powieściowych o nieprzypadkowym imieniu Ewa jest przedmiotem esbeckiej operacji o również nieprzypadkowym kryptonimie „Łagodna". Rolę szatańskiego węża gra oficer SB, którego celem jest pozyskanie tajnego współpracownika.

Czytelnik dowiaduje się rzeczy nieprawdopodobnych, ale prawdziwych. Pisał to świadek i uczestnik tamtych wydarzeń. Dlatego ta książka ma podwójną wartość: poznawczą i literacką. Jest napisana językiem prostym i zrozumiałym, a erudytę ucieszy cała sieć odniesień do arcydzieł światowej kultury, choć nie wszystkie są tak czytelne, jak zapowiedź garażowego koncertu: „Natenczas Selma..." lub – w innym miejscu – „Na początku był czasownik".

Może warto zacytować autentyczny obraz z tamtych lat, jakże odległy od polityki i codziennych trosk. Jest rok 1975. Osiemnastoletni Krystian Zimerman testuje program przygotowany na IX Konkurs Chopinowski. Młody pianista koncertuje w Klubie Pracowników Politechniki Śląskiej…

„Po Scherzu h-moll nikt już nie wątpił, że Krystian wygra w Warszawie. Mazurki, polonezy. Publika nie chciała go wypuścić. Bisy, bisy i na koniec zadziwiające Andante spianato, utwór z innego świata. Kołysanka wielkiej damy, która zapomniała przed snem zdjąć pierścień i naszyjnik, a teraz rozpina sznur i te perły pojedynczo, to znów całymi garściami delikatnie rozsypuje na kryształowej paterze. Do tego dnia nie miałem pojęcia, po co Chopin napisał utwór aż tak… niepotrzebny? Zimerman pokazał, że jednak potrzebny, choć tylko… do szczęścia?

Dostojne lwowianki, które przyprowadziły swoje wnuczki ze szkoły muzycznej, nie mogły nawet bić braw. Wszystkie ręce zajęte przy oczach. Jeden wielki szloch, że doczekały takich uniesień! A dziewczyny? Niech opowiedzą same. Każdy chłopak chciał być wtedy Zimermanem…"

Na rynku wydawniczym brakuje powieści na temat młodzieżowej konspiracji z lat osiemdziesiątych i do tego napisanych atrakcyjnie. Myślę, że właśnie „Selma" Andrzeja Jarczewskiego jest taką powieścią.

MICHAŁ WROŃSKI



Wojciech Kudyba *Wiersze wobec Innego*, Biblioteka TOPOSU, Sopot 2012, s. 173.

Kerygmat

Wiersz jako *zapis doświadczenia spotkania z Innym, jako nośnik pewnych postaw i wartości* stanowi dla Wojciecha Kudyby punkt wyjścia do dalszej interpretacyjnej egzegezy. Poeta, krytyk, historyk literatury, profesor związany z Uniwersytetem Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie oraz wykładowca na Uniwersytecie Jagiellońskim, status etyczny poetyckiej wypowiedzi uznał za najważniejszy w kontekście filozofii dialogu, a przede wszystkim tego jej zakresu, który zarówno w wymiarze kulturotwórczym, jak i wybitnie osobistym, egzystencjalnym, dokonuje się *w horyzoncie Innego*.

Tutaj należy wymienić inspiratorów oraz mentorów rudymentarnych dla badacza – interpretatora, a mianowicie Martina Bubera, Gabriela Marcela, Franza Rosenzweiga, Józefa Tischnera i Emanuela Levinasa, na którego wykłady uczęszczał. Tak, to niewątpliwie ikony myśli humanistycznej dwudziestego wieku, nie tylko własną wiedzą i postawą, ale zwłaszcza wrażliwością oraz wyobraźnią – podmiotowej wizji człowieka, potrafili nadać nowy wymiar intersubiektywności, wykorzystując medium wyrazu, słowa, tekstu.

W kręgu ich refleksji Kudyba przebywa, a zarazem wychodzi poza niego, ponieważ wie, że każdy akt czytania, pomimo mocnego osadzenia kulturowego, jest aktem jednorodnym i niepowtarzalnym. Nie znaczy to, że chce promować jedynie filologiczny czy *kreacyjny aspekt lektury*, poza artystyczną rewelacją pragnie widzieć w nim przede wszystkim *przekaz etycznie nacechowany*. Jak wyznaje we wstępie: *Etyka czytania uwrażliwia na „inność" dzieła, zachęca do niezbędnej otwartości czytającego na powierzony mu tekst*. Czymże jest ta *otwartość*? Stanem szczególnym, takim zestrojeniem się z tekstem, które umożliwia *spotkanie Toż – Samego z Innym* (Levinas). Jeśli próbowalibyśmy określić ten dialog metodologicznie, to należałoby go nazwać transgresyjnym obcowaniem personalno – egzystencjalnym.

Dlatego jego materiałem badawczym są wiersze *czytane jako zapis doświadczenia spotkania z Innym, charakteryzujące się intensywnością zapisu przeżycia, niejednoznacznością doświadczenia, tym, na ile dany wiersz wzbogaca sposób widzenia inności, komplikuje i uwielostronnia spojrzenie, reprezentując pewny charakterystyczny sposób postrzegania problematyki inności*.

Należy z całą odpowiedzialnością zaznaczyć, że wybór utworów, jakiego dokonał Kudyba jest na tyle celny, a jednocześnie kontrowersyjny (patrz indywidualny), że staje się potwierdzeniem metodologii badacza, klucza jaki on sobie wybrał do ich interpretacji. To z kolei znakomicie przysłużyło się lekturze, często wykraczającej poza obszar nakreślony przez samego krytyka, o czym nie zapomniała wspomnieć w swojej recenzji profesor Małgorzata Czermińska, pisząc: *Warto podkreślić stylistyczne walory naukowego pisarstwa Wojciecha Kudyby. Staranne przestrzeganie przestrzeni terminologicznej i erudycyjna rzetelność nie przeszkadzają mu w zachowaniu indywidualności własnego stylu, który cechuje się zarazem jasnością i bogactwem, zdradzającym nawyki prawdziwego znawcy i wielbiciela poezji*.

Każda przestrzeń wiersza jest obszarem bycia, w który wchodzi badacz, aby potwierdzić więź z bliźnim – stąd jego interpretacyjna egzegeza tekstu staje się bardziej eseistyczną miniaturą nawiązania dialogu z Innym niż li tylko krytyczno– akademicką eworsją. W ten sposób zostaje autentycznie uobecniona wieloaspektowość doświadczenia Innego oraz tego, co Inne. Nie ma tutaj miejsca na krytyczną rutynę: wartki język oraz osobiste zaangażowanie w złożoną problematykę relacji Ja – Inny, wciągają czytelnika. Każą postawić kardynalne pytanie: Kim jestem?

Wymieńmy znakomite przykłady: oto a – ateista Tadeusz Różewicz spotyka się ze sobą – Innym w osobie papieża Jana XXIII („Jest taki pomnik"), oto podmiot wiersza Jarosława Jakubowskiego doznaje eschatologicznej interakcji z Chrystusem („Pseudo"), poeta Karol Wojtyła przedstawia Maryję jako ikonę wspólnoty ludzkiej w Bogu („Matka"), oto ksiądz Janusz Stanisław Pasierb zmaga się ze stygmatyzacją własnej inności przez społeczeństwo, w jakim spełnia własne powołanie („Ecorche"), w utworze Wojciecha Gawłowskiego cierpienie dzieci sprowadza na ziemię Boga („Krucjata dziecięca II"), oto Ślad obecności pomordowanych Żydów staje się źródłem katartycznej wspólnoty ofiar i ocalonych u Adama Zagajewskiego („Nienapisana elegia dla Żydów krakowskich"), oto współobecność umierania, ewokacja sytuacji ostatecznie Innej w utworze Wojciecha Kassa („Nie żałuj głaskania umierającemu"), oto casus Łazarza jako kontaktu z rzeczywistością transcendentną u Przemysława Dakowicza („Łazarz"), miejsca będące prawdziwym zadomowieniem się w byciu w *soliloquium* Julii Hartwig („Miejsca"), oto spotkanie zupełnego dopełnienia w epifanijnym erotyku Eugeniusza Tkaczyszyna – Dyckiego („Kamień pełen pokarmu"), przestrzeń komunikacyjnego otwarcia Ja autor – Ty odbiorca w utworze Ewy Lipskiej („Na spotkaniu autorskim"), oto topos Innego we mnie u Krzysztofa Kuczkowskiego („Ktoś Inny"), i wreszcie przeżycie jedności wszechistnienia w Bogu, której doświadcza mistrz mowy wiązanej Czesław Miłosz („Późna dojrzałość").

Poszczególne analizy i interpretacje wzbogacone są licznymi dygresjami zarówno historycznoliterackimi, filozoficznymi, jak i hermeneutycznymi; wnikliwe komentarze łączą w jeden tematyczny splot różne wątki. Głównym obszarem – bazą dla tych rozważań jest nade wszystko przestrzeń biblijno – religijna funkcjonująca we współczesnej kulturze.

Wydaje się, że zarówno zakres badawczy Kudyby, jak i sposób jego prezentacji ma na celu załatanie metafizycznej dziury w dziejach; tego momentu, kiedy dzieje utraciły boski sens – warto w tym miejscu przytoczyć myśl samego Levinasa: *Gdy mówię do chrześcijan, cytuję Mt. 25; relacja do Boga jest tam ukazana jako relacja do drugiego człowieka. To nie metafora: w innym istnieje realna obecność Boga*. Każdy utwór, który ujawnia się w sferze etyki jest relacją z drugim jako śladem Boga. Zaś słowo poetyckie, o ile powraca w Słowo odwieczne, staje się k e r y g m a t e m – i w tym należy upatrywać wyjątkową wagę całego zbioru Wojciecha Kudyby. Albowiem *kerygmat* wtedy osiąga zdolność dialogu, gdy zostaje skierowany do człowieka – Innego, znajdującego się w konkretnej sytuacji egzystencjalnej.

BOGDAN NOWICKI

Przypadek Kieślowskiego

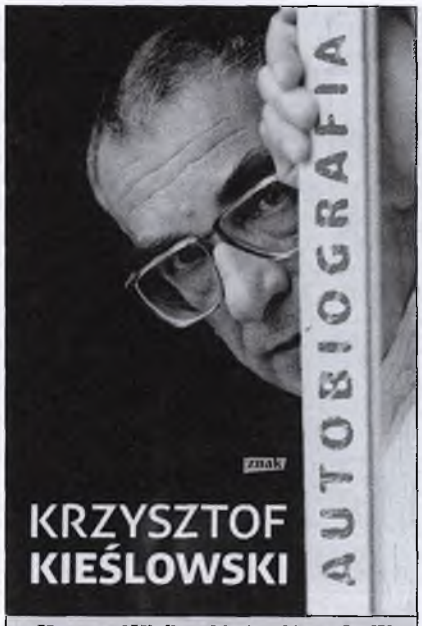

Krzysztof Kieślowski, *Autobiografia*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2012, s. 224.

„Kino to nie publiczność, festiwale, recenzje, wywiady. To wstawanie codziennie o szóstej rano. To zimno, deszcz, błoto i ciężkie lampy. To nerwowe zajęcie, któremu w pewnym momencie wszystko musi zostać podporządkowane – także rodzina, uczucia, prywatne życie. Oczywiście to samo o swojej pracy powie maszynista kolejowy, handlowiec czy bankier. Pewno będzie miał rację, ale ja robię swoje i piszę o swoim".

Zmarły w 1996 roku Krzysztof Kieślowski, jeden z najciekawszych oraz najważniejszych polskich twórców filmowych, pozostawił po sobie artystyczną schedę w postaci licznych dokumentów oraz intrygujących fabuł, do dziś stanowiących inspirację dla wielu (nie tylko początkujących) filmowców na całym świecie, czego wyraźnym dowodem może być między innymi realistyczne, choć równocześnie podszyte metafizyką irańskie kino sygnowane nazwiskami takich autorów jak Abbas Kiarostami czy Majid Majidi. Ale nie mniej interesującą pamiątką po twórcy „Krótkiego filmu o miłości" jest jego autobiografia, utkana z niezwykle osobistych refleksji okraszonych typowym dla Kieślowskiego lekko ironicznym poczuciem humoru.

Podstawę opracowanego przez Danutę Stok tomu stanowią wypowiedzi autora „Podwójnego życia Weroniki", których udzielał przed laty w ramach wywiadów dla brytyjskiej telewizji. Temat rozmów często wiązał się z koniecznością powrotu Krzysztofa Kieślowskiego do przeszłości, w tym do czasów ubogiego dzieciństwa. Młodość przyszłego filmowca, syna urzędniczki i robotnika budowlanego, upływała bowiem pod znakiem częstych zmian szkół oraz licznych przeprowadzek podyktowanych chorobą ojca, który w kolejnych sanatoriach przez dwadzieścia lat bezskutecznie leczył się z gruźlicy. Sentymentalnej, choć nie pozbawionej cienia melancholii opowieści o rodzicach towarzyszy szczere wyznanie Kieślowskiego, uświadamiającego sobie zawodność własnej pamięci, sprzyjającej podświadomemu absorbowaniu nieprawdziwych lub cudzych wspomnień.

Reżyser „Krótkiego filmu o zabijaniu" w anegdotyczny sposób rekonstruuje zmienne koleje swojej edukacji, obejmującej między innymi naukę w Państwowym Liceum Techniki Teatralnej (w latach 1957-1962) oraz epizody w studium nauczycielskim (gdzie bezskutecznie zgłębiał tajniki rysunku) i w szkole strażackiej, chroniącymi Kieślowskiego przed widmem służby wojskowej, której ostatecznie uniknął dzięki zdiagnozowaniu u niego… choroby psychicznej (*schizophrenia duplex*). Twórca „Przypadku" chętnie wspomina także pracę w charakterze garderobianego w Teatrze Współczesnym, która zaowocowała spotkaniem z najwybitniejszymi aktorami rodzimych scen (wielu z nich zostało później etatowymi współpracownikami Krzysztofa Kieślowskiego), budząc w młodym artyście pragnienie spróbowania swoich sił w charakterze reżysera teatralnego. Niestety okoliczności zadecydowały inaczej, a konieczność zadośćuczynienia własnej ambicji zmotywowała Kieślowskiego do podjęcia studiów w Łódzkiej Szkole Filmowej (1964-1968), do której dostał się dopiero za trzecim razem.

Wspominając mniej lub bardziej długotrwałe przyjaźnie z Krzysztofem Zanussim, Marcelem Łozińskim, Edwardem Żebrowskim czy Agnieszką Holland, autor „Gadających głów" lokuje je w kontekście szkicowych analiz swoich najważniejszych utworów. Stąd w publikacji nie mogło zabraknąć krótkich impresji poświęconych okolicznościom powstawania dokumentów odzwierciedlających naturalną potrzebę Kieślowskiego do opisania świata, tracących chwilami humanistyczną perspektywę na rzecz ideologii (casus materiału „Robotnicy '71: nic o nas bez nas"), a czasem pozwalających autorowi na uchwycenie rzeczywistości w jej najbardziej nieoczekiwanych aspektach, o czym przekonywał słynny „Szpital". Kieślowski-dokumentalista jawi się jako twórca etyczny, odczuwający moralną odpowiedzialność za bohaterów swoich filmów.

„Nigdy nie wiesz, jaki wyjdzie film. Zawsze, w każdym filmie, jest bardzo cienka granica, którą przekroczyć może każdy według własnego uznania. Ja się cofam. Jeżeli zrozumiem, że bohaterowi mojego filmu stanie się krzywda z powodu emisji w telewizji, to się wycofuję".

Postawę tę doskonale ilustruje reakcja Krzysztofa Kieślowskiego na finalny wydźwięk gotowego materiału pod tytułem „Nie wiem" – dokumentalnej spowiedzi byłego dyrektora fabryki na Dolnym Śląsku, który przeciwstawił się mafijnej organizacji partyjnej – oraz „Z punktu widzenia nocnego portiera", będącego portretem fabrycznego strażnika o niemalże faszystowskich poglądach. W obu przypadkach Kieślowski zabiegał o nierozpowszechnianie tych filmów, boleśnie uświadamiających mu pułapki potencjalnie czekające na każdego twórcę dokumentów: ludzką krzywdę oraz niemożność dotarcia do obiektywnej prawdy o drugim człowieku.

Przypominając swoje pierwsze próby fabularne, zainicjowane krótkometrażowym „Przejściem podziemnym" opartym na scenariuszu napisanym razem z Ireneuszem Iredyńskim, Krzysztof Kieślowski dzieli się z czytelnikiem refleksjami oraz smakowitymi anegdotami dotyczącymi „Personelu" (pełnometrażowego debiutu, za który otrzymał pierwszą nagrodę na Festiwalu Filmowym w Mannheim), telewizyjnego cyklu „Dekalog" czy „Amatora", do dziś uznawanego za jedno z najważniejszych dzieł wpisujących się w nurt Kina Moralnego Niepokoju. W „Autobiografii" nie zabrakło oczywiście miejsca na osobiste spostrzeżenia dotyczące specyfiki pracy w czasach szalejącej peerelowskiej cenzury, nienajlepszych relacji z rodzimą krytyką filmową czy ambiwalentnego przyjęcia (także przez widzów) głośnego „Bez końca", inaugurującego wieloletnią przyjaźń oraz współpracę scenopisarską z adwokatem Krzysztofem Piesiewiczem, trwającą aż do śmierci reżysera.

Całość zamyka zapowiedź (zważywszy na tryb narracji) przyszłych sukcesów realizowanej we Francji trylogii „Trzy kolory", stanowiącej (zgodnie z zamierzeniem samego twórcy) zwieńczenie reżyserskiego dorobku Krzysztofa Kieślowskiego – światowej sławy autora poszukującego granic indywidualnej oraz artystycznej wolności, nie potrafiącego odnaleźć się w kosmopolitycznym modelu życia, na każdym kroku podkreślającego swój silny związek z Polską. „Autobiografia" przynosi obraz wrażliwego, świadomie dążącego do celu człowieka, który poprzez sztukę filmową próbował aktywizować często nieuświadamiane sfery emocji oraz duchowej wrażliwości swoich widzów.

To wieloaspektowy komentarz do dorobku nietuzinkowego twórcy (stawiającego pytania o genezę samotności, naturę dobra i zła, jak również istotę przypadku, wolnego losu i predestynacji) postrzegającego życie zarówno jako sztukę kompromisu, jak i źródło niewyczerpanych opowieści o bliźnich, uwiecznianych na taśmie z całym bagażem ich tajemnic, niepokojów, radości i kameralnych dramatów.

PRZEMYSŁAW PIENIĄŻEK

Kryminał psychoanalityczny w stylu retro



Frank Tallis: *Śmiertelna intryga*. Tłum. Beata Hrycak. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2006. 362 s.

Mariaż literatury z psychoanalizą zawiązał się ponad sto lat temu i nie ulega wątpliwości, że opierał się na symbiozie. Ojciec tej pierwszej ukonstytuował ich związek poprzez wywiedzenie jednej z fundamentalnych dla identyfikacji seksualnej faz rozwoju człowieka z greckiego dramatu. Konflikt edypalny to pierworodny potomek pary. Jest ich jednak więcej. Rodzice chrzestni kolejnych to pisarze, m.in. Tomasz Mann, Stefan Zweig, James Joyce. Ich kumami zostali także Polacy – wystarczy tu wymienić chociażby Karola Irzykowskiego, który w *Pałubie* zwrócił uwagę na rozwój wczesnodziecięcej seksualności czy wątpliwą wiedzę bohaterów o sobie samych wyrażającą się w umieszczeniu czasowników takich jak „wiedział", „rozumiał" w cudzysłowie. Nie brak u niego także „formalnych" nawiązań do psychoanalizy – jednego z bohaterów *Snów Marii Dunin* nazwał przecież „Acheronta Movebo", sięgnął więc po ten sam fragment *Eneidy* Wergiliusza, który posłużył Zygmuntowi Freudowi za motto do pracy *Objaśnianie marzeń sennych*.

W dwudziestoleciu międzywojennym dołączyli do Irzykowskiego kolejni twórcy – m.in. Witkacy, Witold Gombrowicz, Michał Choromański. Raz explicite, innym razem w ukrytych warstwach dzieła, dostępnych jedynie wnikliwemu czytelnikowi, umieszczali autorzy nawiązania do psychoanalizy. Technika poszukiwania treści ukrytych, wypartych, odkrywania prawdy o sobie, otaczającym świecie, wewnętrznych motywacjach człowieka i jego nieuświadomionych instynktach okazała się szczególnie płodna w przypadku igrania z materią kryminału. Widać to w utworach takich jak *Zbrodnia z premedytacją* czy *Zazdrość i medycyna*.

W pochodzącej z lat 70. XX wieku książce *Biały karzeł*, określanej mianem „powieści psychoanalitycznej", jej autor, Zbigniew Zakiewicz, również sięgnął po konwencję kryminalną, opowiadając historię rozszczepienia jaźni, próbując zdefiniować „ego" i granice subiektywizmu. Akcja rozgrywała się jednak wewnątrz ludzkiej psychiki, a poszukiwania zaginionego (zamordowanego?) na początku bohatera były tak naprawdę poszukiwaniem wiedzy o sobie samym.

Ten krótki przegląd związków między literaturą a psychoanalizą dowodzi, że pomysł napisania kryminału psychoanalitycznego nie jest nowatorski ani odkrywczy – posiada dosyć długą literacką tradycję. Czerpał z niej w ostatnich latach między innymi Marek Krajewski, czyniąc w *Śmierci w Breslau* z Eberharda Mocka zapalonego czytelnika *Wstępu do psychoanalizy* i budując fabułę na kanwie trudnych relacji między niby-ojcem a niby-synem.

Dlatego Franka Tallisa, autora serii zatytułowanej *Zapiski Liebermanna*, nie można nazwać prekursorem gatunku. Jest jednak z pewnością jego zręcznym modyfikatorem, nadaje mu nowego tchnienia – zamiast przeintelektualizowanych, często pogmatwanych i mocno naciąganych fabuł serwuje bowiem czytelnikowi świeżą opowieść w duchu Artura Conan Doyle'a, wciągającą, logicznie zbudowaną, w której na tle świetnie nakreślonego obrazu cesarskiego Wiednia rozgrywają się zbrodnie i rozmaite intrygi uczuciowe.

Ich rozwikłania podejmuje się dwójka bohaterów – inspektor Oskar Rheinhardt, przedstawiciel wiedeńskiej policji, oraz jego przyjaciel Max Liebermann, psychiatra, uczeń Zygmunta Freuda. Pierwsza część serii – *Śmiertelna intryga* z roku 2006 – stawia ich przed koniecznością rozwiązania zagadki śmierci pięknej spirytystki. Pojawiają się poszlaki świadczące o ingerencji w zbrodnię siły nadprzyrodzonej – ciało medium znajduje się bowiem w zamkniętym od środka pomieszczeniu, a kuli, która ją ugodziła, nie udaje się nigdzie znaleźć… jakby wyparowała.

Metody działania Liebermanna – wnioskowanie na podstawie lapsusów jego rozmówców czy wykorzystywanie techniki objaśniania snów w śledztwie – są zręcznie umotywowane, przedstawione ze swadą. Nie ma tu mowy o popularnej ostatnio „psychoanalizie dla ubogich" – operowaniu kliszami, rzucaniu nazwami kompleksów jedynie dla erudycyjnego popisu. Tallis wie, co robi – w końcu sam jest psychologiem klinicznym mającym na koncie książki poświęcone historii psychoterapii i nieświadomości. Jest też przedstawicielem „starej szkoły pisarskiej" – proces pisania poprzedza wnikliwymi badaniami: gdy opisuje jakąś konkretną ulicę, dąży do tego, aby zdobyć jej fotografię z początku XX wieku; kiedy pisze o którejś kawiarni, lubi czytać jej opisy, aby upewnić się, że każdy detal w jego opowieści jest prawdziwy. Często odwiedza także Wiedeń, studiuje jego historię i literackie portrety. Mało tego, jak mówi, podejmuje nawet wysiłki, aby „dowiedzieć się czegoś na temat jakiegoś błahego drobiazgu, na przykład, jaka dokładnie popielniczka leżała na biurku Freuda".

W powieści nie samo morderstwo i jego arkana są zatem najciekawsze, ale charakterystyki bohaterów, ich zręcznie nakreślone portrety, włączone w powieść historie pacjentów Liebermanna (oparte na autentycznych przypadkach znanych z pism Freuda!), a także atmosfera Wiednia z początku XX wieku – z kart książki zdają się wydobywać dźwięki muzyki Straussa, zapachy licznych odmian kawy i smaki wyśmienitych tortów. Dla miłośników belle epoque jest to podróż niezapomniana – można w jej trakcie z jednej strony obserwować czasy zmierzchu dynastii Habsburgów, z drugiej napawać się klimatem koncertów dyrygowanych przez Gustava Mahlera czy wystaw secesjonistów jak Klimt.

Nie brak tam również odwołań do historii. Jak podkreśla autor powieści: „Najbardziej fascynującym aspektem Wiednia Liebermanna jest jego ogromne znaczenie polityczne dla całego XX wieku. Przed I wojną światową Adolf Hitler był artystą, który usiłował w Wiedniu zrobić karierę. Myśliciele polityczni, którymi był otoczony, mieli na niego bardzo duży wpływ. Po prawdzie, swój wizerunek kształtował inspirowany burmistrzem Wiednia Karlem Luegerem. Wiele idei zaczerpnął od pangermańskich nacjonalistów. Nawet ikonografia nazistów ma swoje źródła w Wiedniu początku XX wieku. Przykładowo swastyka była ulubioną runą wiedeńskiego pisarza Guido von Lista. Mniej więcej w tym samym czasie Theodor Herzl zaprezentował ideę syjonizmu, która pośrednio doprowadziła później do ustanowienia państwa Izrael. Polityczne reperkusje ruchu Herzla do tej pory mocno oddziałują nie tylko na sytuację polityczną Bliskiego Wschodu, ale również na całą światową politykę. To niesamowite, jak Wiedeń wyznaczył kurs XX-wiecznej historii". (Z wywiadu Anny Kutrzuby z Frankiem Tallisem opublikowanego w „Dzienniku Literackim").

Zapiski Liebermanna obejmują w tej chwili sześć tomów, na język polski przetłumaczono pięć. Ostatni – *Śmiertelne zespolenie* – ukazał się w tym roku nakładem Wydawnictwa Dolnośląskiego.

SABINA KWAK



Arkadiusz Kremza: ***Wiersze z wody i żelaza. Brixham-Mikołów-Torquay.*** **Instytut Mikołowski. Mikołów 2012, s. 28.**

Poetycki odrdzewiacz

Połączenie wody i żelaza może spowodować najpewniej rdzę. Korozja metali przebiega tym szybciej, im warunki zewnętrzne są bardziej sprzyjające. Gdy oprócz wody, dodamy jeszcze niekorzystne działanie temperatury, promieniowanie lub naprężenia konstrukcji – żelazo ulega zniszczeniu i tylko o krok od jakiejś katastrofy. Najnowszy zbiorek poetycki Arkadiusza Kremzy swą nazwą uruchamia skojarzenia związane ze wspomnianym procesem – *Wiersze z wody i żelaza* to dwadzieścia jeden utworów połączonych łańcuchem tytułów. Ten łańcuch nadżerają smutek, tęsknota i autoironia, bo – jak czytamy – nawet „łza śmieje mi się w twarz" (s. 19-20). Każdy kolejny tekst rozpoczyna się ostatnim wersem poprzedniego, tworząc coś na kształt wieńca sonetowego, jednak splecionego z wierszy o najróżniejszym kroju. Żelazo z jakiego mogą być człowieki wiersze – u Kremzy niszczeje, marnuje się, a sytuacja życiowa bohatera tomiku zawiera wiele analogii do słów o rdzy; oddalony od kraju, gdzieś między nadmorskimi miasteczkami Brixham i Torquay, postrzega swoje nowe miejsce jak „ogryziony placek, / ze śliny i skał, wyrzucony na rdzawą powierzchnię / o menisku śmielszym niż wzrok, to wyspa łóżka. / Wyspa jak krab. // Z zewnątrz niejadalna, ale w środku żywa i bystra. / Patrząca w zostawianą stronę. Ślepo jednak czujnie" (s. 10). Południowa Anglia jawi się jako miejsce, gdzie „światło pada pod innym kątem, / świat zasypia w innej pozycji" (s. 5), a „życie motyla / kończy się na zgrzycie przegryzanej gąsienicy" (s. 6). Obcość, inność, wynikająca z różnic kulturowych, klimatu, a nawet krajobrazu, rodzi pesymizm, rozkład, niechęć. W *Błysku* można zobaczyć, że „rozgościł się we mnie mnich", z którym trzeba stoczyć wewnętrzną walkę o język, świadomość, tożsamość, choć ten milczy, jednocześnie „żując / moją wątrobę" (s. 12-13).

Dylematy polskiego emigranta to najprostszy trop do zrozumienia *Wierszy z wody i żelaza*, jednak obserwacja nowej rzeczywistości sięga znacznie głębiej. Autor notuje: „świat jakby produkował więcej mydła / i szczypią nas oczy. // Niewiarygodne. Z jaką maestrią robi się nas w ciula. // To urocze" (s. 23). Nawiązania do produkcji mydła z ludzkich ciał według receptury profesora Spannera i do palenia zwłok w niemieckich krematoriach w Auschwitz są oczywiste, ale dziś życie wygląda znacznie gorzej, wszystko ma być piękne, a my kompletnie nieświadomi, bo przecież „kwitną żonkile i krokusy". Tyle tylko, że te rośliny według „magii kwiatów" symbolizują m.in. nieodwzajemnioną miłość i pogardę, ale także nadzieję – matkę głupich…

Marek K. E. Baczewski pisze na skrzydełku o fermentacji jaką wespół z krytycznym okiem wybrał Kremza na swe „procedury badawcze". Poeta nie jest jednak zwykłym, zdystansowanym do świata i ludzi obserwatorem, jego odczuwanie przypomina reakcję zranionej, bardziej wrażliwej, bo poparzonej skóry. Ogień, światło, iskra, elektryczność – wszystko będzie dobre w osiągnięciu samozagłady, „najlepiej niech nas spalą", bo przecież ostatnim wersem w tomie jest deklaracja – „nie trzeba nic". To słowa kogoś, kto kochał, miłość była dla niego jak „zwykłe prywatne / igrzyska z solidną, pewną metą" (s. 20), ale przekonał się, „że przysięgi / to papier" (s. 18-19), „wszystko przeciekło" (s. 20-21).

Arkadiusz Kremza (rocznik 1975), zaczynając pisać, krążył po orbicie osławionej grupy „Na Dziko". Dziś w innej przestrzeni, z daleka od starych przyjaciół, ulega innym niż oni wpływom i naprężeniom. Służy mu to na tyle, by – nomen omen – „odrdzewić" swoje spojrzenie na świat i środki poetyckie. Pisał niegdyś w *Wierszu dla mamy* – „I wysyłasz mnie po wodę. / A ja przynoszę wino. I Bóg się cieszy". Jeśli owocem, wspomnianej przez Baczewskiego, fermentacji jest właśnie wino, to można śmiało stwierdzić, że poeta z tej podróży, choć obity, wraca z podniesionym piórem.

EDYTA ANTONIAK-KIEDOS



Krystyna Cz. Borkowska: ***Nad brzegiem czasu.*** **Sosnowiec 2011, s. 70.**

Siódmy powrót

Krystyna Borkowska to poetka praktycznie nieznana, niedoceniona, a już najpewniej marginalizowana za etykietkę poetki ludowej (należy do Stowarzyszenia Twórców Ludowych, śpiewa w zespole folklorystycznym, otwarcie deklaruje brak wykształcenia). Przez trzydzieści lat pracy twórczej (jubileusz w 2011 roku) wydała kilka tomików (*Groszki kwieciste*, *Koncert świerszcza*, *Bose bławaty*, *Dama z niebieskiego balkonu*, *Na psa urok*, *Smak konfitury*), zdobyła liczne nagrody i wyróżnienia w konkursach poetyckich, jej wiersze czytano na antenie radia i wybierano do antologii.

W swojej najnowszej, siódmej książce pt. *Nad brzegiem czasu* podejmuje te same tematy, co w poprzednich książkach – wciąż ważne są dla niej miłość, tęsknota, sny, dom rodzinny, matka. Robi to jednak znacznie sprawniej, unikając banałów czy powtórzeń. Zasługę tę należy podzielić na dwie osoby, z jednej strony autorka wyostrza swój gust i smak, a z drugiej… tom został porządnie zredagowany przez Pawła Borkowskiego. Syn poetki to polonista z uniwersyteckim wykształceniem i wyczuciem, dowodzi tego we wstępie i na końcu książki, gdzie umieszczono jego szkic – *Przeczucia i dociekania, czyli słów kilka o wierszu Krystyny Borkowskiej „Czas który wie"*. Interpretacja wybranego utworu potwierdza, że potrzeba pisania jest u autorki *Bosych bławatów* głęboka, wynika z wewnętrznej konieczności, którą poetka próbuje nazwać: „więc szukam po odpustach // motyla i ręki // czegoś co mnie woła" (s. 59). Choć czasem chciałaby uwolnić się od wątpliwego daru – „przez rzekę przeszłam / we krwi utonęłam // na drugim brzegu / bóg // kazał wracać / wiersze pisać" (s. 58). Przypomina w tych rozterkach niedawno i przedwcześnie zmarłą poetkę o ludowym rodowodzie – Stanisławę Kopiec z Lubeni.

Wewnętrzny imperatyw łączy się z jednostkowym doświadczeniem, kolejne liryki osadzone są głęboko w naturze – wśród czereśni, rosy, ugorów, ale i wśród swojskich rekwizytów i zajęć sprzed lat – np. ręcznych robótek. Tytułowy czas jest pośrednio bohaterem wszystkich czterech części, na które autorka podzieliła książkę. Pierwsza część, *Oswajanie* jest cyklem wierszy miłosnych, gdzie wyobrażenia o głębokim uczuciu rozbija pytanie: „po co udawać ten raj / oboje mają alergię na jabłka" (s. 12). Druga, *Poeta zmienia ogląd rzeczy,* to intymna podróż do wnętrza siebie lub „na drugą półkulę mózgu" (s. 29) czy „na drugi brzeg oka" (s. 31). W trzeciej części pt. *Przenikanie* poetka wychodzi od analizy przeszłości, przywołuje z pamięci obrazy matki, siostry, dzieciństwa, dochodząc do wniosku, że „wynosimy z piasku / skorupy dni" (s. 49). Ostatnia grupa wierszy – *Powroty* – dotyka spraw ostatecznych, śmierci, ale i upadku cywilizacji (*Architekci budowli spalonych*). Przysłowiowa historia, która lubi się powtarzać u Borkowskiej jest *Głosem z niepoczęcia*: „wśród nowych ideałów / bogowie przyjdą inni / a ty przywoływać będziesz / sylaby lat z prośbą / o deszcz na pustyni / spękanymi ustami / przywrzesz do sutków piachu / błagając o ostatnią / kroplę Czasu" (s. 60). Czyż nie jest to przejmujący zapis wrażliwości i intuicji?

Autorkę *Nad brzegiem czasu* charakteryzuje myślenie magiczne, silna wiara w chrześcijańskiego Boga nie kłóci się z zainteresowaniem magią, wywoływaniem duchów i wszystkim tym, co stary klasyk nazwałby „dubami smalonymi". Poezja Borkowskiej jest dowodem, że to, co wyrasta ze zwykłej, spontanicznej potrzeby poznania świata w sobie i siebie w świecie, potrzebuje tylko cierpliwości samouka i czułego wsparcia fachowca. Bo jak chciał wieszcz Adam trzeba mieć serce i czasem w nie zaglądać.

EDYTA ANTONIAK-KIEDOS

Isadora kontra mebelki



Marta Podgórnik: *Rezydencja surykatek*. Biuro Literackie. Wrocław 2011, s. 70.

Z pisaniem o Marcie Podgórnik jest pewien kłopot, cokolwiek spróbuję napisać, słyszę drwiący śmiech autorki, która pokpiwa: „cokolwiek / miałoby to znaczyć w naszym świecie bez znaczeń", nie znaczy i nie zmieni nic. Podgórnik znana i ceniona za swój bezkompromisowy styl, za buntowniczy charakter i nonkonformistyczny sposób bycia, nie ułatwia zadania tym, którzy chcieliby zmieścić w ramach jednej recenzji coś „znaczącego", co nie byłoby powieleniem prostych, banalnych słów o buncie, bladze, walce z drobnomieszczaństwem i kołtuństwem naszych czasów. Uprzedzając wszelkie sądy i oceny (z daleka od Literackiej Nagrody Gdynia, którą otrzymała za najlepszą książkę poetycką roku 2011), w wierszu *Gorzkie żale* z wyrachowaniem przyznaje: „wiem, że to będzie moja najsłabsza książka. Jest słaba, bo nudzi jej się / bycie silną" (s. 26). Moc twórczości gliwickiej poetki polegała do tej pory na ostrym słownictwie, brutalizacji i swoistym obdzieraniu do krwi schematów kobiecości, stereotypów damsko-męskich. Teraz ma być „słabiej", ale czy jest?

Autoironia, z jaką poetka konstruuje swoją najnowszą książkę, onieśmiela i rzecz jasna prowokuje. Mottem do tomu jest fragment *Od tłumacza* Karola Bunscha z książki *Moje życie* Isadory Duncan. Celowe ustawienie wielkiej rewolucjonistki tańca, kobiety wolnej, niezależnej, świadomej siebie i swoich dążeń, z samą sobą – poetką nie tyle wywrotową, co skandalizującą – to – powiedziałby ktoś – wyraz buty, pychy, kolejna sztuczka, by zaszokować. Podgórnik jest przewrotna, zamienia role w starej historii; piękną Isadorą jest „najbardziej pracowita pisarka swojego pokolenia" (s. 10), a jej kochankiem – Jesieninem – staje się gwiazdor rocka, z którym spędza niezapomnianą noc. Świat muzyki (tańca) splata się ze słowem, ale próby pogodzenia ich w wierszu są raczej kpiną ze sztuki niż sztuką. Na dowód tego całkiem sprawna „przeróbka" *Prząśniczek* Moniuszki, w której słowa Jana Czeczota poetka zastąpiła tak:

„U prządniczki siedzą Bo chcą
miejsko-wiejską
Powieść skonstruować mitteleuropejską

Wciąż za mało gwałtów, pożogi, aborcji
Jakbyś tak od rautów nie mógł dostać
torsji" (s. 17)

Wiersz *Angelus* jest specyficzny, ale pozwala mieć nadzieję, że Marta Podgórnik przymierza się do książki prozatorskiej, szczególnie gdy w nowej publikacji sporo fragmentów epickich. Znajdziemy sporo „eksperymentów" w *Rezydencji surykatek*, m.in. zabawy z gatunkami literackimi: najkrótszy – tylko z nazwy – *Poemat nagrodzony nagrodą K.*, gdzie „Dickinson i Konopnicka w jednym stały rzędzie" czy dwunastowersowy *S'on'et*, w którym wyznanie miłosne jest równie niedoskonałe jak budowa wiersza:

„Chciałabym być pijana choć raz tak
dostatecznie długo.
I trzymać Cię za rękę (trzymać Cię
za rękę wyłączywszy

Momenty, gdy idziesz pod prysznic lub
do toalety).

A może włączywszy właśnie
te momenty. (s. 40)

Podgórnik sprawdza i poszukuje, jej „kombinatoryka" nie „kończy się na rubieżach rozbioru / zdania" (s. 31), niewygodnie jej w „czerwieni", a tym bardziej w kostiumie poetki-celebrytki. Poczucie sukcesu też jest pozorne, bo co to za przyszłość, by „w rządowej klinice w Buchenwaldzie dożywała swoich dni, siedemnasta na liście do literackiej nagrody Nobla" (s. 14)? W życiu, zdaje się podpowiadać poetka, chodzi o to, by nie zostać „ludzką antylopą", która goni za najniższymi potrzebami z piramidy Maslowa. Pamiętając o przygodach Izadory, obnaża jak – według niej – płytkie jest życie tych wszystkich zwykłych, statystycznych ludzi. W kolejnych tekstach pokazuje ich „wielkie" życiowe dylematy, które rażą banałem jak w wierszu pt. *w przedziale*:

„jutro na kanapie na kredyt (ale jest to
tapczan! z ikei, mogę płacić kartą)
pokłócilibyśmy się bez sensu o sens
życia" (s. 47)

Wypowiedź młodej kobiety została zapisana w trybie przypuszczającym, bo poetka przewiduje, że uwikłana w tradycyjny związek zajmowałaby się pustką, czymś pozbawionym sensu. W starym wierszu *Debiut w internecie* zabawnie, lecz złowrogo rymowała – „niepokalane było najświętsze poczęcie / małżeństwo dla pisarstwa jest to żył podcięcie". I zaraz z dziką radością wskazuje na to, co dla niej ważne:

„Wiesz, że nie miałam

nic poza nazwiskiem, którym się teraz
podniecam jak gimnazjalistka
pierwszą fajką, gdy niczego, innego"
(s. 47)

Nieważne czy to próżność, czy dzika satysfakcja, najistotniejsze, że daje wrażenie realizacji, wolności, odczucie, że się udało, nawet jeśli na początku było trudno i nikt nie wierzył (a rodzice mieli dość wstydu...). Pisanie to pewna wewnętrzna konieczność, którą można wyprzeć, stłumić, tyle tylko, że w zamian czeka „domowe piekło przystawalnych pojęć", z którego autorka *Paradiso* kpi:

„A teraz stoisz przed tym
najtrudniejszym w życiu wyborem:
To jakie mebelki? W jakim kolorze?
Mebelki, o które
będziesz się obijać, mebelki z kantami,
o które możesz rozbić głowę.

Mebelki, które dostarczy Ci firma
rodzinna. Za tydzień,
góra dwa lub trzy tygodnie." (s. 51)

Nie wiem, ile potencjalnych poetek rozstrzyga teraz takie kluczowe dla siebie kwestie, ale Podgórnik konsekwentnie podąża raz obraną drogą. Może być spokojna, choć stale towarzyszy jej lęk, że zostanie „potraktowana jak pisarka klasy B, lub C" (s. 28). Jest wymagająca, ale też nie brakuje jej samokrytycyzmu, który zdaje się „dzieckiem podszyty". Naiwność „dziewczynki w czerwieni" wyraża się w pragnieniu miłości, tej pięknej, dobrej, która nigdy nie może mieć miejsca, bo jej piękno polega na marzeniu. Słowa „ukochany", „miłość", „kochać" padają w tomiku wielokrotnie, ale zawsze w towarzystwie zimna i lekceważenia – jedynej broni jakiej można użyć, by nie wpaść w schemat Sylvii Plath czy Anne Sexton.

Pierwszy wiersz *Przeglądy snów w grupie* wskazywałby, że kolejne epizody z historii o gwiazdorze rocka, królowej poezji są oniryczne, nierzeczywiste, wytworzone przez fantazję lub podświadomość. Czy wtedy mogłoby się w nich znaleźć tyle erudycyjnych nawiązań? Do Eliota, Dürrenmatta, Hłaski i innych. Podgórnik potrafi wpleść wyeksploatowane motywy tak, by czytelnik pochylił się nad nimi i chciał zaprzeczyć słowom, że jest „grafomanką ze złamanym sercem" (s. 41).

W czasach, gdy programy w konwencji „tańczyć każdy może" zapełniają najlepsze godziny antenowe, czyli godziny prywatnego życia, Marta Podgórnik przypomina postać Isadory Duncan i po raz kolejny śmieje się w twarz tym wszystkim szarym „surykatkom", które stoją na baczność i – na tle „mebelków" – nie różnią się niczym od siebie.

EDYTA ANTONIAK-KIEDOS

David Brooks: *Projekt życie.* Tłum. Grażyna Smosna. Wyd. „Znak", Kraków 2012, s. 440.

Znany z komentarzy dotyczących życia politycznego i kulturalnego dziennikarz amerykański napisał tym razem książkę o tym, co decyduje o spełnieniu (szczęściu) w życiu człowieka. Ten dość gruby tom nie ma jednak nic wspólnego z popularnymi poradnikami typu „Jak być pięknym, zdrowym i bogatym". Rzecz dotyczy wyników najnowszych badań psychologicznych (ale nie tylko, ponieważ pojawiają się tu wątki związane z socjologią, neurologią, nawet – ekonomią). Autor pokazuje, jak nowa nauka, dzięki coraz bardziej zaawansowanym badaniom m. in. mózgu, rewiduje dominujące jeszcze do niedawna twierdzenia dotyczące przyczyn ludzkich wyborów i zachowań. Brooks zrezygnował z formy naukowego wykładu. Zamiast tego odwołał się do *Emila* J.J Rousseau i dzisiejszą wiedzę „opowiada" poprzez biografie wymyślonych przez siebie postaci – Eriki i Harolda. Losy tej pary śledzimy od narodzin do starości, dowiadując się niejako „przy okazji", dlaczego właśnie tak potoczyło się ich życie. Mądra książka, świetnie się czyta.

Marek Paweł Czapliński: *Epidemie cholery w Rejencji Opolskiej w latach 1831-1894.* Wyd. Stowarzyszenie Humanistyczne: Europa, Śląsk, Świat Najmniejszy, Rybnik 2012, s. 336.

Poważna praca naukowa, sama literatura przedmiotu zajmuje ponad 22 strony, poza tym tabele, mapy, ilustracje, no i oczywiście obszerne przypisy. Rzecz wydawałoby się bardzo specjalistyczna, dotycząca choroby już niemal w Europie zapomnianej, czy zatem warto tę książkę reklamować? Osobiście przeczytałem ją z zainteresowaniem, ponieważ można w niej znaleźć ciekawe informacje z historii Górnego Śląska. Z jednej strony pokazano np. działania władz walczących z epidemiami (przepisy dotyczące higieny, metod dezynfekcji – kwas karbolowy, wapno, izolacja chorych, ograniczenia w ruchu granicznym, w ogóle przemieszczaniu się, „zamykanie" dotkniętych zarazą miejscowości). Z drugiej zachowanie się ludności – np. ukrywanie przypadków zachorowań. Wynikało to nie z ciemnoty obywateli, ale przyczyn ekonomicznych. Wykrycie ogniska choroby prowadziłoby np. do odwołania jarmarków, które dla wielu były źródłem utrzymania.

Bolesław Ciepiela: *Zarys wiadomości o zlikwidowanych zagłębiowskich kopalniach węgla.* Wyd. Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Górnictwa Koło „Zagłębie", Stowarzyszenie Autorów Polskich Oddział Będziński, Będzin 2012, s. 136.

To już dziewiąta książka Bolesława Ciepieli dotycząca zagłębiowskiego górnictwa. Górnictwa, którego już prawie nie ma, bo ze wszystkich kopalń tego regionu została jedna – „Kazimierz-Juliusz", ale i jej lata są policzone. Książka zaczyna się od krótkiej historii górnictwa w Zagłębiu oraz informacji na temat jego rozwoju. Potem z encyklopedyczną lakonicznością autor przedstawia podstawowe wiadomości dotyczących siedmiu zlikwidowanych kopalń (kiedy powstały, kto był właścicielem, jak się zmieniały, wreszcie – kiedy „padły". Kolejny rozdział poświęcony został odwadnianiu zamkniętych zakładów. Mamy też wybór materiałów prasowych związanych z tematem. No i rozdział poświęcony wspomnianej już, ostatniej czynnej kopalni „Juliusz-Kazimierz". Jak zawsze w książkach Ciepieli tekstowi towarzyszą liczne zdjęcia, z których wiele ma ogromną wartość historyczną.

Victor Orwellsky: *Kod władzy.* Wyd. „Unikat2", Katowice 2011, s. 360.

Kody – modny temat literacki. Był już Biblii, Leonarda da Vinci, teraz doczekalośmy polskiego wkładu – władzy. Na okładce „naukowiec, medioznawca, podróżnik Cplzetta" zapewnia nas, że książka „jest kluczem do zrozumienia świata, w którym jasne fakty i ich właściwe nazwanie uważa się za spiskową teorię dziejów lub polityczną niepoprawność". Debiotancka powieść Orwellskyego nie jest dla wszystkich. Od potencjalnego czytelnika wymaga się „wysokiego stopnia inteligencji i samodzielnego myślenia", bo i autor jest „człowiekiem inteligentnym i mądrym". *Kod* zaczyna się od zabójstwa zaufanego kardynała – eksperta od spraw międzynarodowych w chwili, gdy ma przekazać papieżowi odkrytą przez siebie prawdę. Akcja powieści rozgrywa się w Watykanie, Londynie, Berlinie, Rzymie, Górach Kaukazu, w Waszyngtonie (i to w Białym Domu), w Krakowie i w Szymanach. Światowy spisek zdemaskowany. Naukowiec Colzetta swoją notkę na okładce kończy stwierdzeniem, że z niecierpliwością czeka na następną książkę Orwellskyego. Ja nie.

Barbara Janas-Dudek: *Zakład pracy chronionej.* Wyd. „Zaułek Wydawniczy *Pomyłka*", Szczecin 2012, s. 120.

To dziwna książka. Otwiera ją *Monodram.* To rzeczywiście monodram z didaskaliami, podziałem na sceny itd. Potem okazuje się, że wygłaszane przez „postacie" monodramu teksty wydrukowane zostały po raz drugi jako wiersze w dalszych, złożonych z utworów poetyckich częściach książki. Nie rozumiem tego powtórzenia. Gdyby jeszcze *Monodram* kończył tom, można by na biedę pomyśleć, że autorka chce pokazać, iż jej wybrane wiersze można ułożyć w jakąś sceniczną całość. Ale tak? O co chodzi. Modną dekonstrukcję? Janas-Dudek jest chorzowianką, rocznik 1976, ma już w swoim dorobku arkusz i tomik poetycki. *Zakład pracy chronionej* składa się z wierszy, których tematem jest – najkrócej mówiąc – bycie kobietą. Z uwzględnieniem ról społecznych, stąd tytuły poszczególnych części: *Matka, Uwodzicielka, Pacjentka.* To poezja ciekawa, oryginalna, autorka wypracowała sobie rozpoznawalną formułę wypowiedzi. Projekt okładki i ilustracje wykonał Maciej Woltman, książkę zamyka też ekspozycja jego prac.

Danuta Mucha: *Baśniowy świat w czterech porach roku. Pohadkowy svet ve cztyrzech obdobich roku.* Tłum. Libor Martinek. Wyd. Literature & Sciences, wyd. ASTRA, Opava – Łódź, 2012, s. 92.

Zastanawiałem się niedawno, co robi Libor, bo dawno się nie odzywał. I szybko przyszła odpowiedź. Literaturoznawca, tłumacz polskiej poezji na czeski, członek naszego Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego przełożył właśnie bajki dla dzieci Danuty Muchy (pamiętam, że wcześniej ukazały się jego tłumaczenia wierszy tej poetki, która zajmuje się też badaniem literatury i krytyką). *Baśniowy świat...* to dwujęzyczny zbiór krótkich, bezpretensjonalnych bajeczek dla najmłodszych, które łączy przyroda (zwierzęta, takie zjawiska jak mróz, deszcz, bohaterem jednej jest nawet grzyb) w kontekście zmieniających się pór roku. Kiedyś analizowałem rok obrzędowy i zauważyłem, że najwięcej rozmaitych świąt obchodzi się na wsi zimą i jesienią, kiedy już mniej pracy w polu. Ta prawidłowość da się też dostrzec w bajkach Muchy. Wiosenne są tylko trzy, za to jesienią aż siedem. Książeczkę zilustrowała Joanna Hrk.

ANEGDOTY

HENRYK BZDOK



Swą jedyną podróż do Związku Radzieckiego odbyłem w podyplomowej wycieczce studentów ASP z całej Polski, wcześniej to ja nawet w Czechach nie byłem, a „zachód" znałem z filmów.

No i dotarliśmy do Moskwy.

Byłem zaskoczony czystością jej ulic, ich rozmachem, ilością kopii Pałacu Kultury, smakiem ich chleba i kwasu chlebowego pitego Day after.

Zwiedziliśmy paropiętrową pracownię graficzną. Wystawkę, tamże kino z ekranem „dookoła głowy", Galerię Tretiakowską, zachwyciłem się metrem i łatwością poruszania się nim po Moskwie, nie widziałem Lenina (za długa kolejka), widziałem car puszkę, Starodiwiczyj Monastyr, Teatr Wielki, GUM i wiele podobnych atrakcji i monumentów.

Zawieziono nas do Istytuta Promyszlenowo Iskustwa, obejrzeliśmy wystawę końcowo-roczną projektowanych prototypów, głównie ich formę zewnętrzną, na ogół z malowanego gipsu. Zapamiętałem radio jak żywe, tyle że klawiszy się wcisnąć nie dało, bo też były odlane. Byli jacyś belfrowie co to objaśniali tylko nie było studentów.

Ani jednego.

Kiedyśmy wychodzili zauważyłem paru w holu ukrytych w mroku za filarami.

Gdzie mieszkacie? Syknął jeden z nich. Odwiedzimy Was. Następnego dnia przybyło trzech, zaczęło się półżarobliwe obmacywanie, a to czy nie ma kto z nas za klapą znaczka UB lub mikrofonu u nich... W końcu padło sakramentalne „koniak?", po pierwszej butelce było już całkiem normalnie, jak wśród starych przyjaciół.

Potem były dni następne.

Któregoś dnia budząc się zauważyłem, że mam ręce pokryte „krasnymi toczkami".

Jak poinformowali mnie koledzy – twarz też.

Jak sam stwierdziłem i nogi i tors.

Wezwano wracza z pobliskiego punktu medycznego, ten mnie badał i pytał co jadłem i czy się nie kąpałem w pobliskich rozlewiskach, a rechoczący Kluska podpowiadał lekarzowi „eta syfilis", lekarz przyjrzał mi się bacznie, Staszek chichrał w dłoń, rad z wzbudzonego podejrzenia.

Skończyło się przepisaniem leku. Wykupiony gęsty płyn przypominał mi z koloru, kształtu butelki przedwojenny „Sidol", którym Mama polerowała meble.

W smaku też podobny.

Wypiłem jeną obrzydliwą łyżkę...

Wieczorem zaproszeni byliśmy do blokowiska przez nowych przyjaciół.

Były dziewczyny, koniak, jazz i tańce, tuszonka i trwożliwe zerkanie na drzwi.

Szczęściem nikt nie przyszedł. Choć do osiedla dotarliśmy „z tyłu" jak spod ziemi wyrósł przed windą milicjonier, na boku groźnie porozmawiał z kolegami i to jego ponownej wizyty zapewne obawiali się. Troskliwi polscy przyjaciele zabronili mi picia koniaku, ja jednak zdążyłem ten ich nakaz rychło naruszyć.

Rano obudziłem się gładziutki bez jednej „krasnej toczki" i nie wiem czy to „Sidol", czy koniak mnie uleczył z tego, co dużo później uznałem za zwykły objaw alergii na Sowiecki Sojuz.

PODKOPKI

ZIELONE POJĘCIE

MICHAŁ WROŃSKI

***

Spałeś z nocą, ale żyć musisz z dniem.

***

W tej klepsydrze jedno ziarenko piasku jest za duże.

***

Dopóki żyjesz, nie wierz w to za bardzo.

***

Gdy mózg będzie miał cię dosyć, nie kiwnie nawet palcem.

***

Chodźmy do lasu posłuchać, jak rosną słoje w drzewach.

***

Świat upada od początku. Ale im bliżej dna, tym jest lepszy.

***

Między młotem a kowadłem bądź tylko powietrzem.

***

Wieczność jest w każdej sekundzie. Jak trudno tam zostać.

***

Okno, lustro, ekran! Za chwilę ukaże się tam rzeczywistość.
Co wybrać? Co wybrać?

***

Sąsiad twierdzi, że moja ściana jest jego.

FRASZKI

JULIUSZ WĄTROBA

Pamięć
Wypędzeni z raju,
raj w pamięci mają.

Szkoda
Nie ma autorytetów
wśród elit, niestety,
gdy co drugi to dureń,
a co trzeci kretyn.

Hipochondrykowi
Samo życie jest chorobą,
więc pochoruj sobie zdrowo.

Na posła-ekshibicjonistę
Immunitet cię osłoni,
choćbyś w koło
goło
gonił.

Dobra (?) rada
Uczciwości się wystrzegaj,
bo przepadniesz już w przedbiegach.

Rady dla syna
Złodziej – to jest przedsiębiorca,
który godzien
złota korca.

Zwykły cham – to przebojowiec,
który w życiu radzi sobie.

Cwaniak godny naśladowań,
bo zaradność w sobie chowa.

Żyj więc synku z sobą w zgodzie,
Tak jak cwaniak, cham i złodziej.



Otwarcie wystawy fotografii „Zaczytany Śląsk" (przygotowanej przez Bibliotekę Śląską i prezentowanej w bibliotekach w regionie) w GBP w Gierałtowicach.

Dziś i jutro GBP w Gierałtowicach

Gminna Biblioteka Publiczna w Gierałtowicach świętowała w tym roku 50-lecie działalności. Jubileusz towarzyszył obchodom 35. rocznicy utworzenia gminy Gierałtowice, które odbyły się 2 czerwca 2012 roku. Uroczystości – z udziałem minister edukacji narodowej Krystyny Szumilas – były okazją do podkreślenia znaczenia biblioteki dla lokalnej społeczności.

Biblioteka kieruje pracą trzech filii – w Przyszowicach, Paniówkach i Chudowie. Atutem placówek jest ich lokalizacja – blisko centrum miejscowości, zazwyczaj w pobliżu innych ważnych instytucji. Warto dodać, że filia w Przyszowicach mieści się (wraz z m.in. Urzędem Stanu Cywilnego i przedszkolem) w XIX-wiecznym pałacu, wzniesionym dla śląskiego rodu von Raczków.

Z biblioteki i podległych jej placówek korzysta około 20% mieszkańców gminy. Dostęp do książek ułatwia katalog elektroniczny, umożliwiający zamawianie, rezerwację i prolongatę przez Internet. Książnica – oprócz wypełniania podstawowych zadań (gromadzenie, opracowywanie i udostępnianie zbiorów, a także popularyzowanie czytelnictwa) – podejmuje działania kulturalne, takie jak: organizacja spotkań autorskich, prowadzenie zajęć teatralnych i literackich dla dzieci oraz młodzieży. Pod jej auspicjami działa Dyskusyjny Klub Filmowy. W ofercie zajęć bibliotecznych w 2011 roku znalazły się też kursy komputerowe, podczas których seniorzy mogli m.in. zdobyć umiejętność posługiwania się popularnym komunikatorem internetowym Skype. W lipcu ubiegłego roku odbywały się tu warsztaty fotograficzne dla dzieci, prowadzone przez doświadczonych, profesjonalnych fotografów z grupy Sputnik Photos: Jana Brykczyńskiego, Andrieja Linkiewicza i Rafała Siderskiego oraz animatorkę kultury Agnieszkę Pajączkowską. Rezultaty tej niecodziennej współpracy – zdjęcia autorstwa dzieci, składające się na żywiołowe, świeże i naturalne przedstawienie życia codziennego Gierałtowic i okolic – można było obejrzeć na prezentowanej w książnicy wystawie podsumowującej zajęcia. Zostały one opublikowane w albumie *Wyliczanka* (2011) obok fotografii wykonanych przez młodych twórców w małych miejscowościach w województwach zachodniopomorskim i warmińsko-mazurskim oraz w Bieszczadach.

Gierałtowicka placówka współpracuje z zagranicznymi instytucjami. W ubiegłym roku bibliotekę odwiedziły w ramach programu Study Tours to Poland dwie grupy studentów z Europy wschodniej (w maju i we wrześniu). Mieli oni okazję zapoznać się z funkcjonowaniem ośrodka kultury w małej społeczności.

Wśród działań książnicy w ostatnim czasie coraz ważniejszą pozycję zajmują starania, by odgrywała ona rolę centrum dokumentacji historii gminy – służy temu udział w projekcie Cyfrowe Archiwa Tradycji Lokalnej (CATL), realizowanym przez Ośrodek Karta w ramach Programu Rozwoju Bibliotek. Mieszkańcy mogą przekazywać rodzinne archiwalia (fotografie, listy, pamiętniki), które po opracowaniu i zdigitalizowaniu wejdą w skład kolekcji materiałów źródłowych dotyczących dziejów mikroregionu. Dokumenty te w formie cyfrowej dostępne są na bibliotecznej stronie na portalu CATL: <http://gieraltowice. archiwa. org/>, a najcenniejsze z nich także w Bibliotece Cyfrowej Ośrodka Karta:
<http://dlibra. karta. org. pl/dlibra>.

Biblioteka w Gierałtowicach jest także miejscem spotkań poświęconych historii mówionej – poznawanej dzięki relacjom świadków. Stworzenie możliwości wysłuchania wspomnień uczestników wydarzeń ważnych dla lokalnej społeczności to jeden ze sposobów na zintegrowanie mieszkańców gminy oraz na zainteresowanie młodych ludzi przeszłością regionu. W czerwcu tego roku w książnicy odbył się premierowy pokaz filmu dokumentalnego *Dwukrotnie wyzwoleni*, dotyczącego przebiegu pierwszych i ostatnich dni II wojny światowej w Przyszowicach. Obraz został zrealizowany przez Jakuba Kopcia, Krzysztofa Tomaszka i Kamila Kamienieckiego, uczniów ZSO nr 3 w Gliwicach – pod opieką i przy pomocy Lidii Pietrowskiej, dyrektor GBP w Gierałtowicach, w ramach zajęć działającego tu Klubu Filmowego – jako praca na konkurs Historia Bliska.

Działalność Gminnej Biblioteki Publicznej w Gierałtowicach (m. in. organizowanie spotkań dotyczących lokalnej historii oraz szkoleń komputerowych dla seniorów) została przedstawiona (obok projektów placówek gminnych w Jarocinie i Sępólnie Krajeńskim) w filmie *Otwarte dla wszystkich*, materiale promocyjnym Programu Rozwoju Bibliotek.

LIDIA PIETROWSKA
dyrektor GBP w Gierałtowicach



W obchodach Dnia Bibliotekarza w 2011 roku wzięli udział studenci z Europy wschodniej, zaproszeni w ramach programu Study Tours to Poland.



Festyn rodzinny „Bawmy się razem", zorganizowany przez gierałtowicką bibliotekę.

Fot. z archiwum GBP w Gierałtowicach





Wielka przebudowa Rynku

ZNAKI I TWARZE MIASTA

KATOWICE

Od marca tego roku trwa w samym sercu Katowic przebudowa torowiska tramwajowego wraz z systemem dróg i chodników. Od ronda w kierunku ulic św. Jana, Kościuszki i Kochanowskiego trwają prace rewitalizacyjne. Przez kilka miesięcy chwilami trudno było zorientować się w nowym wyglądzie Rynku. Zmiany w ruchu komunikacji miejskiej i samochodowej, nowe lokalizacje przystanków – wszystko to powodowało niezły zawrót głowy, zwłaszcza u osób sporadycznie przybywających do miasta. Nieopodal Muzeum Śląskiego pojawiła się nawet wyrwa, która odsłoniła koryto Rawy – dla wielu, zwłaszcza tych nie pamiętających odkrytej Rawy w centrum miasta, to prawdziwa osobliwość.

Stojąc w centrum miasta widać, jak wielkim placem budowy stało się miasto – nowy wygląd



dawnego Domu Prasy, budujący się dworzec, a w perspektywie niezliczone dźwigi i piętrzące się, błyskawicznie stawiane obiekty NOSPR, Muzeum Śląskiego i Międzynarodowego Centrum Kongresowego.

Swoje 147. urodziny Katowice obchodzą pod znakiem prowadzonych z ogromnym rozmachem robót budowlanych i rewitalizacyjnych!

(wk)



Zdjęcia: Zbigniew Sawicz



Barbara Kamińska – Członek Zarządu Województwa Opolskiego wręczyła symboliczny bochen chleba Janowi Ryłce – Prezesowi Polskiego Związku Kulturalno – Oświatowego w Republice Czeskiej



Na opolskim stoisku dużym zainteresowaniem cieszyły się promocyjne egzemplarze miesięcznika „Śląsk" i foldery kulturalne różnych instytucji Śląska Opolskiego



Towarzyszące prezentacji regionu warsztaty garncarskie przyciągały rzesze zainteresowanych

Foto: M. Przygoda



Prezentację Województwa Opolskiego wzbogaciły występy kapeli ludowej Zespołu Pieśni i Tańca „Nysa"

Województwo Opolskie na „Gorolskim Święcie"

Województwo Opolskie prezentowało walory turystyczne i kulturalne podczas jubileuszowych 65. Międzynarodowych Spotkań Folklorystycznych „Gorolski Święto" w Jabłonkowie w Republice Czeskiej. Ten jeden z największych polskich Festiwali za granicami kraju, organizowany w ramach Tygodnia Kultury Beskidzkiej, przyciąga corocznie kilkanaście tysięcy odwiedzających.

Opolskie stoisko, przygotowane przez Departament Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Marszałkowskiego, dzięki środkom z Krajowej Sieci Obszarów Wiejskich 2007-2013 przyciągało tłumy publiczności barwną prezentacją warsztatów kowalstwa artystycznego (Janusz Sawicz), garncarstwa (Piotr Wierzbicki), ręcznego zdobienia porcelany opolskimi wzorami ludowymi (Małgorzata Mateja), sztuki kroszonkarskiej (Edeltrauda Krupop). Szerokie grono zwiedzających miało także okazję zapoznać się z ofertą turystyczną i kulturalną regionu prezentowaną w nowo opracowanych wydawnictwach polsko – czeskich, dokonaniami twórców ludowych, a także smakami Opolszczyzny – tradycyjnym kołoczem, miodami i ekologicznymi olejami głubczyckimi. Opolskie stoisko wzbogacił w tym roku także występ kapeli ludowej Zespołu Pieśni i Tańca z Nysy.

Podczas „Gorola" Samorząd Województwa reprezentowany był przez Barbarę Kamińską – Członka Zarządu Województwa Opolskiego, która przekazała gospodarzom symboliczny bochen chleba z dedykacją: „Opolanie Góralom", będący podziękowaniem za długoletnią owocną współpracę środowisk kulturalno-społecznych z Zaolzia z partnerami z Opolszczyzny. Wiele radości gospodarzom sprawiła podarowana opolska porcelanowa skarbonka – świnka mająca pomnażać pieniądze na działalność kulturalną oraz zegar, aby odmierzał kolejne szczęśliwe 65 lat „Gorolskiego Święta".



Klacz „Lota", na której Adam Ryłko rozpoczął korowód zakończyła pochód na opolskim stoisku. Na klaczy Magdalena Matyjaszek z Departamentu Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Marszałkowskiego

Krajowa Sieć Obszarów Wiejskich

Pegaz jak feniks

Kawiarenka Literacka „Pod Pegazem", działająca od 1989 roku w Domu PZKO w Jabłonkowie, to jedno z najważniejszych miejsc życia literackiego na Zaolziu i bez przesady można powiedzieć, że po latach stała się jego żywą legendą. Stanisław Gawlik – jeden z założycieli Kawiarenki, wspominając początki, mówił, że matką chrzestną tego pomysłu, dojrzewającego wśród zaolziańskiej inteligencji, była jego żona Sułtana, która zachęcała do organizacji spotkań pod warunkiem, aby odbywały się na wysokim poziomie artystycznym. Dzieła podjęli się znakomici twórcy: Stanisław Kraus z Trzyńca, na płótnie namalował skrzydlatego konia, który ozdobił salę spotkań, poeci: Wilhelm Przeczek z Bystrzycy nad Olzą, Jan Pyszko z Nawsia i Kazimierz Kaszper z Wędryni, zadbali o stronę literacką przedsięwzięcia, zaś Karol Suszka wznosił się na wyżyny sztuki aktorskiej, prezentując utwory literackie (również te pisane gwarą). Do kawiarenki „Pod Pegazem" wielokrotnie byli zapraszani opolscy literaci m.in. Tadeusz Soroczyński, poeta i animator kultury, wciąż zakochany w pejzażu kulturowym Zaolzia, Harry Duda, redaktor i wydawca tomików zaolziańskich poetów, Wiesław Malicki, Krystian Szafarczyk, Zygmunt Dmochowski. Więzi literackich przyjaźni zaowocowały na długie lata wspólnymi spotkaniami autorskimi, wydaniami tomików. Poeci Zaolzia stale gościli na Śląsku Opolskim. Występowali podczas wieczorów autorskich i na imprezach kolejnych edycji Najazdu Poetów na Zamek Piastów Śląskich, a w głównej sali brzeskiego ratusza odbyło się wyjazdowe spotkanie Kawiarenki „Pod Pegazem". Zagrała góralska kapela, po chwili przy stole zasiadł kwartet poetów: Władysław Młynek, Gustaw Sajdok, Jan Pyszko, Wilhelm Przeczek. Do serc licznego grona słuchaczy popłynęły beskidzkie strofy. I było tak pięknie... do czasu kiedy w obłokach dymu, niespostrzeżenie zaczęli znikać zaolziańscy poeci i nagle jakby lawina zmiotła jedno pokolenie. Redaktor Tadeusz Kijonka żegnając Jana Pyszkę w nawsiańskim kościele, wypowiedział pamiętne zdanie – Zaolzie – ziemia wymierających poetów. I jeszcze do niedawna zdawało się, że zawisło ono nad przełęczą jabłonkowską jak klątwą. W popiół zamienili się ostatni przyjaciele, a ze ściany Kawiarenki zniknęło płótno z Pegazem namalowanym przez Stanisława Krausa. Złośliwi mówili, że kopia skrzydlatego rumaka to już nie to samo co oryginał, niby koń ten sam, ale już nie ogier. Czyżby miało to oznaczać koniec tradycji poetyckich na Zaolziu? Ale Pegaz powstał z popiołów jak Feniks podczas tegorocznej Świętogóralskiej Kawiarenki. Przedstawicielki nowej poezji zaolziańskiej wystąpiły w Domu PZKO w Jabłonkowie – Ewa Furtek, Krystyna Pękała, Marta Różańska, Anna Maria Wałach, Martina Zajac. Czytały debiutanckie wiersze i utwory z dojrzałych tomików. Przez okna domu pod Okiem Opatrzności w sierpniową noc poleciały słowa, motyle lirycznych wzruszeń. Ale tam gdzie Beskidy zaglądają na Mariacki Rynek, a kamieniczki wschodzą w złotej poświacie na spotkanie gwiazd... wszystko jest poezją.

JANUSZ WÓJCIK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Jarmark Cysterski

Jemielnica to historyczna wieś w powiecie strzeleckim, znajdująca się na ogólnopolskim Szlaku Cystersów, którzy założyli tutaj klasztor działający do XIX wieku, znany m.in. z wielu cennych dzieł sztuki sakralnej. Obecnie tradycje cysterskie rozwijają środowiska lokalne – animatorzy kultury, parafia i władze samorządowe. Świadectwem tego był kolejny Jarmark Cysterski, który rozpoczął historyczny pochód przy dźwiękach rogów sygnałowych z udziałem rycerzy pieszych i konnych, niewiast i kmieci w średniowiecznych strojach. Barwny korowód prowadził konno wójt gminy Jemielnica Joachim Jelito. Dla mieszkańców wsi i turystów przygotowano wiele atrakcji: inscenizacje z historii wsi, pokazy dawnych tańców, rzemiosła, rękodzieła, koncerty i zabawy średniowieczne. W ramach projektów unijnych (RPO, Południowo-Zachodni Szlak Cysterski) w Jemielnicy powstał punkt informacji turystycznej, parking, oznakowano obiekty pocysterskie, utworzono ścieżki turystyczne, spacerowe, zagospodarowano klasztorne stawy.

Wystawa Leszka Ołdaka

Prace Leszka Ołdaka można było obejrzeć podczas wakacji na wystawie „Bo to Polska właśnie" w Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu. Zbiór rysunków artysty stanowił satyryczny komentarz do polskich przemian, jakie zachodziły w ciągu ostatnich czterech dekad (1969-2012). Wystawione prace były zamieszczane na łamach znanych pism (*Szpilki, ITD, Radar, Mój Dom, Polska, Jazz, Opole, Goniec Teatralny, Trybuna Opolska, Gazeta Wyborcza, Rzeczpospolita, Wprost*). Warto jednak podkreślić, że rysunek satyryczny, dzięki któremu artysta jest rozpoznawalny w szerokich kręgach publiczności, stanowi tylko część znaczącego dorobku Leszka Ołdaka: plakacisty, ilustratora, rysownika i scenografa. Autor wystawy „Bo to Polska właśnie" żartował na stronach katalogu: *Kształciłem się w zawodzie architekta po to, by zawodowo zajmować się plastyką... gdy uczono mnie budować domy – malowałem okładki i plakaty... gdy teraz zawodowo rysuję i maluję – chciałbym wybudować dom... kiedy istniała cenzura – starałem się ją chytrze obejść... gdy tę instytucję zlikwidowano – obchodzę z daleka niektórych ludzi, a cenzurę noszę w sobie... Szanowni Państwo! Czy ten splot wypadków nie upoważnia mnie do tego, aby na co dzień zajmować się rysunkiem satyrycznym?!?*

Festiwale folkloru

Opolskie lato upłynęło pod znakiem festiwali w Opolu, Nysie, Kluczborku, podczas których występowały zespoły folklorystyczne z kraju i zagranicy m.in. z Grecji, Indii, Włoch, Albanii, Meksyku, Łotwy, Rosji i Białorusi. W skansenie Muzeum Wsi Opolskiej podczas VII Festiwalu Folklorystycznego, przygotowano bogatą ofertę wystaw, koncertów i regionalnych kulinariów. Publiczność obejrzała wystawy m.in.: *Kościoły drewniane na Górnym Śląsku, Marian Kaczanek vs Jan Kawecki (rzeźba, malarstwo), Drewniana Architektura Sakralna w Europie Środkowej*. Powodzeniem cieszyły się pokazy przyrządzania i degustacje tradycyjnych potraw śląskich (*Krajeczek ze szpyrkoma, rolady, kloski, modro kapusta, żur, wodzionka, pańćkraut)*. Na scenie „Pod wiatrakami" wystąpiły zespoły ludowe z Polski i Czech (m.in. „Wiślanie" z Wisły, „Krzanowiczanki", Zespół „Líšně" z Brna, Zespół „Strzecha" im. Joli Rymszy). Nyski Dom Kultury zorganizował Folk Fiestę, barwny korowód zespołów z kraju i zagranicy przemaszerował ulicami miasta do Bastionu św. Jadwigi, gdzie odbywały się koncerty. Podobnie było w Kluczborku, międzynarodowy pochód artystów przeszedł ulicami miasta na stadion miejski, gdzie wystąpiły zespoły goszczące na I Międzynarodowym Festiwalu Folkowym.

Pamiętali o rocznicy Sierpnia

Z okazji 32. rocznicy podpisania Porozumień Sierpniowych oraz powstania „Solidarności" na opolskim skwerze Solidarności (róg głównych ulic miasta: Ozimskiej i Katowickiej) zapalono znicze i złożono kwiaty. Wśród oficjalnych delegacji obecni byli przedstawiciele władz województwa opolskiego z marszałkiem Józefem Sebestą, Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność" Śląska Opolskiego z przewodniczącą Cecylią Gonet oraz dawni działacze związkowi, a wśród nich Stanisław Łągiewka, Adam Maciąg, Zbigniew Ogrodnik, Janusz Jerzy Wójcik. Grono działaczy okresu pierwszej „Solidarności" reprezentowali m.in. Jan Całka i Roman Kirstein, jeden z pierwszych przewodniczących związku w regionie i pomysłodawca założenia skweru Solidarności. Wieczorem w opolskiej katedrze została odprawiona msza święta w intencji członków NSZZ „Solidarność". Po jej zakończeniu złożono kwiaty pod pomnikiem ks. Jerzego Popiełuszki i na grobie prałata Stefana Baldego, długoletniego proboszcza opolskiej katedry, wielkiego kapłana i patrioty, który w stanie wojennym niósł pomoc internowanym.

Jednym zdaniem

■ **Z okazji 68. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego w Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych w Opolu zaprezentowano wystawę „Kobiety w Powstaniu Warszawskim", przygotowaną przez Muzeum Niepodległości; wystawę poświęcono pamięci bohaterskich kobiet i roli, jaką odegrały w czasie Powstania Warszawskiego.**

■ **Podczas gali Wojewódzkich Dożynek w Gogolinie wystąpił słynny chór męski „Gorol" z Jabłonkowa na Zaolziu (Czechy), kapela Jedlowina ze Słowacji, Orkiestra Dęta firmy Górażdże Cement, zespół „Aksamitki z Malni", koncert zakończył Kamil Bednarek z zespołem „Bitwy na głosy".**

■ **W Muzeum Wsi Opolskiej podczas Festiwalu Folklorystycznego rozstrzygnięto finał regionalny XII edycji konkursu *„Nasze Kulinarne Dziedzictwo – Smaki Regionów;* pierwsze miejsce zdobyła Karczma u Karola Malajki za szpajzę i śląskie niebo, drugie Restauracja 4BAS za hekele i sandacza po polsku, trzecie gospodarstwo agroturystyczne Janiny i Ryszarda Hołówków za pejzankę i gołąbki z kaszą gryczaną.**

■ **Biblioteczny Klub Filmowy działający w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Opolu zorganizował pokaz filmów z cyklu Oldschoolowe Musicale, podczas których wielbiciele starego kina mogli obejrzeć musicale takie jak: *West Side Story, Zabawna dziewczyna, Król i ja, Mężczyźni wolą blondynki.***

■ **Obchody Święta Wojska Polskiego w stolicy regionu ściągnęły tłumy Opolan, którzy uczestniczyli w oficjalnych uroczystościach oraz pikniku wojskowym na Placu Wolności, gdzie można było usiąść za kierownicą wojskowych pojazdów historycznych, obejrzeć współczesny sprzęt wojskowy i spróbować wojskowej grochówki.**

■ **Opolskie Bractwo Rycerskie świętowało dziesięciolecie działalności podczas jubileuszowego festynu w skansenie Muzeum Wsi Opolskiej, zgodnie z rycerską tradycją odbyły się turnieje lucznicze, bojowe oraz jarmark z pokazami dawnych tańców, zabawami plebejskimi, występami zespołów artystycznych.**

■ **Ponad tysiąc osób kołysało się na widowni podczas Reggae Festiwalu w Bąkowie (wieś koło Kluczborka), znakomitą atmosferę koncertów wspólnie z publicznością stworzyli muzycy z Polski, Anglii i Niemiec.**

■ **Starówka Paczkowa, zwanego polskim Carcassonne, otrzyma status Pomnika Historii nadawany przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, wcześniej do grona najważniejszych zabytków naszego kraju wpisano Górę św. Anny oraz nyską katedrę św. Jakuba.**

Sierpień – Lato Talentów

Od ośmiu już lat Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia" znana z wytrwałych działań na rzecz czynienia wszystkiego, by rokrocznie wynajdywać młodych utalentowanych muzyków, organizuje Ogólnopolski Festiwal Promocyjny „Sierpień talentów". Podczas kiedy zdecydowana większość instytucji kultury „zalicza" sezon letni, „Silesia" ciężko pracuje. Jak mówi Ewa Kafel, dyrektor IPiUM „Silesia" dla katowickich melomanów festiwal to niepowtarzalna sposobność poznania „nowych twarzy" w świecie muzyki, poznania wyróżniających się młodych wykonawców, którzy mimo że stawiają pierwsze kroki w życiu koncertowym, potrafią zabłysnąć wirtuozerią, wzruszyć ekspresją interpretacji i dostarczyć niezwykle estetycznych przeżyć.

Tegoroczny muzyczny sierpień zdominowały koncerty muzyki wokalnej (były już pianistyczne i wiolinistyczne), akordeonowej, organowej, harfowej i kameralnej.

Kilka sierpniowych wieczorów wypełniła muzyka klasyków dawnych – Vivaldiego, Haendla, Bacha, Żeleńskiego jak i kompozytorów współczesnych. Zabrzmiały duety wokalne (Anna Leśniewska – sopran i Klaudia Moździerz – mezzosopran), popisywali się wirtuozi akordeonu – Agnieszka Bagińska i Marcin Jabłoński, koncertowali gitarzyści – Dariusz Lampkowski i Błażej Sudnikowicz. Z kolei z recitalem organowym wystąpili młodzi ze Słowacji Štefan Il'aš i Tomaš Mihalik. Publiczność sierpniowych koncertów mogła wysłuchać młodych wirtuozek harfy – Anny Trefon i Klary Wośkowiak.

Pod koniec sierpnia wystąpiła światowej sławy węgierska cymbalistka Viktoria Herencsar.

Koncerty odbywały się w Studio Koncertowym Polskiego Radia w Katowicach, Muzeum Archidiecezjalnym. Domu Kultury „Koszutka" i bazylice o.o. Franciszkanów w Panewnikach.

Można powiedzieć, że „Silesia" specjalizuje się w wyławianiu na rynku sztuki muzycznej prawdziwych talentów. Dzięki właśnie takim koncertom można śledzić drogę rozwoju wielu spośród uczestników owych „Sierpniowych talentów" – powracają jako wybitne indywidualności artystyczne, laureaci wielu konkursów krajowych i zagranicznych. Pracowite lato „Silesii" zapewne i w tym roku zaowocuje wieloma znakomitości, o których wkrótce usłyszmy na wielkich estradach.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Nord-Pas De Calais zaprasza

I Międzynarodowa Konferencja w ramach projektu „Górnicy Świata" pn. „Kopalnie pomiędzy państwem, rynkiem a społeczeństwem. Obszary odrodzenia (XVII-XXI)", odbędzie się w dniach 12-13 kwietnia 2013 w Lievin – regionie partnerskim województwa śląskiego Nord-Pas de Calais we Francji.

Konferencję organizuje Rada Regionalna NPdC oraz Uniwersytet Lille 3. Zaproszenie kierowane jest do zainteresowanych tematyką teoretyków i praktyków z regionów, w których była lub nadal jest prowadzona działalność wydobywcza. Do zaplanowanego w ramach konferencji okrągłego stołu zaproszeni są przedstawiciele nauk humanistycznych, społecznych i innych specjalizujących się w analizie różnych aspektów transformacji na terenach górniczych. Szczegółowe założenia i tematyka konferencji oraz warunki udziału zamieszczono na stronie województwa śląskiego.

Województwo śląskie i Region Nord-Pas de Calais (Francja) łączy wiele, w tym bardzo podobna historia rozwoju przemysłu, w szczególności górnictwa. W czerwcu br. byłe Zagłębie Węglowe w NPdC zostało wpisane na listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO, zaś w podpisanym 18 lipca 2012 roku nowym Porozumieniu między naszymi regionami wśród priorytetów współpracy znalazły się m.in. kultura i tożsamość regionalna, jak i trwałe przekształcanie obszarów. Udział przedstawicieli województwa śląskiego w międzynarodowej debacie na temat zdolności adaptacyjnych obszarów górniczych wpisuje się w zakres współpracy pomiędzy naszym regionami.

Światowa grafika zbiorach Muzeum Śląskiego

Światową grafikę zbiorach Muzeum Śląskiego w Katowicach oglądać można od 29 sierpnia 2012 do 30 września br. W oparciu o własne, liczne zbiory grafiki w gmachu muzeum zaprezentowane zostaną wybrane obiekty w zakresie współczesnej grafiki światowej. Ekspozycja będzie obejmować dzieła różnych, współczesnych artystów, wypowiadających się w różnych technikach graficznych. Prace te od początków działalności Muzeum były sukcesywnie pozyskiwane w wyniku wcześniejszych edycji Międzynarodowego Triennale Grafiki. Tym samym wystawa będzie bezpośrednio nawiązywać do założeń MTG m.in. szeroko popularyzujących dawne i bieżące dokonania w zakresie międzynarodowej grafiki współczesnej.



Assadour, „Figura z wielobokiem", 1985

8. Triennale Grafiki Polskiej

Galeria Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach zaprasza od15 września 2012 do 18 listopada 2012 do zwiedzenia kolejnej edycji ogólnopolskiej wystawy o charakterze konkursowym, prezentującej najciekawsze prace wybitnych polskich artystów grafików, powstałe w ciągu ostatnich trzech lat, tworzącej najpełniejszy i najbardziej aktualny obraz tej dziedziny w naszym kraju. Triennale Grafiki Polskiej jest od lat największym spotkaniem artystów zajmujących się tą dyscypliną sztuki, jak też wystawą promującą polską sztukę na świecie. Prezentowane na katowickiej wystawie prace w ramach Triennale Grafiki Polskiej pokazują, chociaż na przykładzie polskich artystów, rezerwuar możliwości i status quo tej dyscypliny. Siłą rzeczy ujawnia się w nich całe „archeologiczne" nawarstwienie oraz socjologiczne i estetyczne konteksty współczesnej grafiki. Panująca w sztuce wielość kierunków od tendencji minimalistycznych, poprzez zainteresowania sztuką skupioną na problematyce społecznej, do różnorakich trawestacji pop-artu, widoczna jest także w grafice. Wystawa w każdej swojej edycji prezentowała najważniejsze zjawiska i zachodzące aktualnie zmiany na arenie sztuki światowej. W tym roku organizatorzy zapowiadają, że wystawa będzie oparta o problem gwałtownego rozwoju technologii cyfrowych we współczesnej grafice. To zderzenie, którego początki obserwowano od kilku lat, wejdzie w fazę starcia dwu światów opartych na odmiennym sposobie budowania i ekspresji obrazu. W gronie artystów zakwalifikowanych do wystawy 8. Triennale Grafiki Polskiej, Katowice 2012 są m.in. Tomasz Barczyk, Przemysław Bukowski, Tomasz Chudzik, Tomasz Daniec, Andrzej Gieraga, Zbigniew Lutomski. Andrzej Łabuz, Olga Pałka-Śląska, Michał Minor, Joanna Piech, Natalia Romaniuk, Michalina Wawrzyczek-Klasik, Ferdynand Szypuła. Kuratorem wystawy jest prof. Adam Romaniuk.



Przemysław Runo, „Apetyt na kaszankę"

Wystawa jest główną ekspozycją towarzyszącą w programie Międzynarodowego Triennale Grafiki w Krakowie.

Akira Kurosaki w gliwickiej galerii ESTA

Drzeworyty tego wybitnego japońskiego grafika można oglądać do 20 października 2012 w galeria ESTA w Glwicach. Wystawa jest poświęcona współczesnemu mistrzowi tradycji ukiyo-e. Za jego drzeworyty społeczność w Japonii i Ameryce uważa go za „skarb narodowy" – dzierży on prym nowoczesnego japońskiego rytownictwa. Swoją pracą Akira Kurosaki zyskał światowe uznanie jako główny współczesny rytownik – rozpoznawalny artysta drzeworytu, który ożywił tę japońską technikę i wprowadził ją w dwudziesty pierwszy wiek. Kuratorem wystawy jest Tadeusz Stapowicz.

Jednym zdaniem

■ **Galeria Katowice ZPAF zapraszała na *Współodczuwanie* – wystawę fotografii Beaty Mendrek-Mikulskiej oraz towarzyszącą jej wystawę zbiorową *Współodczuwanie – Dialog*.**

■ **Galeria Rondo Sztuki zapraszała na „Miasto – Przestrzeń dla Sztuki" – panel dyskusyjny poparty szeregiem działań z zakresu sztuk wizualnych, w którym udział wzięli: prof. dr hab. Jacek Purchla- dyrektor Międzynarodowego Centrum Kultury, prof. Marian Oslislo – rektor Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach,**

■ **Jarosław Denisiuk – dyrektor Centrum Sztuki Galeria EL, Marek Kuś – dyrektor BWA Katowice, Michał Buszek – architekt Miasta, którego celem było wykreowanie w mieście „szlaku", na przestrzeni którego na stałe zainstalowane zo-**

Śląski Wawrzyn Literacki 2011 przyznany

W plebiscycie czytelników Biblioteki Śląskiej największą liczbę głosów zdobyła książka Zbigniewa Białasa *Korzeniec*, która została obdarowana zaszczytnym tytułem Śląski Wawrzyn Literacki 2011 (ponad 22%)

Pochodzący z Sosnowca autor jest anglistą, profesorem nauk humanistycznych, prozaikiem i tłumaczem. Tytuł *Korzeniec* odnosi się do jednego z bohaterów – Alojzego Korzeńca, a inspiracją do napisania powieści był kafelek umieszczony w posadzce sosnowieckiego domu. Do nagrody Śląski Wawrzyn Literacki 2011 nominowano: Adama Zagajewskiego *Lekką przesadę*, Janusza Szubera *Powiedzieć. Cokolwiek*, Andrzeja Franaszka *Miłosz. Biografia*, Bogusławy Latawiec *Gdyby czas był ziemią*, Tadeusza Konwickiego *W pośpiechu*, Marka Bieńczyka *Książka twarzy*, Aleksandra Fiuta *Z Miłoszem*, Zbigniewa Białasa Korzeniec, Radosława Kobierskiego *Drugie ja.*

Uroczyste wręczenie nagrody Śląski Wawrzyn Literacki 2011 odbędzie się we wrześniu br., w Bibliotece Śląskiej w Katowicach.

INDUSTRIADA i ExtraSchicht

W Miejskim Domu Kultury na Giszowcu podsumowano tegoroczną Industriadę. – Tegoroczna Industriada jest dużym sukcesem. W jej organizację zaangażowanych było 50 podmiotów. W wydarzeniach w 36 obiektach uczestniczyło 62 tys. osób. Odwiedzający mogli podziwiać obiekty dziedzictwa kulturowego i przemysłowe. Myślę, że wszystkim należą się gratulacje, bo na te z pewnością zasłużyliśmy – mówił Jerzy Gorzelik członek Zarządu Województwa Śląskiego.

Tegoroczna INDUSTRIADA miała miejsce w 36 lokalizacjach, ale była współorganizowana przez prawie 50 podmiotów. W tym roku po raz pierwszy obiekty zgromadzone na Szlaku Zabytków Techniki wraz z Urzędem Marszałkowskim Województwa Śląskiego postanowiły nagrodzić najaktywniejszy samorząd lokalny i najaktywniejszego sponsora.

Najaktywniejszym samorządem zostało Miasto Chorzów. Wzorowa współpraca samorządu Miasta Chorzów z organizacją pozarządową Stowarzyszenie SZTYG. art Chorzów sprawiła, że Szyb Prezydent potrzebował zaledwie trzech lat, aby stać się jednym z najbardziej wyrazistych obiektów podczas Święta Szlaku Zabytków Techniki. W tegorocznej INDUSTRIADZIE uczestniczyło tutaj około 5 tys. osób.

Z kolei najaktywniejszym sponsorem okazał się Tauron Wytwarzanie SA w Katowicach. Nagroda została przyznana firmie, która patrząc w przyszłość, wykorzystuje przeszłość poprzez dostrzeżenie unikatowości Muzeum Energetyki i wykorzystanie dziedzictwa industrialnego w kreowaniu swego wizerunku.

Wyłoniono też laureatów konkursu ZoboDizajn. Uczestnicy konkursu dla kreatywnych przygotowywali inspirowane światłem rzeźby Zobotów – maskotek INDUSTRIADY.

Tegoroczna INDUSTRIADA miała międzynarodowy charakter Święta Szlaku Zabytków Techniki. 30 czerwca uczestnicy Nocy Kultury Przemysłowej „ExtraSchicht" w dawnej kopalni i koksowni Zollverein w Essen mieli okazję dowiedzieć się, dlaczego warto odwiedzić Szlak Zabytków Techniki w województwie śląskim. W czasie ExtraSchicht i INDUSTRIADY, Zollverein w Essen i Zabytkowa Kopalnia Węgla Kamiennego Guido w Zabrzu wspólnie zaprezentowały industrialno-kulturalne atrakcje swoich regionów. W Zollverein można było zobaczyć multimedialną pracę absolwenta katowickiej ASP Jerzego Koenigshausa. Jej przedmiotem było dziedzictwo przemysłowe.

Tego samego dnia Zollverein prezentowało się zabrzańskim uczestnikom INDUSTRIADY. Noc Kultury Przemysłowej w Zagłębiu Ruhry mieli okazję zobaczyć także zwycięzcy konkursu INDUSzychta.

ExtraSchicht jest wydarzeniem kulturalnym, które odbywa się cyklicznie od 2001 roku. Impreza trwa tylko jedną noc. Celem ExtraSchicht jest





Zdjęcia: BP UMarszałkowski K-ce

pokazanie przemiany przemysłowego charakteru Zagłębia Ruhry w teren związany z kulturą i sztuką często bazującą na dziedzictwie industrialnym. Wydarzenie jest platformą współpracy dla ponad 200 partnerów i świetnym instrumentem marketingu dla poprzemysłowego regionu.

Artystyczna szkoła z Zespołem Śląsk

Od 4 lipca do 24 sierpnia w koszęcińskiej siedzibie Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk" trwała kolejna edycja Letniej Szkoły Artystycznej. Jej program obejmował: VI Warsztaty Polskich Tańców Ludowych i Narodowych, VII Międzynarodową Letnią Szkołę Tańca Współczesnego oraz Warsztaty Taneczne dla Zespołów Artystycznych. Koordynatorem Letniej Szkoły Artystycznej jest Śląskie Centrum Edukacji Regionalnej w Zespole „Śląsk".

Każdego roku w zajęciach Letniej Szkoły Artystycznej uczestniczy ok. 200 osób, które do Koszęcina przyjeżdżają doskonalić swój warsztat taneczny. Polskich tańców chcą się uczyć nie tylko Polacy, grono uczestników jest międzynarodowe. W zakresie tańców ludowych i narodowych kształcili się już w Koszęcinie m. in. Holendrzy, Amerykanie i Francuzi. Chętnie przyjeżdżają także członkowie zespołów polonijnych. Uczestnicy warsztatów różnią się wiekiem i poziomem zaawansowania, grupy są organizowane według poziomu i umiejętności tanecznych uczestników. Jak co roku będzie grupa miłośników tańca, tzw. „Grupa 40+", tancerze zaawansowani, średniozaawansowani oraz grupa uczniów i absolwentów szkół baletowych.

Urokliwa siedziba Zespołu i doskonałe warunki dydaktyczne zapewniły uczestnikom warsztatów komfort nauki i aktywnego wypoczynku. Każdego roku organizatorzy dokładają wszelkich starań, aby zajęcia prowadzili doświadczeni i uznani pedagodzy: artyści, tancerze i choreografowie z kraju i zagranicy. Wszystkie warsztaty kończą się pokazami tanecznymi, podczas koncertów otwartych dla publiczności.

Podczas tegorocznych wakacji, w ramach Letniej Szkoły Artystycznej, odbył się także Plener Malarski dla studentów kierunku malarstwa architektonicznego.

Pamiętając o Karolu Miarce

W przeddzień 130. rocznicy śmierci Karola Miarki na jego grobie złożono wiązanki i zapalono znicze. W imieniu swoim oraz Marszałka Województwa Śląskiego kwiaty złożył przewodniczący Sejmiku Andrzej Gościniak. Znicze zapalili radni Sejmiku Województwa Śląskiego razem z burmistrzem Cieszyna Mieczysławem Szczurkiem oraz starostą cieszyńskim Jerzym Nogowczykiem.

Biografię Miarki przypomniał obecny na uroczystości wicewojewoda Piotr Spyra. „Mimo że niedoceniony za życia, stał się Karol Miarka obecnie powszechnie docenianym działaczem społecznym. Postacią, która łączy, a nie dzieli" – mówił wicewojewoda Spyra.

Karol Miarka urodził się 22 października 1825 r. w Pielgrzymowicach. Był polskim działaczem społecznym na Górnym Śląsku, nauczycielem, pisarzem, publicystą i drukarzem. Znany jako inicjator utworzenia i organizator wielu polskich organizacji społecznych oraz gospodarczych.

W 1846 roku ukończył seminarium nauczycielskie w Głogówku, od 1850 w Pielgrzymowicach był nauczycielem i organistą, następnie pisarzem gminnym i sędzią polubownym.

Był czynnym organizatorem górnośląskiego ruchu społecznego i kulturalnego, przyczynił się znacznie do nawiązania kontaktów Górnego Śląska z innymi dzielnicami Polski. W latach 1868-69 redagował czasopismo „Zwiastun Górnośląski", a następnie w Królewskiej Hucie (dzisiejszym Chorzowie) wydawał „Katolika" (1869-80), jedno z ważniejszych pism walczących o polskość ludu górnośląskiego. Założył nakładową Księgarnię Katolicką, w 1870 zainicjował serię Biblioteka Katolicka, wydawał kalendarze; powołał stowarzyszenie Kasyno Katolickie, w którym od 1870 r. organizował amatorskie spotkania teatralne. Związany z niemiecką partią Centrum, przeciwstawiał się polityce kulturkampfu i germanizacji, za co był prześladowany i kilkakrotnie więziony. W latach 1875-1880 kontynuował działalność w Mikołowie, gdzie założył drukarnię. Poza „Katolikiem" wydawał inne pisma, jak tygodnik o charakterze oświatowo-moralistycznym „Monika". Twórczość publicystyczną i literacką traktował na równi, wiążąc je z konkretną sytuacją na Górnym Śląsku.



Twórczość literacka Karola Miarki koncentrowała się na ziemi śląskiej, na podaniach ludowych, historii tego regionu oraz jego folklorze. Wprowadzał do swojego pisarstwa formy ludowe, gawędy i przysłowia. Wydał szereg utworów popularyzujących tematykę historyczną Śląska.

Karol Miarka zmarł 15 sierpnia 1882. Pochowany został na Cmentarzu Komunalnym w Cieszynie. Jego popiersie znajduje się w Sali Sejmu Śląskiego w Katowicach.

staną rzeźby oraz instalacje artystyczne autorstwa Zygmunta Brachmańskiego, Marka Kusia, Tatiany Czekalskiej i Leszka Golca.

■ *Sztuka słowacka 1980–2010. Swoboda wypowiedzi twórczej* gościła w Muzeum Śląskim w Katowicach.

■ Galeria Rotunda Miejskiej Biblioteki Publicznej w Bytomiu prezentowała *Materię nie ZŁOMnie* inspirującą – wystawę fotografii Veronię Zafon.

■ Górnośląska architektura willowa przełomu XIX i XX wieku była tematem wędrówki po Katowicach miłośników architektury.

■ Wystawa fotografii Arkadiusza Ławrywiańca *Chasydzi w Lelowie* gościła w galerii Exlibris Miejskiej biblioteki publicznej w Czeladzi.

■ Centrum Kultury Śląskiej powstaje na bazie Pałacu Donnersmarcków w Nakle Śląskim.

■ Wycieczka śladami Le Corbusiera – Katowice. Śródmieście północne – to kolejna wędrówka miłośników architektury po Katowicach pod kierunkiem arch. Ryszarda Nakoniecz-nego.

■ W Galerii Extravanges Sosnowieckiego Centrum Kultury Zamek Sielecki gości wystawa prac uczestników projektu Labirynt Wolności autorstwa prof. Zbigniewa Bajka.

Artystka z „czerwonego" miasta

Bezgłośnie minęła w Bielsku-Białej 75. rocznica urodzin Aleksandry Zawieruszanki – jednej z najpiękniejszych aktorek w historii polskiego kina. Wielbiono ją nie tylko za urodę. Zanim zaczęła odnosić sukcesy jako modelka i aktorka filmowa, doceniano jej talenty recytatorskie. Sławę zapewniły jej role u boku takich artystów jak B. Pawlik („Mąż swojej żony" (1960) czy J. Skolimowski („Walkower" 1965). Krytycy pisali, że emanowała naturalnym seksapilem. W pierwszej komedii S. Barei wykreowała postać rekordzistki świata w biegu na 200 metrów Jadwigi Fołtasiówny. Rola musiała być sugestywna. Pamiętam, jak całe pokolenie starszych kolegów sportowców przez długie lata żyło dylematem: sport czy seks?

W „Zabijace" S. Lenartowicza (1967) partnerowała T. Łomnickiemu, a w „Stawce większej niż życie" S. Mikulskiemu (jako Edyta Lausch). Przez całe artystyczne życie pracowała w jednym teatrze – Narodowym, gdyż bardzo przywiązuje się do miejsc i ludzi. Miała szczęście partnerować największym legendom – I. Eichlerównie, D. Szaflarskiej, J. Kurnakowiczowi, K. Opalińskiemu, J. Ciecierskiemu. Występowała w słynnych „Dziadach" K. Dejmka.

Mało kto jednak wie, że artystka urodziła się dwa lata przed wybuchem wojny w... Bielsku. Dzieciństwa nie miała wielobarwnego. Najpierw było bowiem... brunatne, a później czerwone. Matka była łączniczką AK. Ojca już w 1940 r. hitlerowcy wywieźli do obozu w Dachau, w którym spędził pięć lat, pięć tygodni i pięć dni. Po powrocie z niewoli został pierwszym sekretarzem PPS w Białej, ale jeszcze przed powstaniem PZPR w 1948 r. usunięto go z partii, gdyż nie pasował do nowych czasów. W zbiorze reportaży Danuty Gibas „Beskidzka plejada" (1998) artystka wspomina, że żyła w mieście „czerwonym" aż do przesady. Musiała spacerować głównymi ulicami – Lenina i Marksa, Koniewa, Dzierżyńskiego i Greczki, Dymitrowa i Woroszyłowa; chodziła na pl. ZWM (obecnie Rynek w Bielsku). Szczególnym niesmakiem napawała nazwa jej szkoły – im. Józefa Stalina.

Specyfika życia w czasach „komuny" sprawiła jednak, że na jej drodze, a właściwie w jej rodzinnym pokoju pojawili się artyści. Już w 1947 r. kwaterunek odebrał Zawieruchom jedno z pomieszczeń w budynku przy ul. I. Daszyńskiego (później K. Gottwalda, a obecnie S. Roweckiego) i wprowadził tam słynną parę aktorską – Marię Bogdę i Adama Brodzisza, którzy – notabene – wyjechali w 1961 r. do Kalifornii, gdzie zrezygnowali z aktorstwa na rzecz hodowli szynszyli. Aleksandra Zawieruszanka wspomina, że Maria Bogda zawsze była dla niej bardzo miła i pocieszała ją, że wyrośnie na piękną kobietę, bo przyszła aktorka Teatru Narodowego miała kompleks chudzielca. Później do mieszkania Zawieruchów wprowadzano inne postaci świata artystycznego, m.in. aktorki – Wandę Jerzmanowską oraz Izę Kozłowską-Berson, matkę J.M. Rytarda. Nic więc dziwnego, że już w dzieciństwie Aleksandrę Zawieruszankę zaangażowano do spektaklu na deskach bielskiego Teatru Polskiego, ale aktorka nie pamięta, jakie to było przedstawienie.

Doskonale natomiast przypomina sobie występy na bielskiej scenie L. Solskiego, które oglądała jako piętnastolatka. Kreował postać Dziadka Ciaputkiewicza w „Grubych rybach" M. Bałuckiego. Miał wtedy 98 lat. Grał na skrzypcach, a rytm wybijał nogą. Mimo iż już wówczas był dość stary, charakteryzował się na jeszcze starszego, gdyż twarz pokryto mu potężnymi bruzdami. Po spektaklu inni aktorzy całowali go w rękę.

W młodości Aleksandra Zawieruszanka marzyła, żeby zagrać w teatrze bielskim, ale nigdy nie otrzymała takiej propozycji. Może dobrze?

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Rezydenci na ulicach

Po raz drugi Galeria Bielska BWA zorganizowała tzw. międzynarodowe rezydencje artystyczne pn. „Beyond Time/Poza czasem". Ich ideą jest „prezentowanie sztuki w przestrzeni publicznej miasta z uwzględnieniem jego charakteru i historii". Podczas rezydencji gościło w Bielsku-Białej czworo artystów – Winston Lau z Chin, Kostas Tzimoulis z Grecji oraz hiszpańska grupa Olliemoonsta (Naza del Rosal i Juan Rico). Akcja zakończyła się 23 sierpnia. Hiszpanie stworzyli instalację złożoną z kilku postaci, namalowanych i wyciętych z kartonu



Instalacja hiszpańskiej grupy Olliemoonsta

w skali 1:1 i nawiązujących do beskidzkiego folkloru. Na ul. Schodowej Winston Lau z plastikowych odpadów z sortowni śmieci stworzył instalację pt. „The Unseen / Niewidzialne". Grecki artysta Kostas Tzimoulis prezentował natomiast ciekawe zdjęcia we wnękach okiennych i niszach kamienic przy pl. św. Mikołaja, ul. Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego i innych ulicach centrum. Jego fotografie można oglądać aż do naturalnego zniszczenia. Multimedialną dokumentację rezydencji zobaczymy we wrześniu w galeryjnej kawiarni.

Wiesieli u Moskałów

Na przełomie lipca i sierpnia na estradach Wisły, Szczyrku, Żywca, Ujsół, Jabłonkowa i in. miejscowości odbył się XLIX Tydzień Kultury Beskidzkiej. W jego ramach w Wiśle zobaczyliśmy XXIII Międzynarodowe Spotkania Folklorystyczne, w których uczestniczyły trzy polskie i 15 zespołów zagranicznych – od Hiszpanii przez Albanię, Turcję, Irak po Chile. Międzynarodowa Rada Artystyczna pod kierunkiem Aleksandry Boguckiej przyznała Grand Prix zespołowi Cununa Apusenilor z Gilau w Rumunii. W Żywcu natomiast odbył się XLIII Festiwal Folkloru Górali Polskich. Wzięło w nim udział 19 grup i zespołów. Jury pod przewodnictwem Małgorzaty Kiereś „Złote Żywieckie Serce" (i nagrodę w wysokości 10 tys. zł) przyznało Zespołowi Regionalnemu „Brenna" im. Józefa Macha za program „Wiesieli w chałupie u Moskałów". Nagrody regulaminowe i pieniężne (po trzy tys. zł) za poszczególne elementy programu otrzymał m.in. Regionalny Zespół „Oldrzychowice" (za prezentację stawiania dziedzińskiego moja). „Brenną" wytypowano ponadto do udziału w Międzynarodowym Festiwalu Folkloru Ziem Górskich w Zakopanem. Dyplom uznania za pracę pedagogiczną i krzewienie folkloru górali żywieckich wśród młodzieży przyznano Jacentemu Rybarskiemu – kierownikowi zespołu „Cichowianie" z Soblówki.

Pod skrzydłami marszałka

24 sierpnia radni postanowili, że Śląski Urząd Marszałkowski nieodpłatnie przejmie bielskie Studio Filmów Rysunkowych. SFR było zagrożone nawet likwidacją, gdyż Ministerstwo Skarbu zamierzało wystawić je na sprzedaż. Ewentualny kupiec mógłby bardziej połakomić się na nieruchomości, którymi SFR dysponuje, niż na... produkcyjne walory studia. Bielska wytwórnia powstała 65 lat temu w Katowicach. Niebawem przeniosła się jednak do Wisły, a od 1948 r. działa nieprzerwanie w Bielsku-Białej. To właśnie w SFR powstał najsłynniejszy polski serial dla dzieci o niesfornych urwisach – Bolku i Lolku. Ostatnią produkcją SFR był pełnometrażowy film animowany „Gwiazda Kopernika" (2009). Teraz w SFR trwają prace nad serialem „Kuba i Śruba". Być może – po latach zastoju produkcyjnego – pod skrzydłami marszałka studio wróci do dawnej świetności. Zrealizowano tam bowiem ponad 1000 filmów!

Jednym zdaniem

■ **9 sierpnia w Galerii Domu Narodowego w Cieszynie otwarto wystawę malarstwa znanej tamtejszej artystki Stefanii Bojdy.**

■ **W sierpniu w Muzeum w Bielsku-Białej prezentowano wystawę kolekcjonerską z cyklu „Hodie Mihi Cras Tibi" oraz ekspozycję twórczości Andrzeja Strumiłły.**

■ **W Galerii „Na Stacji" w Bielsku-Białej można było w sierpniu oglądać fotografie z cyklu pn. „Wisła – ostatnia taka rzeka Europy" – zaprezentowane przez Fundację Rozwoju Miasta Bielska-Białej i Beskidzkie Towarzystwo Cyklistów.**

■ **Na rynku księgarskim ukazało się nowe wydanie albumu „Polski Street Art" Elżbiety Dymnej i Marcina Rutkiewicza z fotografią dzieła pn. „Lenin z irokezem" bielszczanina Dariusza Paczkowskiego na okładce.**

■ **W lipcu i sierpniu Muzeum Beskidzkie w Wiśle prezentowało wystawę malarstwa pt. „Strachy polne i pejzaże wiatrem malowane" rudzickiego artysty Floriana Kohuta.**

■ **24 sierpnia w czechowickim MDK odbyło się prawykonanie Oratorium Czechowickiego „Żywioły" Dariusza Nurzyńskiego i Klaudiusza Jani do słów Jana Drechslera w wykonaniu – powstałych w tym celu – 30-osobowej orkiestry i 40-osobowego chóru młodych; głównie mieszkańców miasta.**

■ **10 sierpnia bielski zespół Marcin Klimczak & M4U zagrał dla mieszkańców stolicy Beskidów na placu przed Sferą.**

■ **W sierpniu w Klubie Nauczyciela prezentowano ekspozycję twórczości plastycznej dzieci i młodzieży z licznych zespołów Centrum Wychowania Estetycznego im. Wiktorii Kubisz, które bielscy radni i prezydent Jacek Krywult zamierzają zlikwidować.**

■ **„Węgry – kraj niezwykły" to tytuł wystawy fotografii Kazimierza Gajewskiego, którą w sierpniu prezentowano w Książnicy Beskidzkiej.**

■ **Do 9 września potrwa w Muzeum w Bielsku-Białej wystawa prac bielszczanina Krzysztofa Dadaka pt. „Żywioły – woda I".**

Folklor na wakacje

Częstochowa na urlopie rozkochała się w folklorze. To prowokuje pytanie, czy jest to wyłącznie efekt nostalgii za przeszłością mniej lub bardziej doświadczoną, moda a może element tożsamości kulturowej? I czy może być on trendy, cool albo chociaż spoko. W lipcu odbywały się coroczne występy zespołów ludowych z różnych stron świata, czyli XV Międzynarodowe Spotkania Folklorystyczne „Z daleka i bliska" organizowane przez ROK w Częstochowie oraz ośrodki gminne. Wystąpiły lokalne zespoły regionalne oraz goście z Europy, a kolejne spotkania w Poczesnej, Kamienicy Polskiej, Przyrowie i Piasku prezentowały inną kulturę – macedońską, serbską, bułgarską i litewską. 8 lipca barwny korowód przeszedł przez III Aleję w Częstochowie, by w klubie Politechnik dać koncert galowy ze wspólnym polonezem w finale.

W tym czasie, będąc w III Alei, można było zajrzeć do Miejskiej Galerii Sztuki, a dokładniej na wystawę w Sali Śląskiej „Raz na kolorowo! Etnodizajn i inspiracje etnograficzne w sztuce współczesnej". Impreza tym smaczniejsza, że w tym samym budynku wciąż mieści się Cepelia. Eksponaty pochodzące z muzeów etnograficznych w Warszawie i Krakowie udowadniały, że folklor to nie skansen, ale techniki i motywy wciąż interesujące dla współczesnych artystów i odbiorców. Wiele z tych przedmiotów chętnie zobaczylibyśmy w sklepach – np. filcowe torebki z regionalnym motywem, a już na pewno na stoiskach z pamiątkami z Polski (tu nawet lizaki miały odpowiedni wzór). Były ludowadła, japolki, kurpiski... Ciekawie prezentowały się opakowania produktów regionalnych przygotowane dla Podhala, zawierające także fragmenty miejscowej gwary. I tu kolejna refleksja, czy nasze mieszkania powinny być wyposażone w murzyńskie maski albo tkaniny o egzotycznych wzorach? A może wystarczy dobry pomysł, by ze starej włosianej szczotki zrobić nowoczesny stołek (pomysł dla wyjątkowo ekstrawaganckich, nie odważyłam się usiąść).

Były piękne drewniane zabawki, tradycyjne barwy, ale przede wszystkim motywy znane z wycinanek zdobiące stolik czy dywan..., a także etnowycinanki Katarzyny Kmity, która w ten sposób stworzyła zupełnie nową jakość, ciekawą i intrygującą, testując granice i możliwości tej formy. Zresztą wycinanka była także tematem tegorocznego 5. Konkursu Sztuki Ludowej. Muzeum Częstochowskie zwróciło się do 109 artystów w Polsce. Przesłano 51 prac, w tym także z Izraela. W jury był m.in. dr Aleksander Błachowski z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu (etnolog i historyk sztuki).

Ale na tym nie kończyło się częstochowskie wakacyjne spotkanie z folklorem. Od 30 lipca w Galerii Dobrej Sztuki wciąż można oglądać sztukę ludową ze zbiorów Muzeum Częstochowskiego – „Wyniesione z magazynu". Są tu drewniane rzeźby i płaskorzeźby, obrazy na szkle o tematyce wiejskiej albo religijnej. Wśród artystów można rozpoznać nazwiska znane już z poprzednich wystaw – Zdzisław Purchała, Józef Kościański, Eugeniusz Węgiełek, Jan Szymański, Bogumił Michalak, Józef Chełmowski, Józef Kaczmarek, Adam Zegadło, Grzegorz Król, Włodzimierz Ostoja-Lniski, Stanisław Majewski. Proste opowieści o życiu i świecie zadziwiają swoją głębią i przykuwają uwagę odbiorcy.

Oprócz wystaw były także zajęcia praktyczne z folkloru. Dzieci mogły uczestniczyć w warsztatach wycinanek prowadzonych przez wspomnianą Kmitę, warsztatach tworzenia biżuterii z rozmaitych materiałów, ale także w warsztatach rękodzieła artystycznego w Agrozagrodzie w Jurajskich Biskupicach, ucząc się szydełkowania, haftu, robienia frywolitek. A na początku września jeszcze dożynki i kiermasz regionalnych produktów. Tak miasto otwiera się na folklor, bu znaleźć w nim wytchnienie od nieustannego pędu...

JOANNA KOTKOWSKA

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Co dalej z Gaude Mater?

Stało się. Ostatniego lipca Krzysztof Matyjaszczyk, prezydent Częstochowy, odwołał dyrektorkę OPK Małgorzatę Nowak. Podobno w trosce o festiwal. Nowak, muzykolog, tworzyła placówkę od grudnia 1991. Zaczynała jako dyrektor festiwalu, a następnie zastąpiła Krzysztofa Pośpiecha na stanowisku dyrektora OPK. Wkrótce ośrodek rozszerzał swoją działalność – objął opiekę nad Zespołem Pieśni i Tańca „Częstochowa", zainicjował galerię, organizuje Koncerty Letnie w Altanie w parku im. S. Staszica, Dni Częstochowy, Biennale Miniatury, Dni Kultury Chrześcijańskiej, Noc Kulturalną, Światowe Kongresy Częstochowian, Festiwal Dobrej Piosenki im. Kaliny Jędrusik, a także Etno*c poprzedzające Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater". Trudno wyobrazić sobie dzisiaj życie kulturalne miasta bez ośrodka.

Festiwal „Gaude Mater" wyraźnie uwiera prezydenta Krzysztofa Matyjaszczyka. Już w zeszłym roku Małgorzata Nowak otrzymała propozycję objęcia stanowiska dyrektora Filharmonii Częstochowskiej po dymisji Beaty Młynarczyk (ostatecznie konkurs wygrał Ireneusz Kozera), a festiwal miał zostać włączony w struktury filharmonii. Jak się okazało, była to propozycja nie do odrzucenia. Działania podjęte przez prezydenta w lipcu tego roku spowodowały lawinę protestów i listów poparcia (m.in. Krzysztofa Pendereckiego, Wojciecha Kilara). Sprzeciw wyrazili mieszkańcy miasta, pracownicy uczelni, środowisko ludzi kultury i radni. Powstała także Częstochowska Mniejszość Kulturalna CZEMKA.

Małgorzata Nowak 23 lipca zorganizowała konferencję prasową, na której wystąpiła razem z przedstawicielami instytucji wspierających festiwal – Rady Artystyczno-Programowej, Kurii Częstochowskiej, stowarzyszenia Kapeli Jasnogórskiej oraz Stowarzyszenia Przyjaciół Gaude Mater. Zgromadzeni zagrozili zerwaniem współpracy oraz wystąpieniem na drogę sądową o używanie znaku słowno-graficznego. Jednocześnie nowy dyrektor Filharmonii zaprzeczył pogłoskom, że bez koncertów festiwalowych projekt unijny nie zostałby zrealizowany. Nie chce także organizować innych wydarzeń niż muzyczne, a przecież formułą festiwalu była interdyscyplinarność. Obowiązki dyrektora OPK Gaude Mater pełni obecnie Mariola Florek.

Lato z filmem

Festiwale i spotkania filmowe stały się jedną z atrakcji lata. W naszej okolicy to przede wszystkim Złoty Potok. 20-22 lipca już po raz XIV nad stawem Amerykan odbyło się Jurajskie Lato Filmowe. W tym roku gościli: Małgorzata Ostrowska-Królikowska, Paweł Królikowski oraz Dariusz Kowalski. Publiczność mogła porozmawiać z gwiazdami, wziąć udział w konkursie filmowym (dzieci także w malarskim), ale przede wszystkim wspólnie obejrzeć osiem filmów na 14-metrowym ekranie. Poza tym na scenie muzycznej wystąpiły w tym roku zespoły: Metro, Popiół, Kurczat. W przyszłym roku organizatorzy zapowiadają odwiedziny Artura Żmijewskiego i Daniela Olbrychskiego.

Częstochowa również ma takie spotkania. Na Promenadzie Czesława Niemena odbywał się przez trzy kolejne soboty sierpnia Wakacyjny Festiwal Filmowy „Leżak Fortum 2012" pod patronatem Dziennika Zachodniego. Były filmy, konkursy, muzyka w wykonaniu mażoretek i orkiestry dętej z Mykanowa, a także spotkania z gwiazdami – Januszem Chabiorem czy Robertem Gonerą.

Nie można także pominąć wakacyjnych propozycji Centrum Promocji Młodych. Były filmy krótkometrażowe z Europy – w lipcu z Danii, w sierpniu z Islandii, a także wspólne oglądanie *Sanatorium pod Klepsydrą* Wojciecha J. Hassa w ramach *Surrealistycznego lata*.

Fotografowi w 100-lecie urodzin

W Galerii Dobrej Sztuki można oglądać zdjęcia częstochowianina Czesława Bankiewicza (ur. 1912, zm. 1977). Absolwent II LO im. Romualda Traugutta wyjechał do Warszawy, gdzie rozpoczął pracę w Centrali Banku PKO, a potem studia zaoczne w Wyższej Szkole Służby Zagranicznej. Po wybuchu wojny wrócił do rodzinnego miasta i przystąpił do tajnych oddziałów AK. W 1946 poślubił Hannę Parczyńską, córkę komendanta AK w Częstochowie. Podjął pracę w miejscowym Banku Gospodarstwa Krajowego, a następnie przeniósł się na Politechnikę Częstochowską, by urządzić laboratorium fotografii naukowo-technicznej. Był członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików oraz Oddziału Polskiego Towarzystwa Fotograficznego w Częstochowie. Jego prace były wielokrotnie nagradzane, wystawiane w kraju i zagranicą, m.in. w Londynie, Rio de Janeiro czy Hongkongu.

W Galerii pokazano różne obszary twórczości Bankiewicza. Dominują prace z lat 60. To zdjęcia-metafory, gdy przyroda i krajobraz nabywają dzięki tytułom dodatkowych znaczeń – *Koniec życia* (usychający las na piasku), *Płaskorzeźba* (zbliżenie kory drzewa), pejzaże, przede wszystkim krajobrazy i zamki jurajskie, ale także architektura (w sali drugiej). W sali trzeciej pokazano akty i portrety, ale także zdjęcia i pamiątki rodzinne.

Edukacja w muzeum

Muzeum Częstochowskie na czas wakacji przygotowało specjalną ofertę dla dzieci i młodzieży. W Multicentrum Zodiak można było uczestniczyć w zajęciach *Podróż tęczowym szlakiem*, a tuż obok w Pawilonie Wystawowym na zupełnym luzie utrwalić wiadomości z fizyki, odbywały się tam *Zabawy z nauką*. Atrakcji interaktywnej wystawy było wiele – niemal czarodziejska kula magnetyczna, która wytwarzała plazmę, fontanna Herona, tornado w butelce. Poza tym naczynia połączone, rozmaite zabawy z magnesem, działo pneumatyczne. Każde urządzenie objaśniało inne prawo fizyki. Wiele z nich składało się z butelek plastikowych, lejków..., czyli niemal każdy mógłby nie tylko opanować zasady fizyki, ale także wyjaśnić je za pomocą doświadczenia. Ekspozycję przygotowało Muzeum Częstochowskie razem z Muzeum Inżynierii Miejskiej w Krakowie.

Dla nieco starszych, ale także otwartych na nowe idee, Centrum Promocji Młodych 27 lipca przygotowało *Z-boczoną historię kina* Slavoja Žižka, współczesnego psychoanalityka oraz teoretyka kultury. Niezwykle ciekawe analizy nie prowadziły do całościowej interpretacji poszczególnych dzieł, ale raczej potwierdzały wyznawaną przez badacza teorię człowieka i świata. Zgromadzeni w Willi Generała w większości młodzi ludzie uczyli się oglądania podejrzliwego, stawiającego odważne i kontrowersyjne tezy.

Jednym zdaniem

■ **Na placu Biegańskiego *Letnie granie na Biegance*; kolejno – hip hop (m.in. Grubson, Pokahontaz), pokazy częstochowskich szkół tańca oraz występ uczestników *You can Dance*, kabareton z udziałem KrólS Marcina Króla, Made in China, Słoiczka po Cukrze i Nowaków, rock (m.in. Shamboo i Oddział Zamknięty).**

■ **19 lipca dr Juliusz Sętowski w cyklu *Gawędy historyczne w Willi Generała* opowiedział o Domu Księcia.**

■ **21 lipca w Poczesnej wystąpił śpiewak operowy Kazimierz Kowalski; akompaniowała mu na fortepianie Ewa Szpakowska oraz gwiazdy Polskiej Opery Kameralnej.**

■ **21 lipca drugie urodziny Black Cat Studio, czyli Noc Kultury Niezależnej.**

■ **4-5 sierpnia 16. Święto Pstrąga w Złotym Potoku; swoje propozycje dań z pstrąga przygotował też Theofilos Vafidis.**

■ **W Wejściówce Gazety Wyborczej fotografie Małgorzaty Kozakowskiej; autorka lubi eksperymentować, by uzyskać niezwykle efekty; chętnie utrwala martwą naturą.**

■ **W Galerii ART-FOTO w ROK-u wystawa malarstwa *Jurajskie klimaty*, która zamknęła obchody 30-lecia Częstochowskiej Stowarzyszenia Plastyków im. Jerzego Dudy-Gracza.**

Bądźmy dumni z Polski i Polaków

Uroczysta inauguracja IV Zjazdu Polonii i Polaków z Zagranicy odbyła się w piątek 24 sierpnia na Zamku Królewskim w Warszawie. Poniżej prezentujemy przemówienie, które wygłosił do zgromadzonych prezydent Polski, Bronisław Komorowski.

„Chciałem państwu życzyć tego, aby stąd, z Warszawy, z tego IV Zjazdu, państwo wrócili do swoich organizacji, do swoich rodzin, do swoich środowisk w przekonaniu, że możemy sobie nawzajem bardzo wiele ofiarować i bardzo wiele pomóc. Bo Polonia i Polacy poza granicami kraju są w niesłychanie różnych sytuacjach. Jest to przecież niesłychanie skomplikowana historia, która wycisnęła swoje piętno na każdej grupie emigracyjnej, na każdym środowisku dzisiejszej polskiej mniejszości narodowej zamieszkującej poza krajem. I fakt, że te fale emigracyjne miały miejsce w różnych okresach, w różnych sytuacjach, także spowodował to, że będziecie państwo rozmawiali o zjawisku bardzo zróżnicowanym wewnętrznie. A to musi oznaczać także i zrozumienie, i dostosowywanie działań państwa polskiego do niesłychanie zróżnicowanych sytuacji. Inna jest sytuacja Polaków na Litwie, inna jest sytuacja Polaków w Brazylii, inne zupełnie są nie tylko historyczne korzenie, ale także i współczesne realia funkcjonowania.

Jedno jest stałe i niezmienne – to, że wszyscy czujemy, iż w interesie Polski i w interesie polskiej sprawy jest to, aby istniała łączność – ta emocjonalna, ale także ta organizacyjna łączność pomiędzy Polską a Polakami i ludźmi pochodzenia polskiego rozsianymi po całym świecie, że jest to nam wzajemnie potrzebne, że możemy sobie bardzo wiele nawzajem oferować. Bo to przecież jest tak, że awans Polski do rangi krajów niepodległych, krajów demokratycznych, krajów integrujących się ze światem zachodnim, jest przecież awansem wszystkich Polaków żyjących w różnych krajach. Zmienia także ocenę Polaków w oczach ich współobywateli w różnych krajach na całym świecie. I odwrotnie – każdy awans, każdy sukces Polaków i ludzi polskiego pochodzenia w każdym kraju świata od Brazylii, przez Niemcy, przez Rumunię czy Litwę, każdy awans w każdym kraju powoduje, że my także możemy z dumą, z satysfakcją patrzeć na to, że jako naród radzimy sobie, że potrafimy dać sobie wzajemnie coś, bez czego nie będzie sukcesu nas wszystkich – mianowicie dumę z tego, że jesteśmy Polakami. To wielki oręż w walce o opinię i o Polakach rozsianych na świecie, i o Polakach mieszkających w Polsce. To wielki oręż – móc pokazać sukces państwa, narodu polskiego, sukces poszczególnych grup, środowisk emigracyjnych lub wychodźstwa, czy środowisk mniejszości polskich. (...)

Słuchając z największym zainteresowaniem prezentacji dokonywanych przez pana prezesa „Wspólnoty Polskiej", Longina Komołowskiego, jedna rzecz mi przyszła do głowy. Usłyszałem, że w zasadzie są trzy kraje na świecie, gdzie środowiska polskie, polonijne, zrodziły się z parlamentarzystów. To jest Kanada, Rumunia i Litwa. Ja uważam, że to jest w jakiejś mierze wyznacznikiem naszej polskiej ambicji, aby znaczyć coraz więcej tu w Polsce, aby znaczyć coraz więcej na świece, aby polskość przekuwać na zdolność do kolejnych awansów całych społeczności, także na zdolność funkcjonowania na przykład w gospodarkach, w polityce, w kulturze krajów, w których przyszło Polakom żyć. Te przykłady parlamentarzystów z paru krajów powinny w jakiejś mierze przyświecać myśleniu po nowemu także o nowej sytuacji, która powstała po uzyskaniu przez Polskę z wszystkimi prawami członkostwa w ramach Unii Europejskiej.

Życzę państwu dumy z Polski – uzasadnionej, życzę Polsce dumy z wszystkich organizacji i wszystkich Polaków zamieszkujących poza granicami kraju".

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Obradowali Polacy z 44 krajów

Od 24 do 26 sierpnia obradował w Warszawie i Pułtusku IV Zjazd Polonii i Polaków z Zagranicy. Trzystu delegatów z 44 krajów świata spotkało się z czołowymi przedstawicielami państwa polskiego i dyskutowało o nurtujących ich problemach i tematach.

W Zjeździe brała udział 11-osobowa delegacja polskich organizacji w RC. Mottem Zjazdu, który odbył się po pięcioletniej przerwie, były słowa Jana Pawła II: „... by czuć się Polakiem", zaczerpnięte z przemówienia Karola Wojtyły, które wygłosił w 1990 roku na Konferencji Kraj – Emigracja w Rzymie. Papież powiedział wówczas: – Możemy być dumni z tego, co mamy. Dlatego tak ważne jest, by czuć się Polakiem, mieć świadomość polskich korzeni, które sięgają tysiąca lat, a czerpnią swą siłę z chrześcijańskiej wiary i kultury europejskiej.

Wskazówki papieża-Polaka, skierowane do rodaków mieszkających poza krajem, przypomniał w piątek prymas Polski, arcybiskup Józef Kowalczyk, podczas uroczystej mszy świętej w archikatedrze św. Jana w Warszawie. – Pamiętaj dobrze, że gdziekolwiek rzucą cię losy, zawsze masz prawo aż po kres swoich dni pozostać człowiekiem świadomym korzeni i narodu, z którego się wywodzisz – zacytował m.in. prymas.

Po złożeniu wieńców przy Grobie Nieznanego Żołnierza i mszy w archikatedrze delegaci w samo południe zgromadzili się na uroczystej inauguracji Zjazdu na Zamku Królewskim. W uroczystości wziął udział prezydent Polski, Bronisław Komorowski i inni czołowi przedstawiciele państwa polskiego.

Zaolzie w krzywym zwierciadle

– To dla mnie bomba – mówi Karol Suszka, dyrektor Teatru Cieszyńskiego, który pomagał wielu zaolziańskim amatorskim teatrom. – Znałem wszystkich nie żyjących już zaolziańskich twórców, którzy pisali dla tych zespołów gwarowe teksty: Wilhelma Przeczka, Janka Pyszkę, a przede wszystkim Adama Wawrosza oraz dwóch Władysławów: Młynka i Niedobę. Cieszę się, że znaleźli się ich godni następcy. Ta książka pomoże zaolziańskim teatrom amatorskim – podkreśla szef czeskocieszyńskiego teatru.

A o co właściwie chodzi? Dlaczego piszemy o zaolziańskich teatrach amatorskich nie „w terminie", czyli w okresie Wielkanocy, kiedy to większość z nich wystawia swoje sztuki? Bo w poniedziałek ukazała się na półkach księgarskich, do zdobycia głównie w Klubie Polskiej Książki i Prasy w Czeskim Cieszynie książka Ireny (z domu Bednarz) i Jana Czudków, zawierająca scenariusze dwóch komedii, które zagrał ostatnio (w kwietniu 2011 i 2012 roku) zespół teatralny, działający przy Miejscowym Kole PZKO w Milikowie-Centrum. Chodzi o spektakle: „Przeróbka, czyli Tam dómy szifóner" oraz „Aparat, czyli Biydnymu krowa mlyka nie dowo, a bogatymu aji byk się łocieli".

– O tym, żeby wydać tę książkę, pomyślałem przed rokiem, kiedy w Gródku obejrzałem jedną ze sztuk Janka Czudka, mojego przyjaciela już z lat gimnazjalnych, i jego żony Ireny – mówi Bronisław Ondraszek, szef wydawnictwa „Beskidy", które wydało książkę państwa Czudków. – Zrozumiałem, że po rozpadzie Sekcji Literacko-Artystycznej przy Zarządzie Głównym Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, nikt już nie będzie chciał napisać naszą gwarą śląską nowej sztuki dla naszych zespołów. Zaangażowałem do współpracy znanego etnografa i polonistę, prof. Karola Daniela Kadłubca, który adiustował tekst, żeby naprawdę był napisany gwarą gródecką, skąd pochodzi autor sztuk, Jan Czudek. Panu profesorowi sztuki też się bardzo podobały, mam więc nadzieję, że tak samo dobrze przyjmą tę niewielką książeczkę zaolziańscy, i nie tylko, miłośnicy ludowego teatru – dodaje Ondraszek.

– Kiedy Bronek zwrócił się do mnie z propozycją wydania naszych tekstów, od razu się zgodziliśmy – mówi jeden z autorów, Jan Czudek. – Chodzi o to, że naprawdę brakuje u nas tekstów gwarowych dla PZKO-wskich teatrzyków. Mam nadzieję, że skorzystają z tych scenariuszy nasi aktorzy. Nie rościmy sobie do tych tekstów żadnych praw autorskich, można więc grać je do woli. A przy okazji zapraszam też już na „chrzest" tej małej książeczki. Odbędzie się on w jabłonkowskim Domu PZKO 15 września, a jedną z naszych sztuk zagra podczas imprezy milikowski zespół teatralny.

Wszyscy żądni lektury Zaolziacy, a przede wszystkim szefowie, niewielu już, niestety, działających w naszym regionie amatorskich zespołów teatralnych, mogą książkę Ireny i Jana Czudków nabyć w Klubie Polskiej Książki i Prasy przy ulicy Čapka w Czeskim Cieszynie. A warto...

Dodajmy, że Jan Czudek jest od stycznia br. dyrektorem generalnym Huty Trzyniec, w której – z krótkimi przerwami – pracuje od dwudziestu lat. Wcześniej, przez pięć lat, pracował jako dyrektor ds. inwestycji HT.

Z Pegazem w tle

Obchody Gorolskiego Święta to również obcowanie z literaturą. W piątek 3 sierpnia, odbyła się 22. edycja świętogorolskiej „Kawiarenki pod Pegazem".

Miłośnicy poezji tradycyjnie spotkali się w jabłonkowskim Domu PZKO, by nacieszyć swe ucho poezją rodzimych twórców. W tym roku organizatorzy zdecydowali się na nowatorskie rozwiązanie. Program pt. „Ostatni żyjący pretorianie polskiego słowa na Zaolziu oraz młoda krew poetycka" składał się z dwóch bloków tematycznych. W pierwszej części przypomniano sylwetki Władysława Sikory, Kazimierza Kaszpera oraz Piotra Horzyka.

Drugim punktem programu była natomiast prezentacja poezji młodego pokolenia. Tym razem w „Kawiarence" mieliśmy możliwość zapoznania się z poezją Ewy Furtek, Krystyny Pękały, Marty Różańskiej, Anny Marii Wałach i Martiny Zajac. Uczestnicy wysłuchali wierszy w interpretacji Karola Suszki oraz autorek.

Stanisław Gawlik, jako gospodarz tego spotkania nie krył zadowolenia z udanego wieczoru. Zapowiedział kontynuację takich spotkań w przyszłości, gdyż młodych, początkujących twórców należy wspierać.

Jednym zdaniem

■ Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk" był gwiazdą 65. Gorolskiego Święta, które odbywało się od 3 do 5 sierpnia w Jabłonkowie.

■ Imię znanego czeskiego aktora filmowego i teatralnego polskiego pochodzenia, Bronisława Poloczka, będzie nosiła jedna z bezimiennych dotąd ulic w Suchej Górnej.

■ Sala konferencyjna, czytelnia, większe wypożyczalnie i kawiarnia literacka – to tylko częściowa charakterystyka projektu przebudowy, na realizację którego Miejskiej Bibliotece w Trzyńcu przyznano dofinansowanie z resortu kultury w wysokości 53 mln koron.

■ Dwa lata bez prawa jazdy i kara pieniężna w wysokości 35 tysięcy koron – oto bilans Ewy Farnej, która w maju zdemolowała swój samochód marki volkswagen wracając do domu z imprezy pomaturalnej.

■ Marian Jeżowicz z Czeskiego Cieszyna, który w wolnych chwilach zajmuje się m.in. fotografią sportową, wygrał plebiscyt na najlepszego fotoreportera roku dla dziennikarzy agencji eSports. cz.

■ Władysław Wójcik (1882-1940), jedna z czołowych przed wojną postaci polskiego życia narodowego oraz ruchu turystycznego w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego, był patronem Zlotu Turystów, jaki w sobotę, w ramach obchodów swoich kilku tegorocznych jubileuszy zorganizowało Polskie Stowarzyszenie Turystyczno-Sportowe „Beskid Śląski".

■ Dwie osoby odpowiedziały na apel Mieczysława Witoszka, który 23 sierpnia zaprosił przed fontannę w Karwinie-Frysztacie uczestników kolonii letnich w Jantarze nad Bałtykiem z... 1948 roku.

■ Spotkaniem w jednym z pensjonatów w Mostach koło Jabłonkowa otworzył swój kolejny sezon Teatr Cieszyński. Pierwszym przedstawieniem Sceny Polskiej byli „Gracze" M. Gogola, zespół zagrał spektakl 3 września na otwarcie roku szkolnego dla uczniów czeskocieszyńskiego Gimnazjum Polskiego.

■ Aż trzy polskie zespoły regionalne z Bystrzycy: dziecięca „Łączka" i młodzieżowa „Bystrzyca" oraz kapela góralska „Groniczek", wystąpiły 23 sierpnia na Rynku Głównym w Krakowie. Wszystko w ramach Dni Pińczowa, partnerskiej miejscowości nadolziańskiej wioski.

■ W ośrodku wczasowym Pasieczki w Koszarzyskach odbyły się warsztaty teatralno-filmowe dla młodzieży, które zorganizowały Scena Polska Teatru Cieszyńskiego oraz Kongres Polaków.



Fot. Leszek Pilichowski

Rzeźbiarz iluzjonista

Jerzy „Jotka" Kędziora to jeden z najbardziej znanych częstochowskich artystów – rzeźbiarz, malarz, pedagog, działacz samorządu artystycznego. W tym roku obchodzi wielokrotny jubileusz – 40-lecie pracy twórczej, 50-lecie aktywności społecznej, 60-lecie działań twórczych, wliczając w to dziecięce projekty wzorów włóczkowych oraz pomoc przy ubieraniu szopki czy Grobu Pańskiego, wreszcie 65-lecie „życia w mozole".

Jego prace można oglądać w przestrzeniach miejskich na całym świecie – w Nowym Jorku, Norymberdze, Berlinie, a w Polsce w Bydgoszczy, Sopocie, Częstochowie czy Kamyku. To na stałe, ale wystawiał też w Lourdes, Pradze, Bratysławie i Rotterdamie. Stworzył cykle, m. in. *poMiernoty*, *Groteski transformacji*, *Popportret*, *Osaczające*, a także *Orszak Flory*, *Pęknięty głos*, *Rozdarte muzy*, *Fałszywi prorocy*, *Uniformy dowódcze*, *Reanimowani* oraz *Z odciągiem*... Obecnie znany przede wszystkim z rzeźb balansujących, które, jak podkreśla z uśmiechem, nabierają czwartego wymiaru – dzięki spoglądaniu w górę, ale na swoim koncie ma także wiele dzieł tradycyjnych (np. pomnik Kazimierza Pułaskiego czy Jerzego Popiełuszki w Częstochowie, oraz realizowany obecnie pomnik Jana Długosza dla Kłobucka).

Artysta urodził się 5 września 1947 w naszym mieście, tu ukończył Państwowe Technikum Sztuk Plastycznych na kierunku metaloplastyka i biżuteria, następnie studiował na Wydziale Rzeźby w PWSSP w Gdańsku projektowanie rzeźbiarskie w architekturze i urbanistyce. Zajmował się również teatrem. Był scenografem, scenarzystą, realizatorem spektakli teatru plastycznego. Pracował nad renowacją wnętrz w Zamku Książ, a później nad stałą wystawę historyczną w Muzeum Okręgowym w Częstochowie (za czasów dyrektora Andrzeja Skalskiego). Tu wykonał m. in. popiersie o. Augusta Kordeckiego, płaskorzeźby *Częstochowa* i *Częstochówka* oraz kompozycję *Kościuszko pod Szczekocinami*. Organizował życie kulturalne miasta – galerię rzeźby I nie tylko (1992), prawie galerię Przedstudio – studio-galerię w ogrodzie przy ul. Jasnogórskiej (2002), stałą ekspozycję rzeźby plenerowej w *Ogrodzie wyobraźni* przy galerii Lonty-Petry (1995), festiwal *Pół dekady z rzeźbą* w Częstochowie (2000), prowadził Warsztaty Twórcze Rzeźby Memorialnej (1993-1995). Zainicjował wiele imprez cyklicznych: Noce Kupały, plenery miejskie, Plener Jurajski, oraz instytucji – Stowarzyszenie Środowisk Twórczych, Delegaturę Związku Artystów Rzeźbiarzy, i działań pararzeźbiarskich. Przed laty, zanim jeszcze rozpowszechniła się moda na ławeczki dla osób godnych upamiętnienia, marzył, by na Jasnogórskiej, tam gdzie obecnie znajduje się Dom Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej, stanęła rzeźba poetki przy płocie.

W 2007 roku zamieszkał w Poczesnej i od razu powołał do życia Galerię Rzeźby, Galeryjkę *Owczarnię*. Wciąż jednak czuje się silnie związany z Częstochową. Jest obecny w przestrzeni miasta – jedną z jego balansujących rzeźb można oglądać od kilku lat między dwoma budynkami Urzędu Miasta przy ul. Waszyngtona, w zeszłym roku wystawiał swoje prace przy Konduktorowni, a podczas Festiwalu Dekonstrukcji Słowa „Czytaj" przygotował happening przy ławeczce autorki *Ody do rąk*.

Jubileusz Kędziory świętowany jest w Częstochowie niezwykle hucznie. W Muzeum Częstochowskim specjalnie na tę okazję przygotowano Gabinet Wybitnych Częstochowian oraz cykl spotkań z artystą, w MGS-ie zorganizowano wystawę fotografii jego prac *Anturage* wykonanych przez syna Bartłomieja, a w parku Staszica przygotowano wystawę rzeźb balansujących *W mateczniku*.

Każda z imprez pozwoliła poznać nieco inne oblicze jubilata. Gabinet dokumentuje przede wszystkim różnorodność podejmowanych przez niego działań i porządkuje biografię. Znalazły się tu szkice, projekty, fragmenty prac, odznaczenia, plakaty i katalogi wielu wystaw. Do zwiedzenia zachęca już w korytarzu kobieta-dzwon ustrojona w Krzyż Zasługi PRL-u. Fotografie w MGS-ie niczym wielkoformatowy katalog dokumentowały wystawy Kędziory, jego prace wśród przyrody, miejskiej przestrzeni oraz reakcje odbiorców. Nie zabrakło także prac jubilata – pokazano kobietę (gimnastyczkę) ze wstęgą oraz dwie ręce ze sznurkiem zwisającym niemal do ziemi. Spotkania w Ratuszu pozwalały natomiast poznać Jerzego Kędziorę jako doskonałego gawędziarza, który z pasją opowiada anegdoty, a swoje prace traktuje niemal jak członków rodziny.

Jubilat urzeka przede wszystkim pomysłami. W swoich rzeźbach i projektach, nagradzanych na ogólnopolskich konkursach, wykorzystuje rozmaite działania optyczne, prawa fizyki, ale także skomplikowane mechanizmy. Niektóre pomniki ożywają, zmieniają się pod wpływem słonecznego promienia, albo zachęcają odbiorcę do aktywności, np. pas miękkiego asfaltu miał być możliwością niemal publicznego wyboru i zamanifestowania głoszonych wartości (*Kościuszkowcy*). Artysta nie boi się wyzwań – dla Jiczyna przygotował balansującego Rumcajsa, dla Torunia ruchomego Pana Twardowskiego. Ciekawym nurtem w jego twórczości są również rzeźby symultaniczne. Taki pomysł pojawił się już w projekcie upamiętnienia 300-lecia Odsieczy wiedeńskiej, gdy fragmenty pomnika miały stanąć w Wiedniu, Krakowie i Częstochowie, a od 2003 artysta ustawił w wielu miastach popiersia Jana Ignacego Paderewskiego.

Rzeźby balansujące Kędziory tworzą dwie główne grupy. Do pierwszej należą ludzie zmagający się z losem, co w czasach transformacji ustrojowej, uznano za obraz polskiej rzeczywistości i jak gdyby potwierdzenie tezy Philipa Auslandera o postmodernistycznym performansie politycznym – „przymus balansowania na linie pomiędzy współudziałem a krytyką", ale wydaje się, że to metafora człowieka w ogóle. Artysta przekonuje bowiem, że nawet powietrze stawia opór i kształtuje pozy i grymasy człowieka... Drugi – artyści cyrkowi i gimnastycy, gdy liny stają się ich naturalnym atrybutem. Patrząc na kolejne rzeźby, trzeba przyznać, że to balansujące „ja" radzi sobie coraz lepiej, a nawet staje się wirtuozem.

Wcześniej były postaci zaklinowane, podparte drągiem, drabinką, które nagle osuwały się wśród przechodniów. W ten sposób artysta ujawniał śmierć rzeźby, by wyzwolić je od przymusu nieśmiertelności. Rzeźba przezwyciężająca czas, przeżywająca swoją epokę, zostaje przecież zutylizowana albo przekształca się w arcydzieło, a tego obawia się Kędziora, co potwierdził w rozmowie z dziennikarzem Gazety Wyborczej – „Arcydzieło jest zimne przez swoją skończoność".

Wśród wielu pomysłów jubilata niezwykle ciekawy jest również projektowany cykl rzeźb legendarnych, wróżebnych i samofinansujących się. Mają go tworzyć m. in. Wars i Sawa, Częstoch (temat rzeźby powrócił na jednej z tegorocznych sesji Rady Miasta), Krak oraz Piast Kołodziej. Obecnie artysta pracuje nad postaciami zamaskowanymi, interaktywnymi, które nie pozwolą przechodniom pozostać obojętnymi. Marzy, by wystawić je np. na festiwalach teatralnych w Edynburgu czy Avinionie.

Obserwując prace Kędziory, widzowie mają poczucie, że artyście udało się przezwyciężyć prawa fizyki i pokonać przyciąganie ziemskie. Dlatego na usta wciąż cisną im się te same pytania – ile ważą rzeźby? dlaczego nie spadają? A on opowiada wówczas skromnie o poszukiwaniu najwłaściwszych punktów, by umieścić balasty. Analizując zaś jego najbardziej śmiałe projekty pomników, zachwycają się ideą, by pamięć zakląć w kamień ożywiany słońcem i ogniem...

Spotkania z Jerzym Kędziorą przekonały, że jubilat wciąż imponuje świeżością pomysłów i pozostaje otwarty na nowe inspiracje, bojąc się słów niejako ostatecznych – „klasyk" i „arcydzieło". I w tej drodze pozostaje mu życzyć przede wszystkim wytrwałości.

JOANNA WARONSKA

Naznaczony Śląskiem

WIESŁAWA KONOPELSKA

Szesnaście z czterdziestu lat twórczości Zbigniewa Sawicza przypada na współpracę z miesięcznikiem „Śląsk". Trudno zliczyć, ile zdjęć wykonał do publikowanych w ciągu tych lat tekstów, ile ich przygotował na kolejne okładki, z ilu osobami się spotkał, ile zaaranżował sytuacji, które byłyby adekwatne do treści tekstów publicystycznych czy rozmów. Czasem kilkakrotnie odwiedza miejsca, które mają znaleźć się na jakiejś fotografii – zawsze w poszukiwaniu atmosfery, dobrego ujęcia, koloru, światła. Kiedy wyprawia się by sportretować jakąś osobę, zawsze choć przez kilka chwil rozmawia z nią, rejestruje pobieżnie poznane usposobienie, cechy charakterystyczne. Nie dopuszcza myśli, że zdjęcie może powstać tak po prostu, naciskając migawkę – nawet w sytuacjach dynamicznych, napiętych w czasie wie, jaki efekt chce osiągnąć. Ułamki sekund, które często decydują o zawartości fotografii potrafi perfekcyjnie wykorzystać. Jednak nigdy nie przekracza granicy nachalności, intymności fotografowanej osoby, chociaż spotyka na swej drodze wyjątkowo niecierpliwych. Kiedy nie jest usatysfakcjonowany efektem pracy, powraca w innych sytuacjach. W końcu zdjęcie „ląduje" w odpowiednim folderze w domowym komputerze.

Lecz komputer to melodia ostatnich lat. Przez ponad trzy dekady archiwizował czarno-białe negatywy, a z czasem pierwsze kolorowe przeźrocza i filmy. Dziś zajmują powierzchnię trudną do obliczenia – to zapewne kilometry zarejestrowanych, wielokrotnie interpretowanych sytuacji, ujęć. Jak sam mówi, dobrze że kiedyś film miał maksymalnie 36 klatek – każde zdjęcie wymagało jeszcze większego skupienia. To wtedy nauczył się dyscypliny, jaką narzuca dobra fotografia. Przekładanie rolki z filmem wymagało więcej czasu. Dzisiaj karta pamięci w porównaniu z tamtą rzeczywistością techniczną to prawdziwy kosmos. Powstają więc tysiące zdjęć, z których trudniej wybrać to jedno jedyne. Niemożliwe wydaje się przebrnięcie przez dziesiątki kilogramów negatywów zalegających archiwa Zbigniewa Sawicza, a jeśli dodać kolejne tysiące przechowywane na dyskach…

Najtrudniej dotrzeć do zdjęć, na których byłby on sam. W gruncie rzeczy jest ich niewiele. Ta, wykonana przed kilkunastoma dniami przez Arkadiusza Golę, czarno-biała fotografia, przeznaczona specjalnie do katalogu towarzyszącego retrospektywnej wystawie, jest bodaj jedyną, na której Sawicz jest bohaterem opowieści specjalnie zrelacjonowanej w jednym kadrze przez znakomitego fotoreportażystę. Wymyślona sytuacja nie odbiega od prawdziwej osobowości Sawicza – najczęściej jest sam, ze swoim aparatem, pośród przyszłych bohaterów swoich zdjęć. Arkadiusz Gola bardzo dobrze zna duszę Zbyszka Sawicza, dlatego doskonale wiedział, jak go sportretować.

Z okazji jubileuszu pracy twórczej Sawicz przygotował retrospektywną wystawę złożoną ze swoich dwóch najważniejszych cykli fotograficznych: „Ballady śląskiej" i „Mistrzów piękna". Wielokrotnie modyfikowane, wzbogacane, nie są do końca wystawami z przeszłości. Każdy z cykli rozwija się – czas miniony uzupełniany jest czasem teraźniejszym, dawne miejsca i ludzie pokazywani są na nowo. I tak do końca nie są to odrębne cykle – pierwszy opowiada o Śląsku jako miejscu szczególnym, wyjątkowym: krajobraz hałd, zaułki, detale charakterystyczne dla robotniczych osiedli, wreszcie będący integralną częścią tych miejsc ludzie – żyjący w symbiozie a także w jakimś zakleszczeniu otaczającej rzeczywistości. Ale to miejsca przetwarzane ludzkimi rękoma, to świat kreowany. Pisał o tym świecie wybitny malarz i rysownik Franciszek Starowieyski: *„To, co widzę na Śląsku, to nie jest zniszczenie krajobrazu, to jest kreacja. Tutaj nagle gdzieś z ziemi wyrasta potężny hak ważący dwie tony, obok wypełza stalowa lina, a wszystko to jest oplecione rozbuchaną zielenią. Spoglądam w głęboki dół, kiedyś przez kogoś wykopany, a na samym dnie kipi zieleń. To jest kraina wielkich tajemnic i przedziwnych klimatów… Na przedmieściach Katowic były wełnowieckie hałdy – nieduże, lano je na gorąco. Wyglądały jak skały ulubione przez chińskich malarzy epoki Kang-Szi. Były to ażurowe formy z prześwitami, jakieś pnącza się tam snuły, zielska.*

Hałdy świadczą o tym, że zdarzył się w XIX wieku wielki wybuch przemysłu i taki właśnie pejzaż stworzył. Hałdy te jak katedry, zamki, należą już do zabytków.

Przez Sosnowiec płynęła rzeka, taka struga czarnej mazi. Jakimś cudem ta rzeka, w której niepodobne było żadne życie, była otoczona chwastami. Wyglądało to jakby płynął tam ciekły węgiel… Piękne hałdy, intensywnie czerwone, ze wspaniałą strukturą spękań, małymi grotami. Nauczyłem się jednego – na czym polega potęga brązowego koloru. Nie wiem po ilu warstwach osiągnąłem ten brąz hałdy. Szkoda, że nie mogłem tu przywieźć świętej pamięci Josepha Beuysa, specjalisty od brązowego koloru, dopiero by zobaczył, co to jest prawdziwy brąz.

Ten śląski pejzaż był przez wszystkie pokolenia bardzo sensownie budowany. Domy z ciemnej, klinkierowej cegły – jak ten kolor cegieł świetnie siedzi w śląskim krajobrazie, obojętnie czy w zimie, czy latem – taka prawie czarna czerwień. Spojrzenie Starowieyskiego na Śląsk można skonfrontować ze zdjęciami Sawicza – tyleż samo w nich malarskości – nawet jeśli to malarskość czarno-biała, śladów ludzkiej kreacji – zamierzonej czy nie, ale wprost niewiarygodnej.

Sawicz fotografował Starowieyskiego przy różnych okazjach – zawsze zastanawiał się, czy zdoła oddać jego wewnętrzną energię i pasję twórczą, którą emanował podczas pracy, spotkań, rozmowy. Te pytania powracają zawsze, kiedy fotografuje innych mistrzów: słowa, batuty, wirtuozów, ludzi sztuki. Który gest będzie adekwatny do danej osobowości, jaką wybrać sytuację, mimikę, czy w stroju odświętnym, a może w zaciszu pracowni, w pochyleniu nad partyturą, zapisywanym papierem nutowym, w rozmowie, roześmianiu, czy może w skupieniu, zamyśleniu…

Dwie części jednej wystawy – to tylko dwa oblicza jej autora i dwa oblicza Śląska. Co je łączy? Oczywiście Śląsk – to ludzie z tego krajobrazu, z tego miejsca, lub to miejsce naznaczające w sposób wyjątkowy. ■



Zbigniew Sawicz w fotografii Arkadiusza Goli





Jacek Kaspszyk



Sławomir Mrożek





Barbara Ptak



Henryk Waniek

ZBIGNIEW SAWICZ

40 lat z fotografią



WARTOŚCI UZNANE W ŚWIECIE



Partnerstwo Przywództwo Profesjonalizm

WĘGLOKOKS

WĘGLOKOKS S.A.
ul. Mickiewicza 29, 40-085 Katowice
www.weglokoks.com.pl